SIMON STRANGER

LEKSYKON ŚWIATŁA *i* MROKU

Bokhandlerprisen
2018
Norweska Nagroda Księgarzy

SIMON
STRANGER

Leksykon światła i mroku

Z NORWESKIEGO
PRZEŁOŻYŁA

Katarzyna Tunkiel

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

A

B

C

D

E

F

G

H

I

J

K

L

M

N

O

P

Q

R

S

Ś

T

U

V

W

X

Y

Z

Ż

Od Autora

Tytuł oryginału: LEKSIKON OM LYS OG MØRKE

Opieka redakcyjna: ANDRZEJ STAŃCZYK
Redakcja: ANNA MILEWSKA
Korekta: ANNA RUDNICKA, JOANNA STAL, MARIA WOLAŃCZYK, MAŁGORZATA WÓJCIK
Projekt okładki: EGIL HARALDSEN & ELLEN LINDEBERG/EXIL DESIGN
Opracowanie okładki na podstawie oryginału (Aschehoug, 2018): MAREK PAWŁOWSKI
Zdjęcie na okładce: © Sverresborg Trøndelag Folkemuseum, fot. Schrøder
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Simon Stranger
First published by H. Aschehoug & Co.
(W. Nygaard) AS, 2018
Published in agreement with Oslo Literary Agency
© Copyright for the Polish translation by Katarzyna Tunkiel
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2020

NORLA
NORWEGIAN LITERATURE ABROAD

This translation has been published with the financial support of NORLA
Tłumaczenie dofinansowane w ramach programu dotowania tłumaczeń literatury norweskiej NORLA (Norwegian Literature Abroad)

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07155-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

A

A jak akta.

A jak Anglia.

A jak aresztowanie.

Wszystko zniknie, odejdzie w niepamięć. Wszystkie wspomnienia i uczucia. Wszystkie przedmioty, cały dobytek. Wszystko, co tworzyło ramy ludzkiego życia. Krzesła, na których się siedziało, i łóżko, w którym się spało, ktoś wyniesie, wstawi do nowych domów. Inne ręce ułożą talerze na stole, kieliszki powędrują do ust innych ludzi, którzy wleją w siebie wodę lub wino, a po chwili odwrócą się do kogoś, z kim wcześniej rozmawiali, i będą kontynuować rozmowę. Przedmioty, niegdyś pełne historii, pewnego dnia stracą znaczenie, przyjmą czysty kształt, będą jak fortepian widziany oczami jelenia lub chrząszcza.

Kiedyś to nastąpi. Kiedyś nadejdzie nasz ostatni dzień, chociaż nie wiemy, kiedy ani w jaki sposób zakończymy życie. Nie wiem, czy swoje ostatnie godziny spędzę w domu opieki, rzężąc od kaszlu, z białą, luźną skórą zwisającą z ramion niczym ciasto na chleb z kopyści, czy też umrę nagle, znienacka, w wieku czterdziestu pięciu, czterdziestu sześciu lat, na skutek choroby lub wypadku.

Może zabije mnie bryła lodu, która odpadnie z dachu kamienicy, wprawiona w ruch przez wibracje od wiercenia w podłodze łazienki piętro niżej albo przez prąd ciepłego powietrza od morza, i poszybuje w dół. Minie okna salonów i sypialni, trafi mnie w głowę, pochyloną nad komórką, na której będę czytał wiadomości, i sprawi, że telefon wypadnie mi z dłoni na chodnik, gdzie będzie leżał ze świecącym ekranem u stóp przerażonych ludzi, stłoczonych w półkręgu. Przypadkowych przechodniów, którym nagle przypomniano o otchłani, jaka stale istnieje tuż przy każdym z nas, lecz rzadko daje o sobie znać – o tym, że wszystko,

czym jesteśmy i co posiadamy, może nam zostać wydarte pośrodku zwyczajności.

W tradycji żydowskiej mówi się, że człowiek umiera dwa razy. Pierwszy raz wtedy, kiedy ustaje bicie jego serca, a synapsy w mózgu gasną niczym miasto podczas awarii prądu. Drugi następuje wówczas, gdy już po raz ostatni wypowiada się nazwisko zmarłego, myśli się o nim lub się o nim czyta pięćdziesiąt, sto albo czterysta lat później. Dopiero wtedy człowiek naprawdę znika, wymazany z życia na Ziemi. Właśnie ten drugi rodzaj śmierci zainspirował niemieckiego artystę Guntera Demniga, który wpadł na pomysł, że będzie wytapiał mosiężne kostki brukowe, grawerował na nich nazwiska Żydów zabitych przez nazistów podczas drugiej wojny światowej i umieszczał je w chodnikach przed kamienicami, gdzie mieszkały rodziny ofiar. Demnig nazywa te kostki *Stolpersteine* – kamieniami, o które się potykamy. Dzieło ma być próbą odroczenia drugiej śmierci, bo ozdabiając chodniki nazwiskami zabitych, artysta zadbał o to, aby przechodnie przez kolejne dziesięciolecia pochylali się nad nimi i w ten sposób utrzymywali zmarłych przy życiu; jednocześnie zachowane zostają wspomnienia o najgorszych rozdziałach w historii Europy, wyryte niczym widoczne blizny na obliczu miasta. Do tej pory w różnych miejscach kontynentu rozmieszczono sześćdziesiąt siedem tysięcy takich kamieni.

Jeden z nich jest twój.

Jeden z kamieni nosi twoje nazwisko i tkwi w chodniku w miejscu, gdzie mieszkałeś, w Trondheim w środkowej Norwegii.

Kilka lat temu mój syn ukucnął przed tym kamieniem i rękawiczką starł z mosiądzu drobne kamyczki i paprochy. Następnie przeczytał na głos:

– Tu mieszkał Hirsch Komissar.

Mój syn skończył tamtego roku dziesięć lat i jest jednym z twoich praprawnuków, podobnie jak moja córka, wówczas jeszcze sześcioletnia, która zarzuciła mi rączki na szyję. Moja żona, Rikke, stała obok, a w kręgu, zebranym jakby wokół urny składanej do grobu, stali też moja teściowa, Grete, oraz jej mąż, Steinar.

– Tak, był moim dziadkiem – powiedziała Grete. – Mieszkał… o, tutaj, na drugim piętrze. – Odwróciła się w stronę kamienicy znajdującej się za naszymi plecami, z której okien zwykłeś wyglądać na okolicę w innych

czasach, gdy żyli inni ludzie niż my. Moją szyję nadal obejmowały rączki córki, tymczasem syn dalej odczytywał gołe fakty wyryte w mosiądzu:

TU MIESZKAŁ
HIRSCH KOMISSAR
ROK URODZENIA 1887
ARESZTOWANY 12.1.1942
FALSTAD
ZABITY 7.10.1942

Grete wspomniała o zaskoczeniu inwazją, opowiedziała znaną mi już historię o tym, jak rankiem dziewiątego kwietnia 1940 roku jej ojciec nagle ujrzał żołnierzy przemierzających ulice w szaroniebieskich płaszczach i butach wybijających takt na bruku. Rikke podniosła się, żeby wziąć udział w rozmowie, a córka stanęła tuż przy niej. Jedynie ja z synem kucaliśmy dalej przy kamieniu. Chłopiec przesunął rękawiczką po ostatniej linijce, po czym podniósł wzrok.

– Dlaczego on został zabity, tato?

– Bo był Żydem – odpowiedziałem.

– Tak, ale dlaczego?

Wymieniłem spojrzenia ze stojącą obok Rikke, która przysłuchiwała się obu rozmowom naraz.

– No… Naziści chcieli zabić każdego, kto był inny. I nienawidzili Żydów.

Mój syn milczał.

– Czy my też jesteśmy Żydami? – zapytał. W jego brązowych oczach malowało się skupienie.

Kilka razy zamrugałem, zastanawiając się nad tym, co wie o historii swojej rodziny. Co w ogóle wiedziały moje dzieci o swoich żydowskich krewnych? Na pewno rozmawialiśmy o tym, że ich prapradziadkowie ze strony mamy ponad sto lat temu przybyli z różnych części Rosji. Rozmawialiśmy o wojnie i o ucieczce pradziadka Gersona, którego oboje zdążyli poznać, zanim umarł.

Rikke chyba chciała się odezwać, ale wtedy Grete wciągnęła ją w rozmowę, ja zaś napotkałem wzrok syna.

– Jesteś Norwegiem – odparłem, lecz poczułem, że w tej odpowiedzi kryje się oszustwo, i znów napotkałem spojrzenie Rikke. – Oraz po części Żydem, ale nie jesteśmy wierzący – dodałem i podniosłem się, licząc na to, że Rikke lub Grete się odezwą, że lepiej ode mnie będą wiedziały, jak sformułować odpowiedź, jednak rozmowa zdążyła już potoczyć się dalej, prowadzona logiką skojarzeń, i oddaliła się mocno od wcześniejszego tematu.

„Dlaczego on został zabity, tato?"

To pytanie prześladowało mnie w kolejnych miesiącach i okazało się jednym z tych, na które trudno znaleźć odpowiedź; przeszłość układa się coraz grubszą warstwą zapomnienia, przykrywając to, co minęło. A jednak. Przeglądanie rozmaitych archiwów i rozmowy o przeszłości z innymi członkami rodziny sprawiły, że wydarzenia sprzed lat powoli wydostawały się z cienia.

Wkrótce mogłem sobie wyobrazić śnieg w centrum Trondheim. Parujące oddechy ludzi przechodzących obok krzywych drewnianych domków.

Wkrótce stało się jasne, że koniec twojego życia zaczął się w środowy ranek pośrodku zwyczajności.

Jest dwunasty stycznia 1942 roku. Stoisz za ladą w sklepie z konfekcją, który prowadzisz wraz z żoną, otoczony kapeluszami na stojakach, płaszczami i sukienkami na manekinach. Właśnie wpuściłeś pierwszą tego dnia klientkę i przedstawiłeś jej bieżącą ofertę, kiedy telefon zmusza cię do odłożenia papierosa i formularza zamówień.

– „Paris-Wien", słucham? – odpowiadasz automatycznie, tak jak tysiące razy wcześniej.

– *Guten Morgen* – mówi mężczyzna na drugim końcu linii i ciągnie po niemiecku: – Czy to pan Komissar?

– Tak, zgadza się – potwierdzasz, również po niemiecku, myśląc przez chwilę, że może to jeden z dostawców z Hamburga, że znów chodzi o jakieś problemy z cłem. Może o zamówione letnie sukienki? Ale w takim razie to jakiś nowy pracownik, bo głos nie należy do nikogo znajomego.

– Hirsch Komissar, mąż Marie Komissar?

– Tak… Z kim rozmawiam?

– Dzwonię ze służby bezpieczeństwa Gestapo.

– Ach tak?

Zerkasz znad formularza zamówień i widzisz, że klientka rozumie, iż coś jest nie tak; odwracasz twarz do ściany, czując tętniący puls. Gestapo?

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem o pewnej sprawie – mówi tamten cicho.

– Ach tak? – powtarzasz, wahasz się i już masz otworzyć usta, aby zapytać, o jakiej, lecz rozmówca ci przerywa:

– Proszę stawić się na przesłuchanie w Hotelu Misyjnym dziś o godzinie czternastej.

W Hotelu Misyjnym. Na przesłuchanie? Dlaczego miałbyś być wzywany na przesłuchanie, myślisz z twarzą nadal zwróconą do ściany. Czy ma to jakiś związek z bratem Marie, Davidem, i jego komunistycznymi sympatiami? Z framugi drzwi wystaje końcówka gwoździa bez główki. Dotykasz kciukiem metalu, wciskasz końcówkę w skórę i zamykasz oczy.

– Halo? – w głosie na drugim końcu pobrzmiewa zniecierpliwienie. – Jest pan tam?

– Tak, jestem… – odpowiadasz, odrywasz kciuk od gwoździa i widzisz biały punkt, z którego odpłynęła krew. Klientka zatrzymała się przy wieszaku z sukienkami i gdy odwracasz się, by na nią spojrzeć, nadal przegląda ubrania.

– Niektórzy moi koledzy uważają, że zanadto ryzykuję – mówi mężczyzna i słyszysz trzask zapalniczki tuż przy uchu. – Twierdzą, że powinienem wysłać samochód i natychmiast pana tutaj sprowadzić, żeby nie zdążył pan zabrać synów i zwiać, bo mimo wszystko jesteście Ż y d a m i – dodaje, z naciskiem na ostatnie słowo, a dalej ciągnie cichszym, poufałym wręcz tonem: – Ale wiem, że pańska żona Marie leży w szpitalu… Upadła na lodzie, nieprawdaż?

– Tak, zgadza się… Kilka dni temu poślizgnęła się i upadła na lodzie, złamała… tę kość w udzie – odpowiadasz, bo nie pamiętasz niemieckiego określenia na szyjkę kości udowej, nie wiesz, czy kiedykolwiek znałeś to słowo. Ale udaje ci się oddać sens.

Że też Marie mogła być taka głupia i wyjść w kozaczkach na wysokim obcasie na taką nawierzchnię, myślisz. Taka nieostrożna, zawsze elegancka i wiedziona niepohamowaną potrzebą, by o wszystkim decydować samodzielnie. Jeśli tylko zasugerujesz, że powinna coś zrobić inaczej, na przykład trochę bardziej uważać, i że może niezbyt rozsądnie jest pisywać do gazet lub organizować w domu sympozja, podczas których dyskutuje się kwestie polityczne, Marie kwituje ową sugestię prychnięciem. Oczy jej ciemnieją, po czym daje ci do zrozumienia, że ma zamiar postępować po swojemu. Tak jak teraz – i proszę, do czego to doprowadziło, myślisz za ladą, wciąż ze słuchawką w dłoni. Klientka posyła ci uśmiech i wychodzi. Dzwoni dzwonek przy drzwiach.

– Ach tak, z ł a m a n i e s z y j k i k o ś c i u d o w e j… – Człowiek bez twarzy przypomina ci niemiecki zwrot. – Zakładam więc, że ani pan, ani pańscy synowie nigdzie nie uciekniecie, prawda? Bo w takim razie będziemy zmuszeni się nią zaopiekować.

Z a o p i e k o w a ć. W milczeniu kiwasz głową, mimo że przez telefon rozmówca nie może odczytać twej mowy ciała, i odpowiadasz, że nigdzie nie wyjedziecie.

– Dobrze, *Herr* Komissar. Wobec tego przyjdzie pan tutaj dzisiaj o godzinie drugiej. Wie pan, gdzie to jest, prawda?

– Hotel Misyjny? Tak, oczywiście.

– Dobrze. Żegnam.

Rozlega się stuknięcie, gdy tamten odkłada słuchawkę, a ty stoisz za ladą z głową pełną myśli trzepoczących się jak stado wystraszonych ptaków, które poderwały się z drzewa, bo co masz teraz zrobić? Podnosisz wzrok na zegar. Jeszcze wiele godzin do drugiej. Masz czas, dość czasu, by uciec od tego wszystkiego, myślisz, rozważając przez chwilę, czy nie schylić się i nie wycofać na zaplecze, nie wymknąć się przez drzwi do magazynu. Przepaść w uliczkach i puścić się biegiem, najdalej, jak będziesz mógł, nie zatrzymując się, nie zważając na smak krwi w ustach, spojrzenia obcych ani zmęczenie nóg wspinających się pod górę. Mógłbyś pobiec do lasu, skryć się wśród świerków i dotrzeć do granicy ze Szwecją, gdzie bezpiecznie żyje twoja córka, Lillemor. To m o ż e się udać, myślisz, ale od razu pojmujesz, że to kiepski pomysł, bo co by się stało z Marie? Co z waszymi dwoma synami, Gersonem i Jacobem? Jeśli zwiejesz, o n i

ucierpią, myślisz, wolną ręką zamykając formularz zamówień. Jacobowi może mógłbyś dać znać poprzez znajomego z uczelni, ale Gersona nie zdołasz uprzedzić, bo pojechał w góry z przyjaciółmi ze studiów. Więc co z nim będzie, kiedy wróci do miasta i napotka Niemców czekających na niego przed stancją? Co zrobią z Marie?

Czy prawdziwe są pogłoski, które zaczęły krążyć w sklepach, podczas obiadów i w synagodze? O tym, że Żydów wysyła się do specjalnych obozów za granicą. A może to tylko przesadzone opowieści, jak potwory, które w dzieciństwie wyobrażałeś sobie nocą w ciemnym pokoju?

Dzwonisz do jednej z pracowniczek, którą zatrudniasz na część etatu, i prosisz, by cię zastąpiła. Mówisz jej o wezwaniu na przesłuchanie i pytasz, czy w najgorszym wypadku, jeżeli sprawa miałaby się przeciągnąć, mogłaby prowadzić interes przez kilka najbliższych dni. Później dzwonisz do Jacoba, wyjaśniasz, co się stało, i prosisz, aby spróbował skontaktować się z Gersonem. Jacob zaczyna się jąkać, co zdarza mu się czasami w chwilach podenerwowania, więc starasz się go uspokoić, mówiąc, że wszystko będzie dobrze, że to na pewno nic poważnego i zdążysz jeszcze wpaść do szpitala, by poinformować Marie. Odkładasz słuchawkę. Niedługo później w drzwiach staje twoja zastępczyni, również z poważnym, zbolałym wręcz wyrazem twarzy, więc aby ją uspokoić, starasz się wszystko zbagatelizować. Później wkładasz płaszcz, żegnasz się i wychodzisz do szpitala.

Tylko o jaką s p r a w ę właściwie chodzi? Może jedynie o jakiś mglisty zarzut, coś, za co i tak nie będą mogli cię aresztować, myślisz, wspinając się po schodach. Uważasz, aby stąpać tam, gdzie droga jest posypana piaskiem, i mocno trzymasz się poręczy, by nie poślizgnąć się na lodowych garbach pokrywających kamienne stopnie, podobnych do śliskich meduz.

Nie ma pewności, że to coś poważnego, no bo co tak właściwie zrobiłeś? Nic. Przypuszczalnie to tylko formalność, może rejestracja ludności żydowskiej albo w najgorszym wypadku chcą zdobyć informacje o bracie Marie, myślisz, skręcając przy szpitalu.

Kilka godzin później siedzisz na przesłuchaniu w Hotelu Misyjnym. Pomieszczenia wypełniają umundurowani młodzi ludzie. Gmatwanina żołnierzy, którzy rozmawiają, palą, wydają polecenia. Mężczyzna siedzący

za biurkiem stuka końcówką pióra w leżące na nim akta i posyła ci chłodne, twarde spojrzenie.

– Słyszałem, że pochodzi pan z Rosji. Czy to prawda?

– Tak.

– I zna pan pięć, a może nawet sześć języków.

– Tak? – odpowiadasz, nie mając pewności, do czego zmierza.

– To niezwykłe… Z wykształcenia jest pan inżynierem, studiował pan w różnych krajach, w Anglii, Niemczech, na Białorusi… A mimo to prowadzi pan z żoną niewielki sklep odzieżowy?

– Tak, zgadza się, bo… – zaczynasz, ale mężczyzna ci przerywa.

– I do tego jest pan Ż y d e m – dodaje, przechylając się do tyłu na krześle. – Proszę określić swój stosunek do Davida Wolfsohna.

– To brat mojej żony – odpowiadasz. Wiedziałeś, że to jego będzie dotyczyć sprawa, jednak wtedy nadchodzi zaskoczenie.

– Wie pan, że słuchanie BBC jest nielegalne, prawda?

– Tak – potwierdzasz i zauważasz, że twoje palce ułożone na kolanach zbliżają się do siebie.

– Wie pan, że niedozwolone jest rozprzestrzenianie wiadomości z Anglii?

Kiwasz głową.

– I że istnieje obowiązek informowania o znajomych osobach, które się tym zajmują?

Skąd oni o tym wiedzą, myślisz, rozpaczliwie poszukując w pamięci miejsc, w których rozmawialiście o ostatnich wieściach z Anglii, ale nie wiesz, gdzie to mogło być i kto mógł cię podsłuchać.

– Mamy dowody na to, że wiadomości takie rozpowszechniano w pewnej kawiarni… o nazwie Kaffistova.

Oto odpowiedź. No jasne. Kaffistova.

– Wiemy też, że dość często przebywa pan w porcie. Proszę powiedzieć, w jakim celu – ciągnie śledczy.

– Przyjmuję towary – odpowiadasz. Ktoś musiał cię śledzić. Ktoś musiał podsłuchiwać twoje rozmowy, w tym tę w Kaffistovie. Ktoś znający norweski, ale kto?

– Będzie pan musiał tu zostać na czas badania tej sprawy – mówi mężczyzna za biurkiem, machnięciem dłoni wskazując, że masz odejść, i jednocześnie podnosząc wzrok na jednego z żołnierzy stojących przy drzwiach.

– Na razie dziękuję, *Herr* Komissar – dodaje, odsuwa na bok twoją teczkę i prosi strażników, by zaprowadzili cię do celi w piwnicy.

Nazajutrz wciąż myślisz, że cię wypuszczą, że ktoś w systemie wkrótce zauważy, iż nie stanowisz zagrożenia dla Trzeciej Rzeszy, iż będzie taniej i łatwiej, jeśli dadzą ci robić swoje, ale wtedy do celi przychodzi trzech żołnierzy, którzy przyjaźnie się z tobą witają, po czym proszą, abyś założył ręce za plecy. Chłodny metal kajdanek dotyka twojej skóry.

– Dokąd idziemy? – pytasz po niemiecku.

– Proszę za mną – odpowiada jeden ze strażników, a następnie prowadzi cię w górę po schodach, przez korytarz, na podwórze, gdzie sypie śnieg.

Czeka tam czarny samochód z włączonym silnikiem. Wpychają cię na tylne siedzenie. Wyjeżdżacie z miasta. Dopiero po dłuższym czasie pojmujesz, dokąd zmierzacie.

Do obozu karnego Falstad.

Godzinę jazdy za Trondheim. Biały murowany budynek z dziedzińcem pośrodku, otoczony barakami i płotem z drutu kolczastego, pokrytego cienką, białą warstewką śniegu.

Brama się otwiera, prowadzą cię przez nią, koło nagiej brzozy, do budynku i na pierwsze piętro. Drzwi do cel więźniów ciągną się tam długimi rzędami. Drewniane drzwi, a przed nimi gięte kraty. Pojawia się jakaś twarz. Inny więzień. Dwaj strażnicy patrzą na ciebie, gdy się rozbierasz tuż przed celą, po czym zamykają cię w jednym z pomieszczeń. Podłużnym, z oknem na drugim końcu i piętrową pryczą. Rygiel w drzwiach się zasuwa, a ciebie powoli ogarnia lęk, gdy pojmujesz, że nie możesz uciec. Że to już chyba koniec i wszystko stało się po raz ostatni.

A jak alkohol, którego brak doskwiera ci przez pierwsze tygodnie w obozie; tęsknota za odurzeniem, które przytłumiłoby otaczającą rzeczywistość

i myśli, złagodziłoby wściekłość i strach, utuliłoby cię do krótkiego snu zapomnienia.

A jak atakujące cię skojarzenia, które potrafią się zjawić po drodze na karne roboty, w stołówce czy w lesie. Nagłe, niespodziewane wspomnienia, jak gdyby wszystko, co istnieje, mogło wywołać coś całkiem innego.

Szerokie bruzdy zostawione przez koła ciężarówek w ziemi przed obozem nagle potrafią cię przenieść na błotniste drożyny w żydowskiej części carskiej Rosji, tam gdzie dorastałeś, do jasnobrązowych kur gdaczących zza płotów i zabiedzonego psa, którego zawsze omijałeś łukiem.

Widok strażnika odchylającego głowę i mrużącego oczy przed słońcem może cofnąć cię w czasie do okresu studiów w Niemczech, jeszcze nieprzejętych przez nazistów, i do zdumiewających przebłysków szczęścia, kiedy w przerwie od pracy w czytelni siedziałeś oparty na ławce na dziedzińcu.

Świeżo uprana koszula wywieszona przed jednym z baraków, rozpostarta jak żagiel na wietrze, w okamgnieniu potrafi cię przenieść do sklepu, stworzonego od zera przez ciebie i Marie, lub do obozu dla uchodźców w Uppsali, który w swojej głupocie opuściliście, gdzie dzieci biegały wśród ubrań suszących się przed budynkami.

A jak album rodzinny, pełen twarzy, które wydobywasz z pamięci, kiedy wieczorem w obozie nareszcie zapada cisza, a ty leżysz w celi z zamkniętymi oczami.

Tyle historii, które były ukryte pod kamieniami pamięci, w ciągu ostatnich lat ujrzało światło dzienne. Nagła, przytłaczająca liczba historii, niczym mrowie owadów wybiegających spod głazów, które podnosiłeś w dzieciństwie.

Drogi Hirschu, to tylko próba odroczenia twej drugiej śmierci, odsunięcia zapomnienia, bo chociaż nigdy nie zdołam opowiedzieć całej twojej historii, mogę wydobyć jej fragmenty, połączyć je ze sobą i ożywić

to, co zniknęło. Nie jestem Żydem, lecz w moich dzieciach, a twoich praprawnukach, płynie żydowska krew. Twoja historia jest ich historią. Jak, będąc ojcem, mogę wyjaśnić nienawiść?

Przedpołudnie przy kamieniu w bruku doprowadziło mnie wkrótce do miasteczek i miejsc, w których nigdy nie byłem, do archiwów, rozmów, książek i rodzinnych albumów. Przede wszystkim jednak doprowadziło mnie do opowieści o wyjątkowej willi na obrzeżach śródmieścia Trondheim. Do opowieści tak makabrycznej i tak potwornej, że początkowo nie wierzyłem w jej prawdziwość, bo właśnie w tym domu historia naszej rodziny miesza się z historią Henry'ego Olivera Rinnana, młodego mężczyzny, który stał się jednym z najokrutniejszych nazistów w Norwegii.

Dom o nazwie na B.

Bandeklosteret.

B

B jak banda.

B jak budynek.

B jak Bandeklosteret, „klasztor bandy", słynna willa położona na szczycie wzgórza poza śródmieściem Trondheim, przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć. Przez wiele dziesięcioleci po zakończeniu wojny ludzie, mijając ten dom, przechodzili na drugą stronę ulicy, jak gdyby zło z przeszłości budynku mogło jakoś przedostać się do powietrza i ich zarazić. W tych właśnie ścianach Henry Oliver Rinnan i jego gang podczas drugiej wojny światowej snuli plany, przesłuchiwali więźniów, torturowali, zabijali ich, pili i bawili się. Pewien dziennikarz, który odwiedził Bandeklosteret tuż po kapitulacji nazistów, tak pisał o swoich przeżyciach:

W całym domu, jak się zdaje, siali spustoszenie, wiedzeni dziką żądzą zniszczenia. Wszystkie pomieszczenia wyglądają tak, jakby ćwiczono w nich strzelanie – ściany i sufit są podziurawione, a tapety w miejscach, w których ich stan uznano za nieco zbyt dobry, zostały pocięte na strzępy. Nawet w wannie i ścianie łazienki widnieją dziury po nabojach. Należy przypuszczać, że strzelanie było jednym ze sposobów umysłowego znęcania się nad więźniami, zamkniętymi w ciasnych celkach w piwnicy, ciemnych, choć oko wykol.

Okazało się, że willa kryje też inną opowieść, o której po raz pierwszy dowiedziałem się w kuchni twojej wnuczki, a mojej teściowej, Grete Komissar.

Była sobota albo niedziela, leniwe przedpołudnie, kiedy nic nie trzeba robić, kiedy czas staje się bardziej lepki niż zwykle. Jazz sączył się z głośników w salonie, spokojne fortepianowe dźwięki mieszały się z głosami dzieci, które balansowały na niebieskiej piłce treningowej, z krótkimi wybuchami śmiechu, z głuchymi uderzeniami ciał spadających

na dywan. Byłem w kuchni z Grete, która zaczęła przyrządzać obiad – kroiła gruszki i układała ich podłużne cząstki w naczyniu żaroodpornym, pomiędzy udkami kurczaka i warzywami. Rozmawialiśmy pewnie na temat dzieciństwa, bo kiedy w drzwiach zjawił się jej mąż, zapytał, czy zdaję sobie sprawę, że Grete dorastała w kwaterze głównej Rinnana. Grete, stojąc z dłońmi tłustymi od kurczaka, uśmiechnęła się niepewnie, zaskoczona, że Steinar powiedział to właśnie w tej chwili. Choć kojarzyłem nazwisko Rinnan, nic o nim nie wiedziałem. Steinar odświeżył mi pamięć, przypominając też imię – Henry – i dodając, że Rinnan był podwójnym agentem na usługach nazistów, a następnie nakreślił obraz okrucieństw, jakich dopuszczano się w tym domu. Tortury. Zabójstwa. Grete odsunęła przedramieniem włosy z czoła, wciąż z nożem kuchennym w jednej ręce i tłuszczem z kurczaka na drugiej. Sytuacja była dziwnie napięta, jak gdyby Grete nie miała ochoty o tym rozmawiać. Jednak zachowałaby się nazbyt ostentacyjnie, gdyby chciała się wymigać, zmieniając temat. Z salonu dobiegło łupnięcie, po czym usłyszałem, jak Rikke pyta dzieci, czy nie mogłyby pobawić się na piętrze; chwilę później zjawiła się w drzwiach i przemknęła koło Steinara.

– Więc to tam dorastałaś? – zapytałem zdumiony, bo chociaż znałem Grete od przeszło piętnastu lat, nigdy dotąd o tym nie wspomniała.

– Tak, mieszkałam tam od urodzenia do siódmego roku życia – odparła.

– Co? – wtrąciła Rikke, zrozumiawszy, że musiało ją coś ominąć.

– Mówiłam tylko, że dorastałam w domu bandy Rinnana – powtórzyła Grete i przepołowiła ostatnią gruszkę, jak gdyby nie było w tym nic wyjątkowego. Z twarzy Rikke wyczytałem, że dla niej to też jest nowość.

– Wystawialiśmy nawet przedstawienia teatralne w piwnicy – powiedziała Grete, akcentując ostatnie słowo i jednocześnie wciskając wierzchem dłoni pompkę dozownika mydła. – W tych samych pomieszczeniach, w których kilka lat wcześniej urzędował Rinnan ze swoją bandą.

Grete i jej starsza siostra Jannicke wraz z przyjaciółmi z sąsiedztwa bawiły się tam w teatr. Przebierały się w ubrania rodziców: wkładały za duże damskie botki, kapelusze, naszyjniki i śpiewały. Na przedstawienia zapraszano dzieci i dorosłych z okolicy. Zadaniem Grete było stać na szczycie schodów i rozdawać publiczności ręcznie robione bilety; dorośli,

którzy je otrzymali, schodzili w dół z pochylonymi głowami i rozbieganym wzrokiem.

Wyobrażenie dziecięcych przedstawień w piwnicy tortur oraz dziewczynki na szczycie schodów zrodziło we mnie liczne pytania: jak to się stało, że żydowska rodzina postanowiła zamieszkać w miejscu będącym jednym z największych symboli zła w całym Trondheim? Czy zadecydowała o tym niska cena nieruchomości? A może chęć wymazania historii? W jaki sposób dom wpłynął na tych, którzy się doń wprowadzili?

Zapragnąłem dowiedzieć się więcej o Rinnanbanden – bandzie Rinnana; czytałem wszystko, co tylko mogłem, znalazłem też zdjęcia willi, w której dorastała moja teściowa. Coś pękło tego przedpołudnia, bo później Grete zaczęła częściej opowiadać o swoim dzieciństwie w Bandeklosteret.

Gdy Grete i Steinar mieli sprzedać mieszkanie, które wciąż utrzymywali w Trondheim, pojechaliśmy ostatni raz ich tam odwiedzić. Powoli szliśmy ulicą, przy której kiedyś znajdował się sklep „Paris-Wien", i ponownie zatrzymaliśmy się przy kamieniu pamięci z twoim nazwiskiem. Później wsiedliśmy do auta i przejechaliśmy z centrum do miejsca, w którym wychowywała się Grete, na Jonsvannsveien czterdzieści sześć. Dom był niski, ale uroczy, biały, o ciemnych oknach i pomalowanych na zielono parapetach. Przed nim stał stary, czerwony samochód z lat pięćdziesiątych, jak gdyby czas zatrzymał się w miejscu.

– Spróbujemy zadzwonić? – zapytała Grete.

Skinąłem głową, a ponieważ nikt inny nie przejął inicjatywy, przeszedłem żwirową ścieżką i nacisnąłem dzwonek. Czekałem, aż drzwi się uchylą, usiłując poskładać w myślach słowa, które wypowiem do tego, kto mi otworzy.

B jak bezruch pocisku. Ołowianego pocisku w kolorze miedzi, wyjętego ze ściany w Bandeklosteret i leżącego nad biurkiem w domu. Pocisk wgiął się do środka po zetknięciu z murem piwnicy, może w wyniku zabawy, którą członkowie bandy ponoć czasami sobie urządzali, by złamać więźniów: przywiązywali człowieka do krzesła w piwnicy i szli w zawody o to, kto strzeli bliżej, ale go nie trafi.

B jak bobasy i buzie o pyzatych policzkach. B jak bose stópki wierzgające na przewijaku, jak berbecie drepczące po salonie z pulchnymi rączkami w górze dla utrzymania równowagi, piszczące radośnie na widok rówieśnika. B jak bieg opowieści o Bandeklosteret, której początek stanowi historia prywatnego przedszkola, prowadzonego przez Else Tambs-Lyche w ostatnich latach przed wybuchem wojny. Jej mąż, Ralph Tambs-Lyche, był profesorem szkoły wyższej, a zarazem botanikiem amatorem, który zbierał rośliny z całego okręgu Trøndelag, zasuszał je i sortował, następnie umieszczał w starannie zorganizowanych archiwach na poddaszu, ona zaś tymczasem w piwnicy zajmowała się dziećmi, w związku z czym radosne okrzyki wypełniały dom na długo przed tym, zanim otoczył go drut kolczasty, zanim obok podjazdu postawiono strażników i zanim w pomieszczeniach zagościła przemoc.

B jak brat i buty ze wspomnienia z dzieciństwa – krainy, z której wszyscy pochodzimy, nieświadomi tego, że zdarzenia i uczucia z pierwszych lat życia nagromadzą się jak osad na dnie morza i osiądą głęboko, tworząc krajobraz, który będzie nam towarzyszył przez resztę dni. Dla Henry'ego Olivera Rinnana takim właśnie wspomnieniem był pewien zimowy dzień, gdy Henry miał dziesięć lat.

Jest luty 1927 roku. Płatki śniegu wirują w powietrzu przed szkołą w Levanger i tworzą malutkie zaspy na parapecie okna, przy którym siedzi Henry, pochylony nad zeszytem. Oczy ma zasłonięte grzywką i właśnie sięga po gumkę, by wytrzeć nieudany łuk litery „g", gdy zauważa, że coś się stało, bo nauczycielka nagle milknie w pół zdania, patrzy na jego młodszego brata i pyta go, jak się czuje.

– Coś zbladłeś… Jesteś chory? – mówi i wychodzi zza katedry.

Henry widzi, jak inni wymieniają spojrzenia, ich oczy iskrzą w nadziei, bo oto nauczycielka kroczy między rzędami ławek. Zaraz zobaczy to, co cały ranek próbowali z bratem ukryć – że mały ma na nogach damskie botki, czarne damskie botki, których ktoś nie odebrał z warsztatu szewskiego ich ojca. Henry wiedział, że będzie z tego draka, próbował wyjaśnić matce, że nie może posłać do szkoły syna w damskich butach, ale ona pomachała mu wtedy przed nosem zimowym trzewikiem małego, pokazała dziurę ziejącą między zelówką a skórą i głosem nieznoszącym

sprzeciwu odpowiedziała, iż brat nie może iść do szkoły w butach zniszczonych tak bardzo, że przemoczy nogi jeszcze przed pierwszym zakrętem.

Obcas nie był na szczęście zbyt wysoki, ale z daleka dało się poznać, że to damskie botki, a ponieważ w dodatku były o kilka numerów za duże, brat musiał podkurczać palce, by nie spadały, przez co chodził w dziwny, nienaturalny sposób. Bracia spiesznie minęli grupkę chłopców przy wejściu, szczęśliwie zajętą swoimi sprawami, więc nikt nie zdążył zwrócić uwagi na buty. W klasie Henry zauważył, że dwie dziewczynki szturchnęły się łokciami i zaczęły chichotać, ale tuż potem do środka weszła nauczycielka i wszyscy musieli stanąć przy swoich ławkach, aby się z nią przywitać.

Kiedy wrócili na miejsca, pochłonęła go praca; koncentrował się na literach, które miał ze sobą połączyć ładnymi zawijasami, jedną po drugiej, i prawie o wszystkim zapomniał, aż do chwili, gdy nauczycielka nagle przerwała lekcję i ze zmartwioną miną ruszyła między ławkami. Henry czuje ciepło na twarzy, widzi, jak mały próbuje schować stopy, podciągając pod siebie nogi, ale na próżno. Nauczycielka się zatrzymuje i jest tak zdumiona, że słowa padają jej z ust, jak gdyby nie mogła się powstrzymać:

– Ależ… Co to za buty? – pyta, na co pozostali uczniowie zaczynają chichotać.

Henry czuje szybsze bicie serca, czuje wstyd palący policzki, zerka na brata, ale ten siedzi cicho, ma rozbiegane oczy i wyraźnie nie wie, jak zareagować. Nie może powiedzieć prawdy, myśli Henry, nie może przyznać, że ich ojciec, szewc, nie raczył naprawić butów własnych dzieci, tego n i e m o ż e p o w i e d z i e ć, już lepiej, żeby coś zmyślił, na przykład że włożył pierwsze lepsze buty, które znalazł, albo że zrobił to dla żartu, chcąc sprawdzić, czy ktoś zauważy, ale brat nic nie mówi, ani słówka. Musi w końcu coś powiedzieć, myśli Henry, bo cisza tylko pogarsza sprawę i nasila wstyd, więc Henry odchrząkuje, na co nauczycielka i inni przenoszą uwagę z brata na niego. Czuje ich spojrzenia. Od tego zainteresowania serce jeszcze bardziej mu przyspiesza, a i tak nikła pewność siebie maleje, ale nikt nie może tego po nim poznać, musi coś powiedzieć, jakoś wszystko wygładzić. To myśląc, stara się wytrzymać wzrok nauczycielki.

– To tylko wygłupy, on się tak bawi w przymierzanie butów z warsztatu ojca – odpowiada Henry z udawanym uśmiechem, chcąc, by uwierzyła, że to tylko dziwny wymysł, ale po jej minie poznaje, że nie osiągnął celu, bo nauczycielka nie odwzajemnia uśmiechu, tylko kuca przed małym, kładzie mu dłoń na ramieniu i stwierdza:

– Oj, ale ty schudłeś!

Zmartwionym głosem pyta, czy sytuacja w domu jest aż t a k trudna; oczywiście rozumie, że może wprawić w zakłopotanie Henry'ego i jego brata, więc mówi jak najciszej, żeby inni nic nie usłyszeli, ale w ten sposób tylko pogarsza sprawę, bo nagle wszyscy pojmują, że j e s t się czego wstydzić, że j e s t coś, o czym inni nie powinni wiedzieć, co jedynie zwiększa ciekawość pozostałych uczniów, bo wszyscy ją słyszą; Henry jest tego pewien, choć nauczycielka prawie szepcze, jej słowa docierają do wszystkich uszu w klasie, zmieniają się w półotwarte usta i wpatrzone w nich oczy.

Teraz brat musi jej odpowiedzieć, myśli Henry, ale nie odpowiada. Siedzi tylko zagubiony i patrzy błagalnie najpierw na nauczycielkę, potem na Henry'ego, a oczy błyszczą mu od łez, więc musi kilka razy zamrugać – nadal nic nie mówi. Pociąga nosem i zbliża do niego przedramię. Jest cicho. Zupełnie cicho.

– Dziękuję, w domu wszystko dobrze – odzywa się Henry jasnym, wyraźnym głosem. – Brat po prostu trochę ostatnio chorował. Proszę dalej prowadzić lekcję – dodaje, po czym patrzy na rozpoczęte zdanie w zeszycie, chwyta gumkę i wyciera zawijas litery „g", z którego nie był zadowolony. Strzepuje resztki gumki, bierze do ręki ołówek, każdym ruchem demonstruje, że nie ma już o czym rozmawiać i trzeba po prostu kontynuować lekcję.

Wszystkie zmysły ma wyostrzone, bo nagle czuje, jak spojrzenia ześlizgują się z jego pleców, słyszy, jak krzesła nieznacznie szurają po podłodze, gdy pozostali uczniowie prostują się w ławkach. Słyszy skrobanie ołówków po papierze i nauczycielkę, która otwiera usta i nareszcie wraca do tematu lekcji. Jednocześnie zauważa też, jak pozostałych uczniów rozpiera wesołość, jak chce wydostać się z ich piersi niczym para z przykrytego garnka.

Gdy lekcja dobiega końca, nauczycielka podchodzi do brata i mówi mu, że nie musi wychodzić na przerwę, Henry również. Henry dziękuje jej i siedzi przy oknie, patrząc, jak inni bawią się w śniegu. Na kolejnych godzinach jest lepiej. Niedługo lekcje się skończą, będzie mógł spakować książki do tornistra i wziąć ze sobą małego.

Muszą przejść przez cały dziedziniec, przeciskając się obok pozostałych uczniów, którzy zerkają na brata i chichoczą. Grupka starszych chłopaków wybucha śmiechem, pokazując sobie palcami botki.

– Patrzcie na nią! Do zobaczenia, panienko Rinnan! – mówi jeden z chłopaków, na co stojący obok uśmiechają się pogardliwie.

Henry czuje narastającą złość, falę ciemności, która każe mu bez namysłu skoczyć przed siebie, wystawić zaciśniętą pięść i uderzyć nią w twarz idiotę, który ośmieszył jego młodszego brata. Nie ma prawa tak mówić! Nie ma prawa z niego drwić, myśli młody Rinnan, pod kłykciami czując twardą kość policzkową, a w sobie spienioną złość, i patrząc, jak chłopak dotyka twarzy i zwija się z bólu. Po chwili niepewności pozostali rzucają się na Henry'ego. Nagle otacza go chaos wściekłych spojrzeń i krzyczących ust. Rąk, które próbują go dosięgnąć, palców, które szarpią włosy i tornister na plecach, aż nagle leży na ziemi i czuje, że ktoś przytrzymuje mu ręce i nogi, czuje swój oddech i serce, i złość, i śnieg.

– Hej, wy tam! Przestańcie! – woła jakiś nauczyciel, wychylając się przez okno z fajką w dłoni, a wtedy niechętnie go zostawiają, pozwalają mu wstać, ale nie bez ostrzeżenia wyszeptanego do ucha: „Poczekaj no, Henry Oliver. Nie ujdzie ci to płazem!".

Strzepuje śnieg ze spodni, nadal rozedrgany ze złości, tak bardzo, że trudno mu napełnić płuca powietrzem, jakby brakowało mu tchu, ale chwyta małego za rękę i idzie, szybko, szybko, szybko, musi po prostu się stąd oddalić, od szkoły i innych dzieciaków, nim sytuacja jeszcze bardziej się pogorszy, będzie nie do naprawienia, myśli, przypominając sobie pogardliwe uśmiechy kolegów. Właśnie przyczepiło się do niego coś durnego, śmieszna historia, o której cała szkoła będzie szeptać przez kolejne tygodnie. Na samą myśl wzbiera w nim rozpacz, bo na pewno jeszcze za to zapłacą, chociaż nie wie, gdzie ani kiedy. Przecież właśnie o to chodziło tamtemu chłopakowi, który powiedział mu szeptem na ucho, żeby poczekał, to było ostrzeżenie, obietnica, że pobiją go później, że jeszcze

z nim nie skończyli, myśli Henry, zaciskając zęby. A on zawsze tak bardzo uważał, od samego początku szkoły – robił, co trzeba, unikał konfliktów, opanował sztukę wychodzenia obronną ręką z trudnych sytuacji, wystarczało tylko grzecznie się uśmiechać. Pozwalał starszym chłopakom szaleć, trzymał się z dala, gdy oni się wspinali, bili na żarty i kopali piłkę, bo wiedział, że by z nimi nie wygrał, nie dałby rady, więc wolał nie przyciągać uwagi, tylko zachowywać się tak, aby w nic się nie wplątać. Taką przyjął strategię, a teraz legła ona w gruzach.

Gdyby tylko mały nie zaczął wtedy ryczeć, myśli Henry, ściskając go trochę mocniej za nadgarstek, odrobinę zbyt mocno, zdaje sobie z tego sprawę, i przyspieszając kroku na żwirowej drodze. Brat wydaje z siebie jęk, ale musi wytrzymać. Musi zmienić zachowanie, bo inaczej stanie się kozłem ofiarnym, którego będą dręczyć inni uczniowie, a to odbije się także na Henrym, przejdzie na niego jak smród, zupełnie mu to niepotrzebne, wystarczy już, że jest niski. Najniższy ze wszystkich chłopców w jego wieku, na pewno pochodzi też z najbiedniejszej rodziny, myśli. Szybko idą dalej, ciągnie małego za sobą i kątem oka widzi, że brat się krzywi, słyszy, jak prosi go o poluźnienie uścisku, lecz on go ignoruje, chce go ukarać.

– To boli, Henry Oliver – szlocha brat.

Na widok łez kapiących z jego policzków Henry od razu puszcza i jak najostrożniej gładzi palcami miejsce, które ściskał.

– Przepraszam! – mówi. Powtarza to kilka razy.

Brat pociąga nosem i pociera nadgarstek rękawiczką. Idą w stronę domu, a Henry myśli, że musi jakoś pocieszyć małego, wymazać ślady płaczu, zanim dotrą na miejsce, bo jeśli matka zobaczy, że brat płakał, zacznie go wypytywać, co się stało, a on będzie musiał wszystko powiedzieć, i co wtedy? Matka zyska kolejne zmartwienie, zupełnie niepotrzebnie. Henry prosi brata, żeby zdjął rękawiczki, wydmuchał nos w rękę i wytarł ją o śnieg. Mały robi to, co mu każe starszy brat. Ręce ma czerwone z zimna, ale pozbył się smarków. Henry też zdejmuje rękawiczki, rozciera garść śniegu w dłoniach i wilgotnymi palcami ostrożnie gładzi brata pod oczami.

Potem się odzywa:

– Nie powiemy o tym w domu, co?

– Nie.

– Mama i tata mają dość na głowie. Prawda?

– Aha – odpowiada brat i idą dalej.

Po drodze Henry próbuje go rozbawić. Chce wprowadzić go w dobry nastrój, skierować jego myśli na inny tor, więc wędruje palcami po kurtce małego, zakrada się palcami do zgięcia łokcia i widzi, jak brat się rozchmurza, bójka, chłód i płacz znikają, ustępują miejsca innym rzeczom, o których mogą rozmawiać, jak zwykle. Mogą wracać spacerem, kopać bryłkę lodu.

Wkrótce docierają do domu, leżącego naprzeciwko cmentarza. Pomalowany na zielono drewniany dom ma dwie kondygnacje – warsztat ojca znajduje się na parterze, a ich mieszkanie na piętrze.

Matka miga mu w kuchennym oknie, pewnie idzie obrać ziemniaki, wypłukać pranie albo pokroić warzywa, i Henry widzi, jak radość, którą udało mu się wywołać na twarzy małego, powoli znika, jak wracają do niego wydarzenia ze szkoły.

– Będzie dobrze. – Henry kładzie mu rękę na ramieniu i gładzi je z uśmiechem. – Chodź!

Z kuchni pachnie gotowanymi ziemniakami; przedpokój wypełniają buty.

– Halo?! – woła Henry, starając się używać tego samego tonu jak zwykle, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Matka wychodzi z kuchni, na czole ma kropelki potu, a na fartuchu ślady mąki. Ich młodsza siostra stoi niepewnie tuż za nią, trzyma się jej spódnicy i wspina na palce – chce, żeby ją podnieść.

– Jak tam szkoła? Wspaniale było mieć ciepłe nogi, co? – pyta matka, a na dźwięk jej słów w pokoju gościnnym ożywia się ojciec; Henry słyszy odgłos wydawany przez sprężyny starego fotela i po chwili ojciec staje w drzwiach kuchni. Zadowolony, uśmiechając się, trzyma w ręku zimowe trzewiki małego, aby pokazać, że są już całe.

– Dziękuję, tato. – Mały bierze od niego buty.

– No i? Ktoś zwrócił uwagę? – pyta ojciec żartobliwie, wskazując głową na damskie botki; w tej samej chwili siostrzyczka chwyta za obrus na

kuchennym stole i już ma mocno pociągnąć, zrzucić na ziemię wszystkie talerze i szklanki, a Henry się cieszy, bo dzięki temu matka nie usłyszy barwy głosu brata ani nie zobaczy zawstydzonego wyrazu jego twarzy, kiedy nieśmiało odpowie:

– Nie, tato.

B jak budynki składające się na obóz karny Falstad: biały, murowany, dwukondygnacyjny gmach z czworokątnym dziedzińcem pośrodku oraz wiele mniejszych baraków rozrzuconych po przyległym terenie. Proste, nieduże budki strażnicze, szopy dla świń i krów, do tego latryny i warsztat stolarski, a cały teren otoczony płotem z drutu kolczastego.

B jak brzęk sztućców o talerze w sali jadalnej, ich ogłuszający hałas przez kilka sekund, zanim więźniowie chwycą widelec lub łyżkę i zaczną jeść.

B jak brzoza, którą mijasz na spacerniaku w drodze na karne roboty, o brudnobiałym pniu i liściach złotożółtych jak próbki tkanin, które sprowadzałeś do sklepu w Trondheim.

B jak botaniczne zbiory, starannie opisywane w zielnikach przez profesora Ralpha Tambsa-Lychego, pierwszego właściciela willi przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć, na długo przed tym, zanim zmieniła się w kwaterę główną bandy Rinnana.

B jak bagaże wstawiane do samochodu po zapadnięciu decyzji o przeprowadzce. B jak brzozowe liście, wyrastające z pączków tego wiosennego dnia w Oslo, w 1948 roku. B jak blask słońca nad dachami i jak błysk kropli kapiących z rynien. Gerson sięga do klamki samochodowego bagażnika, jego ruchy są niepotrzebnie nerwowe, bo nie muszą się spieszyć, a jedynie zdążyć do Trondheim przed nocą. Jannicke kuca na chodniku, podnosi kamień, który chce włożyć do ust, a wtedy Ellen chwyta ją i siłą wyjmuje kamień z rączki, chociaż Jannicke stawia opór, próbuje się

wywinąć. Nagle zaczyna zawodzić: „Mój! Mój! Mój!”, podczas gdy Ellen sadza ją z tyłu, a Gerson siada za kierownicą.

Pozostałe meble wyniesiono tego samego ranka i wywieziono już ciężarówką. Decyzja zapadła kilka miesięcy wcześniej. Najpierw pojawiały się drobne sugestie, bo ilekroć Gerson rozmawiał z matką przez telefon, Marie dawała mu do zrozumienia, że przydałaby jej się pomoc w sklepie. Sama nie daje rady. Później wybrała się do nich w odwiedziny. Przyjechała do Oslo pociągiem, a Gerson czekał na nią na peronie, widział, jak wysiada z wagonu w kozaczkach na wysokim obcasie i w kapeluszu tak rozłożystym, że otarł się o framugę drzwi. Zamachała i odsunęła się na bok, by jakiś obcy mężczyzna mógł wynieść jej walizkę. Matka zawsze taka była, niezmiennie dobrze ubrana i elegancka, więc sama myśl, że mogłaby coś nieść, wydawała się absurdalna – byłoby to sprzeczne z jej naturą. Dlatego Gerson patrzył bez zdziwienia, jak nagradza mężczyznę całusem w policzek i odsyła go kiwnięciem ręki. Następnie odwróciła się do syna, nie zdradzając oznak, że ma zamiar podnieść walizkę, więc musiał do niej podejść i przejąć bagaż. Oczywiście i tak bym to zrobił, pomyślał, a jednak poczuł irytację, ponieważ wzięła to za pewnik. Opanował rozdrażnienie. Uśmiechał się i krótko odpowiadał zgodnie z jej oczekiwaniami, bo chociaż zapytała, co u niego, nie interesowała jej inna odpowiedź niż „dobrze”. Nie chciała słuchać o problemach ze znalezieniem pracy, o tym, jak córka Jannicke wywróciła ich życie do góry nogami, ani o tym, że wojna odebrała mu przyszłość, wtedy gdy właśnie wchodził w dorosłość. Matka ma własne sprawy, jak zawsze, myśli Gerson i nagle przypomina sobie śmiech Ellen, gdy pierwszy raz opowiedział jej o swoich wakacjach w dzieciństwie. O tygodniach spędzanych w pensjonacie jedynie z Jacobem, chociaż obaj mieli wtedy nie więcej niż dziesięć-dwanaście lat, ponieważ rodzice byli zajęci sklepem.

Ledwie Marie zdążyła wejść do mieszkania Ellen i Gersona, zaczęła narzekać na ciasnotę. Gerson widział, jak Ellen spochmurniała, jak uśmiech zastygł na jej twarzy, bo oczywiście jej również to doskwierało jako osobie z zamożnej rodziny, córce fabrykanta.

– Przeprowadzimy się, mamo. Kupiliśmy działkę w Holmen i gdy tylko skończą budowę szeregowca, przeniesiemy się tam – powiedział Gerson, odbierając od niej płaszcz.

– Właśnie o tym chciałam z wami porozmawiać – odparła Marie, kierując się w stronę jadalni. – Znalazłam dla was dom. W Trondheim, niedaleko śródmieścia. Z ogrodem i toaletą w środku, a nie na klatce schodowej jak tutaj. Willę, Gersonie, i pracę dla ciebie w naszym butiku.

Matka zwróciła się do Ellen, która siedziała z Jannicke na kolanach. Zaczęła opowiadać o sklepie, o sukienkach, tkaninach, kapeluszach i płaszczach, które Ellen oczywiście mogłaby pożyczać, jeśliby chciała.

Marie nawet nie napomknęła o historii tego domu. Dopiero kilka tygodni później zadzwoniła do Gersona i wspomniała o tym pod koniec rozmowy, tuż przed odłożeniem słuchawki, jak gdyby było to coś najzwyklejszego na świecie.

– A, właśnie. Przez kilka lat podczas wojny w tym domu przebywała banda Rinnana.

Gerson odwrócił się plecami do salonu i zacisnął powieki.

– Halo? – rzuciła matka. – Jesteś tam?

– Ale… Mamo… Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej?

– Bo obawiałam się, że Ellen mogłaby to rozdmuchać do ogromnych rozmiarów – odpowiedziała w jidysz.

– Ale… Nie sądzisz, że my powinni o tym wiedzieć? – zapytał Gerson, także w jidysz, słuchając, jak za jego plecami Jannicke paple do Ellen.

– P o w i n n i ś m y albo p o w i n n i ś m y b y l i – poprawiła go matka. – I co z tego, Gersonie? Wojna się skończyła, Rinnan i jego ludzie już dawno wynieśli się z tego domu. To piękna willa z ogrodem w ładnej dzielnicy. Tylko tak mogę zapewnić wam coś porządnego, a poza tym potrzebuję cię tutaj, Gersonie.

Gerson umilkł, a Marie przeszła z powrotem na norweski.

– Więc miałam odmówić? Powiedzieć, że mój syn nie weźmie domu i nie przeprowadzi się do Trondheim, bo on i jego żona boją się duchów?

– Nie, mamo – odparł Gerson i usłyszał, jak Ellen przynosi Jannicke z salonu.

Nic nie powiedział. Za każdym razem, gdy myślał o tym, że powinien wyjawić Ellen historię domu, coś stawało mu na przeszkodzie. Poza tym towarzyszyło mu pragnienie wymazania historii, odzyskania władzy.

Nastała wiosna, decyzja zapadła – wsiadają do samochodu. Gerson przekręca kluczyk w stacyjce i odjeżdżają, a dwuletnia Jannicke stopniowo zapomina, dlaczego się rozzłościła. Zmartwienie wkrótce przemija, zaczynają gadać o wszystkim i o niczym. Patrzą na gospodarstwa i pola. Traktory wypełnione sianem. Jannicke maże paluszkami po szybie i przytyka do niej język. Gerson uśmiecha się do siebie w lusterku. Zaczyna wyobrażać sobie życie w Trondheim, w sklepie „Paris-Wien". Wciąga głęboko powietrze i czuje dłoń Ellen na swojej, spoczywającej na kierownicy. Następnie szybko odwraca głowę, by posłać jej uśmiech, zmienia bieg, ręką dotyka jej uda, czuje ciepłą skórę tuż pod sukienką i przywołuje w myślach obraz szczęśliwej rodziny w ogrodzie nowego domu. Musi się udać.

B jak baryton więźnia w Falstad: czasami podczas pracy któremuś z żołnierzy zdarza się poprosić go, żeby im zaśpiewał. Piłowanie ustaje, podobnie jak dudnienie młotków w warsztacie stolarskim i nieustanny szmer nóg i rąk, i w każdym jakby się coś budzi. Mężczyzna śpiewa czystym, pięknym głosem, odchylając głowę, jakby żalił się niebu, a otoczenie mięknie od fraz jego pieśni. W kilka sekund znika ból mięśni, ciągłe pieczenie ranek i odcisków. Twarze strażników łagodnieją, rozluźniają się, do czasu gdy jakiś głos w środku rozkazuje im wziąć się w garść i wrócić do odgrywanych ról.

W chwilach takich jak ta rozważasz możliwość, że niektórych z tych młodych mężczyzn widziałeś dziesięć lat wcześniej w niemieckich miastach. Gdy jako dziesięcio- czy dwunastoletni chłopcy biegali ulicami na cienkich, kościstych nogach, ręce mieli chude, oczy zaś lśniące ciekawością i szczęściem. Może uśmiechnąłeś się kiedyś do któregoś z dzisiejszych strażników, a z innym, gdy był jeszcze mały, uciąłeś sobie krótką pogawędkę w parku. A teraz? Teraz wojna wtłoczyła ich w inny kształt.

B jak błogosławieństwa, jak bar micwa i bożnica w Trondheim, do której kiedyś pomagałeś wnosić ławki. Na tych samych ławkach siedziały twoje

dzieci i wymachiwały nogami, słuchając zawodzącego głosu i czując powagę miejsca.

B jak Bandeklosteret na fotografiach zrobionych tuż po zakończeniu wojny. Jest popołudnie, a ja siedzę w gabinecie w swoim domu w Oslo i przeszukuję internetowe archiwa. Na pierwszym zdjęciu willę widać jedynie z zewnątrz. Dom z łukowym oknem mansardowym i z otwartymi okiennicami na parterze. Drut kolczasty wokół posesji został już usunięty, zniknęli także strażnicy, którzy zwykli tam stać. Drugie zdjęcie pokazuje jedną z sypialni bandy – szuflady, ubrania, śmieci i papiery leżą porozrzucane na podłodze, tapeta wisi w strzępach.

Na trzeciej fotografii słońce wpada przez piwniczne okna, oświetlając bar pełen butelek. Na podłodze przed nim stoją dwie wielkie beczki, a na nich leży gruby żelazny pręt. Drąg wygiął się pośrodku, zapewne od ciężaru ludzi, których zmuszano do kucania ze związanymi rękami, a następnie wieszano na pręcie, żeby członkowie bandy mogli na zmianę ich chłostać, bić lub przypalać.

Na ekranie przede mną pojawia się czarno-biały tył nagiego męskiego uda ze swastyką wypaloną poniżej pośladka. Za moimi plecami rozlega się odgłos kroków; studiowanie tych materiałów musiało mnie tak bardzo pochłonąć, że nie usłyszałem, gdy ktoś wszedł, aż nagle obok stanęła moja córka. Szybko zamykam okienko, ale pod nim widnieje zdjęcie trzech różnych biczy.

– Co to takiego, tato? – pyta córka, zanim udaje mi się zamknąć przeglądarkę.

– Czytam o wojnie – odpowiadam i przytykam policzek do jej policzka. Podnoszę małe, ciepłe ciałko i zabieram od komputera.

B jak beton w piwnicy Bandeklosteret, na który kapie krew z siekiery trzymanej w ręku przez jednego z członków bandy. Jest koniec kwietnia 1945 roku, Rinnan wchodzi do pralni. Widzi skrzynki pośrodku podłogi i krew ściekającą do odpływu. Kiwa z uznaniem głową w stronę mężczyzny, który stoi bez tchu, z siekierą luźno wiszącą wzdłuż uda.

C

C jak cadillac.

C jak cowboy.

C jak *cremaster* – mięsień dźwigacz jądra, rozwijający się w mosznie w okresie dojrzewania. W czasie gdy chłopcy przeistaczają się od wewnątrz za sprawą wydzielanych hormonów, które sprawiają, że włosy zaczynają porastać im nogi i krocze. Głos się zmienia, rysy twarzy się wyostrzają, a policzki i nos pokrywa warstwa łoju – owa transformacja to stopniowe pożegnanie z dzieciństwem.

Nieraz Henry, kiedy jest sam, staje przed lustrem w przedpokoju, przygląda się sobie i myśli, że to bieda uczyniła go tak nienormalnie niskim. Czasem zdarza mu się też usłyszeć, jak matka wspomina o tym przyjaciółce albo kupcowi, jak mówi, że Henry po prostu wolniej się rozwija i jeszcze kiedyś nadrobi; jej słowa dają mu nadzieję, ale nic się nie zmienia. Przybywa mu lat, wciąż jednak nie dorównuje wzrostem innym chłopcom. Nadal odstaje od pozostałych. Odmawia gry w piłkę, twierdząc, że tego nie lubi, lecz tak naprawdę w łóżku wyobraża sobie, jak dryblując po boisku, mija zawodnika za zawodnikiem, aż staje sam na sam z bramkarzem. Wyobraża sobie, jak elegancko lobuje piłkę nad chłopakiem, który rzuca się na murawę, jak koledzy z drużyny pędzą w jego stronę i podnoszą go z triumfem i radością na twarzach, ale nic takiego się nie wydarza. Nigdy. Jest za to spokojny. Uprzejmy. Ostrożny. Stara się jak najmniej wyróżniać, bo kogo nie widzą, tego nie dręczą.

Henry kończy trzynaście lat i pożycza od wujka pismo, magazyn, na którego okładce widnieje cowboy. Podczas gdy reszta rodziny pije kawę, a ojciec rozwodzi się nad tym, jak to należy wyciąć w pień komunistów, wyplenić ich, zanim przejmą kontrolę nad krajem, Henry zaczyna czytać – w opowieści o cowboyu odkrywa portal, ten zaś zasysa go do środka, przenosi daleko od ulic Levanger, daleko od szkolnego dziedzińca

i chłopaków, na których musi uważać, żeby nie spotkać ich w pojedynkę; czasami dokuczają mu w drodze do domu.

Kończy czternaście lat i budzi się w nocy z obcą mazią na brzuchu, z rękami na piersiach starszej dziewczyny z sąsiedztwa, na nagim ciele, które rozpływa mu się przed oczami.

Kończy piętnaście lat, idzie do konfirmacji i tak jak wielu innych dostaje z tej okazji prezent: zepsute górne zęby Henry'ego zostają usunięte i zastąpione sztuczną szczęką. Nowym, gładkim uzębieniem, po którym można przesunąć językiem i które lśni bielą w lustrze.

Kończy szesnaście lat i przestaje rosnąć. Tyle osiąga. Śmieszne sto sześćdziesiąt jeden centymetrów.

Jest najniższym szesnastolatkiem w całym Levanger. Większości rówieśników sięga do ramion, a jego ciało wydaje się zdumiewająco małe w stosunku do głowy, jakby rzeczywiście należał do innego gatunku niż wszyscy. Do innej, brzydszej odmiany człowieka – bystrzejszej niż większość, zdaje sobie z tego sprawę, lecz niższej, a na to nie pomaga bycie uprzejmym. Nie pomaga to, że siedzi prosto, w szkole odpowiada na pytania i robi wszystko, co trzeba. Dorosłym może się to podoba, ale tylko dlatego, że Henry nie przysparza kłopotów i nie przyciąga niczyjej uwagi. Pozostali uczniowie go nie zauważają. Chłopaki się nim nie interesują, podobnie dziewczyny. Powinien być wyższy. Modli się do Boga, żeby pozwolił mu jeszcze urosnąć, ale nic się nie zmienia.

Gdyby chociaż jego rodzice byli nienormalnie niscy, mógłby zrzucić winę na nich, ale matka i ojciec nie odstają od innych. Tak samo bracia. Tylko o n się wyróżnia. Dlaczego? Dlaczego on? Nie ma na to pytanie odpowiedzi, nie ma rozwiązania. Jedyne, co może zrobić, to zapuścić grzywkę, wetrzeć we włosy pomadę i zaczesać je do tyłu, jak najwyżej na czubku głowy, w nadziei, że dodatkowe centymetry fryzury pozwolą mu zniknąć w tłumie albo dołączyć do grona kolegów, ale bez skutku. Wciąż się wyróżnia, jest wyraźnie słabszy, więc tamte chłopaki oczywiście muszą go dopaść, Henry szybko to pojmuje, tak najwidoczniej działa przyroda. Widzi to na każdym kroku. Najsilniejsi biorą, co chcą, tworzą własne zasady i zmuszają innych, żeby ich przestrzegali. Tak już jest. Oczywiście, że tamte chłopaki muszą go otoczyć i poprzepychać między sobą, kiedy

dorośli nie będą patrzyli. Henry tłumi wszystko w sobie, stara się nie przejmować i wie, że nic nie może zrobić.

Często, gdy wieczorem przymyka powieki, prześladowanie trwa dalej. Przed oczami staje mu nerwowa radość na twarzach tamtych chłopaków, którzy przepychają go z miejsca na miejsce, podczas gdy on w głowie ma tylko jedną myśl: nie może pęknąć, nie może dać im się złamać.

C jak Carl Fredriksens Transport, kryptonim nielegalnej organizacji zajmującej się przemytem norweskich Żydów i członków ruchu oporu z zakładu ogrodniczego przy Carl Berners plass w Oslo za szwedzką granicę. Jesienią i zimą 1942–1943 organizacja uratowała przeszło tysiąc osób. Jedną z nich była twoja synowa, Ellen Glott, babka Rikke. Drugą twoja żona, Marie.

C jak Cappelengården, pomalowany na zielono drewniany gmach przy Sjøgata w Levanger, tuż przy samej wodzie. Nastała wiosna. Jest rok 1931, szesnastoletni Henry mija Cappelengården, jak zwykle ma rozbiegany wzrok. Zauważa grupkę chłopaków zebranych przed sklepem sportowym Hvedinga, w którym pracuje jego wujek. Henry był tam wiele razy, odkąd musiał stawać na palcach, żeby wyjrzeć nad ladę, kiedy ojciec kupował coś do roweru lub do warsztatu. Henry idzie właśnie do sklepu, by rzucić okiem na forda, którego nabył wujek. Najprawdziwszego forda, pierwszego w całym mieście, ze lśniącą czarną karoserią i ciemnobrązowymi skórzanymi siedzeniami. Po dłuższych rozważaniach właściciele zdecydowali się na import i sprzedaż sprowadzanych towarów; jednocześnie stawiają też pierwszy w mieście dystrybutor paliwa, aby zakupione automobile mogły u nich tankować. Sklep ma wprowadzić do oferty samochody i części samochodowe, a żeby zaznaczyć tę zmianę, w oknie wystawowym od ulicy umieszczono prawdziwego forda. Henry ledwie dostrzega auto pomiędzy zasłaniającymi je plecami. Wujek pochyla się nad karoserią, żeby pokazać coś chłopakom, ale nagle się prostuje – przewyższa pozostałych o głowę – zauważa siostrzeńca i go woła.

Henry ma ochotę odwrócić się i uciec albo po prostu ich minąć, udać, że nic nie usłyszał, ale byłoby to głupie, bo nawiązali kontakt wzrokowy, więc

wujek na pewno powiedziałby matce o jego dziwnym zachowaniu.

– Henry Oliver?! – woła mężczyzna, machając do niego. – Chodź tutaj, coś ci pokażę!

Henry patrzy na pozostałych. Stoi tam jeden z chłopaków, z którymi bił się tamtego dnia, kiedy mały był w szkole w botkach. Jeden z tych, za którymi oglądają się dziewczyny. Henry mruga. Przechodząc przez ulicę i mijając kałużę, próbuje wymyślić jakąś błyskotliwą replikę – co tu powiedzieć?

– Jak miło, że wpadłeś w odwiedziny! – odzywa się wujek jowialnym tonem, kładąc rękę na ramieniu Henry'ego. Tamci rozstępują się i robią mu miejsce. Chyba nie odważą się na nic złego w obecności dorosłego. – Spójrz tutaj! – ciągnie mężczyzna i wolną ręką dotyka dachu samochodu.

Henry pochyla się, żeby zajrzeć do środka przez przednią szybę. Patrzy na skórzane siedzenia. Na kierownicę z wgłębieniami od wewnątrz, idealnie dopasowaną do palców. Na przyciski i dźwignie.

– Ładny, co? – pyta wujek.

Henry kiwa głową, a brat mamy obchodzi samochód i otwiera drzwi od strony kierowcy.

– Właśnie chciałem wybrać się na jazdę próbną. Masz ochotę dołączyć? – Krewny uśmiecha się żartobliwie. Chłopaki ze szkoły posyłają Henry'emu zazdrosne spojrzenia, a on nie potrafi powstrzymać uśmiechu, który pojawia się na jego twarzy.

– Tak! – odpowiada. – Kiedy?

– Hm – wujek chłonie uwagę chłopaków i kobiety z wózkiem dziecięcym, która mija ich drugą stroną ulicy. – Może na przykład teraz?

– Teraz? – dziwi się Henry.

– Tak, teraz jest najlepszy moment. Wskakuj!

Wujek otwiera drzwi po swojej stronie, Henry wyciąga rękę do klamki, a serce wali mu w piersi. Chłopaki stoją tak blisko, że mogą go uderzyć, szturchnąć, ale chyba nie teraz? Otwiera drzwi samochodu, dlatego tamci muszą odsunąć się o kilka kroków, i wsiada do tego lśniącego cudu z metalu, drewna, szkła i skóry. Tylko m n i e wolno w nim usiąść, myśli Henry, ostrożnie zamykając drzwi, żeby ich nie uszkodzić. Wygląda przez okno, widzi zazdrość na twarzach tamtych i czuje narastającą dumę, bo

chłopaki muszą odejść. Mogli jedynie s p o j r z e ć na samochód, popodziwiać go, ja zaś mogę do niego wsiąść, mogę się nim p r z e j e c h a ć, myśli Henry, gładząc deskę rozdzielczą z drewna tekowego, oprawnego w lśniącą, gładką stal.

Wujek odwraca się do niego.

– Gotów? – pyta, na co Henry kiwa głową nerwowo, lecz zarazem ochoczo, bo oczywiście jest gotów.

W tej samej chwili mężczyzna przekręceniem kluczyka budzi silnik ze snu. Stopą wciska pedał, zwiększa obroty, aż spod maski dobywa się warkot, następnie kładzie rękę na dźwigni zmiany biegów, odchyla ją w bok i nieco do wewnątrz. Jadą Sjøgata, oddalają się od chłopaków, skręcają w lewo w Kirkegata. Toczą się przez miasto, witani spojrzeniami przechodniów, którzy się za nimi oglądają.

– Zobacz – mówi wujek i instruuje Henry'ego, jak się zmienia biegi, dodaje gazu i kieruje. Pokazuje, że wystarczy pchnąć dźwigienkę, żeby po szybie przesunęły się wycieraczki.

Obok nich natomiast suną domy i ludzie. Wszystko, co znajduje się poza kabiną, wygląda jak z innego świata.

– Jechałeś już kiedyś autem, Henry Oliverze? – pyta wujek, gdy wyjeżdżają ze śródmieścia.

Henry kręci przecząco głową, na co mężczyzna bierze go za rękę.

– Możesz chwilę poprowadzić – mówi i kładzie dłoń Henry'ego na kierownicy.

Henry wzdryga się, próbuje przycisnąć rękę, ale wujek zaczyna się śmiać, mówi:

– No co ty, Henry, będzie dobrze.

Henry rozumie, że nie ma wyboru, poza tym oczywiście czuje pokusę, więc przechyla się, układa obok drugą dłoń i kieruje! Przez krótką chwilę to naprawdę o n prowadzi samochód, podczas gdy droga napływa z naprzeciwka. Przez kilka minut to o n prowadzi, omija dziurę i podąża za zakrętem, jedzie aż do sklepu. Wtedy wujek przejmuje kierownicę, mówi, że Henry może puścić, i skręca pod drzwi. Chłopaki już poszły.

W kabinie zapada cisza. Henry trzyma ręce na udach, jakby siedział w szkole. Wujek odchrząkuje, wyjmuje papierosa i stuka nim o kolano.

– To jak, Henry Oliverze? Nie było tak źle, co?

– Nie. W ogóle… Nie było – odpowiada chłopiec z uśmiechem. – Dziękuję!

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chcesz? – pyta wujek, podając mu papierośnicę, piękne blaszane pudełko ozdobione wizerunkiem arabskiego pałacu i słowem „Medina", którego litery wiją się wokół jednej z kopuł.

– Ee… Nie wiem – waha się Henry, bo chociaż próbował już kiedyś palić papierosy, które wykradł ojcu, to jeszcze nigdy nie siedział tak jak teraz, traktowany niczym dorosły. Parę razy mruga i postanawia się zgodzić. Ognik się żarzy, a wdychany dym gryzie go w piersi.

– To jak, Henry Oliverze? – pyta znowu wujek, po czym wydmuchuje chmurkę dymu, która odbija się od przedniej szyby i rozpływa w powietrzu. – Jak miewa się mój siostrzeniec?

– Chyba… dobrze. Dziękuję – odpowiada Henry i też się zaciąga.

– Słyszałem, że dobrze idzie ci w szkole… Ale poza tym? Uprawiasz jakiś sport czy coś w tym stylu?

Henry znów kręci głową. Wydmuchuje dym i się zaciąga, chociaż dopiero to robił, co uświadamia mu, że musi wydawać się bardzo zdenerwowany. Nie potrafi nawet spokojnie trzymać szluga. Nie tak jak wujek, dla którego papieros jest przedłużeniem dłoni, czymś naturalnie wystającym spomiędzy palca wskazującego a środkowego.

– Nie, takie rzeczy mnie nie interesują – mówi Henry i zerka na wujka, żeby sprawdzić, jak zareaguje.

On jednak patrzy przed siebie. Spokojnie kiwa głową, nie wydaje się zawiedziony. Nie wygląda, jakby sądził, że z Henrym jest coś nie w porządku.

– No tak. Masz więc chyba sporo wolnego czasu… Chociaż na pewno widujesz się z przyjaciółmi. Co?

Henry potakuje. Kolejny raz się zaciąga. Popiół niebezpiecznie się wydłuża. Nie może spaść i zabrudzić samochodu, myśli. Wujek opuszcza szybę. Służy do tego mała korbka, która jest czymś magicznym, myśli Henry, kręcąc taką samą korbką po swojej stronie i patrząc, jak szyba znika w szczelinie w drzwiach. Wujek strzepuje popiół na zewnątrz. Henry uśmiecha się i robi to samo.

– Wiesz, że prowadzimy sklep. – Wujek wskazuje palcem na budynek tuż obok.

– Aha…?

– Sverremu i mnie przydałaby się pomoc. Wiele razy o tym rozmawialiśmy, dobrze byłoby zatrudnić dodatkowego sprzedawcę. Myślisz, że to mogłoby być coś dla ciebie?

– Tak, jak najbardziej! – Henry uśmiecha się nerwowo. Nie panuje nad mimiką, bo to coś wielkiego. Po wakacjach kończy szkołę powszechną. Pomyślałby kto, że mógłby zacząć pracę! Taką prawdziwą!

– Świetnie, wobec tego porozmawiam z twoją matką. Pasowałoby ci zacząć od jutra, po szkole, na próbę?

– Już jutro? – pyta Henry zachwycony.

– Może być? Chyba nie ma na co czekać?

Henry szybko kiwa głową, nie może pojąć, że to się dzieje naprawdę, że naprawdę tu siedzi, w tym samochodzie, że właśnie otrzymał ofertę pracy! Wujek uśmiecha się do niego, wypuszcza dym, który sączy się cienką smugą, po czym pstryknięciem posyła niedopałek przez otwarte okno.

Henry pędzi do domu, żeby podzielić się nowiną z ojcem, widzi jego powstrzymywany entuzjazm – pewnie zazdrości bratu żony, któremu tak bardzo się powiodło, myśli Henry, ale po chwili pojmuje, że ojciec musi wiedzieć. Że to na pewno matka wszystko załatwiła.

Nazajutrz rano się szykuje. Ojciec wypastował mu buty, w których Henry idzie wzdłuż cmentarza, po czym za rogiem kieruje się do sklepu i warsztatu. Odwiedzał to miejsce od małego, więc dobrze wie, jak wygląda w środku i gdzie co leży.

Nawet gdyby ktoś kazał mu zamknąć oczy, Henry zdołałby opisać wnętrze. Drewnianą ławkę ciągnącą się od ściany do ściany. Brązową kasę, pełną przycisków i dźwigienek, z pomalowaną na czarno drewnianą korbką, którą wykonuje się pół obrotu, żeby uwolnić sprężynę otwierającą szufladę. Potrafiłby opowiedzieć o plecakach na sprzedaż, wiszących w oknie, potrafiłby też opowiedzieć o fordzie T, wystawionym tuż obok. O cudzie z czarnego metalu, o błyszczącym chromie i detalach z drewna w kolorze orzecha. Nie umiałby jednak odzwierciedlić, jakie to uczucie zdejmować z wieszaka fartuch sprzedawcy, wsuwać weń ręce i widzieć

w lustrze przemianę w kogoś innego. Nie byłby w stanie wyjaśnić, w jaki sposób nerwowość znika z chwilą przywdziania uniformu, jak skojarzenia związane ze strojem zmieniają go, dodają mu nowej, nieznanej dotąd pewności siebie. W roli pracownika łatwo mu ucinać sobie pogawędki z obcymi, słuchać, czego potrzebują, pomagać im wyszukać odpowiednie towary. On, zwykle tak cichy, tak nieśmiały, nagle odkrywa, że właściwe sformułowania same cisną mu się na usta, dzięki czemu potrafi postrzegać ludzi zupełnie inaczej. Odsuwa zasłonę własnych doświadczeń i wchodzi w rolę pewnego siebie ekspedienta. Który wie, gdzie leżą wszystkie towary. Wie, którzy klienci mogą się skusić na dodatkowy niewielki zakup, na przykład parę rękawic, narzędzia czy olej łańcuchowy, kiedy ktoś musi zostawić rower do naprawy. Potrafi poluzować liny na rolkach i opuścić towary zawieszone tuż pod sufitem. Umie sprawić, by ludzie czuli się w sklepie jak u siebie. Potrafi wracać z pieniędzmi dla matki, zdumiony wręcz tym, jak śmiałość i umiejętności zjawiają się wraz z włożeniem uniformu i jak znikają, w chwili gdy go zdejmuje. Wtedy z powrotem staje się Henrym Oliverem, który jak najszybciej zakrada się do domu, by nie dostrzegły go jakieś chłopaki.

Nie umiałby też wyobrazić sobie radości z unoszenia węża dystrybutora, gdy z rzadka zjawi się jakiś klient potrzebujący paliwa. Magicznej woni benzyny. Oparów, od których wibruje powietrze, przybierając inną, bardziej materialną postać, niczym miraż, a które później wpływają do samochodu, gdzie przeistoczą się w prędkość, w dźwięk, w radość.

Mija miesiąc. Wujek go chwali, podobnie sam Sverre Hveding, a matka jest szczerze wdzięczna za pieniądze, które przynosi do domu. Popołudniami może zostawać w warsztacie na tyłach sklepu i naprawiać auta z dorosłymi. Uczy się nazw różnych części silnika i tego, do czego służą; przebywa w warsztacie najczęściej, jak tylko może, pochylony nad maską, z rękami wysmarowanymi olejem. Jednak w beczce miodu, którą stała się jego nowa codzienność, tkwi łyżka dziegciu: nie dość duża pensja. Po potrąceniu pieniędzy na jedzenie dla rodzeństwa i spłatę pożyczki rodziców Henry'emu nie zostaje nic na własne potrzeby. Oczywiście mógłby zapytać matkę o możliwość zatrzymania części wynagrodzenia, choć odrobiny, ale nie chce, nie śmie, bo gdy tylko w głowie pojawia się ta myśl, matka staje mu przed oczami – kręci głową, posyła mu surowe

spojrzenie i zaczyna go pouczać, jakie potrzeby ma rodzina. Nie wiedziałby, co odpowiedzieć, oczywiście nie miałby szans wygrać w takiej dyskusji. Matka nigdy nie zrozumie, jakie to dla niego ważne, by móc powiedzieć kolegom z klasy, że pójdzie z nimi do kawiarni na kakao czy słodką bułkę. W takich sytuacjach zawsze wymyśla jakieś wymówki – a to że mu nie pasuje z nimi pójść, a to że musi wracać do domu.

P o w i n i e n poprosić o możliwość zatrzymania niewielkiej części, lecz nie ma odwagi. Dlatego wciąż musi być odizolowany od innych, od ich życia, od tego wszystkiego, co mogą koledzy, bo matka dokładnie wie, ile Henry zarabia, nie ma szans czegoś uszczknąć, by pójść do kawiarni czy kupić sobie jakiś przysmak. To niesprawiedliwe! – myśli Henry w drodze do sklepu. Dlaczego zawsze musi pozostawać z boku, bez względu na to, jak ciężko pracuje? To niesprawiedliwe. Ci, którzy już coś dostali od losu, dostają nadal. Kto urodził się wysoki, pewny siebie i ładny, ma też pieniądze. Innych chłopców w jego wieku stać na wyjście do kawiarni przy głównej ulicy, gdzie spotykają się wszyscy, którzy coś znaczą. Stać ich na papierosy. Czekoladę. Bilety do kina. Tylko o n jeden musi żyć z boku, jak ryba uwięziona w akwarium, która może patrzeć na to, co dzieje się po drugiej stronie szkła, ale nigdy nie będzie mogła wydostać się na zewnątrz, uczestniczyć w rozmowach, być jedną z tamtych. Nigdy, przenigdy, obojętnie, ile pracuje. Tylko j e g o nigdy nie zaprasza się na urodziny, tylko o n nigdy nie gra w piłkę, na n i e g o nigdy nie patrzą dziewczyny. Tylko o n musi chodzić w ubraniach po kuzynostwie, w spodniach z podwiniętymi nogawkami, w kurtkach, których rękawy trzeba podciągać, żeby ręce nie przepadły w środku, podobne do wystraszonych zwierzątek wyściubiających pyszczki z norki, żeby sprawdzić, czy jest bezpiecznie.

Może powinienem poprosić o podwyżkę, zastanawia się Henry, ale natychmiast odrzuca tę myśl, bo Sverre Hveding nigdy się na to nie zgodzi, chociaż interes kręci się znakomicie, a on sam paraduje w garniturze z kamizelką i jeździ własnym samochodem. Chociaż obroty znacznie się zwiększyły, odkąd do nich dołączył, bo tak świetnie radzi sobie w pracy. To niesprawiedliwe, myśli Henry, przesuwając palcem wskazującym po ściance kasy, i zaczyna myśleć o monetach, które leżą w środku, tuż pod zimnym metalem. Nagle wpada na prosty, jasny pomysł – istnieje możliwość, żeby wszystko naprawić. Łatwy sposób, aby podwyższyć pensję

do poziomu, na jakim p o w i n n a się znajdować, by zapewnić sobie to, na co zasługuje: wystarczy nie wbić kilku sprzedaży na kasie i zabrać pieniądze, jako swego rodzaju napiwek, bo w końcu jest zdolny i duża część zysków to jego zasługa. Tylko nieznaczne kwoty, tak małe, że nikt się nie pozna. Właścicielowi sklepu nie zrobi to żadnej różnicy. A Henry'emu? Będzie mógł chodzić do kawiarni, tak jak wszyscy. Te drobne zadecydują o tym, czy stanie się częścią grupy, czy pozostanie na uboczu. Zasłużył przecież na te pieniądze, prawda?

Henry trzyma ręce na bokach kasy i zerka na drzwi prowadzące na zaplecze, gdzie widzi, jak Sverre Hveding, pochylony nad jakimiś papierami na biurku, wydmuchuje chmurkę dymu z papierosa. Wujek wyszedł albo jest w magazynie. Wtedy zjawia się klient. Starszy pan. Idealna osoba, na której można poćwiczyć, myśli Henry. Mocno bije mu serce, ale nie zwraca to niczyjej uwagi, bo Rinnan pamięta, by się uśmiechnąć i uprzejmie przywitać, jak zawsze. Pamięta, by trzymać obie ręce na ladzie, wyprostować się, mówić głośno i wyraźnie, a jednocześnie przyglądać się starszemu panu. Siwowłosy klient wydaje się rozproszony i nieuważny, grzebie w kieszeni płaszcza w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby wytrzeć błyszczącą kroplę smarków, która wypływa mu z jednej dziurki w nosie.

Wtedy oczom Henry'ego ukazują się pieniądze i możliwość.

Łatwizna. Wystarczy przytrzymać kasę palcem, kiedy będzie ją zamykał, i poczekać, aż starzec wyjdzie, by potem ukradkiem włożyć pieniądze do kieszeni spodni.

Przez kilka kolejnych sekund, gdy brzęczy dzwonek nad drzwiami, gdy serce mocno bije mu w piersi, a prawa dłoń ściska monety, wydaje mu się, jakby sprzedaż nigdy nie nastąpiła, za to pieniądze są jak najbardziej prawdziwe. Po pracy wychodzi, powoli zmierza do miejsca, w którym zwykle kręcą się inni chłopcy, spotyka jednego z sąsiedztwa, spokojnego, ostrożnego chłopaka, też niezbyt popularnego, i pyta, czy nie poszedłby z nim do kawiarni. Mówi, że on stawia, a chłopak na szczęście się godzi. Idą. Henry ściska monety w prawej dłoni i szeroko się uśmiecha.

Kawiarnię prowadzi ruch abstynentów, więc na stolikach nie uświadczy się piwa ani wódki, ale wolno tam palić i opowiadać historie. Henry kupuje dwie filiżanki kakao, dostrzega spojrzenia innych i słyszy ożywiony szmer

rozmów, śmiech oraz brzęk serwisu do kawy. Kolega prowadzi go do stolika, przy którym siedzi już kilku chłopaków z okolicy. Henry zajmuje miejsce, próbuje ukryć zdenerwowanie. Drobnymi łyczkami popija kakao i słucha. Ktoś rozmawia o filmie, o cowboyu ratującym miasto. Wszyscy skupiają się na chłopaku, który streszcza fabułę i zdradza zakończenie. Gdy nastaje cisza, Henry korzysta z okazji i pyta, czy słyszeli opowieść o cowboyu, o którym czytał w magazynie. Tamci patrzą na niego znad filiżanek, zupełnie bez sarkazmu. Naprawdę nadstawiają uszu i pytają:

– Nie, o jakim?

Można odnieść wrażenie, że chłopcy przy stole tylko czekali, aż ktoś przyjdzie i zacznie ich zabawiać, bo chłoną każde jego słowo, kiedy Henry przytacza historię o zakurzonym amerykańskim miasteczku, napadzie na bank i walizkach pełnych pieniędzy. Potrafi skupić ich uwagę samym spojrzeniem, jego opowieść ich wciąga, chociaż mówi tak cicho, że muszą przesuwać się na skraj krzesła, aby usłyszeć, co było dalej, wyłapać każdy szczegół opowieści. Jego historie początkowo traktują o postaciach z magazynów, ale później sam wciela się w główną rolę – nikt nie zwraca uwagi na tę zamianę, nie dziwi się, że to Henry bierze udział w wydarzeniach, bo tak naprawdę on jest teraz w centrum uwagi, nie istnieje nikt inny. Kolega, któremu kupił kakao, zerka na niego z podziwem.

Po jakimś czasie wstaje, bo musi iść do domu na kolację, ale wtedy jeden z chłopaków pyta, czy wróci jutro.

– Tak, oczywiście – odpowiada Henry spokojnie, jakby było to coś najzwyklejszego na świecie. – To przyjemne miejsce – dodaje.

Kiedy wychodzi, buzuje w nim radość i duma. Przez całą drogę do domu planuje, co zrobi nazajutrz – musi podprowadzić więcej pieniędzy, tyle, żeby znowu pójść do kawiarni – i wyobraża sobie, jaką historię opowie kolegom następnym razem.

Tak mija pozostała część roku. Jest ostrożny. Zawsze uważa, by nie brać za dużo, nie ulec pokusie, choć nic nie wskazuje na to, że ktoś mógłby się zorientować. Wystarczy wziąć tylko troszkę, akurat tyle, żeby starczyło na wyjście do kawiarni albo bilet do kina przy głównej ulicy. Żeby można było wtopić się w tłum młodzieży, która w oczekiwaniu wchodzi do sali kinowej. Słyszeć szum głosów, widzieć czerwoną aksamitną kurtynę, która

rozsuwa się jak otwierane okno, by wskazać mu drogę do innego świata. Filmy stały się tak rzeczywiste, odkąd postaci zaczęły mówić, a pistolety, drzwi i samochody – wydawać dźwięki. Można wręcz dać się z a s s a ć przez ekran, samemu zostać głównym bohaterem. Muzyka, zdjęcia i dialogi sprawiają, że Henry nagle potrafi znaleźć się w samym środku dramatu, czuć napięcie jak własne. Wstęp kosztuje koronę, co oznacza, że musi odkładać więcej pieniędzy niż wcześniej, przyjaźnie uśmiechać się do klientów i zagadywać do nich o pogodę czy inne tego typu rzeczy, niezauważenie przytrzymując szufladę kasy. „Serdecznie dziękuję, do widzenia!" Dźwięczny brzęk dzwonka nad drzwiami i już można wysunąć monety z szuflady prosto do kieszeni. Leżą tam, nieruchome, lecz pełne mocy, skrzą się możliwościami. Do czasu.

Pewnego popołudnia, gdy jest w sklepie sam, drzwi nagle otwierają się na oścież i do środka wpada dwóch chłopaków. To ci sami, którzy pomiatali nim tylko dlatego, że mogą. Oczywiście czekali, aż będzie sam. Specjalnie wybrali moment, kiedy nie ma ani wujka, ani Sverrego Hvedinga, kiedy większość ludzi w mieście je obiad. Henry czuje przyspieszone bicie serca.

– To tutaj się chowasz? – pyta jeden z nich, podchodząc do lady. – Jak udało ci się tak wysoko wspiąć w życiu, pigmeju?

Drugi parska, zanosi się śmiechem, po czym kilkakrotnie uderza dłonią w usta, udając Indianina.

Henry nie odpowiada. Nie może dać po sobie poznać, że te słowa zrobiły na nim wrażenie. Starszy z chłopaków łapie hak służący do podnoszenia rowerów. Wdrapuje się na ladę. Henry próbuje się wywinąć, ale wtedy ten drugi chwyta go za ręce i przeciąga przez ladę, tak że Henry przyciska twarz do drewna.

– Co wy wyprawiacie? – pyta zrozpaczony.

– Pomagamy pigmejowi jeszcze bardziej się wspiąć – odpowiada chłopak, który znajduje się za nim, a wymawiając ostatnie słowo, lekko dyszy, bo jednocześnie mocno ciągnie za hak zwisający z rolki pod sufitem.

Nagle Henry czuje, jak przewlekają mu coś przez szlufki spodni. Czuje zimną stal pod koszulą. Szukające po omacku dłonie. Linę, która przesuwa się po skórze, sucha i kłująca.

Chłopak, który stoi przed nim, puszcza jego ręce, więc na chwilę jest wolny, dopóki tamci nie zaczną wciągać liny. Spodnie zaciskają się w pachwinach i Henry wznosi się w górę, kilka razy okręca się wokół własnej osi, patrząc, jak lada i kasa maleją, aż wreszcie bezwładnie zawisa tuż pod sufitem, kilka metrów nad tamtymi.

– Jak tam widok? – pyta jeden z chłopaków. Henry nie odpowiada. Nie da im tej radości.

– Wierzgaj do woli, pajacyku! Na pewno zaraz ktoś przyjdzie cię pocieszyć i zmienić ci pieluszkę! – woła drugi. Oczy lśnią mu ze śmiechu, gdy zawiązuje linę na ścianie. Potem obaj wychodzą.

Dźwięk dzwonka rozlega się ponownie, do środka zagląda jasnowłosy chłopak, krzyczy:

– Dziękujemy! Do widzenia!

Wreszcie drzwi się zamykają i słychać chrzęst kroków na żwirze.

Henry się nie rusza.

Jak długo będzie musiał tak wisieć, zanim ktoś go znajdzie? I co ma tej osobie powiedzieć? Jak zniesie szepty na ten temat, plotki sąsiadów w całym Levanger? Do diabła z tymi gnojkami! Do diabła z cholernym nękaniem! Że też nie mogą z tym skończyć, myśli, próbując dosięgnąć liny, lecz od tego ruchu sznur tylko wpija mu się w lędźwie, pali go niemal, więc Henry czuje wzbierającą w nim rozpacz, napływające łzy, ale nie chce płakać. Tej radości na pewno im nie dam, myśli, zaciska zęby, wybałusza oczy i mocno, głęboko oddycha przez nos, powstrzymując łzy, bo wie, że jeszcze się na nich odegra. Cholera jasna, jak ja się odegram, myśli i w wyobraźni zaczyna zmieniać bieg zdarzeń. Dręczyciele wchodzą do środka, tak samo wyszczerzeni i obrzydliwi, ale w swoim marzeniu Henry zmienia ciąg dalszy: gdy pochylają się nad ladą, on ich zatrzymuje, prostując plecy i karcąc spojrzeniem. „Co wy tu, psiakrew, robicie?! – krzyczy i widzi ich wahanie. – Jeżeli nie chcecie nic kupić, to wynocha! – ciągnie. – Nie marnujcie mojego czasu! Zrozumiano?!”.

Henry uśmiecha się pod nosem i wyobraża sobie, jak zerkają niepewnie jeden na drugiego, jakby nie wiedzieli, co zrobić, skoro plan się nie powiódł, bo takiego obrotu spraw na pewno się nie spodziewali! Jeden z nich chwyta go za kołnierzyk, lecz Henry jest zbyt szybki. Wyrywa się jak

w przyspieszonym tempie, po czym cofa łokieć i zaciśniętą pięścią uderza drugiego prosto w nos. Mocno, zdecydowanie. Nagle twardziel nie jest już taki hardy, tylko zatacza się z niedowierzaniem do tyłu, zasłaniając twarz dłońmi, i łzy tryskają mu z oczu. Wtedy drugi próbuje zadać cios, lecz Henry robi unik – albo nie, nie robi uniku! – chwyta popielnicę, która stoi na ladzie, kryształową, z niedopałkami w środku, i wali nią tamtego w policzek! Tłucze go tak mocno, że słychać trzask chrząstek, kości policzkowych i zębów, a niedopałki rozsypują się dookoła! Cholera jasna, co za radość! Co za triumf widzieć, jak gnojki podkulają ogony, pojękując, czołgają się do wyjścia, a z gęb lecą im ślina, krew i zęby, bo nie mogą już bić ani kopać.

Teraz wystarczy tylko przeskoczyć przez ladę. Elegancki skok i już może chwycić ich za poły kurtek i zaciągnąć do drzwi jak nieposłusznych gówniarzy.

Czas i miejsce znikają, kiedy w myślach odgrywa te sceny raz za razem, z maleńkimi modyfikacjami. Spodnie wpijają mu się w pachwiny, a ilekroć się rusza, lina ociera skórę pod pachami i z boku. Jak długo wisiał pod sufitem, kiedy drzwi wreszcie się otworzyły? Henry unosi głowę i widzi, jak do sklepu wchodzi starszy pan. Na szczęście to nie stały klient, nikt, kogo widywałby regularnie i kto za każdym razem przypominałby mu o tym zdarzeniu.

– Boże, co tu się stało? – pyta i pędzi za ladę, by rozwiązać supeł.

– To tylko taki żart – odpowiada Henry z szerokim uśmiechem i wyjaśnia obcemu, że bawią się tak z kolegami, którzy w każdej chwili mogą wrócić. Udaje mu się przekonać mężczyznę, jest nawet w stanie się śmiać, aż wreszcie ląduje na ziemi. Odwiesza linę na miejsce i szybko znajduje towary, po które przyszedł klient, zanim w środku pojawi się ktoś inny.

Później kradnie pieniądze z kasy, więcej niż kiedykolwiek, bo przypomina sobie o człowieku, który może mu pomóc. O facecie, który para się nielegalnym handlem i, jak to się mówi, potrafi sprowadzić wszystko, czego dusza zapragnie, za odpowiednią opłatą.

Niedługo później wraca wujek. Pyta Henry'ego, jak mu idzie, i udaje się na zaplecze, gdzie pracuje przy zamówieniach, czyta gazetę i pali papierosy.

Do sklepu przychodzi wielu klientów w poszukiwaniu piłek, pompek i obciążeń, więc Henry odkłada jeszcze trochę pieniędzy. Chowa je do kieszeni spodni. Odwiesza fartuch i zamyka drzwi na klucz, żegna się z wujkiem.

Kilka godzin później kupuje swój pierwszy pistolet.

C jak córka, Jannicke, która wciąż leży z zamkniętymi oczami z głową na kolanach matki; ma ciemne loki i duże, miękkie policzki. Gerson skręca z drogi na Trondheim do zajazdu w głębi sosnowego lasu. Właściwie nie czuje głodu, ale już długo są w trasie, więc gdy pojawia się szyld, nagle nachodzą go wątpliwości, czy następna okazja, żeby coś zjeść, nie nadarzy się dopiero za kilka godzin. Podczas hamowania głowa Ellen opada lekko do przodu, kobieta mruga i spogląda na niego. Kto by pomyślał, że będą razem. Że będzie z Ellen. Nigdy by mu to nie przyszło na myśl, gdyby ktoś zapytał go o to przed wojną, ale w końcu jest całkiem ładna, a do tego z porządnej rodziny. Z naprawdę dobrej rodziny, do której należą fabryka wyrobów tytoniowych przy Torggata, wille i samochody, która zatrudnia szoferów i szwaczki. Ellen opowiadała mu o domu pełnym dzieł sztuki, antyków, gdzie poczesne miejsce zajmował wielki fortepian, na którym grała codziennie aż do ucieczki. Choć większość ich majątku przepadła podczas wojny, jest nadzieja, że coś uda się odzyskać. Poza tym nie miałem wyboru, myśli Gerson, podczas gdy żwir chrzęści pod oponami, w obozie dla uchodźców w Szwecji wybór był mocno ograniczony, a dla dziewcząt spoza obozu się nie liczyłem. Która zechciałaby norweskiego uchodźcę, Żyda? Jego matka też musiała dorzucić trzy grosze, zaprosiła rodzinę Ellen na kawę i w ten sposób poznała ich ze sobą; starała się również, żeby wspólnie spędzali czas. Siostra bliźniaczka Ellen, Grete, miała już kawalera, a Ellen nie, ale wtedy odnaleźli siebie i zostali parą.

Matka nie potrafiła ukryć rozczarowania tym, jak nieduża część majątku przypadła rodzinie po zakończeniu wojny, kiedy wreszcie mogli wrócić do kraju. Przez okamgnienie Gerson fantazjuje o innym życiu. Wyobraża sobie, że studiuje na uniwersytecie, właśnie zabiera się do nowych zadań, wyobraża sobie nagrodę, którą zdobył w konkursie matematycznym, ale natychmiast mruga, aby wyprzeć te obrazy, bo to inne życie, które nie może należeć do niego. To również zniszczyła wojna, ale nie ma prawa

narzekać, ponieważ żyje. Nie zabrano go na pokładzie Donau do obozu koncentracyjnego ani nie umieszczono w Falstad, jak wielu innych. Żyje, nic mu się nie stało, a życie ma mimo wszystko nie najgorsze.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Ellen.

– Pomyślałem, że powinniśmy się zatrzymać i coś zjeść – odpowiada Gerson, odwracając się do niej. Ellen dotyka dłonią policzka Jannicke i odgarnia zeń włosy.

– Słusznie. – Uśmiecha się ciepło; w tej chwili jest całkiem ładna, z tym żarem w oczach, z ufnością, przez którą Gerson czuje ukłucie wyrzutów sumienia. Myśli przez chwilę, że powinien jej powiedzieć, do jakiego domu się wprowadzą.

– Wiesz… – zaczyna.

– Hm? – mówi Ellen, jakby nieobecna, puszcza jego dłoń i unosi z kolan śpiące maleństwo. – Coś się stało?

Gerson kręci głową i patrzy na swoją piękną córeczkę, taką niewinną, czystą.

– Obudź się, skarbie – mówi Ellen. Wtedy córka wciąga powietrze urywanymi haustami, jak gdyby sen był głębiną, z której właśnie wystawiła głowę. W tej samej chwili szansa, by powiedzieć żonie prawdę, przepada.

D

D jak dachy Falstad, a nad nimi gołębie, które czasem tworzą formacje nad polami i falując w locie, tańczą na niebie.

D jak dreszcze biegnące po plecach, gdy każą ci robić pompki na dziedzińcu i w tym czasie okładają cię kijami.

D jak dźwięki wydawane przez obozowych strażników, gdy mają wolne i wtedy piją, a w ich głosach pobrzmiewa lekkość. Śmiech dochodzi często aż do celi, w której leżysz, przywodzi urywki wspomnień z dzieciństwa, kiedy rodzice wydawali przyjęcie, a ty w łóżku nasłuchiwałeś, jak głosy dorosłych się zmieniały, stawały się bardziej piskliwe, weselsze. Podobnie jest z niemieckimi żołnierzami. Czasem udaje ci się dosłyszeć puentę żartu i uśmiechasz się pod nosem, niemal wbrew własnej woli, po czym przewracasz się na drugi bok, by zniknąć w objęciach snu.

D jak Dora, nazwa portu dla okrętów podwodnych, który Hitler planował wybudować niedaleko centrum Trondheim. Nigdy nieukończony betonowy budynek, kilka lat po wojnie zmieniony w archiwum państwowe ze względu na masywne ściany. Czytałem o Dorze, poznawałem historię wojny, jednocześnie zagłębiając się w dzieciństwo Rinnana i nadal szukając rozwiązania rodzinnej zagadki. Bo dlaczego wybrano akurat c i e b i e? Czy tylko na podstawie zarzutu rozprowadzania wiadomości z BBC, czy może było coś więcej? I w ogóle jak cię zdemaskowano?

D jak dansingi w okolicy, w której dorasta Henry, i D jak dziewczyny. Inni okazują w ich towarzystwie oczywistą pewność siebie – nonszalancko podchodzą do grupy koleżanek i zaczynają z nimi rozmawiać, jakby wcale się nie przejmowali, czy zostaną odprawieni, czy nie. Jak im się to udaje, myśli Henry raz za razem, gdy stoi na uboczu takiej grupki, obserwując rozwój wydarzeń. Jak mogą sprawiać wrażenie tak obojętnych, obytych?

Henry'emu brakuje odwagi, by podejść do którejś z dziewczyn. Mimo to trzyma z innymi chłopakami, jest ich kierowcą, bo żaden z nich nie ma prawa jazdy, a już na pewno nie ma samochodu, który mógłby pożyczyć, żeby objechać okolicę w poszukiwaniu zabawy, dlatego to Henry prowadzi, do lokalu i z powrotem, tak jak tej soboty. Jest późno, wieczór się udał. Chłopaki na tylnym siedzeniu gadają jeden przez drugiego o swoich podbojach, ale Henry nie słucha. Wciska pedał gazu i czuje, jak samochód przyspiesza polną drogą, jedzie tak szybko, że żwir tryska spod kół.

W każdy piątek albo sobotę jadą w nowe miejsce. Domy i ludzie płyną za oknami, a w nich szumi radość, nadzieja i zażyłość, aż dojeżdżają tam, gdzie odbywa się dansing. Chociaż co tydzień odwiedzają nowy lokal, atmosfera się nie zmienia. Światło i muzyka sączące się od wejścia wszędzie są podobne, zmieszane z wrzawą młodości i apetytem. Chwiejne ruchy odurzonych mężczyzn w wysokiej trawie są takie same w każdym miasteczku. Podobnie śmiech skupionych w grupki dziewczyn w cieniutkich letnich sukienkach, z wysoko upiętymi włosami, o biodrach i piersiach wypychających materiał. Widoczna żądza i zachłanność mężczyzn, którzy obejmują te kobiety w pasie, przyciągając je do siebie, za każdym razem jest identyczna.

Jak wiele Henry oddałby za to, żeby do niego należała ręka nonszalancko układająca się na plecach w cienkiej sukience, przesuwająca się w dół, by opuszkami palców wyczuć przez tkaninę każdą część ciała! Ileż oddałby za to, żeby do niego należały oczy mężczyzny pod ścianą, do którego ona się odwraca. Jego usta, gdy ona się odchyla i pozwala się pocałować.

Nie da się. Nawet nie ma sensu wchodzić do środka, bo która dziewczyna zechce zatańczyć z chłopakiem tak niskim, że jego twarz znajdzie się na wysokości jej piersi? Tak niskim, że będzie przy nim świecić ze wstydu niczym latarnia morska, o głowę wyższa od partnera. To wzrost go powstrzymuje. Przez wzrost skręca i parkuje koło lokalu, lecz nie wysiada z auta, a kiedy inni pytają, czy do nich dołączy, Henry posyła im zawadiacki uśmiech i mówi, że już umówił się z taką jedną gdzieś niedaleko.

Koledzy idą się bawić, Henry jedzie dalej.

Czasami parkuje przy drodze.

Innym razem kręci się bez celu.

W wyobraźni wszystko wygląda inaczej.

W wyobraźni żwir chrzęści pod oponami, kiedy Henry zajeżdża na podwórze gospodarstwa i parkuje przed białym domem, obok czerwonej stodoły, przy której rośnie krzak malin. Ze ściany wyrasta schylona głowa lampy, owady wirują w jej złotym świetle. Henry puka do drzwi. Mija kilka sekund; w tym czasie ustami zdejmuje skórzane rękawiczki i z oczywistą wprawą wkłada je do kieszeni płaszcza. Wtedy drzwi otwiera mieszkająca tam kobieta. Prawie zawsze przypomina Gretę Garbo, tylko jest niższa. Henry w kółko ogląda filmy ze szwedzką aktorką, palcem gładzi jej twarz na plakacie, a kiedy nikt nie patrzy: jej piersi i brzuch, aż do podbrzusza schowanego pod obcisłą sukienką. Greta Garbo też pochodziła z ubogiego domu, znikąd, a ile udało jej się osiągnąć! Jest sławna, obyta i dobrze ubrana, zawsze tak samo elegancka i zmysłowa, jak w filmie *Mata Hari*, gdzie gra szpiega, który uwodzi mężczyzn tańcem i wydobywa od nich informacje, by wreszcie trafić przed pluton egzekucyjny. Końcowa scena jest przejmująca i okrutna, ale na szczęście umiera w niej tylko postać, nie aktorka, więc Greta Garbo może oczywiście występować zarówno w kolejnych filmach, jak i w fantazjach Henry'ego, w osobach kobiet o rysach podobnych do jej rysów. Zjawia się w jego wyobrażeniach, kiedy on odwiezie chłopaków na zabawę.

Samotna kobieta z domu położonego na uboczu uśmiecha się filuternie i podaje mu dłoń. Jest ciepła, miękka i chętna. Czasami robią to od razu w przedpokoju, tuż przy drzwiach – sukienkę ma wtedy zadartą na brzuch, a na nogach buty na wysokim obcasie. Kiedy indziej zaciąga go do sypialni i odpina guziki bluzki. On gładzi jej biustonosz. Patrzy, jak stojąc tuż przed nim, zdejmuje kolejne części garderoby, aż widać jedynie skórę.

Sny na jawie są tak rzeczywiste, że czasem, siedząc samotnie w zagajniku, musi wsunąć rękę w spodnie i zacząć się dotykać – wpierw po omacku, na oślep, później mocniej, szybciej – podczas gdy kolejna kobieta podobna do Grety Garbo kładzie się przed nim na łóżku, długie blond włosy rozsypują się po poduszce, a on na skraju lasu, kawałek od auta, dochodzi w środku, w jej ciepłej wilgoci, której nigdy nie doznał w rzeczywistości, a która zalewa go falami gorąca, aż nasienie wytryskuje w mrok, zwisa nitkami z gałęzi i liści. Wyszarpnięty z fantazji, nagle wraca na skraj drogi, w zarośla, spodnie ma opuszczone do kolan. Musi wytrzeć

ręce o trawę. Poszukać strumyka lub stawu, by zmyć ze skóry klejące grudki, zbliżyć dłoń do nosa, aby upewnić się, że zapach zniknął, i wyszorować ręce liśćmi, a w końcu sprawdzić, która jest godzina, i czekać dalej.

Inne chłopaki rozdziawiają usta z niedowierzania i zazdrości, gdy Henry mówi im o schadzkach ze starszymi, bardziej doświadczonymi kobietami. Opowiada ze szczegółami, kiedy po ciemku jadą do domu, tak barwnie, że zdaje się, jakby spotkania naprawdę się wydarzyły – tak jest i w ten piątek. Byli w Namsos, a on właśnie powiedział im o swym ostatnim podboju. Widział, jak rozpaliła ich jego historia, jaką wzbudziła zazdrość u tych, którzy najwyżej zatańczyli z jakąś dziewczyną albo się całowali.

Źdźbła na skraju drogi migoczą w blasku samochodowych lamp. Chłopaki z tyłu gadają i się śmieją, podekscytowani swoimi przeżyciami, wymieniają się detalami, cieszą się, wypowiadając imiona dziewczyn; potem wystarczy krótkie stwierdzenie, które wszyscy rozumieją, na przykład komentarz o rozmiarze biustu jakiejś kobiety, i znów wybuchają śmiechem. Tak dobrze się bawią, wręcz wyśmienicie, ale dla niego, który prowadzi samochód, słuchanie o tym w ogóle nie jest zabawne. Wprost przeciwnie! Chłopaki gadają o rzeczach, które przeżyli. Wykluczają go, chociaż to o n sprawił, że w ogóle dotarli na dansing. Tylko o n ma dostęp do auta, lecz oni mimo to siedzą jak stado kakadu i paplają, zupełnie nie biorąc go pod uwagę, nie włączając go do rozmowy, jak gdyby był ich prywatnym szoferem!

No to jeszcze zobaczą. Jeśli mam tylko prowadzić, niech mam z tego chociaż trochę frajdy, myśli Henry i oblizuje usta. Zaciska na kierownicy dłonie w rękawiczkach samochodowych, które kupił za własne pieniądze. W skórzanych rękawiczkach z dziurkami na kłykcie, takich samych, jakie noszą kierowcy rajdowi – są ciasne, mocno opinają mu palce i zmieniają go za każdym razem, kiedy je wkłada. Pochyla się nad kierownicą i wciska pedał gazu. Słyszy, jak zwiększają się obroty silnika, ale tłoki przestają nadążać, więc musi wcisnąć sprzęgło i zmienić bieg. Krzaki migają w świetle przednich reflektorów, czasami uderzają o drzwi. Tamci z tyłu przestają się śmiać. Widzi, jak uśmiechy znikają z ich facjat. Żwirowa droga jest twarda, wypłukane deszczem wyboje i dziury wstrząsają zawieszeniem.

– Spokojnie, Henry! – odzywa się jeden z kumpli, ten, który zwykle przewodzi i pierwszy zabiera głos; oburącz trzyma się zagłówka. – Chyba nam się nie spieszy?!

Henry uśmiecha się do niego w lusterku i widzi lęk w jego oczach.

– Co jest? Boisz się? – Rinnan jeszcze mocniej wciska gaz, czuje, jak samochód przechyla się na zakrętach, jak ciągnie ich siła odśrodkowa, a ciała obijają się o siebie, lecąc na boki.

Jadą coraz szybciej.

Kumpel nie odpowiada. Nie odzywa się też nikt inny. Chłopaki odchylają się tylko do tyłu i kurczowo trzymają oparć. Wskazówka prędkościomierza pnie się w górę, właśnie mają przed sobą długą prostą, możliwość sprawdzenia, jak szybko to auto potrafi jechać, myśli Henry i znów zmienia bieg. Wtedy zauważa coś w świetle lamp. Dwoje lśniących oczu tuż przy jezdni, jak u kota, ale po chwili dostrzega też resztę zwierzęcia. Pośrodku drogi siedzi zając. Kudłaty cel, niespodziewana nagroda, jak miś na loterii.

– Patrzcie, chłopaki! Jutro na obiad będzie stek z zająca! – woła i z całej siły wciska pedał gazu.

– Henry! – krzyczy jeden z kolegów, ten na przednim siedzeniu, który prawie nigdy nic nie mówi, ale Henry nie odpowiada, przez dwie sekundy garbi się tylko nad kierownicą, przez chwilę radości, szybkości, napięcia, podczas gdy auto ryczy na zaskoczone futrzane stworzenie na środku drogi.

Aż nagle…

Zając odskakuje, pędzi prosto w krzaki przy drodze, ale nie może, nie ma prawa, myśli Henry i skręca za nim, nie wolno mu się wymknąć, nie przechytrzy go, do jasnej cholery!, woła w myślach, wykrzywiając kierownicę i celując w zwierzaka, przekonany, że mu się uda.

Wtedy wszystko dzieje się szybko.

Zając znika, nie ma go już w świetle reflektorów.

Kolega z tyłu głośno wykrzykuje imię kierowcy.

Samochód zjeżdża z drogi i się przewraca. Huk, uderzenie w bok i Henry leży z twarzą przyciśniętą do drzwi. Auto stoi po skosie, oparte

o kamień. Na kolanach Henry'ego leżą odłamki szkła, a przednia szyba jest wybrzuszona. Ktoś jęczy. Przeklina.

Henry kilka razy mruga; czuje ból w piersi, w którą wbija się kierownica. Dokucza mu ręka, na której leży, dociśnięta do drzwi, ale żyje, żyje, może ruszać kończynami, więc nie stało się nic poważnego, trzeba jedynie zachować spokój. Nie może myśleć o tym, co będzie, gdy zaprezentuje wujkowi wrak, teraz nie może zaprzątać sobie tym głowy, bo wtedy wszystko się rypnie, więc musi udawać, że nic się nie stało. Odwraca głowę, patrzy na kumpla na siedzeniu obok – na jego kolanach i w fałdach rękawów leżą odłamki szkła, chłopak zasłania twarz dłońmi. Są zakrwawione.

– Hej? Żyjecie tam? – pyta, starając się mówić tym samym tonem, równie ostrym jak wcześniej, lecz odpowiadają mu jedynie nieartykułowane jęki.

– No tak. Niech to szlag. Nie będzie steku z zająca – mamrocze Henry i opuszcza szybę. Na szczęście drzwi się nie wygięły, więc udaje mu się całkiem otworzyć okno i wypełznąć na zewnątrz. Kolega z siedzenia obok wychodzi za nim, krew z nosa kapie na drzwi.

Henry wstaje i strzepuje ze spodni kawałki szkła. Tamci dwaj, którzy siedzieli z tyłu, zgarbieni wydostają się z auta. Jeden mocno zaciska zęby i podtrzymuje przedramię, jakby było złamane.

– Pieprzony zając! – woła Henry. – Dlaczego musiał zeskoczyć z drogi? Akurat w momencie, gdy miałem go trafić?!

Chłopaki spoglądają na niego niepewnie.

– Nie gapcie się tak! – karci ich Henry. – Pomóżcie mi wepchnąć wóz z powrotem na drogę!

Zbliża się do drzwi od strony kierowcy i je chwyta. Tamci podchodzą zdezorientowani do bagażnika i ustawiają się za nim w rzędzie. W spojrzeniach mają jakąś uległość, jakby nie mieli odwagi nic zrobić, zanim Henry ich nie poprosi. Pchają, kiedy mówi, żeby pchali, czekają, kiedy im każe, i wysilają się jeszcze bardziej, gdy Henry na nich krzyczy, samochód zaś toczy się pod górkę i wreszcie wjeżdżają na drogę.

Wszyscy wsiadają do środka. Panuje cisza. Silnik odpala. Henry odwraca się i skupia na sobie ich uwagę. Jeżeli któryś powie Sverremu Hvedingowi

o przyczynie stłuczki, Rinnan straci pracę i już nigdy nie będzie mógł pożyczyć auta, a co za tym idzie – znów znajdzie się poza nawiasem.

– Słuchajcie. Powiem wam, co się stało – odzywa się Henry cicho i upewnia się, że wszyscy słuchają. – Nie ma żadnego zająca. N i g d y nie było żadnego zająca. Prawda?

– Jak to...? – pyta jeden z kolegów, a Henry rzuca mu surowe spojrzenie, tak jak zawsze robią bohaterowie filmów, kiedy przejmują kontrolę nad sytuacją.

– Słuchajcie uważnie – mówi. – Z przeciwnej strony nadjechał samochód. Zbyt szybko. Tak prędko, że nie zdążyliśmy zobaczyć nic poza oślepiającymi światłami. Jakiś dureń zepchnął nas z drogi i nie zatrzymał się, chociaż musiał widzieć, że wylądowaliśmy w rowie. To właśnie się stało... Zrozumiano?! – pyta.

Spoglądają na niego niepewnie, jak gdyby trudno było to pojąć. – Zrozumiano, pytam!? – powtarza Henry, tym razem głośniej, na co wszyscy kiwają głowami i wydobywają z siebie: – Tak, Henry Oliverze.

Żaden nie śmie się sprzeciwić. Niesamowite, myśli Rinnan. Na ich twarzach nie ma już śladu wyszczerzonych uśmiechów i męskości, nagle to tylko przerażone dzieciaki, stojące przed ojcem.

D jak dłonie. Dłonie, które wiążą sznurówkę. Dłonie, które unoszą dziecko do kwiatów na drzewie owocowym. Dłonie, które strzepują okruszki ze stołu szybkimi, gwałtownymi ruchami. Dłonie, które wbijają gwoździe w podeszwę buta. Dłonie, które chwytają bicz. Dłonie, które zaciskają się w pięść i uderzają kogoś w policzek. Dłonie związane liną. Dłonie, które trzymają szklankę. Dłonie, które głaszczą policzek. Dłonie wsuwane w rękawiczki. Dłonie, które przesuwają się po beli tweedu. Dziecięce rączki na oknie, na klamce. Palec wskazujący dziewczynki, który zasłania usta. To Jannicke Komissar. Jej buzia lśni w blasku świecy trzymanej w dłoni, a płomień nieznacznie kołysze się od jej oddechu, kiedy odwraca się do siostrzyczki i szepcze: „Chodź, Grete. Tam na górze jest tajemne przejście!”.

D jak drżenie rosy rankiem na trawie, od czego ziemia koło obozu migocze w świetle słońca.

D jak droga przez Niemcy przed wojną. Kiedy jechałeś obejrzeć nowe kolekcje sukienek lub spotkać się z hurtownikami, z okien pociągu zdarzało ci się widywać winnice.

D jak data i jak dramatyzm w głosie Marie Komissar, gdy dwunastego stycznia 1942 roku dzwoni do Gersona, by z rozdygotaną powagą wypowiedzieć słowa, które zmienią wszystko: „Zabrali twojego ojca!”.

E

E jak egzekucja.

E jak emblemat.

E jak *Elektrisk Bureau* – logo firmy wytłoczone w plastikowej obudowie telefonu, nad którym pochyla się Gerson w domku wakacyjnym niedaleko Trondheim dwunastego stycznia 1942 roku.

Ma na sobie pumpy i wełnianą koszulkę, a w pokoju dziennym obok siedzi grupa jego przyjaciół. Wszyscy są studentami, nikt nie ma sympatii, powietrze wypełniają śmiech, papierosowy dym, unoszący się nad przepoconymi anorakami, oraz pożądliwe spojrzenia – czy raczej wszystko to w y p e ł n i a ł o powietrze, do chwili gdy w przedpokoju zaczął dzwonić telefon, a kumpel, do którego należy domek, nagle zawołał Gersona, dodając, że to do niego. Wszystko to zakrawało na absurd. To, że w ogóle rodzina kolegi kazała założyć linię telefoniczną w domku wakacyjnym, to, że telefon właśnie zadzwonił, wdzierając się do ich rozmowy, a co gorsza: że ktoś dzwonił do niego. Gwar ucichł, bo dlaczego ktoś miałby kontaktować się z Gersonem akurat tutaj?

– Zabrali ojca – szepcze matka.

Słowa nie docierają do niego, wprowadzają zamęt, sprawiają, że gapi się w milczeniu na telefon. Na podłodze nieopodal stoi rząd butów narciarskich z czarnymi, płaskimi czubkami, przypominają dziobaki. Na sznurówkach niektórych wciąż widać bryłki lodu, gotowe za chwilę się roztopić.

– Gerson, jesteś tam?

– Tak, jestem… Kiedy?

– Dziś przed południem! Zadzwonili i powiedzieli, że ma zgłosić się na przesłuchanie do Hotelu Misyjnego…

– O co jest oskarżony?

– Nie wiem… Nie powinniśmy byli wracać ze Szwecji! – mówi matka. Chłopak słyszy, że zbiera jej się na płacz.

Drzwi wejściowe do domku się otwierają, do środka wchodzi jeden z przyjaciół Gersona z wiadrem pełnym śniegu i z szerokim uśmiechem, który niknie, gdy zdaje sobie sprawę z ciszy panującej w pokoju.

– Nie może uciec? – pyta Gerson półgłosem.

– Nie, nie chce. Ja w szpitalu… I ze względu na was – odpowiada Marie, a Gerson słyszy wzbierający w niej płacz.

– Czy Jacob wie?

– Tak, jest zdenerwowany. Ojciec z nim rozmawiał.

Słyszy, jak matka odsuwa słuchawkę od ust, by stłumić szloch.

– Przyjeżdżam natychmiast! – mówi Gerson. Rozłącza się i patrzy na twarze kolegów, pełne powagi i niemych pytań.

– Co się stało? – chce wiedzieć jeden z nich.

Gerson nadal stoi z ręką na telefonie. Zalewa go ciepło, kłuje w policzki.

– Niemcy zabrali ojca.

– Dlaczego? – pyta jasnowłosa dziewczyna.

– Nie wiem… Muszę wracać do domu. Przepraszam.

Gerson w pośpiechu wpycha ubrania do plecaka. Zauważa, że radość i śmiech w spojrzeniach przyjaciół zostają zastąpione przez współczucie, wstyd i zakłopotanie. Czuje, że tylko czekają, aż sobie pójdzie, bo chociaż na pewno jest im go szkoda, częścią siebie chcą się go pozbyć, gdyż jego obecność nagle wniosła w ich życie ciemność oraz powagę, od której pragnęli uciec. Powinienem był wiedzieć, myśli Gerson, wciskając ostatni sweter do plecaka i sznurując buty. Wszyscy powinni byli wiedzieć, że do tego dojdzie, prędzej czy później, myśli, po czym wstaje, obejmuje dziewczyny, podaje rękę kolegom i dziękuje za wspólnie spędzony czas. Kumpel, do którego rodziny należy domek, odwiezie go i wróci do pozostałych.

Gerson zanosi plecak i narty do auta, stojącego przy szosie. W drodze do Trondheim milczy, opiera czoło o chłodną szybę i rozmyśla o tragicznej decyzji o powrocie do Norwegii w 1940 roku. A przecież w dniu inwazji na

Norwegię udało im się uciec do Szwecji. Spakowali się, pośpiesznie pojechali na stację kolejową i zostawili na niej samochód. Przedostali się przez granicę ostatnim pociągiem przed wprowadzeniem kontroli. Mijał czas, aż wreszcie rodzina się dowiedziała, że powrót do domu będzie bezpieczny. Że sytuacja Żydów się unormowała, że można już żyć jak wcześniej, wystarczy się nie wychylać. Dlatego wrócili do Trondheim, do swojego mieszkania i starego życia. Wszyscy oprócz siostry, Lillemor. Gdyby tylko zostali z nią w Szwecji!

Gerson otwiera oczy i wygląda przez okno. Świeży śnieg leży na polach, kryształki migoczą w słońcu. Zając, który przebiegł po białej ziemi, zostawił na niej prosty pas kropek, podobnych do szwów na tkaninie w ich butiku.

Wysiada tuż koło sklepu rodziców, przez szybę widzi niemieckich żołnierzy. Matka, wypisana ze szpitala, chociaż nie może stać o własnych siłach, długo go przytula. Jeden z umundurowanych mężczyzn mówi, że stancja Gersona została przeszukana i że chłopak musi z nim iść na przesłuchanie. Następnie wpychają go do samochodu; matka krzyczy coś za nim, lecz on nie słyszy jej słów. Dokąd jadą? Wyobraża sobie więzienie lub obóz karny, tymczasem auto sunie przez śródmieście i zatrzymuje się przed budynkiem przerobionym na siedzibę Gestapo. Przed Hotelem Misyjnym.

Popychają go w stronę drzwi. Prosto w gmatwaninę żołnierzy, norweskich więźniów i prowizorycznych łóżek.

Zza grupy więźniów wychodzi młody mężczyzna w spodniach jeździeckich i oficerkach, niski facet, który szybko mija funkcjonariuszy, kierując się bezpośrednio do dowódcy. Z początku Gerson zwraca na niego uwagę z powodu wzrostu, przenikliwego spojrzenia i głowy, za dużej w stosunku do ciała, później jednak zapamięta go ze względu na akcent. Mężczyzna mówi po niemiecku z dużą ilością błędów gramatycznych i z wyraźnym lokalnym akcentem. To Norweg.

E jak ekipa, która idzie kraść jabłka na obrzeżach Levanger, mijając ładne sztachetowe płoty, żółte, połyskujące okna i powykrzywiane drzewa, uginające się pod ciężarem owoców. Rinnan prowadzi.

– Tutaj – szepcze jeden z chłopaków, wskazując głową ogród, w którym stoi ogromna jabłoń, obsypana owocami.

– Idealnie, ja mogę stać na straży – odpowiada Henry, wyjmuje z wewnętrznej kieszeni pistolet i nonszalancko nim wymachuje. Pozostali pochylają się, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Pistolet? – szepcze jeden. – Masz ze sobą pistolet? – Chłopaki spoglądają po sobie niepewnie.

– A na co wygląda? – Henry szczerzy zęby w uśmiechu. – Przełaźcie na drugą stronę! – Koledzy robią, jak im każe, niezdarnie wdrapują się na płot, starając się nie zahaczyć o niego spodniami, po czym znikają w mroku pod koronami drzew.

Jest spokojnie, ciemna sierpniowa noc, ani żywego ducha. Sytuacja przypomina scenę z filmu. Gdyby tylko nie kradli pospolitych j a b ł e k, myśli Henry, a napięcie burzy mu krew i pulsuje w ciele. A gdyby to wcale nie była podrzędna willowa dzielnica w Levanger, tylko amerykańska metropolia? Nowy Jork albo Chicago? Napadliby nie na stary o g r ó d, tylko na F e d e r a l B a n k. Mieliby maski karnawałowe albo kominiarki zasłaniające całe twarze oprócz oczu i cicho poprosiliby pracowników w okienku o wydanie pieniędzy i trzymanie rąk z dala od przycisku alarmowego.

Henry widzi sylwetki kolegów pod koronami drzew. Widzi, jak zrywają jabłka, uparte ogonki owoców nie chcą puścić gałęzi, które trzepoczą. Któreś okno się otwiera i wygląda przez nie mężczyzna.

– Hej, co wy robicie?! – krzyczy, na co Henry odruchowo unosi pistolet i pociąga za spust.

Czuje nagły odrzut, jakby w ramię ugryzła go żmija. Dwa strzały padają z hukiem tak głośnym, że odbija się echem po ulicach. Pozostali chłopcy aż podskakują, tak bardzo wystraszeni, że upuszczają jabłka, które toczą się po drodze. Henry podnosi jedno z nich, czuje, jak wali mu serce, i biegiem mija wraz z innymi kolejne domy, aż wreszcie są już bezpieczni. Zatrzymują się, z trudem łapiąc oddech.

– Skąd to masz? – pyta nerwowo jeden z kolegów, spoglądając na broń.

– A skąd przypuszczenie, że odpowiem na to pytanie? – rzuca Henry i odgryza kawałek jabłka. Wytrzymuje spojrzenie tamtego, jednocześnie

miażdżąc zębami miąższ.

Mija sekunda. Mija kolejna, ale kolega nie odpowiada, najwyraźniej nie ma odwagi, a Henry czuje, jak radość buzuje w nim na widok niepewności i lęku na twarzy chłopaka, bo w jego oczach kryje się też coś innego.

Swego rodzaju podziw albo szacunek.

W kolejnych tygodniach narasta w nim pewność siebie i zmienia jego zachowanie, sprawia, że Rinnan patrzy inaczej niż kiedyś. Musi to być widoczne – musi tym promieniować, być atrakcyjniejszy, bo niedługo po epizodzie z pistoletem spotyka Klarę.

Kobietę, dzięki której wszystko na krótko się zmienia.

E jak Ellen Komissar, w chwili gdy wreszcie wjeżdżają w wąskie uliczki Trondheim. Jannicke po raz kolejny zasnęła na jej kolanach. Samochód jest niczym mechaniczna kołyska, myśli Ellen, wraz z uruchomieniem silnika drgania i szum lulają dwulatkę do snu. Przechyla głowę i patrzy na niskie drewniane domy, krzywe, dziwne, czarujące budyneczki, niemal jak teatralne kulisy albo domki dla lalek, i zaczyna się cieszyć na nowy start. W Oslo nie ułożyli sobie życia, ale mogą zacząć tutaj, już się cieszy, że znowu zobaczy sklep, że będzie mogła przymierzać ubrania, które Marie importuje z kontynentu. Będzie mogła się zmienić, stać się kobietą pewną siebie. Jedną z tych, które noszą kreacje z Francji, Niemiec, Włoch. Rozpoznaje ulice i opiera się o przednie siedzenie, żeby zobaczyć, dokąd jadą, brzuchem dotykając głowy córeczki; wskazuje boczną uliczkę.

– To chyba tam, co? – pyta.

Gerson czuje się wyraźnie nieswojo, zbyt mocno ściska kierownicę i siedzi sztywno, pochylony do przodu, z rozbieganym wzrokiem.

– To tam? – pyta podenerwowany; byłby przeoczył skręt.

Cały on, myśli Ellen. Cały on, sądzi, że ona nic nie wie, że w żaden sposób nie może mu pomóc.

– Tak, popatrz! Nordregate jest tam! – mówi mu.

Gerson przeklina, a Ellen widzi, że jest spocony, próbuje zmienić bieg, ale każdy ruch wykonuje za szybko – tuż za nimi pojawia się jakieś auto – więc dźwignia trafia w próżnię. Skrzynia biegów wydaje głośny,

przenikliwy dźwięk, Jannicke otwiera oczy i natychmiast zaczyna marudzić, jak gdyby wyczuła napiętą atmosferę w kabinie.

Gerson znów chwyta dźwignię zmiany biegów, zbyt mocno nią szarpie i z wysiłkiem wrzuca wsteczny. Odwraca się i patrzy w punkt tuż koło głowy Ellen, zaczyna cofać, ale za szybko, bo przecież z tyłu stoi jakiś samochód, myśli ona i się odwraca.

– Gerson! – krzyczy, patrząc, jak auto się do nich zbliża, jak mężczyzna za kierownicą wpatruje się w nich ze zdumieniem, aż wreszcie Gerson zmienia bieg i wjeżdża w boczną uliczkę. W kabinie zapada cisza, Ellen zauważa spojrzenie Jannicke i ujmuje jej rączkę. Próbuje uspokoić ją uśmiechem.

Gerson parkuje tuż koło sklepu „Paris-Wien", który znajduje się na rogu, a jego duże, panoramiczne okna wychodzą na drogę. Ellen sadza sobie Jannicke na kolanach i pokazuje palcem przez szybę.

– Patrz – mówi. – To sklep babci! Pójdziemy tam teraz pooglądać sukienki. – Jannicke spogląda na nią dużymi, błyszczącymi oczami. Ellen czuje jej rączki na szyi.

Otwiera drzwi auta. Patrzy, jak Gerson wyjmuje zapalniczkę i zapala papierosa. Potem podchodzą do sklepu. Nagle drzwi się otwierają i wychodzi przez nie Marie w kapeluszu z szerokim rondem, przewiązanym jedwabną wstążką, i w luźnej koronkowej bluzce, wpuszczonej w czarną spódnicę przyklejoną do bioder. Unosi dłoń w eleganckim pozdrowieniu. Ma w sobie coś z arystokratki, jakąś perfekcję, myśli Ellen i strzepuje paproch z bluzki.

– Witamy w mieście! – mówi Marie, ściskając Ellen, a następnie zwraca się do Jannicke: – Tu jesteś, moja mała.

Ale Jannicke przekrzywia główkę w bok i to wystarczy, żeby babka zrezygnowała z prób nawiązania kontaktu z wnuczką i spojrzała na Ellen.

– Jak minęła podróż? – pyta. Nie czekając na odpowiedź, kieruje się do drzwi. – Jak dobrze, że tu jesteście!

Ellen odwraca się do Gersona i lekko kręci głową, ale on zdaje się nie rozumieć, o co jej chodzi. Chyba za bardzo przywykł do sposobu bycia matki, żeby to zauważyć. Wchodzą do środka, a Ellen postanawia o wszystkim zapomnieć – o podróży i braku zainteresowania ze strony

teściowej – bo sklep jest naprawdę świetny, myśli, podchodząc do półek i wieszaków. Gładzi palcami tkaniny. Jedwab, szyfon, wełnę. Błyszczące, piękne guziki, prawdziwa skarbnica. Nareszcie Gerson ma pracę, dodaje w myślach, stały dochód – oby była warta ceny, jaką jest przeprowadzka z Oslo do tego miejsca z dala od rodziców i bliźniaczki Grete. Zawsze mieszkała blisko siostry, robiła to samo co ona i wszystkim się z nią dzieliła. Teraz mają żyć w różnych miastach, chociaż nigdy nie przebywały z dala od siebie dłużej niż kilka godzin.

– Proszę. – Marie wyjmuje spod lady butelkę portwajnu i trzy małe kieliszki. – Musimy to uczcić!

– Dziękuję, mamo. – Gerson przyjmuje wino. Spogląda na Ellen, jak gdyby prosił ją o pozwolenie na wypicie łyku. Ellen też odbiera kieliszek. Wznoszą toast i upija odrobinę. Natychmiast czuje ciepło rozchodzące się po ciele i musi puścić Jannicke, która zsuwa się z jej biodra, chce zejść na podłogę.

– Jesteśmy tutaj, kto by pomyślał – odzywa się Ellen. – Mamy pracę i dziecko, a niedługo będziemy też mieli dom! – Wtedy zauważa, że z Gersonem się coś dzieje. Mruga raz za razem i oblizuje wargi.

– Tak, mamy szczęście – odpowiada mąż, jak gdyby nigdy nic.

– To prawda. – Marie odstawia kieliszek na ladę, rozlega się delikatny brzęk. – Oczywiście pomogło to, że nie było zbyt wielu chętnych do kupna tego domu… Z uwagi na jego przeszłość.

Ellen patrzy skonfundowana na Gersona. Z uwagi na jego przeszłość?

– Ale, co trzeba docenić, w zamian dostaniecie naprawdę dużo – dopowiada teściowa.

– Co masz na myśli? – pyta Ellen.

Marie przez chwilę spogląda zdezorientowana na Gersona.

– Jak to… Nic jej nie powiedziałeś?

– O czym? – chce wiedzieć Ellen.

– O przeszłości tego domu.

Jannicke idzie na czworakach po podłodze, prosto do wieszaka z sukienkami, więc Ellen szybko ją podnosi.

– O jakiej przeszłości? – pyta Gersona, który wpatruje się w kieliszek portwajnu, obracając nim w dłoni.

– No, nie bez powodu kupiliśmy go tak tanio – odpowiada po chwili.

– I co to za powód? – dopytuje się Ellen. – Czy jest w złym stanie? Coś się stało?

– Podczas wojny dom był kwaterą główną Henry'ego Rinnana – mówi Marie.

Ellen czuje, jak włosy na rękach stają jej dęba. Walczy z Jannicke, która próbuje jej się wywinąć z powrotem na podłogę, aby ruszyć na wyprawę po sklepie.

– Henry'ego Rinnana? – pyta. – Tam, gdzie to wszystko robili? Mamy… Mamy mieszkać w domu bandy Rinnana?

– Tak, ale skarbie – uśmiecha się Marie – jak inaczej mielibyście sobie pozwolić na willę z ogrodem na górnym Singsaker?

E jak elastyczne taśmy i elementy wyposażenia kuchni, które przez pierwszych kilka dni stoją w pudełkach pod ścianą, jak gdyby musiały przywyknąć, zanim ośmielą się wypełznąć na zewnątrz, by znaleźć sobie miejsce w nowym domu.

E jak energia, którą zabiera ci praca w obozie karnym, po trochu, stopniowo, aż zaczynasz myśleć, że wszystko ci jedno, że lepiej byłoby zniknąć. Położyć się płasko na ziemi, policzkiem przylgnąć do paprochów, igliwia i zapachu ziemi. Leżeć tak, rozluźnić wszystkie mięśnie, zamknąć oczy i nie przejmować się krzyczącym strażnikiem. Nie przejmować się kopniakiem w bok ani kolegami, którzy próbują cię podnieść. Leżeć tak i czuć potrzebę zapadnięcia się w ziemię, połączenia się z nią, poznania, że śmierć nie jest czymś, od czego się ucieka, lecz wprost przeciwnie – czymś, co można przyjąć z otwartymi rękami, ponieważ śmierć to najszybsza i jedyna pewna droga prowadząca z obozu.

F

F jak fale przeszłości, które ciągle wracają.

F jak faszyzm, który wciąż rośnie, niczym guz na tkance kultury.

F jak Falstad. Gdy pewnego przedpołudnia jadę taksówką z dworca kolejowego, godzinę na północ od Trondheim, jest ciepło, choć to już połowa października. Z obu stron pola, a po obu stronach wąskiej, lokalnej drogi ciągnie się przerywana linia, jakby jakiś olbrzym miał chwycić nożyce i wyciąć drogę z krajobrazu.

Brązowy znak z międzynarodowym symbolem atrakcji turystycznej: kwadrat o rogach okręcających się wokół siebie, podobnie jak historia, która również zatacza kręgi, powtarza te same wzory, te same motywy. Miłość, żądza, posiadanie, nienawiść. Śmiech, radość, strach, złość. Zakochanie, pożądanie, choroba i narodziny.

Nagle się wyłania.

Pomalowany na żółto, murowany dwukondygnacyjny budynek z zamkniętym dziedzińcem, do którego prowadzi łukowaty podjazd, a ponad dachem góruje wieża zegarowa. Piękny budynek, stworzony z myślą o szkole specjalnej dla niepełnosprawnych umysłowo, z dala od miasta.

W atrium między murami brzoza o pożółkłych liściach, z których wiele zdążyło już spaść na ziemię.

To samo drzewo stało tam październikowego ranka, kiedy kazano ci przejść przez bramę i poprowadzono drogą do bagnistego lasu nieopodal.

Słońce wisiało nad krajobrazem, świecąc na złote liście. Migotało w kropelkach rosy, osuszało korę drzewa, podczas gdy cień pnia niczym wskazówka zegara przesuwał się po dziedzińcu, aż mrok ogarnął okolicę, pochłonął wszystko na swojej drodze.

Kilka godzin później rzędem wprowadzono przez bramę nową grupę więźniów. Niektórzy patrzyli sztywno przed siebie, żeby nie prowokować

strażników, inni podnosili na chwilę wzrok, żeby sprawdzić, w jakie miejsce trafili. Jednym z nich był Julius Paltiel, młody mężczyzna, który później miał wżenić się w rodzinę Komissarów, kiedy rozwiedli się Jacob i Vera Komissar. Julius Paltiel opowiada o dziedzińcu z brzozą w jednej z książek, które napisał z Verą Komissar. Był październik 1942 roku, tuż po tym, jak zostałeś zabity, a Julius przebywał na spacerniaku razem z wieloma innymi więźniami, kiedy jeden z niemieckich żołnierzy rozkazał im usunąć liście z ziemi. „Czy są grabie?", zapytał któryś z więźniów. Wtedy niemiecki żołnierz ich wyśmiał, zmusił, by na czworakach przenosili liście w ustach.

Julius Paltiel musiał czołgać się po dziedzińcu. Zanurzać twarz w na wpół zgniłych liściach i czuć na języku ich mdlący smak. Wszyscy w pełnym skupieniu. Schylali głowy i wypluwali liście. Czołgali się z powrotem, schylali i znów opuszczali głowy do ziemi.

Julius Paltiel przeżył Falstad i został wysłany dalej, do Oslo, gdzie wsadzono go do pociągu jadącego na południe, do obozów koncentracyjnych.

Przeżył podróż przez Europę.

Przeżył trzy lata w Auschwitz i marsz śmierci przez Czechy, aż do Buchenwaldu. Wraz z kilkoma więźniami schował się, kiedy strzelano do innych Żydów, przeżył rozczarowanie, gdy nie wypuszczono go na wolność, tak jak innych, w marcu 1945 roku, musiał czekać do maja, do wyzwolenia przez Amerykanów.

Poznałem go nieco ponad pięćdziesiąt lat później na obiedzie u Gersona, a najbardziej uderzył mnie sposób bycia tego mężczyzny, jednego z nielicznych, którzy wrócili z obozu koncentracyjnego i z marszu śmierci. Nie był zgorzkniałym, zniszczonym człowiekiem, który przeklina życie za ból istnienia, lecz wprost przeciwnie – wszystko, co mówił i robił, cechowało się wyjątkowo rzadkim opanowaniem.

Julius Paltiel siedział spokojnie, mówił cicho, rękaw koszuli miał podwinięty, tak że widać było amatorski tatuaż z numerem więźnia Auschwitz, i cały aż promieniał.

Stojąc na piętrze w Falstad i patrząc przez okna na brzozę w dole, znów widzę przed sobą jego twarz. Życzliwość człowieka, którego hartowały

kolejne traumatyczne przeżycia, aż zostało w nim tylko to, co najmocniejsze. Jak to się dzieje, że ten opór, to zło jednym daje siłę, podczas gdy inni ulegają mu, łamią się, ciemnieją, karłowacieją, niszczeją?

Czy wszystko zależy od tego, co już ma się w sobie? Od doświadczeń z wczesnego dzieciństwa? Od tego, czy gdzieś na dnie osobowości tkwi poczucie, że jest się kochanym, czy może chłód. A bracia i siostry Rinnana? Tylko dwoje z nich przeszło na jego stronę.

Henry Rinnan ponoć nawet przyznał się swojemu bratu podczas jazdy samochodem, że jest szpiegiem na usługach Niemców, lecz kiedy zaoferował mu pracę u swojego boku, ten poprosił, by Henry zatrzymał auto, i wysiadł, żeby przejść na piechotę całą drogę powrotną aż do Levanger.

Mężczyzna, który oprowadza mnie po Falstad, wychodzi z biura z kluczykami samochodowymi w ręce i pyta, czy jestem gotów obejrzeć pomniki w miejscu, w którym rozstrzeliwano więźniów. Idę za nim. Jedziemy polną drogą przez las aż do grobów: wystających z wrzosów kamieni w kształcie piramid, ozdobionych grubo ciosanymi rzymskimi cyframi. Zostawia mnie w spokoju, kiedy przechadzam się między sosnami wśród wrzosów. Odłamane gałęzie sterczą jak kolce na pniach. Na ziemi leży duży kamień w kształcie muszli, z wyrytymi nazwiskami zabitych. Niektóre przykrywają drobne liście, a ja prawie natychmiast znajduję twoje. Przesuwam po nim palcem, zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić ten ranek tak dawno temu. Stałeś tu, zaraz obok, może wśród tych samych drzew. Mój pomocnik z Falstad wskazuje na niedużą kamienną piramidkę, postawioną w miejscu twojego pierwszego pochówku. Robię zdjęcia, prawie nie rozmawiamy. Wracam do auta. Dziękuję mu i jadę dalej.

Następna osoba, z którą jestem umówiony, to obecny właściciel domu-bazy Henry'ego Rinnana. Przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć. Bandeklosteret – tym razem wejdę do środka.

F jak Flesch, co nie tylko brzmi jak „ciało" po angielsku, ale jest również nazwiskiem nowego szefa Służby Bezpieczeństwa w środkowej Norwegii.

Biurokratę tego wielokrotnie widywałeś podczas pobytu w Falstad, zauważyłeś też, jak przy Gerhardzie Fleschu żołnierze za każdym razem stają się nerwowi i bezwzględni. Przeistaczają się w surowsze, bardziej szorstkie wydania samych siebie, z obawy przed tym, co oficer z nimi zrobi, jeżeli zdradzą oznaki słabości lub życzliwości. To mężczyzna o całkiem zwyczajnym, wręcz urzędniczym wyglądzie, rzadkich włosach i jasnych, przyjaznych oczach, niepasujących do jego czynów: nieuzasadnionych kopniaków, ciosów pięścią i nagłych egzekucji. Ostatnio wczesnym rankiem, na dzień przed tym, jak zabito ciebie.

F jak fantastyczna pogoda przy Jonsvannsveien. Stare drzewa owocowe pną się ponad sztachetowym płotem, obsypane zielonymi liśćmi i białymi kwiatami, które za kilka dni znikną, Ellen dobrze o tym wie.

– Popatrz! – odzywa się Gerson z entuzjazmem. – Mnóstwo śliw i jabłoni! Nie sądzisz, że może tu być ładnie? – zwraca się do córki, która siedzi mu na ramionach, lecz to pytanie retoryczne właściwie kieruje do m n i e, myśli Ellen, kiwając głową, „bardzo ładnie" – odpowiada i rzeczywiście tak sądzi, bo ogród jest naprawdę wspaniały. Duży, pełen drzew owocowych i krzewów porzeczek. W Oslo tego nie mieli. W dodatku przejmą jeszcze całą willę, świetnie położoną na wzgórzu w wytwornej dzielnicy. Dość niską, o wyjątkowej bryle, bo dach przykrywa tylko jedną kondygnację budynku w kształcie litery „L", otaczającego altanę, w której stoi długi stół, a na nim wazony pełne kwiatów. Z dachu wystaje łukowe okno, Ellen widziała je na zdjęciach, które Gerson otrzymał od matki. To samo okno oglądała na fotografiach z rozprawy Rinnana, ale nie wolno jej o tym myśleć; muszę wziąć się w garść, myśli Ellen, podnosząc wzrok na córkę. Widzi, z jakim zadowoleniem siedzi na ramionach ojca. Jak cała jej pucołowata buzia cieszy się na widok ogrodu, jak pokazuje śliczną rączką i mówi: „dziewo!".

Ellen spostrzega piwniczne okna i czuje chmarę natarczywych myśli, ale tylko odwraca się do córki.

– Tak, będzie nam tutaj jak u Pana Boga za piecem – Ellen się uśmiecha, kciukiem i palcem wskazującym gładząc miękką rączkę Jannicke i spoglądając na Gersona. Są szalenie uprzywilejowani. O tym musi myśleć. O niczym innym.

Nie wolno jej myśleć o przeszłości domu, bo Gerson ma całkowitą rację. Przez parę lat działało tutaj przedszkole, więc wszystko, co nieprzyjemne, musiało już wyparować, dom z pewnością odrodził się jako rodzinne lokum. Zamiast wyobrażać sobie ogrodzenie z drutu kolczastego dookoła posesji oraz więźniów wyciąganych z aut na przesłuchanie musi skupić się na t e j d r u g i e j historii. Mieć przed oczami dzieci biegające po ogrodzie, wspinające się po schodach, stopień za stopniem, dzieci o pulchnych nóżkach i kędzierzawych włosach na słodkich główkach. To n a n i c h musi się skoncentrować. Musi wziąć się w garść i pamiętać, jakimi są szczęściarzami, bo są nimi naprawdę. Znalazła znakomitego męża, wprowadza się do willi, a cała jej rodzina przeżyła wojnę, poniosła w niej tylko straty finansowe. Inaczej niż inne znane jej żydowskie rodziny, po których zostały jedynie puste mieszkania. Które wycięto w pień, zredukowano do nazwisk wspominanych w synagodze albo w rozmowie z przypadkiem spotkanym starym kolegą, kiedy zada się pytanie o wspólnych znajomych. Co stało się z tym i owym? Ilu dało radę? Na twarzy rozmówcy widać wówczas zdenerwowanie, zaczyna mrugać, a może nagle musi podrapać się po ramieniu, zanim poda odpowiedź. Że wszyscy zniknęli. Nie wolno wtedy pytać o najmłodszych, nauczyła się Ellen, nigdy nie wolno pytać o dzieci, o dwu-, cztero- i siedmiolatków, bo one również przepadły.

Ma szczęście, mają szczęście, ponieważ im się udało, nie zostali zabici, jak ojciec Gersona i jak brat Marie. A chociaż wojna pogrążyła ich finanse, mimo wszystko trafiła im się ta wspaniała willa w bezpiecznej, dobrej dzielnicy Trondheim. Mamy szczęście, powtarza sobie Ellen raz za razem. Mimo to nie potrafi pozbyć się wrażenia, że coś się nie zgadza. Wzbiera w niej chłód, zalewa ją krótkim dreszczem, gdy wchodzą do ogrodu. „Czy wiesz, że w tych pomieszczeniach torturowano setki ludzi?”

Gerson zdejmuje Jannicke z ramion, a ona puszcza się biegiem przed siebie, by zbadać ogród. Jest jak szczeniaczek, który skacze z miejsca na miejsce. Rączką gładzi stojaki, na których można rozwieszać pranie albo się gimnastykować. Patrzy na rzędy rabatek, skrzynki z warzywami i drzewa, na które może się wspinać.

Gerson wyjmuje klucze. Dom powinien być pusty, poprzedni mieszkańcy – rodzina Tambs-Lyche – wyjechali już do Oslo, więc Marie

wszystko załatwiła. Teraz dom należy do nich, zamienili nań, za niewielką dopłatą, szeregowiec w Holmen w Oslo, który planowali kupić.

Tutaj. To tutaj zamieszkają. Będzie dobrze, myśli Ellen i bierze Gersona pod rękę. Jest wspaniały, myśli. Brązowe oczy, ciemne loki, złota skóra. Bystry i troskliwy mąż. Opiera głowę na jego ramieniu. Będzie dobrze, mówi sobie w duchu i ponownie odwraca wzrok od piwnicznych okien, zasłoniętych żelaznymi kratami, z żelaznymi kółkami w miejscach przecięcia prętów, wyglądającymi jak kajdanki.

F jak ford.

F jak fabryka.

F jak fanatyzm.

F jak falstadzka wiosna, kiedy to Marie i Jacob kilkakrotnie cię odwiedzają, podobnie jak rodziny innych więźniów. Lecz gdy stoicie po przeciwnych stronach płotu, radość i ulgę, że oboje żyją i dobrze wyglądają, przyćmiewa inne uczucie. Wstyd wywołany tym, że chodzisz w obozowym stroju, niechlujny i wycieńczony. Z niechęcią przekładasz ręce przez druty, żeby poczuć ich miękką skórę, bo nie poznajesz samego siebie, a w ich oczach widzisz, że oni też cię nie poznają.

F jak fatalne warunki na norweskiej prowincji w latach dwudziestych. Niektórzy autorzy biografii Henry'ego Rinnana, na przykład Per Hansson w książce *Kim był Henry Rinnan?*, podkreślają ubóstwo jego rodziny, inni jednak podają w wątpliwość tę tezę i twierdzą coś odwrotnego: że w latach dwudziestych i trzydziestych oczywiście bywało trudno, ale rodzina Rinnana nie należała do najgorzej sytuowanych, wprost przeciwnie. Rinnanom może się nie przelewało, mieli wiele dzieci, ale mieszkali w domu w centrum, a ojciec posiadał własny zakład. Wuj pomagał prowadzić sklep sportowy, w którym sprzedawano samochody, otwarto też przy nim prywatną stację benzynową. Dziadkowie Henry'ego mieli

gospodarstwo tuż za miastem, więc, jak zauważają niektórzy, jego rodzice na pewno mogli jeździć tam po mięso i warzywa, gdy z pieniędzmi było naprawdę krucho. Nic nie wskazuje na to, że Henry Oliver Rinnan cierpiał bardziej niż inni, a jeśli chodzi o epizod z damskimi botkami, o którym nauczycielka Rinnana opowiada w wywiadzie, nietrudno sobie wyobrazić, że był to tylko incydent, skutek chaosu charakterystycznego dla rodzin z małymi dziećmi, bo czyż większość rodziców nie znalazła się choć raz w podobnej sytuacji? Czyż nie każdemu zdarzyło się odkryć rankiem, gdy w pośpiechu zbierał się z dziećmi do wyjścia, że rękawiczki leżą mokre w plecaku od poprzedniego dnia, tak jak zostały przyniesione z przedszkola, więc dziecięce paluszki trzeba owinąć czymś innym? Włożyć w o wiele za duże rękawiczki albo powiedzieć malcowi, że w drodze musi wciągnąć rączki do rękawów kombinezonu, żeby nie zmarzły?

F jak filtry i felgi samochodowe. Gaźniki, rozmaite szczypce i śruby, nakrętki i wężyki. Wszystko to Henry poznaje, grzebiąc pod maską auta; znika w warsztacie najczęściej, jak może, bo fascynuje go ford, którego naprawia, współpraca jego części. Czuje też narastającą dumę, którą zwiększa każdy uśmiech wujka.

– Ale jesteś zdolny! – mówi czasem wujek, kiedy Henry prostuje się nad maską z brudnymi rękami, całymi w oleju, a on wie, że to prawda. Że opanował tę sztukę.

G

G jak Grenada w Hiszpanii. Miasto położone wysoko w górach, w roku 1066 zapewne oddalone od morza o kilka dni marszu. To tutaj doszło do jednego z pierwszych znanych pogromów od czasów prześladowań w Imperium Rzymskim. Tego roku cztery tysiące Żydów zostało zasztyletowanych przez Maurów, co zwiastowało początek opowieści o prześladowaniach.

G jak górka do zjeżdżania, którą zimą mijasz w drodze do pracy w lesie w Falstad: wytarty pas na stromiźnie koło gospodarstwa, czarne linie ziemi i kamieni wyślizganych przez ciałka zjeżdżających dzieci o policzkach czerwonych z zimna, o buziach, z których dobywają się piski radości.

G jak gojenie nagniotków, tworzących się w zagłębieniu między kciukiem a palcem wskazującym, gdy raz za razem musisz unosić łopatę, by odkopywać korzenie drzew w lesie. Sina opuchlizna, która po kilku dniach pęka, zostawiając płat martwej skóry okrywający piekące ciało.

G jak gesty dobroci niektórych obozowych strażników. Tych przymykających oko na przemycane listy i jedzenie, odwracających wzrok, gdy nielegalne czyny wychodzą na jaw. Podobnie jak dziecko, które szybko wyczuwa, z kim z dorosłych da się pożartować, a kto jest surowy, opanowujesz umiejętność interpretacji mikroskopijnych różnic w tonie głosu i mimice strażników. Uczysz się rozpoznawać, którzy żołnierze pełnią służbę z przekonania i własnej woli, a którzy odgrywają rolę z obowiązku, odziani w mundur, choć równie dobrze mógłby on być lekarskim kitlem albo sutanną. Jeden ze współwięźniów opowiada ci kiedyś z uśmiechem, jak pewnego razu dary z pobliskiego gospodarstwa wypadły mu z kawałka materiału, w jaki były zawinięte, dokładnie w chwili, gdy wchodził przez bramę po skończonej pracy. Butelka mleka i kawałek suszonej baraniny nagle znalazły się na ziemi. Wtedy strażnik uśmiechnął

się tylko życzliwie i na kilka sekund odwrócił wzrok – wystarczająco długo, żeby mężczyzna zdążył się schylić i spakować jedzenie.

G jak Grete. „Co pamiętam? Pamiętam ogród ze stojakiem, na którym można się było bawić. Dzieliłam z Jannicke pokój tuż koło kuchni. Pamiętam też mansardę z łukowym oknem, gdzie matka zwykła się kłaść, kiedy miała migrenę. Musiałyśmy wtedy być cicho i nie mogłyśmy tam wchodzić. Pamiętam, że z siostrą miałyśmy tajny klub na poddaszu, gdzie Jannicke znalazła coś z czasów wojny, ale o tym powinna już opowiedzieć sama. Pamiętam, że bawiłyśmy się w teatr w piwnicy, że stałam na szczycie schodów i rozdawałam bilety. Poza tym nie przypominam sobie zbyt wiele, ale nie mam wątpliwości. Matkę ten dom po prostu zniszczył".

G jak groby na żydowskim cmentarzu w Sofienberg, tuż obok mieszkała Rikke, gdy zostaliśmy parą. Pozostałą część cmentarza zmieniono w park, gdzie żywi leżą, opalają się, pchają wózki dziecięce albo rozwieszają między drzewami liny, na których balansują, zapewne nie mając pojęcia, że tuż pod ziemią nadal znajdują się szkielety. Ostał się tylko nieduży żydowski cmentarzyk w rogu parku. Już wcześniej wiedziałem, że żydowskich nagrobków nie wolno usuwać, właśnie z tego względu, by nie wymazać nazwisk. Rikke powiedziała mi to, gdy odwiedziliśmy kiedyś żydowską nekropolię w Pradze, podobną do dziko rosnącego lasu szarych i czarnych kamieni, zapełnionych nazwiskami. Niektórzy z pochowanych tam ludzi zmarli kilkaset lat temu. Cmentarz w Sofienberg był znacznie mniejszy i nowszy, lecz Rikke rozpoznawała wiele nazwisk z tamtejszych nagrobków; powiedziała mi też kiedyś, że widok mijanego cmentarza przypominał jej o rodzinnej historii, ponieważ leżało tam wiele osób, których nazwiska słyszała kiedyś podczas rozmów. Leżeli tam ci z Dworskich i Kleinów. Nazwiska czasami padały na obiadach u dziadka Gersona lub w książkach o norweskich Żydach. Tamtego przedpołudnia przed niemal dwudziestoma laty, gdy razem mijaliśmy cmentarz, wiele nagrobków było przewróconych, niezaprzeczalnie z rozmysłem. Wzburzona Rikke chciała natychmiast ustawić je na miejscu. Poszedłem tam z nią z poczuciem, że robię coś zakazanego, pamiętam, że rozejrzałem się nerwowo, nim spróbowaliśmy podnieść jedną z macew. Chwyciliśmy ją,

każde ze swojej strony, poczuliśmy pod palcami suchy, chłodny kamień i zaparliśmy się z całych sił, lecz płyta okazała się o wiele za ciężka, więc byliśmy zmuszeni odejść, zostawić nazwiska zwrócone ku ziemi.

G jak Gestapo, jak *genocide* – ludobójstwo, jak Gerson. Tego, kogo chce się zamordować, trzeba najpierw odrzeć z człowieczeństwa. Zniwelować różnice w zakresie gustu i stylu ubierania. Pozbyć się niebieskich aksamitnych marynarek i ulubionych prążkowanych koszul zapinanych na białe guziki. Pozbyć się zegarków i skórzanych butów. Usunąć cieniutkie letnie sukienki i kwieciste bluzki, naszyjniki z pereł i błyszczące pierścionki.

Później kolej na fryzury. Trzeba pozbyć się grzywek zachodzących na oczy, dających się odsunąć lekkim zarzuceniem głowy. Ściąć długie warkocze, kucyki i loczki, upięte spinkami na karku. Pozbyć się nawoskowanych wąsów, sztywno odstających od policzków, usunąć brody, miękko otulające podbródek, w których kiedyś zapodział się okruch chleba albo kropelka sosu, wytarta chusteczką przez żonę.

Wszystko, co świadczy o osobowości, należy wyplenić, ażeby kaci nie mogli rozpoznać siebie w twarzach ofiar. Wymagany jest niezbędny dystans. Inaczej niemożliwy będzie następny krok, nie da się przecież zaatakować własnego odbicia w lustrze.

Po przemianie można rozpocząć gromadzenie więźniów, selekcje i zabijanie. Bez współczucia i w uporządkowany sposób, tak jak opracowuje się strategie tępienia szczurów, które rozprzestrzeniają się w miastach, rozsiewając zarazki, brud i niepokój.

W atmosferze panującej w Trondheim w latach trzydziestych Gerson jest stopniowo wykorzeniany z człowieczeństwa, a na początku wojny przestaje należeć do kolejnych kategorii. Już nie jest Norwegiem. Nie jest studentem. Nie jest mieszkańcem Trøndelagu, perkusistą, miłośnikiem jazzu, studentem, kobieciarzem, matematykiem, synem ani bratem. Jest Żydem, a jako Żyd jest podejrzany. Podobnie jak jego brat Jacob i matka Marie. Przeszukują mu mieszkanie. Żołnierze znajdują w jego biurku fotografie aryjskich dziewcząt. Gerson zostaje wezwany na przesłuchanie i skonfrontowany ze zdjęciami. Przykazują mu trzymać się z dala od

Norweżek, jeżeli nie chce wylądować w Falstad u boku ojca. Puszczają go wolno.

Ustalają z bliskimi, że najlepiej będzie, jeżeli pojedzie do Oslo i spróbuje tam wrócić do dawnego życia. Wkrótce okazuje się, że nie może na nowo podjąć studiów, ponieważ rodzinny majątek zarekwirowały władze.

Odwiedza przyjaciela ojca, który daje mu pracę w rachunkowości. Pozostałe osoby zamieszane w sprawę z radiem i wiadomościami BBC zostają stracone. W tym brat Marie. Mija czas. Również ich mieszkanie skonfiskowano, więc Jacob musi wprowadzić się do innej żydowskiej rodziny, Marie zaś – do pensjonatu. Niedługo później do Jacoba docierają pogłoski, że są obserwowani, oboje więc postanawiają przenieść się do stolicy. Nastaje wiosna. Po niej lato 1942 roku. Gerson otrzymuje strzępki informacji o tym, co się z tobą dzieje. Że nagle wysłano cię na północ Norwegii w charakterze tłumacza rosyjskich więźniów, którzy mają budować osłony przeciwzaspowe przy drogach.

W zeszycie składającym się z zapisanych na maszynie kartek A4 Gerson pisze o swojej młodości i nagłej zmianie sytuacji w Norwegii. O wydarzeniu, które wywróciło wszystko do góry nogami:

Wiosną 1942 warunki panowały stosunkowo spokojne. Jak na razie liczba aresztowanych Żydów była skromna, lecz synagoga w Trondheim została przejęta przez Niemców, zmasakrowana i zmieniona w salę sypialną. Doszło także do wielu epizodów, które wskazywały na to, że niemieckie władze Trondheim rozpoczęły bardziej systematyczną akcję. [...]

Ósmego października nadszedł wstrząs.

Ósmego października 1942 roku gazeta codzienna wyjątkowo nie leży przed drzwiami sypialni Gersona, który ubierając się, słyszy dochodzący z kuchni płacz gospodyni. Puka do drzwi, pchnięciem je otwiera i widzi, jak kobieta wstaje od stołu z gazetą w rękach i z obcym, osłupiałym spojrzeniem.

Napisali, że poprzedniego dnia zostałeś stracony w Falstad wraz z dziewięcioma innymi ludźmi. Że jesteś jednym z dziesięciu mężczyzn zastrzelonych w odwecie za akcje sabotażowe ruchu oporu, który ostatnio

wysadzał linie kolejowe i zniszczył źródło zaopatrzenia w rudę niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. Gazeta nazywa was ofiarami przebłagalnymi.

W mieście ogłoszono stan wyjątkowy. Gospodyni kładzie dłoń na ramieniu Gersona, a on czuje pieczenie pod powiekami. Pojawia się ucisk w żołądku i dziwne odrętwienie ogarnia ciało. Znów muszą opuścić kraj. On, brat i matka. Muszą uciekać najszybciej, jak to możliwe. Pakuje swoje rzeczy i drżącą ręką wykręca numer do Jacoba. Prosi brata o spotkanie, natychmiast. Mówiąc, nie potrafi opanować łkania, jakby nagle potrzebował więcej powietrza. Daje się uściskać zalanej łzami gospodyni i chyłkiem opuszcza kwaterę.

Przez kilka dni mogą mieszkać u kobiety, która kiedyś była ich nianią. W domu panuje napięta atmosfera. Do drzwi w każdej chwili mogą zapukać Niemcy, i co wtedy?

W końcu gospodarz mówi im o miejscu, w którym mogą się schować, o mieszkaniu pewnej wdowy w centrum miasta. Gerson wybucha śmiechem na dźwięk adresu, jest pewien, że mężczyzna żartuje, ale się myli. Mają zamieszkać w bliskim sąsiedztwie Victoria terrasse, kwatery głównej nazistów w Oslo.

G jak grupa pod nazwą Carl Fredriksens Transport, organizująca przerzuty przez szwedzką granicę żydowskich rodzin i członków ruchu oporu, którzy codziennie przychodzili ukrywać się wśród roślin w zakładzie ogrodniczym, niegdyś działającym przy Carl Berners plass w Oslo.

Wszystko zaczęło się dwudziestego siódmego października 1942 roku. Rolf Syversen przechadzał się po zakładzie między rzędami roślin doniczkowych i donic ogrodowych, między zwiędniętymi liśćmi i seledynowymi pnączami, gdy zauważył nieznaczny ruch za jedną ze skrzyń. Co to takiego? Zwierzę? Włamywacz?

Okazało się, że to czterech braci, czterech żydowskich braci, którzy prowadzili sklep w pobliżu i na wieść, że policja ma zacząć aresztowania wszystkich żydowskich mężczyzn w mieście, rzucili się do ucieczki. Ogrodnik ich znał; skontaktował się z przyjaciółmi, w tym z właścicielem firmy transportowej, i wkrótce było ich czworo. Oprócz Rolfa – Gerd i Alf

Pettersenowie oraz Reidar Larssen. Przyjechała ciężarówka, która miała przewieźć ich w ukryciu do Szwecji, ale co z innymi uciekającymi?

Bracia spisali nazwiska znajomych, którzy także mogli potrzebować pomocy w przedostaniu się przez granicę. Gerd zaczęła kontaktować się z osobami z listy i jeszcze gdy pierwszy samochód był w drodze, czworo przyjaciół zaczęło planować kolejny transport.

Reszta jest historią. W ciągu sześciu tygodni czworo Norwegów uratowało mniej więcej tysiąc mężczyzn, kobiet i dzieci przed rozstrzelaniem lub deportacją – zarówno Żydów, jak i działaczy ruchu oporu wraz z rodzinami.

Tysiąc ludzi. Ilu mają właściwie potomków? I odwrotnie – ilu ludzi nigdy nie przyszło na świat z powodu Holocaustu? Minęło siedemdziesiąt pięć lat, odkąd zamknięto obozy koncentracyjne, otwarto groby, a ocalałym rodzinom zostały okruchy dawnego życia. Ile osób żyłoby teraz rozrzuconych po Europie, gdyby nikt n i e zabił tych sześciu milionów Żydów? Pięćdziesiąt milionów? Więcej?

I odwrotnie – co ze wszystkimi, którzy by nie istnieli, gdyby nie ludzie ryzykujący życie, aby pomagać uchodźcom? Wszystkimi, którzy by nie istnieli, gdyby Szwecja zamknęła granice i odesłała rodziny tam, skąd przybyły?

W styczniu 2017 roku, podczas uroczystej ceremonii w ratuszu w Oslo, cztery osoby prowadzące firmę Carl Fredriksens Transport zostały uhonorowane międzynarodowym odznaczeniem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Ponieważ między ocalałymi znajdowali się członkowie rodziny Rikke, pocztą otrzymaliśmy oficjalne zaproszenie. Minęliśmy strażników i przeszliśmy przez wielkie wrota ratusza. W sali głównej siedziało kilkaset osób, w tym wielu starszych i dzieci w jarmułkach na głowach, co jest tutaj rzadkim widokiem. Rozpoznawałem niektórych starszych ludzi na sali, bo poprzedniego dnia przed południem wziąłem udział w rekonstrukcji historycznej trasy ucieczki wraz z niektórymi z tych, którzy przedostali się wtedy przez granicę lub byli dziećmi rodziców zbiegłych przed deportacją.

Był wyjątkowo ciepły styczniowy dzień, krajobraz kąpał się w promieniach słońca. Przydzielono mi miejsce w samochodzie z rodzeństwem Mendelsohnów – ich rodziców przewieziono do Szwecji –

oraz z ich przyjacielem, miłośnikiem historii, który odebrał mnie w okolicy Carl Berners plass, gdzie zaczynała się pierwotna trasa ucieczki. Podążaliśmy nią od zakładu ogrodniczego za rogatki Oslo. Minęliśmy Lillestrøm i skręciliśmy w stronę Fetsundu; poranne światło na palach wystających z wody potęgowało spokój, nieomal magię, jaką emanują przedmioty wytworzone przez człowieka, które straciły swą funkcję i trwają po prostu milczące, samotne. Pokonaliśmy most, którym musiały przejeżdżać ciężarówki, gdzie często stali niemieccy żołnierze, po czym wjechaliśmy w las. Toczyliśmy się wąską polną drogą, pokrytą grubym lodem, wyrosłym w cieniu świerków. Wreszcie zaparkowaliśmy samochód i spotkaliśmy się z pozostałymi dwiema osobami, które przybyły tu, żeby ponownie pokonać granicę. Jedną z nich był Freddie Malkowitz, siedemdziesięcioośmioletni niski mężczyzna o siwych włosach, od którego biła życzliwość. Drogi były tak śliskie, że musieliśmy iść środkiem, gdzie koła samochodów nie zdążyły jeszcze wypolerować lodu; podczas gdy stawialiśmy kolejne niepewne kroki, Freddie opowiadał o ucieczce. Miał wtedy cztery lata i dobrze pamiętał, że usadzono go w głębi ciężarówki, przy szoferce; obok siedziała matka, a dalej tłoczyli się obcy. Za dach służyła im płachta brezentu, zasłaniająca ich również z boków, tak by nie dało się ich zauważyć. Opowiadał o milczeniu, o nakazie, żeby nie odzywali się słowem, nawet szeptem, dopóki nie znajdą się w Szwecji. Pod plandeką panowała całkowita cisza, mówił. Jedynie warkot silnika, zapach drewnianych wiórów, używanych jako paliwo zamiast benzyny, oraz ścisk ciał, które kładły się na siebie na każdym zakręcie.

Nagle ciężarówka się zatrzymała. Poczuł swąd dymu. Ktoś uniósł plandekę. Freddie usłyszał okrzyki po niemiecku i po norwesku, ale dopiero dużo później dowiedział się, co się stało. Zapalił się jeden z worków z wiórami, a Pettersen szybko wspiął się na dach, by go wyrzucić. Następnie wykonał nazistowskie pozdrowienie w stronę wartowników zastawiających drogę i zrugał ich, że stoją i się gapią, zamiast pomóc mu ugasić pożar. Musiał być bardzo przekonujący, bo wartownicy wyrwali mu płonący worek i zaczęli okładać go garściami śniegu, tak skupieni na zadaniu, że ciężarówka bez przeszkód przejechała dalej, opowiadał Freddie z uśmiechem.

Dotarliśmy do prześwitu, miejsca, gdzie wycięto pas drzew o szerokości pięciu metrów. Na poboczu stał stary znak, na którym czarnymi literami na żółtym tle wypisano słowa *Riksgräns Sverige* – „granica państwowa Szwecji".

Staliśmy tam w pięcioro i się rozglądaliśmy, a Freddie na koniec opowieści przywołał wspomnienie swojego przerażenia, które poczuł, gdy usłyszał okrzyki ze szwedzkiej strony.

– Przecież kazano nam siedzieć zupełnie cicho – powiedział z uśmiechem. – A dzieci traktują takie nakazy bardzo poważnie, dlatego z początku bardzo się wystraszyłem, gdy Szwedzi po drugiej stronie wołali do nas, żeby przywitać nas w swoim kraju.

Zaśmiał się krótko, podobnie jak podczas wywiadu, który wieczorem tego samego dnia, podczas uroczystości ku czci czworga odznaczonych, pokazano na telebimie w ratuszu. Przemawiała pani premier, a tuż potem na podest, prowadzona przez córkę, wspięła się przygarbiona kobieta. Podeszła do mównicy i oburącz chwyciła się jej krawędzi. Następnie pochyliła się do mikrofonu i spojrzała na tłum wypełniający ratusz.

– Jestem Gerd – odezwała się staruszka, głośno i wyraźnie.

W pierwszym rzędzie siedzieli premier, ambasador Izraela oraz ci, którzy przeżyli wojnę dzięki Carl Fredriksens Transport. W ostatnim rzędzie, przed kamerami i ochroniarzami w czarnych garniturach ze słuchawkami w uszach, od których kręte przewody prowadziły do elektronicznych nadajników, siedziałem ja z rodziną. Dzieci milczały, a mój syn schował mi rączkę w dłoni.

– Jestem Gerd – powtórzyła. – Miałam dwanaście lat, kiedy przyjechała po mnie policja, dwudziestego szóstego listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Norweski policjant z niemieckim żołnierzem bez oznaczenia na ramieniu. Powiedzieli, że musimy z nimi iść, a kiedy mama spytała dokąd, odparli tylko, że musimy się spieszyć, więc mama spakowała torbę i wyszliśmy na zewnątrz. Tam długo czekaliśmy na taksówkę – ciągnęła kobieta, nadal obejmując salę spojrzeniem. – Ta jednak z jakiegoś powodu się spóźniała. W końcu pojechaliśmy na nabrzeże, gdzie cumował statek. Już miałam wyciągnąć rękę, żeby otworzyć drzwi, kiedy wyszedł do nas niemiecki żołnierz i powiedział: *zurück!*. Tylko to jedno słowo, *zurück!* – „z powrotem!" –

a kiedy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, jak wciągają trap, łódź odbijała od brzegu. Dlatego odwieziono nas z powrotem do mieszkania.

Siedziałem w milczeniu, patrząc na dwójkę swoich dzieci, z powagą przysłuchujących się opowieści. Prawnuk staruszki chodził do klasy mojego syna, a w dniu, o którym mówiła, miała mniej więcej tyle lat, ile teraz miały moje dzieci.

– Miałam wsiąść na pokład tego statku – ciągnęła. – Plan był taki, żeby dowieźć mnie do pociągu jadącego do Auschwitz. Tam mieli posłać mnie prosto do komory gazowej, a moje ciało spalić na popiół. Taki był plan, ale taksówka się spóźniła, więc stało się inaczej. – Rozłożyła rękę, prostym gestem podkreślając znaczenie przypadku, który decyduje o życiu każdego człowieka.

Zebrani goście milczeli. Po twarzach płynęły im łzy. Spojrzałem na Rikke, która z zaszklonymi oczami odwzajemniła uśmiech. Gdyby nie Carl Fredriksens Transport, ona też nie przyszłaby na świat.

Staruszkę sprowadzono z ratuszowej sceny, położonej zaledwie kilkaset metrów od nabrzeża, na którym jako dziecko miała wsiąść na pokład statku Donau. Niedługo po tamtym wydarzeniu przedostała się do Szwecji z pomocą czwórki z Carl Fredriksens Transport, która tej jesieni pracowała dzień i noc, organizowała coraz to nowe listy, nowych kierowców i nowe przerzuty milczących ludzi w przepełnionych ciężarówkach.

Grupa przestała przewozić uchodźców przez granicę nie dlatego, że jej członkowie mieli dość czy się wystraszyli, ale ponieważ ktoś ich zinfiltrował. Norweg podający się za uchodźcę przejechał całą trasę, po czym zakradł się z powrotem przez norweską granicę, by złożyć donos. Prawdopodobnie mężczyzna był związany z tajną siatką infiltratorów, prowadzoną przez Henry'ego Olivera Rinnana.

Dziś zakład ogrodniczy przy Carl Berners plass nie istnieje, w jego miejscu wybudowano bloki i szeregowce, ale na górce nad drogą stworzono pomnik w postaci parku, który otrzymał zdumiewająco prostą nazwę: „To jest dobre miejsce". Autorem projektu jest żydowski artysta Victor Lind, jeden z ocalałych dzięki transportom.

Idąc ścieżką od zakrętu przy Carl Berners plass, dociera się na wzniesienie, na którym leży wypolerowany kamień pamiątkowy

w kształcie gwiazdy Dawida z wygrawerowanym napisem ku czci poległych. Moja córka chodzi niedaleko stąd na zajęcia z baletu, więc kilka razy w tygodniu bywam w pobliżu parku, a nie tak dawno niespodziewanie spotkałem też samego artystę, i to w jednym z najmniej oczywistych miejsc: na dnie odkrytego basenu do skoków we Frogner.

Był siódmy października 2017 roku, dokładnie siedemdziesiąt pięć lat od twojej śmierci. W ten zimny, pogodny wieczór stałem z Rikke i dziećmi na dnie basenu.

Pięciometrowej głębokości basen, opróżniony na zimę, przeistoczył się w pustą scenę. Skończyło się ciepło. Skończyły się szum głosów i mlaszczący dźwięk stópek, zostawiających ciemne ślady po wodzie na kamiennej posadzce. Skończyły się wymachiwanie rękami w locie z siedmiometrówki i nerwowe spojrzenia dzieciaków z krawędzi trampoliny.

Sezon dobiegł końca, a my staliśmy na dnie pustego basenu. Wzdłuż jego brzegów ustawiono reflektory, skierowane w górę, tak że pomalowana na biało betonowa konstrukcja wieży do skoków jaśniała na tle ciemnego, październikowego nieba. Czekaliśmy na sztukę pod tytułem *Nowy człowiek*. Staliśmy z głowami odchylonymi do tyłu, patrząc na czworo aktorów rozstawionych na czterech trampolinach, w szlafrokach odcinających się jasno od ciemnego nieba. Tuż koło nas starszy mężczyzna siedział na przyniesionym ze sobą rozkładanym krześle turystycznym. Rikke pochyliła się do mnie i wyszeptała, że to Victor Lind, twórca pomnika przy Carl Berners plass, i że to jego córka napisała sztukę.

Po przedstawieniu podszedłem do Victora Linda i zapytałem o pracę nad pomnikiem i przyczyny jego powstania.

– Wie pan, oni przecież nie potrzebowali tego robić. Ogrodnik, jego żona, szef firmy transportowej. Nie musieli nic robić. A jednego z nich nawet zastrzelono.

Uśmiechnąłem się do niego. Światła zgasły. Nie zapytałem go o ucieczkę. Mżyło, a my byliśmy wśród ostatnich osób, które wciąż stały na dnie basenu. Gwiazda świeciła na niebie za dziesięciometrówką, na którą wielokrotnie wspinałem się w młodości, ale nigdy nie odważyłem się skoczyć.

– Przecież nie potrzebowali tego robić.

G jak główne wejście do Bandeklosteret, a tuż za nim sień. Jeżeli dom to ciało, przedpokój nie jest jego twarzą, choć do tego pomieszczenia wchodzi się najpierw. Jest raczej jak uścisk ręki przy powitaniu albo jak pierwsze spojrzenie, coś całkiem powierzchownego, co jednak pozwala się zorientować, jakiego człowieka mamy przed sobą – wybór kafelków czy tapety w przedpokoju, roznoszący się zapach curry albo kotletów mielonych ujawnia preferencje osoby, która tam mieszka.

Pierwsi przez sień tego domu przeszli robotnicy, którzy zbudowali go w latach dwudziestych. W butach, w pasach stolarskich, z papierosami w ustach, z których dym unosił się maleńkimi chmurkami rozpływającymi się w powietrzu i wsiąkającymi w ściany i sufit.

Potem pierwsi właściciele: profesor i botanik Ralph Tambs-Lyche oraz jego żona Else Tambs-Lyche. Z ciekawością wchodzą do przedpokoju i zaglądają do salonu, po czym on chwyta ją za rękę, by pokazać jej wszystkie pomieszczenia. To tu będą mieszkać. Tutaj, w piwnicy, Else będzie prowadzić rodzinne przedszkole, Ralph natomiast będzie wykładać na uczelni.

Później stópki dzieci. Buciki w rozmiarze dwadzieścia i dwadzieścia jeden. Maleńkie rękawiczki i kurteczki. Płacz niemowląt i śmiech. Rozmowy o wojnie. O inwazji.

A po kilku latach pukanie do drzwi. Ralph otwiera i widzi zacięte twarze żołnierzy i błyszczące guziki ich mundurów.

– Czy to pan jest Ralph Tambs-Lyche? – pyta po niemiecku żołnierz stojący najbliżej i bierze za pewnik, że Lyche potrafi odpowiedzieć.

– Eee… tak? – mówi Ralph, wsłuchując się w śmiech dzieci w piwnicy i ożywiony głos żony, która woła jednego z malców.

– Pójdzie pan z nami.

– Dlaczego?

– Jest pan aresztowany z powodu odmiennych poglądów politycznych i pańskiej pracy na uczelni.

– Ach tak… Czy mógłbym dać znać żonie?

Żołnierz kiwa głową.

– Ale bez żadnych sztuczek – przestrzega umundurowany mężczyzna i gestem każe reszcie oddziału otoczyć dom. Sam czeka w progu.

Ralph zostaje odwieziony do obozu karnego Falstad. Dom ulega konfiskacie, a Else Tambs-Lyche wynosi dobytek przed główne wejście.

Klucz z trzaskiem przekręca się w zamku.

W przedpokoju nastaje cisza.

Mijają miesiące. Na drewnianej podłodze zbiera się kurz, niczym cząstki, które osiadają na morskim dnie. Niewielka przestrzeń rytmicznie się rozświetla i zapada w mrok. Aż pewnego dnia we wrześniu 1943 roku rozbrzmiewa dźwięk samochodowego silnika. Kroki na żwirze na zewnątrz, drzwi zostają otwarte i do środka wchodzi Henry Oliver Rinnan. Zaciera ręce i wkracza do salonu.

Ktoś wnosi przez próg skrzynki z wódką. Z bronią. Szynką. Chlebem. Kula rewolweru przelatuje przez sień i wbija się w ścianę, aż drewno rozpryskuje się w drzazgi. Członkowie bandy wchodzą i wychodzą. Zaczynają sprowadzać więźniów, których wloką przez pomieszczenia z rękami związanymi na plecach.

Mija kilka lat. Jacyś ludzie wynoszą z domu trzy skrzynie z ciałami. Krew kapie na szmaciany dywanik i wsiąka we włókna.

Kilka lat później do przedpokoju wchodzi Gerson, obejmując w pasie Ellen.

Ellen trzyma Jannicke za rączkę, chwilę się waha i powstrzymuje córkę, żeby nie pobiegła dalej.

Dziewczynka podnosi wzrok, próbując rozgryźć niechęć w oczach matki. Gerson patrzy na nie, po czym wyciąga rękę i podnosi Jannicke.

– Patrz, kochanie! – mówi z uśmiechem. – Patrz tutaj! – Wskazuje na salon.

To tu będą mieszkać.

H

H jak Hirsch.

H jak Henry.

H jak historie, które opowiada w kawiarni z nadzieją, że pozostałe chłopaki i tym razem go wysłuchają. Że zbiorą się wokół niego i będą słuchać, z szeroko otwartymi oczami siedzieć na skraju krzeseł i spijać jego słowa. To nic, że później będzie musiał wracać sam. Że nie ma odwagi pójść z nimi do parku na spotkanie z dziewczynami i stale wymyśla wymówki, że musi jechać do domu, bo wie, że dziewczyny nigdy nie okażą mu zainteresowania, wręcz przeciwnie, odwrócą się zakłopotane, kiedy się zbliży, udając, że podejmują wątek rozmowy, nagle pochłonięte czymś innym, czymkolwiek, byle tylko się odwrócić. Wszystkie dziewczyny są takie, absolutnie wszystkie. A jednak pewnego weekendu coś się wydarza, coś całkiem nowego i niespodziewanego. Henry wiezie chłopaków na potańcówkę niedaleko Levanger.

Jest czerwiec, powietrze wypełnia śmiech.

Zauważa ją od razu po wyjściu z auta, bo odwraca się i na niego patrzy. Zatrzymuje na nim spojrzenie. Kim jest? Czy słyszała jakąś śmiechu wartą historię na jego temat? Nie, nie wygląda na to, w jej oczach nie ma śladu współczucia, myśli Henry, zamykając drzwi samochodu, gestem świadczącym o pewności siebie przeczesuje włosy, po czym pozwala sobie na nią zerknąć, żeby przekonać się, czy nadal mu się przygląda. Na jej twarz wypływa wstydliwy uśmiech. Henry też się uśmiecha. Musi do niej podejść! Na szczęście dziewczyna stoi z jego kolegą, więc będzie miał dobry powód. Nieznajoma odsuwa się nieco na bok, żeby mógł stanąć w środku, i posyła mu uśmiech. Jest niska, niższa od niego.

– Musimy jechać? – pyta jego kumpel. Henry kręci głową, zauważa, że dziewczyna czeka na odpowiedź, więc mówi: – Nie, chyba nie ma się co spieszyć…

W ten sposób w jego życiu pojawia się szczęście niczym nagły podmuch ciepła. Przychodzi w postaci kobiety, która ni stąd, ni zowąd staje na jego drodze. Ma osiemnaście lat, długie włosy falujące przy uszach, a do tego jest niższa niż Henry, niewiele, ale w sam raz. Największym zaskoczeniem okazuje się jednak to, że nie zamierza odejść. Po prostu stoi i z nim rozmawia, nie wypatrując żadnej koleżanki ani znajomej. Stoi, a do tego jest niepewna, nieśmiała. To dla niego za dużo, wręcz nie do wiary, po tylu latach przyglądania się światu z zewnątrz, jak przez ścianę akwarium. A teraz ona tu stoi, naprawdę: jasne, ciepłe, żywe, oddychające ciało, wargi rozciągające się w uśmiechu, oczy ostrożnie poszukujące jego spojrzenia, piersi wypychające sukienkę.

Henry delikatnie wyciąga dłoń i muska jej przedramię. Gładzi palcem wskazującym jasną skórę pokrytą rozrzuconymi gdzieniegdzie pieprzykami i cieniutkimi, jasnymi włoskami. Dotyk jest jak iskra, jak wyładowanie elektryczne od opuszka palca, w górę ramienia i w dół, do krocza; ona chyba czuje to samo, bo nie zabiera ręki. Przeciwnie, zbliża ją do jego dłoni, policzki jej czerwienieją, wzrok poważnieje, ciemnieje, aż nagle dziewczyna obejmuje go w pasie.

Rozmawiają. Poznaje jej imię, Klara, i podaje swoje. Mówi, skąd pochodzi. Kilka dni później spotykają się sam na sam, w jej domu.

Cóż to za szczęście!

Widzieć, jak rozpina bluzkę, tuż przed nim. Nie w wyobraźni, ale naprawdę. Czuć miękką, miękką skórę. Nareszcie poczuć kobiece ciało przy swoim, pierwszy raz, doświadczyć, jak każdy zakątek ciała ożywa, płonie i drży.

Nazajutrz obudzić się obok, odwrócić głowę i spojrzeć prosto w jej lśniące oczy, zanim ona się przytuli i położy mu głowę na piersi. Jest w tym jakiś skończony spokój i buzujący w nim triumf. Ona jest jego. Tylko jego.

Pobierają się.

Dziadek Henry'ego szyje mu garnitur na miarę. Teraz zobaczą, wszyscy ci, którzy sądzili, że nikogo nie spotka, że będzie sam. Zobaczą, jak idzie środkiem kościoła, jak prowadzi żonę przez próg. Zobaczą, jak wnosi meble do wynajętego mieszkania. Nowe, modne stoły i krzesła, które bank pozwala im kupić na raty, dzięki jego stałemu zatrudnieniu w sklepie

sportowym. Małżeńskie łoże z ciemnego drewna. Miękkie, białe prześcieradła i pościel z gęsto tkanej bawełny, która suszy się w słońcu, dając przechodniom przelotnie zajrzeć w ich noce, kiedy pełzają po sobie, dokoła siebie. Zmieniają się w węszące zwierzęta. W ciało i pożądanie.

Cóż za wspaniałe, wyjątkowe szczęście: móc pocałować ją w policzek i ruszyć w kierunku drzwi, do pracy.

Móc kilka lat później obracać kciukiem obrączkę na palcu i czuć twardy metal na skórze.

Spotkać jej wzrok, kiedy mówi mu, że będą mieli dziecko, stanąć za nią i przytknąć nos do jej karku.

Szczęście przynosi mu niespodziewany spokój. Jak gdyby całe życie chodził spięty, pilnując się przed każdą mijającą go osobą, przed każdym dźwiękiem. Teraz nareszcie może się rozluźnić, odetchnąć i cieszyć się życiem. Nareszcie może odkryć inne rzeczy, które istnieją na świecie, istniały cały czas, tylko wcześniej nie mogły być jego udziałem.

Radość mącą jedynie pieniądze. Nie są ubodzy, nie aż tak, ale Klara daje mu do zrozumienia, że ma ochotę na wiele rzeczy, które on chciałby jej dać, lecz nie może. Powinien zarabiać więcej. Tak byłoby sprawiedliwie, myśli, bo to o n pracuje na najdłuższe zmiany, stojąc za ladą i sprzedając towary, aż strzyka mu w krzyżu i bolą go stopy. To o n zawsze wprawia klientów w dobry nastrój, czy to uśmiechem, czy dowcipami, czy też tym, że pamięta imiona ich dzieci bądź jakiś szczegół z gospodarstwa, coś, co pozwala wytworzyć więź, przez co klienci kupują dodatkową rzecz, o której nie wiedzieli, że jej potrzebują. Mimo to nie zarabia wystarczająco. Nie dość, żeby dać Klarze i synowi wszystko, na co zasługują, myśli, gdy układa towar, wynosi skrzynki i ściera kurz z półek. Jeśli potrzeba im nowych ubrań, to je dostaną. Jeśli Klara chce jechać do kawiarni, to pojadą rodziną do kawiarni, posiedzieć przy filiżance kakao lub kawy i kawałku ciasta, tak jak wszyscy. Dlaczego miałoby być inaczej?

Dlaczego o n, który tak ciężko pracuje, nie miałby żyć jak inni? Nie ma takiej możliwości, chociaż sklep przynosi zyski i jest zawsze pełen klientów. Kto stoi w nim od rana do wieczora, uśmiecha się i ucina sobie pogawędki z klientami, wymyślając sposoby na to, by jak najwięcej sprzedać? Kto sprawia, że sklep tak dobrze prosperuje? To on, Henry, który mimo to musi znosić życie w wiecznym niedostatku!

To niesprawiedliwe, myśli. Musi znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, znaleźć sposób na to, jak więcej zarabiać, tylko jaki? Już nie wystarczą drobniaki z kasy. To po prostu nie dość, myśli między jednym klientem a drugim, ustawiając na półkach nowy towar. Zastanawia się nad tym, gdy w domu wyjmuje sztuczną szczękę i wkłada ją do szklanki z wodą, rozmyśla też o tym, gdy z synem kopie piłkę na podwórzu przed domem.

Aż wpada na pomysł. Z nagłą jasnością widzi przed sobą rozwiązanie. Zupełnie genialne rozwiązanie problemu.

H jak hałasy w obozie – krzyki na zewnątrz, od których człowiek budzi się o piątej rano, by jak najprędzej włożyć strój obozowy, zjeść kilka pajd chleba i wypić kubek kawowego ersatzu, a następnie pójść w rzędzie z innymi na dziedziniec, na poranny apel po przydział zadań. Przy odrobinie szczęścia można trafić do warsztatu stolarskiego i stać pod dachem, pracując przy wtórze przyjaznego gwizdania i wdychając świeży zapach drewnianych wiórów i trocin. Kto nie ma szczęścia, idzie do kamieniołomu albo do lasu. Tłuc młotkiem głazy narzutowe albo wyciągać korzenie i później je piłować, bez wyraźnego celu.

Potem zupa na obiad, kawałki ziemniaków i kalarepy pływające w burej wodzie.

I znowu hałasy – krzyki na dziedzińcu za każdym razem, gdy kogoś biją albo zmuszają do czołgania się na czworakach w ramach karnej musztry, aż człowiek pada bez sił i zamiera w bezruchu.

H jak herbarium. Jest dziesiąty marca 1942 roku, a ty rozpoznajesz w stołówce jednego z nowych więźniów, którzy przyjechali do Falstad poprzedniego wieczoru. To dość wysoki mężczyzna o jasnych oczach, ubrany w taki sam uniform jak wszyscy. Spogląda na ciebie i unosi dłoń w geście pozdrowienia. To Ralph Tambs-Lyche. Spotykałeś go wielokrotnie razem z Marie. Na ulicach, kiedy wybierał się do lasu na poszukiwanie nowych roślin do zielnika, czy w Towarzystwie Studenckim, gdzie wygłaszał żarliwe przemowy o niesprawiedliwym podziale dóbr świata i prawach robotników. Raz odwiedziłeś go w domu, w willi przy

Jonsvannsveien, gdzie mieszkał z żoną, poszedłeś też z nim na mansardę obejrzeć herbarium – do pokoju o łukowym oknie wychodzącym na ogród.

H jak harmonia w życiu, poszukiwanie jej w nowym domu. W pokojach, gdzie człowiek się budzi i gdzie zasypia. W pokojach, w których można zapomnieć o cudzych spojrzeniach i po prostu być sobą. Jest połowa roku, połowa stulecia, lipiec 1950. Ellen patrzy, jak gosposia bawi się z Jannicke w salonie i usiłuje się uśmiechnąć, ale nie potrafi, bo twarz nie chce być jej posłuszna. Ściany jakby na nią napierają, każda listwa mówi do niej szeptem. Na początku było inaczej. Wtedy ona też zachwycała się możliwością zakupu willi z ogrodem i pomocą domową, rozpoczęcia życia w nowym mieście z mężem i z dzieckiem. Oczywiście, że się zachwycała. Na początku lubiła jeździć do „Paris-Wien", oglądać nowe kapelusze zrobione przez Marie, przymierzać suknie i zamawiać płaszcze, które szyto na zapleczu. Potrafiła wtedy chodzić po centrum ramię w ramię z Gersonem, z Jannicke w wózku albo z nianią, i patrzeć, jak ludzie posyłają im pełne podziwu spojrzenia, bo ładnie razem wyglądali, a dzięki butikowi, który Gerson pomagał prowadzić, była na bieżąco z europejską modą. Właśnie o tym marzyła w norwesko-żydowskim obozie dla uchodźców w Uppsali. Uwięziona, bez widoków na przyszłość. Teraz miała wszystko, o czym marzyła. Mimo to codzienność przesłoniła entuzjazm jak warstwa kurzu. Sklep stał się oczywistością, a człowiek potrzebuje przecież ograniczonej liczby ubrań. Gerson też zwracał jej na to uwagę. Przez ostatni rok jej uśmiech zesztywniał. Coraz jaśniejsze stawało się dla niej, że wszyscy mają tu jakąś rolę, jakieś zadanie, tylko nie ona, że właściwie jest zbędna, sprawia tylko kłopot. Nie pracuje. Nie zajmuje się dziećmi. Nie gotuje, bo nie potrafi. Jej jedyne zadanie to zabijać czas. Jeździć do śródmieścia do kawiarni i zaglądać do sklepów, ale ostatnio brzuch urósł jej tak bardzo, że ciężko jej wychodzić, a przymierzanie nowych ubrań nie ma sensu. W środku znajduje się dziecko, które czasami łaskocze ją od wewnątrz i sprawia, że ludzie uśmiechają się na jej widok. Obcy ludzie potrafią nagle postąpić całkiem samowolnie – kładą jej rękę na brzuchu, żeby poczuć kopnięcie, lub opowiadają, jak fantastyczne są dzieci, chociaż ona wcale tak nie uważa. Ellen wstydzi się tej myśli, ale wcale nie sądzi, iż to fantastyczne, że będzie mieć drugie dziecko, że ma termin zaraz po

Nowym Roku. Wkrótce pojawią się śnieg i chłód, co uniemożliwi jej wychodzenie z domu. Będzie więc uwięziona tu, w Bandeklosteret, i chociaż wcześniej udawało jej się wypierać z myśli historię domu, tak jak przegania się ptaka, który wpadł przez otwarte okno, jest jej coraz trudniej. Słucha opowieści o zbrodniach, do których doszło w tych ścianach, poznaje coraz to nowe szczegóły, a jej mechanizmy obronne zaczynają szwankować.

Mija drzwi do piwnicy i nie potrafi nie wyobrażać sobie ludzi, których wleczono po schodach w dół, z rękami związanymi na plecach. Stają jej przed oczami wieszani na żelaznym pręcie między beczkami, słyszy krzyki, wrzaski bólu, dźwięk młotków i łańcuchów uderzających w ciała – o wszystkim tym opowiadali jej sąsiedzi i przyjaciele. O metodach tortur. Jak przypalanie. Chłostanie. Wyrywanie paznokci. Dlaczego wszyscy muszą jej tyle opowiadać? Jakby nie potrafili się opanować, jakby musieli zdradzić każdy makabryczny szczegół, jakby mówienie o tym na głos miało sprawić, że łatwiej uda się pogodzić ze złem. Czy oni nie rozumieją, że te myśli ją nawiedzają, są niczym duchy, które czekają, aż będzie sama, by nagle ją zaatakować?

Nie powinni byli się przeprowadzać, myśli, odchodząc od drzwi i kierując się w stronę schodów, do pokoju położonego najdalej od piwnicy. Do pokoju na poddaszu, z łukowym oknem i zabudowanym łóżkiem. Nie powinni byli się przeprowadzać, bo teraz musi leczyć nie tylko rany po wojnie, jak inni. Musi znosić nie tylko rozpacz i migrenę, która przychodzi i zmusza ją, by kładła się na górze, unikała światła i dźwięków, z pulsującym bólem głowy. Musi też znosić historię domu.

Tylko raz obchodzi willę z Gersonem, oprowadza go, by spojrzał na dom jej oczami, i powtarza opowieści zasłyszane od innych oraz to, co wyczytała. Wskazuje kominek i mówi, że to w nim podpalili papiery, gdy uciekali. Wskazuje salon i mówi, że to tam Rinnan przeprowadził swą słynną niby-rozprawę, podczas której skazał na śmierć wielu członków bandy. Wskazuje sypialnie i mówi, że to tu kładli się na spoczynek, tu ze sobą sypiali. Na koniec idzie w stronę piwnicy, lecz zatrzymuje się koło drzwi.

– A na dole, Gerson...! – zaczyna i czuje, że napędza ją wściekłość, której nawet nie była świadoma. – Wiesz, co tam robili?

– Tak, wiem – odpowiada Gerson spokojnie, lecz ona widzi narastającą w nim irytację.

– I nie przeszkadza ci to?

– Minęło prawie dziesięć lat, Ellen.

– No i...?

– No i... Czy zdajesz sobie sprawę, w jak wielu miejscach w tym mieście wyrządzano na przestrzeni lat różne okropieństwa? Odkąd pierwsi ludzie osiedlili się tutaj w epoce kamienia? Pewnie co pięć metrów, ale chyba nie może nas to paraliżować, prawda?

– To co innego! I dobrze o tym wiesz! Przedwczoraj Jannicke przyniosła z piwnicy kulę, to znaczy j a wiedziałam, co to takiego, ona nie. Co mam jej mówić? Że co to niby jest?

– Nie wiem... Nie możesz po prostu powiedzieć, że nie wiesz?

Ellen pochyla głowę, zaciska powieki.

– Ależ Gerson – mówi słabym, cienkim głosem. – Czy ty nie widzisz, że ten dom nas niszczy?

Gerson kładzie dłoń na jej ramieniu.

– Pójdę tam i usunę wszystkie ślady z czasów wojny. Mogę pomalować ściany. Czy wtedy będzie lepiej? – pyta, ale to nie pomaga.

Ellen wywija się spod jego ręki i mówi, że idzie na górę odpocząć. Nie chce być pocieszana, nie w taki sposób. Nie chce, by traktowano ją jak głupiutkie dziecko, które boi się nocnych cieni. Pragnie zrozumienia, on jednak najwidoczniej nie potrafi jej go okazać.

H jak handel. Henry zaczyna mówić niektórym klientom, że mogą dostać towary na raty, ale muszą się umówić bezpośrednio z nim. Mają dobry kontakt, znają się od lat. Wielu się zgadza. Takie to proste, powiedzieć właściwe słowa we właściwym czasie, wygładzić ich niepewność jak zmarszczkę na obrusie i przekonać ich do umowy, w której wyniku dają mu pieniądze, a Henry zaczyna prowadzić w sklepie własny interes. Zarobek zabiera do domu. Kupuje droższe jedzenie, nowe ubrania i meble. Nadal trudno mu spłacać raty pożyczki, gdy stale sprawia im coś nowego, ale nie ma zamiaru przestać, nie chce nigdy, p r z e n i g d y powiedzieć

Klarze, że nie mogą sobie pozwolić na niedzielny stek albo sukienkę czy garnki do kuchni. Nigdy – więc musi wymyślić inne rozwiązanie.

Wkrótce Henry zaczyna jeździć po gospodarstwach za miastem i oferować rozmaite towary po promocyjnych cenach. Chłopów łatwo naciągnąć, tak szybko dają się namówić, że mógłby im wcisnąć cokolwiek. Kilka krótkich wypadów w sobotę, niedzielę lub po południu po pracy i ma dodatkowy zastrzyk potrzebnej gotówki. Genialne w swojej prostocie. Budżet rośnie. Klara wydaje się zadowolona, choć zdarza się, że uśmiech znika z jej ust, gdy mąż przychodzi do domu z nowym obrusem albo rowerem – ostrożnie pyta go, czy naprawdę ich na to wszystko stać, czy naprawdę aż tak dobrze zarabia. Wtedy on ją przytula, potakując, a ona posyła mu uśmiech, uspokojona.

Aż nagle nadchodzi upadek.

Jest środek dnia, Henry stoi zatopiony w marzeniu tak rzeczywistym, że prawie nie zwraca uwagi na dzwonek, gdy otwierają się drzwi, lecz zaraz spostrzega, że wujek wszedł do środka zbyt szybkim krokiem, ma zbyt gwałtowne ruchy i zacięty wyraz twarzy, pełen złości i oburzenia. Zaciśnięte wargi przypominają kreskę, a dłonie drżą, kiedy kładzie je na kontuarze.

– Wiesz, czego się dziś dowiedziałem, Henry?

– Nie… Czego? – pyta Henry, choć ton i postawa wujka wyraźnie wskazują, o co mu może chodzić.

Mężczyzna otwiera usta, by powiedzieć, co wzbudziło w nim taką wściekłość, jednak w tej samej chwili otwierają się drzwi i wchodzi starszy klient z dętką rowerową pod pachą. Wujek natychmiast się odwraca i znika w pomieszczeniu obok. Tam czeka, aż Henry pomoże mężczyźnie zdecydować, czy raz jeszcze kupić zestaw do naprawy dętki, czy może mikroskopijną dziurkę koło wentyla będzie tak trudno załatać, że lepiej po prostu wymienić dętkę na nową. Wujek cały czas stoi odwrócony plecami w sąsiednim pomieszczeniu i ostentacyjnie porządkuje towar na półkach, z których zwykle częstuje się Henry.

Zaraz po wyjściu klienta odwraca się i spiesznie podchodzi do lady.

– A więc, Henry Oliverze… Dobrze wiesz, o co chodzi, prawda? – pyta.

Henry mruga oczami, chyba pojmuje, że to już koniec, ale chce jak najdłużej odsuwać od siebie tę myśl, więc nie odpowiada.

– W porządku, zatem zrobimy po złości. Kojarzysz Kristoffersena?

– Tak…?

– Przyszedł dziś do mnie, radosny i rozentuzjazmowany, mówiąc, że jakiś facet jeździ po okolicy i sprzedaje towary w moim imieniu… Kupił w ten sposób rękawice po bardzo okazyjnej cenie… Brzmi znajomo?

Henry się nie odzywa. Pochyla głowę i czuje, że opada z sił, bo właśnie stracił resztkę nadziei, że może jednak chodzi o coś innego. Koniec. Został przyłapany.

– Uścisnął mi nawet energicznie rękę, kiedy to mówił, jakby emanował radością, a ja stałem tam jak jakiś idiota i nic nie rozumiałem, bo nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Tak długo byłem łatwowiernym durniem. Rozumiesz już, o czym mówię, Henry Oliverze?! – pyta wujek, na końcu podnosząc głos aż do krzyku.

Henry nie odpowiada.

Nie próbuje uciekać, bo to nic nie da, nie próbuje się też usprawiedliwiać, bo dlaczego miałby to robić? Drugi raz postąpiłby tak samo. To było jedyne rozwiązanie, jedyny sposób, aby zarobić na przyzwoite życie, a ani wuj, ani jego wspólnik nie zauważyli brakujących towarów. Wujek miał wszystkiego w bród, wyprawiał nawet kosztowne przyjęcia, zapraszał gości na trzydaniowe obiady i wysyłał po nich forda, samochód, który sam naprawiał, którym dojeżdżali pod same drzwi. A kto prowadził? Rzecz jasna, Henry – wysadzał ich, podawał rękę wystrojonym starszym paniom, kiedy schodziły po stopniu. Wujek miał więcej, niż potrzebował, nie zauważał, że coś znikało, bo interes tak dobrze się kręcił, natomiast Henry mógł dzięki tym środkom utrzymać rodzinę i również cieszyć się życiem, nie tylko męczyć się z dnia na dzień.

Tak było sprawiedliwie, tylko jak miałby to wytłumaczyć? Nie da się, więc trzeba zacisnąć zęby, przełożyć fartuch przez ladę i wyjść bez słowa, chociaż w środku gotuje się wstyd i złość, bo co, do diaska, powie w domu? Jak zareaguje Klara? A rodzice? Wszystko runie – myśli wirują w głowie Henry'ego. Całe życie jego rodziny zależy od tego dochodu, który teraz mają mu – im – odebrać. Czy już nigdy nie będzie mógł być członkiem

społeczeństwa? Czy nie będzie mu wolno zatrzymać choćby pieprzonej drobinki szczęścia i dobrobytu?

Henry przemierza ulice szybkim krokiem, z pochyloną głową. Kristoffersen! Wszystko zniszczył, idiota! Musiał się odzywać?! Inni mieszkańcy miasta mijają go, jak gdyby nigdy nic, z dzieciakami i siatkami na zakupy, pochłonięci swoimi planami i rozmowami, ale jego to zasrane, małostkowe miasteczko kolejny raz miesza z błotem. W dupę pierdolona pipidówa!

Co teraz zrobi?

Co teraz zrobi, do chuja?

Ma zwiać? Nie, to wykluczone. Musi zostać z Klarą i z synem, nie może też jej okłamać, bo żona i tak się dowie, w chwili gdy bank zastuka do ich drzwi, żądając zwrotu pożyczki. Zachodzi do banku i do przytułku. Dowiaduje się, co się stanie. Że wszystko stracą. Zupełnie wszystko. Dom, wyposażenie, wszystko. Chce mu się płakać, chciałby coś roztrzaskać, ale zagryza zęby i wychodzi, musi się stamtąd oddalić.

Kurwa, kurwa, kurwa, myśli, a nogi prowadzą go nad morze, wzdłuż brzegu, gdzie wodorosty leżą odsłonięte na kamieniach, i z powrotem przez centrum, koło cmentarza. Nie ma wyjścia. Musi jej powiedzieć.

Klara kiwa w milczeniu głową. Nie wścieka się, nie wybucha płaczem, a to chyba najgorsze, bo Henry nie ma kogo pocieszać, nie ma co zrobić z rękami, z policzkami, z niepewnością. Klara stoi jak wryta z pulchnymi rękami zwieszonymi wzdłuż ciała i ostrożnie kiwa głową, jak gdyby powiedział jej coś o sąsiedzie czy o pogodzie.

– To co nam zostanie? – pyta.

Henry bierze głęboki wdech i opada na fotel.

– Nie wiem – odpowiada.

– Dom? Czy będziemy mogli zatrzymać dom?

Henry kręci przecząco głową i słyszy, jak Klara szepcze pod nosem: „O Boże!", chowa twarz w dłoniach i zanosi się płaczem. Kładzie jej rękę na ramieniu, ale ona mu się wywija. Pociąga nosem. Potem podnosi wzrok.

– A meble?

– Nie, Klaro. Zabiorą wszystko oprócz łóżka. Ale załatwią nam dach nad głową…

– Załatwią? K t o załatwi?! Przytułek?

Henry przytakuje. Słyszy, jak ona znowu pociąga nosem i czuje, że smutek wysysa z niego siły i pewność siebie. Jakby zapadał się w sobie, stawał się słaby, taki jak wcześniej, a tego nie da rady znieść. Nie chce, bo to nie jego wina! Nie kradłby z kasy, gdyby mu lepiej płacili! Nawet nie wpadłby na taki pomysł. W pewnym sensie wszystko to tak naprawdę wina w u j k a, tylko jak to wyjaśnić Klarze? Nic z tego nie zrozumie. Ani tego, że robił to dla niej. Że to ze względu na nią i syna tak harował. Jeździł po całej okolicy, od gospodarstwa do gospodarstwa, od miasta do miasta. Pracował od świtu do zmierzchu, wszystko dla nich. Czy tego nie pojmuje?

Klara wyjmuje z kieszeni chusteczkę. Oczy ma wilgotne, a mokre linie łez połyskują na jej policzkach. Wtedy patrzy na niego, chłodna i spokojna.

– No tak, Henry. To kiedy po wszystko przyjdą?

– Jutro.

– Aha – mówi, palcem gładząc krawędź stołu, jakby w geście pożegnania. – Aha.

Nazajutrz przychodzą wierzyciele, wynoszą krzesła i stół, przy którym zwykli jadać niedzielne obiady. Wynoszą lśniące garnki, w których Klara zwykła gotować sosy i gulasze. Henry stoi w pokoju obok, zmuszony patrzeć, jak wynoszą z domu ich rzeczy, podczas gdy gapie gromadzą się przy wejściu. Szepczą między sobą, żarłocznymi spojrzeniami chłoną każdą scenę. Bez trudu można poznać, że się cieszą. Że, głodni wrażeń, naprawdę napawają się tym skandalem. Dzięki temu mogą wznieść się ponad poziom Henry'ego i jego rodziny, jednocześnie ich zadeptując. Kurwa mać. Nic nie wiedzą. Przeklęta zgraja rozbestwionych drobnomieszczan, którzy nigdy, przenigdy nie przepuszczą okazji, żeby zgnębić tych, którzy nie mieli tyle szczęścia i nie urodzili się w bogatym domu! Rozpuszczone gnoje, w czepku urodzeni, świat stoi przed nimi otworem. Niech się pierdolą!

Po wyniesieniu całego dobytku do Henry'ego podchodzi jakiś mężczyzna w garniturze, prosząc o podpis na dokumencie, który potwierdza przekazanie domu. Prosi też, aby udali się za nim do jego biura

w przytułku. Henry próbuje chwycić Klarę pod rękę, lecz ona się wykręca. Wykonuje tylko nieznaczny ruch ramieniem, jednak on zwraca uwagę na to odtrącenie. Z początku myśli, że to zrozumiałe, że jej przejdzie, lecz chłód nie mija po przydzieleniu im mieszkania komunalnego.

Odsuwa się odrobinę, kiedy mąż próbuje jej dotknąć, w jej oczach zaś zagościła zawziętość, obcość, wyrzut, jak gdyby sama nie korzystała z pieniędzy, które dla nich zarabiał. Jak gdyby jej nie cieszyły steki jagnięce, wyjścia do kawiarni, nowe bluzki i spódnice. Pieprzona podwójna moralność, myśli Henry. Nie może go tak odrzucać! Nie ma prawa! Wszystko to przecież robił dla n i e j, dla n i c h, dlatego ona nie może się wycofywać, odtrącać go, myśli; wieczorem chwyta ją i podnosi jej spódnicę, ma gdzieś to, czy ona chce, czy nie, i kładzie jej rękę na kroczu. Drugą mocno ją przytrzymuje, wciskając palec między jej uda, chociaż nie jest wilgotna. Potem popycha ją na łóżko i rozpina spodnie. Nie odzywa się słowem, skupia się na swoim szybkim oddechu. Czuje pulsującą w nim złość. Niewdzięczna baba! Jakbyś sama w tym cały czas nie uczestniczyła, nie czerpała z tego korzyści! Co?! Zawsze marudziłaś, gdy mieliśmy za mało pieniędzy, i ani razu nie zapytałaś, skąd je wziąłem, gdy przynosiłem do domu więcej! Nigdy!

Kładzie się na niej, chwyta przyrodzenie, wciska je w suchy otwór i ledwie rejestruje, że ona odwraca głowę i leży bez ruchu.

Czas się dłuży, gdy nie ma zajęcia. Dni pozbawione są celu, bez pracy, bez uznania, bez pieniędzy. Henry nie potrafi wysiedzieć w domu, wysłuchiwać niekończących się wyrzutów Klary, która bezustannie wypomina mu popełnione błędy, wystarczy jej sama jego obecność. Ilekroć żona otwiera usta, patrzy na niego lub się odsuwa, przypomina mu o jego fiasku, dlatego Henry woli wyjść, włóczyć się w pojedynkę i marzyć o życiu z dala od Levanger, od upokarzających spojrzeń napotykanych ludzi, bo nietrudno sobie wyobrazić, jak cieszą się przy kawiarnianych stolikach. Jak pochylają się nad blatem i ściszają głos, aby opowiedzieć sobie, co się stało z Henrym Oliverem Rinnanem. Tym, co zawsze był taki hardy.

Henry wyobraża sobie szerokie uśmiechy pojawiające się na ich ustach, paskudne, zadowolone z siebie spojrzenia wymieniane przy stolikach, w salonach, na podwórzach. Pierdolone przeciętniaki, jeden z drugim! Tak

bardzo przejęci tym, co sądzą, co myślą inni. Zobaczą jeszcze, zasrańcy, na co go stać! Nikogo nie potrzebuje. Naprawdę nikogo. Przyjaciół, sąsiadów ani rodziny. Nie, jeśli mają być tacy. Zbyt często płakał sam w lesie. Tym razem łzy nie przychodzą, zastygają jak podziemne nacieki na stropach jaskiń, zimne spadają na dno i zmieniają się w kamień. Jeszcze się podniosę, myśli Henry, mocno zaciskając szczęki, a oddech ma ciężki, kiedy wędruje bez celu za miasto. Jakoś się podniosę, a wtedy zasrańcy zobaczą! – myśli, mijając dwóch mężczyzn z sąsiedztwa, którzy przerywają rozmowę, by rzucić mu ukradkowe spojrzenie. Henry czuje, że policzki mu płoną, widzi, jak ich raduje jego krzywda. Nie ma mowy, żeby się przejął tym, co sobie pomyślą w tych tycich móżdżkach.

Idioci, po co miałby z nimi rozmawiać? Co z tego, że nie zapraszają go z Klarą na obiady i do kawiarni w niedziele, skoro i tak nie ma ochoty tam być? Żaden problem!

Zupełnie żaden, bo w dupie ma te ich durnowate przyjęcia. Nie potrzebuje przesiadywać z nimi w mieszczańskich salonach, gdzie jedni starają się zaimponować drugim nowym serwisem, kanapą czy sekretarzykiem, na który niby przypadkiem wskazują, żeby się nim pochwalić, a później z fałszywą skromnością dodać: „dostaliśmy go w spadku" albo „kupiliśmy go na raty". Chuj z nimi!

Chuj ze wszystkimi w rzyć pierdolonymi gnojami, myśli Rinnan, wlokąc się ulicami miasta.

H jak hebanowy kolor włosów Gersona i Jacoba w październiku 1942 roku, kiedy kryją się na poddaszu w centrum Oslo, naprzeciwko kwatery głównej nazistów. Ciemne, prawie czarne włosy zdradzają, że nie są Aryjczykami.

– Musicie się przefarbować – oznajmia wdowa Eriksen, stawiając przed braćmi na stole brązową butelkę z apteki.

Kiedyś – w innym życiu, przed wojną i rozdzieleniem – była ich nianią, mieszkała wtedy ze swoimi rodzicami w domu w Trondheim tuż obok nich i miała za zadanie opiekować się dwoma chłopcami. Gotować im, myć ich. Szorować szczupłe ciała mydłem, pocieszać, kiedy piana szczypała w oczy. Otulać ręcznikami, sadzać na kolanach i mówić: „cii, malutki, już dobrze".

Teraz są dorośli. Jacob odwraca butelkę i patrzy na etykietę. N a d t l e n e k w o d o r u.

– Aha...? Nad... tlenek... wodoru – jąka się Jacob, urywa dźwięki, jak mu się czasem zdarza, i posyła przepraszający uśmiech Gersonowi, który przejmuje butelkę, żeby odwrócić ją etykietą do siebie.

Gerson słyszał kiedyś o środku wybielającym, którego przed wojną pewne kobiety używały do rozjaśniania włosów. Teraz to i c h ciemnych włosów trzeba się pozbyć, aby ukryć, kim są.

Niania przynosi do stołu balię z wodą i wyjmuje dwa ręczniki, które kładzie im na ramionach. Następnie prosi Gersona, aby pochylił się do przodu, po czym wylewa mu odrobinę środka na włosy i rozprowadza po nich palcami. Masuje skórę głowy, dotykiem przyprawiając go o gęsią skórkę. Włosy są mokre, środek spływa po policzkach. Później ujmuje jego podbródek, unosi głowę Gersona i dokładnie mu się przygląda. Przez chwilę zdejmuje go strach, że wdowa spróbuje go pocałować, że zbliży się do niego i przyciśnie wargi do jego ust, jak czasem robiła w marzeniach, kiedy był nastolatkiem, ona jednak dotyka palcem wskazującym szyjki brązowej butelki i w skupieniu przesuwa nim po jego brwiach. Najpierw po jednej, potem po drugiej.

– Już. Pochyl się i poczekaj, aż środek zadziała – mówi i podchodzi do Jacoba.

Gerson spogląda na blat stołu. Słyszy, jak kobieta powtarza procedurę z bratem i nagle myśli o matce. O tym, jak czasem wołała do kuchni ich obu oraz ojca. Obcinała im włosy, jednemu po drugim, a ciemne kosmyki spadały na podłogę, podobne do czarnych kresek narysowanych ołówkiem.

Nareszcie pani Eriksen przychodzi z balią, chwyta czerpak i polewa mu włosy wodą. Lodowaty płyn cieknie po skórze głowy, leje się po karku i do uszu, ale Gerson nic nie mówi. Pozwala jej wszystko spłukać, wyciera włosy.

Gdy w końcu unosi głowę, patrzy prosto w twarz Jacoba i wybucha śmiechem, który natychmiast próbuje stłumić rękami, bo włosy brata są nie tylko rozjaśnione, lecz również pomarańczowe jak marchewka. Nabrały całkiem nienaturalnego koloru, jakiego Gerson nigdy nie widział u żadnego człowieka.

Niania również na próżno stara się powstrzymać śmiech, bo nikt nie może usłyszeć, że ktoś jest na poddaszu, ale nie daje rady i jeszcze zaraża śmiechem Jacoba.

Gerson staje przed lustrem opartym o ścianę i chichocze znowu na widok swojego odbicia, ponieważ nic innego mu nie pozostaje. Doznał przemiany. Nie w norweskiego blondyna, ale w świecącą marchewę albo w karykaturę aktora komediowego z teatru dla dzieci.

– Teraz będziemy musieli ukryć t o – mówi, chwyta pomarańczowe włosy i zaciśniętymi pięściami ciągnie je w górę.

Wiele razy próbują płukać czupryny, ale jest już za późno. Wybielacz wsiąknął w każdy włos i usunął pigment. Teraz pozostało im tylko stąd uciec. Z Oslo, od Niemców, od wojny.

Tygodniami bezczynnie czekają na poddaszu. Niania kilkukrotnie przychodzi do nich z wieścią, że ktoś ich odbierze i wywiezie, ale za każdym razem w ostatniej sekundzie coś nie wychodzi. Za każdym razem kogoś aresztują lub demaskują jakiegoś członka ruchu oporu.

Niania mówi, że dołoży wszelkich starań, aby ich stąd wydostać. Rozmowa z matką niesie zbyt duże ryzyko. Nie mogą więc dać znaku życia. Jeszcze nie.

Mogą jedynie myśleć o tych, których nie ma. Wiadomość o śmierci ojca odzywa się bólem w tle rozmów. Równomierne, utrzymujące się ćmienie o zmiennym nasileniu, niekiedy przysłaniające wszystkie inne sprawy. Żal nie przychodzi falami, w regularnych, przewidywalnych odstępach. Jest raczej jak ciężki pojemnik pełen zimnego płynu w piersiach, który trzeba ostrożnie nosić, tak aby niczego nie rozlać. Czasami płacz nachodzi Gersona, kiedy myje twarz i widzi w lustrze pomarańczowe włosy. Wtedy bywa tak, że najpierw uśmiecha się do swojego odbicia, ale uśmiech zastyga, gdy przed oczami staje mu ojciec, jak grzebieniem zaczesuje włosy do tyłu albo gładzi matkę po plecach, mijając ją w salonie. Nagle słyszy, jak ojciec nuci lub dyskutuje z matką czy z przyjacielem ze wspólnoty, i wtedy płyn się przelewa, łzy kapią po policzkach.

Październik przechodzi w listopad. W mieszkaniu naprzeciwko mieszka kobieta pracująca na gestapo jako sekretarka. Często odwiedzają ją przyjaciele żołnierze, którzy tupią i wydzierają się, przechodząc przez

budynek. Raz ktoś nagle wali do drzwi na dole, chce wejść – Gerson i Jacob stają nieruchomo pod ścianą na poddaszu, czekają na kroki na schodach, lecz to nie ich szukają żołnierze. Przyszli tylko złożyć zażalenie na smugi światła prześwitujące spomiędzy zasłon zaciemniających.

Przychodzi piętnasty listopada. Czekają w ciszy, zdjęci lękiem i znudzeni. Przychodzi dwudziesty listopada, nadal czekają.

Dwudziestego piątego listopada twoi synowie nareszcie słyszą, że mają się szykować, bo następnego dnia rano, dwudziestego szóstego listopada, przyjedzie po nich taksówka.

Bracia pakują swoje rzeczy. Chcą się wcześnie położyć i dziękują gospodyni, która pozwoliła im tak długo u siebie mieszkać. Mimo to jeszcze sporo po północy Gerson nie śpi. Podczas gdy kilkuset kierowców taksówek w całym mieście przygotowuje się do zlecenia, studiując listę osób, które należy odebrać i zawieźć na nabrzeże, Gerson leży cicho w ciemności i próbuje to sobie wyobrazić. Nareszcie się dzieje. Wczesnym rankiem wyjadą.

Tak niewiele zostaje z życia, gdy zredukuje się je do minimum. Gdy odejmie się mieszkanie i meble. Gdy talerze i sztućce, obrazy i dywany, książki, buty, zegary i błyskotki znikną, a zostaną jedynie ciało i ubrania, które ma się na sobie. Gerson siedzi na wąskim łóżku razem z Jacobem, czekając na taksówkę, która ma ich odebrać. Plecak z prowiantem i czymś na zmianę leży już spakowany. Tyle zostało z pracy całego pokolenia, z twojego ogromnego awansu społecznego – z rosyjskiej wioski do europejskiej socjety. Wszystko przepadło.

Czekają, czekają i czekają. Słyszą, jak jakiś samochód podjeżdża i zatrzymuje się przed domem. Żołnierze?

Kroki na schodach. Klucz wsuwa się w zamek, drzwi się uchylają. To pani Eriksen.

– Chodźcie. Wszystko gotowe – szepcze.

Gerson wstaje, Jacob też. Żegnają się z pokoikiem na strychu i wychodzą na schody. Gerson spogląda na nocne niebo. W górze lśni planeta Wenus, którą przez setki lat nazywano Gwiazdą Poranną.

Stopnie skrzypią, jeden po drugim, aż do samych drzwi. Pani Eriksen wychodzi pierwsza, aby upewnić się, że nie zbliżają się żołnierze, i prosi braci, by do niej dołączyli.

– Powiedziałam, dokąd ma was zawieźć, więc wystarczy wsiąść – mówi i ściska ich obu.

Gerson zbliża się zgarbiony do taksówki i wślizguje się na tylne siedzenie, skąd w lusterku widzi twarz kierowcy. Jacob wsiada od drugiej strony, poprawiając czapkę, która ma ukryć rażące włosy.

– Na dworzec – mówi Gerson.

Kierowca kiwa głową i przekręca kluczyk. Dwadzieścia metrów od nich spaceruje niemiecki żołnierz, który odwraca się na dźwięk uruchamianego silnika, lecz idzie dalej. Jadą, długo przed wschodem słońca, ciemnymi, pustymi ulicami. Pojedyncze ptaki grzebią w odpadkach, które zdołały wyciągnąć z kubła. Jadą wzdłuż nabrzeża, mijają wodę i duże zacumowane statki. Dalej na Dworzec Wschodni. Tam kierowca parkuje, mówiąc, że gospodyni już zapłaciła. Idą na peron z pochylonymi głowami, chowają się w cieniu. Na peronie jest jasno, o wiele za jasno, od lamp zamontowanych na filarach. W tej chwili stoją sami, ale do pociągu jeszcze piętnaście minut, a pomarańczowe włosy wystają spod czapek. Nagle Jacob podchodzi do najbliższej lampy, szybko się rozgląda, wystawia dłoń w rękawiczce i przekręca żarówkę o pół obrotu, dzięki czemu światło gaśnie.

Patrzy na Gersona, uśmiechając się szelmowsko w mroku, na co brat poklepuje go po ramieniu. Czekają. Śledzą każdy ruch na pozostałych peronach. Wreszcie nadjeżdża pociąg. Wsiadają do wagonu, są w nim sami. Opuszczają miasto. Docierają do stacji Strømmen, gdzie przesiadają się do autobusu, tak jak im przykazano. Cały czas kulą się na fotelach, pragną przycisnąć się jeden do drugiego, stać się niewidzialni. Tylko dwie zimowe czapki wystają znad siedzeń.

Tej samej nocy, gdy setki taksówek kursują wahadłowo, odbierając żydowskie rodziny i zawożąc je na nabrzeże, tam gdzie czeka na nie statek, dwaj bracia siedzą w autobusie. Obracają się, ilekroć mija ich ciężarówka. W końcu dojeżdżają na miejsce i wysiadają na przystanku w głębi lasu. Tam czekają wśród świerków. Czekają, czekają i czekają.

Wreszcie z ciemności dobiega ich dźwięk silnika.

Może powinniśmy schować się w lesie, tak na wszelki wypadek?, myśli Gerson i po twarzy Jacoba poznaje, że brat też to rozważa, ale żaden z nich nie podejmuje decyzji, bo co będzie, jeśli to nie żołnierze, tylko ciężarówka, która ma ich odebrać? Chyba nie mogą ryzykować, że kierowca ich minie, a oni zostaną z kanapkami i termosem w głębi lasu, pod koniec listopada, gdy panuje już skandynawska zima?

Więcej nie zdąży pomyśleć, bo światło okrągłych reflektorów wyłania się zza zakrętu, rozjaśnia pnie drzew i go oślepia. Ciężarówka hamuje, skręca w bok i silnik gaśnie. Gerson opuszcza dłoń. Widzą przed sobą wesołą twarz mężczyzny, który pyta, czy to oni są Gerson i Jacob. Śmiech i ulga. Jadą.

Pnie drzew migają za szybą. Wątłe pnie sosen z pomarańczową, porowatą, łuszczącą się korą.

Uśmiechają się do siebie, ale nie mają odwagi świętować, jeszcze nie.

Kierowca skręca w polną drogę, wzdłuż której ciągnie się ogrodzone płotem pastwisko dla krów, jałowe i puste. Gerson dostrzega w lusterku wstecznym część twarzy kierowcy. Młody mężczyzna, w jego wieku. Co kazało mu podjąć takie ryzyko? Co każe wszystkim, którzy organizują przerzuty przez granicę, pieszo, samochodami i łodziami, narażać życie, aby pomagać uchodźcom takim jak oni?

Wkrótce ich oczom ukazuje się gospodarstwo: pomalowana na czerwono stodoła i biały budynek mieszkalny. Niebieski traktor. Zardzewiałe widły wbite na skraju drogi, z zębem wygiętym jak palec. Porozrzucane pozostałości narzędzi i maszyn, niektóre zardzewiałe, wracające do ziemi.

Na podwórzu stoi silnie zbudowany mężczyzna z brodą w poplamionej koszuli roboczej, który pokazuje kierowcy, by jechał dalej w stronę stodoły.

W stodole znajduje się ciężarówka z otwartą paką, zaparkowana koło olbrzymiego stogu siana, która zapewni im dalszy transport. Czeka tam już trzech mężczyzn i dwudziestoparoletnia kobieta. Sami Żydzi. Jeden z nich jest pianistą i nazywa się Robert Levin.

– Gdzie się schowamy? – pyta Jacob.

– Tam – mówi mężczyzna i z krzywym uśmieszkiem wskazuje pakę ciężarówki.

– Pod ładunkiem siana? – dopytuje Gerson, a rolnik kiwa głową.

– Wcześniej musicie zjeść i się załatwić. Następna okazja będzie w Szwecji.

Godzinę później Gerson, Jacob, Robert i reszta wdrapują się na pakę, gdzie układają się jeden obok drugiego. Gerson krzyżuje ręce na piersi niczym faraon, żeby móc w razie czego podrapać się po twarzy lub wyjąć źdźbło łaskoczące w nos albo usta. Wtedy spada na niego deszcz siana. Sztywna, sucha trawa, mokra i oślizgła w miejscach, gdzie wilgotne źdźbła leżały zbyt blisko siebie, przez co rozpuściły się włókna.

Gerson zamyka oczy i wstrzymuje oddech. Swędzi go policzek, swędzą wargi, palce i prześwity między koszulą a spodniami. Czuje się tak, jakby brał udział we własnym pogrzebie, ale nie w trumnie opuszczanej w ciemność pod ziemią, lecz na pace ciężarówki pełnej siana, w którym musi leżeć aż do nabrzeża promowego i dalej przez granicę. Leżeć i mieć nadzieję, po prostu mieć nadzieję, że Niemcy po drodze nie skontrolują pojazdu.

Aby dotrzeć do Szwecji, muszą przeprawić się promem samochodowym, a zarówno statek, jak i terminal promowy po norweskiej stronie podlegają niemieckim kontrolom.

Siano kłuje w policzek, kark i dłonie, gdy wiozą go drogami, których nie widzi. Ciężarówka podskakuje na wybojach, odczuwa je w postaci uderzeń w głowę i ramiona. Jedyne, co słyszy, to dźwięk dieslowskiego silnika pod nimi.

Nierówności terenu wyczuwa jako nieznaczne przesunięcie środka ciężkości w drodze pod górę i w dół. Jako siłę odśrodkową, która czasem na zakrętach przyciska jego ciało do boku paki.

Gerson ma zamknięte oczy, a kiedy tak leży, w wyobraźni nieustannie nawiedzają go żołnierze. Dwóch, trzech opryskliwych Niemców na rozmaite sposoby podnosi siano i każe mu się dźwignąć, więc staje na pace w świetle dnia, z suchą trawą przyczepioną do spodni i kurtki lub wystającą z włosów jak u stracha na wróble. Wyobraża sobie żydowską dziewczynę, z którą zaczął spotykać się w Oslo. Gdzie teraz jest?

Stara się odepchnąć te obrazy, skupić się na czymś innym, na przykład na firmie, którą chciałby założyć, lecz jest w stanie myśleć o niej tylko przez krótką chwilę. Wystarczy drobny wybój albo kamień na drodze, skrzyżowanie, na którym ciężarówka musi się zatrzymać, albo gwizd pociągu, by niezmiennie wracała do niego scena, w której naziści rozkazują mu zejść z paki.

Niekiedy w tych rojeniach zostaje stracony na miejscu, po prostu wyciągnięty z ciężarówki, zabity strzałem w głowę z rewolweru i zepchnięty do rowu. Innym razem prowadzą go do samochodu i wiozą do więzienia lub na przesłuchanie. Dalej fantazje stają się mniej sugestywne, bo wyobraźni brakuje materiału, którym mogłaby się posiłkować. Słyszał, co prawda, pojedyncze opowieści i pogłoski o transportach Żydów, ale nie wie wystarczająco dużo o miejscach, w jakich mogą rozgrywać się takie sceny, by ujrzeć w myślach coś więcej niż schematyczne wizerunki szop, drutów kolczastych, żołnierzy i błota.

Ile czasu mogło minąć? Kwadrans? Godzina? Gersonowi chce się do ubikacji, ale wie, że musi wytrzymać. Całą wieczność później ciężarówka hamuje. Czy są na miejscu? Puls wali mu w uszach, tętni w brzuchu, wyśpiewuje ten spójny rytm, jakim jest życie, bezustannie, z pokolenia na pokolenie. Równomierny stuk, przekazywany dziecku przez matkę, ciągle i wciąż, bez przerw, przez wieki i tysiąclecia, od pierwszego bijącego serca. Łomoczący puls życia.

Wtedy słyszy, że melodia silnika cichnie, aż wreszcie ciężarówka się zatrzymuje. Ktoś na zewnątrz krzyczy, jakiś mężczyzna, ale nie kierowca, nie mówi też chyba po szwedzku. Czy to niemiecki?

Tak.

Trzaskają drzwi. Trawa kłuje w policzek, w powieki, źdźbło łaskocze dziurkę w nosie. Ktoś zaczyna rozmawiać tuż koło paki. Żołnierz chce się dowiedzieć, dokąd jedzie kierowca. Następnie oznajmia, że zamierza *die Ladung kontrollieren*.

Skontrolować ładunek.

Gerson słyszy, jak dłonie grzebią w sianie, więc instynktownie zaciska powieki i myśli, że już po wszystkim, że dłonie zaraz go znajdą. Wtedy ktoś rzuca coś po niemiecku, lecz Gerson nie rozpoznaje słów. Znaleźli Jacoba?

Nasłuchuje, ale nagle nastaje cisza. Żołnierze przestali rozmawiać. Żwir nieopodal trzeszczy. Wtem Gerson słyszy świst jakiegoś przedmiotu wtykanego w suchą trawę. Wideł? Lufy broni? Coś świszczy, przechodząc przez siano, po czym zostaje zeń wyjęte.

Po co w ogóle ten człowiek miałby przewozić wyschniętą trawę przez granicę?, myśli Gerson, podczas gdy metal ponownie wbija się w siano, i żałuje, że nie zapytał o to wcześniej, bo czyż nie jest to dość niewiarygodna przykrywka? Po co ktoś miałby wieźć siano za granicę? Czy naprawdę żołnierze są w stanie uwierzyć, że w Szwecji nie ma trawy, którą rolnicy mogą sobie sami wysuszyć?

Świst. Głosy mówiące po niemiecku. Nieznaczny ruch otaczającego go siana.

Leży najspokojniej, jak umie. Ledwo śmie oddychać i mocno zaciska powieki. W każdej chwili mogą go trafić. Czy da radę leżeć bez ruchu, jeśli widły wbiją mu się w udo, w pierś, w policzek?

Świst.

Świst.

Świst.

Coś twardego trafia Gersona nad kolanami, czuje, jak siano przyciska się do rzepki. Ktoś inny kłuje w pakę od spodu, tuż przy jego uchu, aż rozlega się głośny, metaliczny brzęk. Trzecie ukłucie trafia go w przedramię. Nie dość mocno, by przebić skórę, lecz wystarczająco, by sprawić ból. Czy żołnierz to czuje? Że przedłużenie jego ręki dotknęło czegoś, co stawia opór?

Mija sekunda, mijają dwie, ktoś obraca czymś twardym, czego końcówka podnosi mu skórę na ręce. Wreszcie przedmiot zostaje wyjęty i Gerson słyszy głos, który mówi, że wszystko w porządku, że mogą wjeżdżać na prom.

W plecach czuje drżenie uruchomionego silnika. Jadą. Ma ochotę krzyczeć z radości, płakać z ulgi, ale nie robi tego. Leży tylko z zamkniętymi oczami, czuje parcie na pęcherz i pieczenie rany na przedramieniu, w miejscu, gdzie metal rozszarpał skórę.

Prom buja się nieznacznie podczas przeprawy, szum silnika statku rozchodzi się po ciele Gersona. Nagle rozlega się głośniejszy dźwięk, to

pewnie bieg wsteczny, potem zaś lekkie stuknięcie o ląd po drugiej stronie. Czas wlecze się w nieskończoność. Ktoś woła. Otwiera się metalowa brama i ruszają, a Gerson czuje, jak puls tętni mu w gardle. Czy nie powinni być już na miejscu? Co się dzieje, myśli, zwracając uwagę na każdy ruch karoserii. Nagle jego ciało podskakuje na wybojach. Wtedy ciężarówka hamuje i staje. Wyłączony silnik milknie. Gerson leży bez ruchu, wstrzymuje oddech, nie mając pewności, czy przypadkiem nie natrafili na kolejny punkt kontrolny. Wtem słyszy, jak ktoś zdejmuje leżące na nim siano. Gerson siada, strzepuje źdźbła z twarzy i nagle aż podskakuje na widok pistoletu w ręku kierowcy. Chce ich zmusić do oddania pieniędzy? Albo może wpadli w pułapkę, może to jeden z podwójnych agentów, o których słyszał pogłoski?

– Wychodźcie! – mówi kierowca i się odwraca.

Dopiero teraz Gerson ma odwagę się podnieść i rozejrzeć, by stwierdzić, że są sami. W pobliżu nie ma innych ciężarówek. Nie ma czekających na nich niemieckich oddziałów, gotowych, by zaciągnąć ich do obozu koncentracyjnego lub stracić na miejscu, w lesie.

Jest tylko polna droga, otoczona sosnami i świerkami. Napotyka wzrok Jacoba, który wygląda komicznie z pomarańczowymi włosami pełnymi siana i z czapką w rękach. Gerson wybucha śmiechem, pianista również.

Gerson schodzi z ciężarówki, otrzepuje spodnie i czuje, że nogi zdrętwiały mu od tak długiego leżenia.

– Idźcie kilkaset metrów tą drogą – kierowca wskazuje palcem – a dotrzecie do skrzyżowania ze znakiem. To będzie już Szwecja.

Pianista i troje pozostałych podają mu rękę. Gerson i Jacob też mu dziękują, wielokrotnie. Ruszają przed siebie. Gerson pragnie puścić się biegiem, lecz zmusza się, by iść spokojnym krokiem.

Odwraca się, gdy uchodzą kilka metrów, i widzi, jak kierowca wsiada do ciężarówki. Wtedy mijają zakręt i docierają do rany w krajobrazie, w miejscu, gdzie wycięto drzewa. Pośrodku szramy stoi żółty znak. *Riksgräns Sverige*.

Jacob z zawadiackim uśmiechem przekracza niewidzialną granicę. Gerson też przez nią przechodzi, idzie jak najdalej, by nie było wątpliwości, że naprawdę znalazł się po drugiej stronie. Wtedy brat rzuca mu się na

szyję, a Gerson czuje niepohamowany przypływ ulgi, całkiem niespodziewanie, aż zaczyna się śmiać. Śmieje się bez ustanku, policzki zaś ma mokre od łez.

Udało im się. Są bezpieczni!

I

I jak igiełki lodu przyczepiające się zimą do bród niektórych więźniów – niteczki śliny czy smarków, które zbijały się w większe grudki na wąsach i owłosieniu twarzy, przybierających w ten sposób postać czegoś dzikiego, nieokiełznanego, niczym część przyrody.

I jak irytacja, która narasta w tobie pod wpływem ciągłych przepychanek, pomiatania, braku jedzenia. Jak trudno zachować godność, człowieczeństwo, skoro cały system, w którym cię umieszczono, powstał właśnie w tym jednym celu: aby ci je odebrać?

I jak Ivar Grande. Pierwszy zastępca przywódcy bandy Rinnana, odkąd do niej dołączył w maju 1942 roku. Atletycznie zbudowany mężczyzna, rozwiedziony po zawarciu związku z Kitty Lorange, która po ślubie przyjęła jego nazwisko. Ivar łatwo zdobywał sympatię, opisywany jest także jako skuteczny infiltrator. Wysoki, przystojny, pewny siebie. Był mężczyzną, za którym ludzie się oglądali, którego automatycznie słuchali; Rinnan też zauważał, że inni członkowie grupy zwracali się do Grandego, by poznać jego zdanie na dany temat, chociaż to H e n r y był ich przywódcą. Rinnan widział w tym problem, aż udało się go rozwiązać. Przeniósł Ivara Grandego na stanowisko w Ålesund. Niedługo potem go zastrzelono. Kitty Grande owdowiała i jednocześnie odeszła z bandy.

I jak imponujący, inteligentny rozmówca. W wywiadzie dla norweskiej agencji prasowej NTB z roku 1946 jeden z trzech biegłych psychiatrów, którzy brali udział w rozprawie Rinnana, wypowiada się o nim w następujący sposób:

„Nie ma wątpliwości, że Rinnan posiada wyjątkową władzę nad ludźmi. Odbyłem z nim wiele rozmów i bez wstydu przyznaję, że sam czułem jego sugestywną władczość. Poza tym pod wieloma względami jest

imponującym rozmówcą o ponadprzeciętnej inteligencji. To, że został wielkim zbrodniarzem, wynika przede wszystkim z poważnych nieprawidłowości w sferze emocjonalnej. Nie wydaje mi się jednak, by jego władczość była przejawem choroby".

J

J jak jesień.

J jak jęki.

J jak „jøssingowie”, przezwisko członków ruchu oporu, przeciwieństwo „quislingów”. Nazwa pochodzi od niemieckiej porażki nad Jøssingfjorden, gdzie w lutym 1940 roku doszło do opanowania nazistowskiego okrętu wojennego przez abordaż i uwolnienia trzystu brytyjskich jeńców, co być może przyczyniło się do podjęcia decyzji o okupacji Norwegii w maju tego samego roku. Słowa „jøssing” naziści używali jako obelgi, lecz ruch oporu podłapał je i zmienił w chwalebne określenie, które stało się również tytułem wielu nielegalnych gazet.

J jak *Jehudi*, Żyd. Kultura żydowska posiada własny język i bibliotekę opowieści, które mają pozostać w pamięci wiernych, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Kilka tysięcy lat temu przodkowie moich dzieci ze strony matki przywędrowali z terenów wokół Jerozolimy. Stopniowo migrowali coraz bardziej na północ i wschód, aż około 700 roku naszej ery dotarli do Rosji. W pewnym okresie średniowiecza była to przypuszczalnie największa diaspora żydowska na świecie. Pod koniec osiemnastego wieku ustanowiono osobną strefę osiedlenia dla Żydów, a mniej więcej w roku 1880 rozpoczęły się prześladowania, pogromy, które doprowadziły do tego, że miliony Żydów na przestrzeni kilku dziesięcioleci uciekły z Rosji do Stanów Zjednoczonych lub do Skandynawii. Jednym z nich jesteś ty.

A wśród twoich potomków jest Rikke.

J jak jedzenie przemycane do Falstad od rodzin i z okolicznych gospodarstw, dzięki któremu obozowe życie stawało się lżejsze.

J jak jasne letnie miesiące, które spędzasz w północnej Norwegii jako tłumacz rosyjskich jeńców wojennych. Wyjaśniasz im, w jaki sposób zbić z desek osłony przeciwzaspowe, jaką powinny mieć wysokość. Uczestniczysz w negocjacjach dotyczących czasu pracy i racji żywnościowych. Mieszkasz i pracujesz pod niebem, które nigdy nie ciemnieje, pod słońcem, które nawet w nocy oświetla jałowe równiny i usypiska skalne. Patrzysz, jak Rosjanie ustawiają osłony przy drogach, i przeglądasz się w ich oczach, w których dostrzegasz lęk, bo co zrobią niemieccy żołnierze, gdy przestaniesz im być potrzebny? Opędzasz się od komara bzyczącego koło uszu, jesz rozwodnioną zupę i co wieczór zastanawiasz się, co słychać u twojej rodziny. Wtedy nadchodzi jesień, początek października i nagle dowiadujesz się, że zostaniesz przetransportowany z powrotem do Falstad. Krążą pogłoski o stanie wyjątkowym, o akcji przeciwko norweskiemu ruchowi oporu, oglądasz północnonorweski krajobraz z okien aut i pociągów. Równiny trawy i wrzosu, porośnięte gdzieniegdzie kępami brzozy karłowatej, aż wreszcie znów pojawiają się świerki, z początku nieduże, później coraz większe, coraz gęstsze, im bardziej zbliżacie się do Trøndelagu i obozu karnego.

J jak jeden z ostatnich dni roku 1950. Ellen Komissar wspina się po schodach do nowego mieszkania Marie, jest w drodze na spóźnione rodzinne obchody Chanuki. Gerson i Jannicke idą tuż przed nią lekkim krokiem, trzymając się za ręce, ona zaś jest w ósmym miesiącu ciąży i może w każdej chwili urodzić. Jest ociężała, jej uda uderzają o brzuch, nylonowe pończochy z „Paris-Wien" opuszczają się z każdym krokiem, tak że musi wsunąć rękę pod płaszcz i chwycić je przez materiał sukienki, żeby podciągnąć tasiemkę na biodra. Musi przytrzymywać się poręczy. Nagle czuje uderzenie gorąca, pot perli się jej na plecach.

Ellen zatrzymuje się na stopniu, aby złapać oddech, rozsuwa płaszcz, żeby się schłodzić; nie mogę zjawić się przepocona na przyjęciu, myśli, ale strach tylko pogarsza sprawę, bo czuje się obco we własnym ciele. Nie czuje się atrakcyjna i kobieca, jest wzdęta, ręce i nogi ma tak spuchnięte, że wyglądają jak balony. Co w tym atrakcyjnego, myśli, wdrapując się po ostatnich stopniach; patrzy, jak Gerson podnosi córkę i opiera ją sobie na biodrze, po czym odwraca się do niej.

– W porządku, Ellen? – pyta, a ona kiwa głową, na chwilę zatrzymując na nim wzrok.

Przystojny jest w tym płaszczu, z szalikiem owiniętym wokół szyi, za to ona niedługo będzie tylko leżała w łóżku, otępiała od ciągłego karmienia piersią i braku snu, w bluzce poplamionej ulanym mlekiem. Będzie leżała nieapetyczna i zniszczona, podczas gdy Gerson będzie widywał najpiękniejsze kobiety z wyższych sfer Trondheim. Te, które stać na to, by zajrzeć do „Paris-Wien", zamówić sobie ciuch z kontynentu albo kapelusz, do którego ozdoby same pomogą dobrać. Jasne, że mu się znudzę, wmawia sobie i myśli o ojcu. O tym, że niedawno zaczął się spotykać z własną sekretarką i rozwiódł się z matką, która od tygodni przebywa w szpitalu psychiatrycznym niedaleko Oslo. Powinnam tam pojechać, myśli Ellen, powinnam ją odwiedzić, ale nie dam rady, przecież w każdej chwili mogę urodzić. Przez chwilę czuje, że traci grunt pod nogami, chciałaby usiąść na schodach i zanieść się płaczem, ale nie może, musi odwzajemnić uśmiech Gersona. Powiedzieć, że wszystko w porządku. Muszę być silna, muszę myśleć, że mam szczęście, szczęście, szczęście, powtarza sobie w duchu, uśmiechając się do Jannicke, która spogląda w dół spomiędzy szczebli balustrady na piętrze. Cudowna dziewczynka o błyszczących oczach i pięknych, ciemnych włosach. Ellen wspina się dalej po schodach, idzie do drzwi wejściowych. Gerson dotyka jej pleców, na pewno w dobrej wierze, ale są przepocone, myśli Ellen i mu się wywija. Z niepewnym uśmiechem chce wyciągnąć rękę, żeby chwycić go za przedramię, dać znak, że nie miała zamiaru okazywać niechęci, ale Gerson zdążył już zamknąć się w sobie. Schyla się i podnosi Jannicke, żona zaś jakby przestała dla niego istnieć.

Dzwonią do drzwi i po chwili zostają wpuszczeni do środka przez rozgorączkowaną Marie, która wygląda tak, jakby podkręciła swój czar powyżej maksimum, na ustach ma zbyt szeroki uśmiech. Mówi za głośno i nagle wybucha śmiechem, kiedy zdejmują płaszcze i jako ostatni dołączają do towarzystwa. Ellen zajmuje miejsce przy stole – obok niej Jannicke – i zaczyna jeść. Stara się brać udział w rozmowie. Nie wolno jej myśleć o siostrze, za którą tęskni i o której myśli wiele razy dziennie. Jej siostra bliźniaczka, Grete, od razu wszystko by zrozumiała. Rozpoznałaby jej nieszczęście, a przede wszystkim nigdy nie osądziłaby jej za

wątpliwości, za myśli, za to, iż nie potrafi być prawdziwie wdzięczna, że żyje i może mieszkać w tym domu. Ellen sięga po kieliszek z winem. Widzi, że Gerson zerka na nią z dezaprobatą, ale jeden kieliszek musi przejść. Ellen częstuje się ziemniakami, Marie raz jeszcze pyta, jak się miewa, na co ona posyła jej swój najuprzejmiejszy uśmiech.

– Dziękuję! Jasne, że wszystko dobrze. Spójrz tylko, jakie mam szczęście – odpowiada i uśmiecha się do Gersona, a przez krótką chwilę nawet udaje jej się w to wierzyć.

J jak jeżdżenie z towarami po okolicy Levanger, od gospodarstwa do gospodarstwa, do każdej, nawet najmniejszej wioski. Rinnan znajduje zatrudnienie w firmie transportowej, u człowieka o nazwisku Ernst Parow. Tyle radości z pracy, która ocala go od finansowej ruiny i pomaga wydostać się z przytułku. Nareszcie znów może wyobrażać sobie zwyczajne życie, teraz jednak nie wystarcza mu wizja przeciętnej egzystencji. Chce czegoś innego, większego, więc chociaż Henry wciąż zagląda do kawiarni, to nie po to, by opowiadać historie, o nie, tego już mu się nie chce robić. Zanim tam pójdzie, czyta artykuły prasowe i na miejscu niby od niechcenia zadaje gościom przypadkowe pytania, tylko po to, żeby sprowadzić ich do parteru.

– A wiecie, co jest stolicą Boliwii? Nie, pewnie nie.

Albo:

– Czy ktoś z tutaj obecnych wie, co oznacza słowo „dyskrepancja”? Nie? Tak myślałem!

Chce zwyczajnie napawać się tym, że może wywołać u nich niepewność i zakłopotanie. Chce patrzeć, jak się jąkają, jak uciekają spojrzeniem, widzieć ich słabość, gdy usiłują wymyślić odpowiedź. Wtedy kończy i może już wracać, bo po raz kolejny potwierdził, że jest od nich bystrzejszy.

Czasem łapie się na myśli, że powinno mu brakować takich jak kiedyś wizyt w kawiarni, tylko właściwie dlaczego? Rinnan jeździ od gospodarstwa do gospodarstwa, żeby sprzedawać towary. Rozmawia z mieszkającymi tam ludźmi, uczy się ich imion, by jak najlepiej wykonywać swą pracę. W ten sposób dowiaduje się o wielu różnych sprawach. Orientuje się w poglądach politycznych klientów. Poznaje tajemnice, których wartości na razie jeszcze nie pojmuje.

Wtedy wybucha wojna zimowa, w której fińscy żołnierze walczą w śniegu przeciwko rosyjskim komunistom, chowając się za głazami i pniami sosen w mundurach białych jak śnieg. Obraz staje Henry'emu przed oczami jak żywy, gdy tylko wieczorem zmruży powieki. Spokojny, zimowy krajobraz gdzieś w Rosji. Jedynie ślady zająca na świeżym śniegu i ciemna warstwa osypanej kory pod świerkami, oderwanej przez wiatr lub przez łapki wiewiórek, które wspinały się po gałęziach. Jest całkiem spokojnie. Wtedy podnosi się ze śniegu, niewidzialny dla innych, i strzela.

Wielu pragnie wziąć udział w wojnie, w Levanger otwarto biuro werbunkowe. Henry ustawia się w kolejce, mówi, że chciałby pomóc w zwalczaniu komunizmu nadciągającego ze wschodu, że ani trochę się nie boi, bo naprawdę tak jest. Wprost przeciwnie, on t ę s k n i.

Wszystkich ochotników trzeba zważyć i zmierzyć, również Henry'ego, choć mówi, że to nie jest konieczne, ale nie ma wyjścia, a pomiarów oczywiście dokonuje k o b i e t a. Śliczna, młoda dziewczyna z grzywką, w białym kitlu, o szczupłych ramionach i lśniących oczach. Prosi go, aby zdjął buty i stanął pod ścianą, gdzie ustawiona pod kątem prostym listwa zwisa u końca żółtej miarki. Henry słyszy upokarzający dźwięk miarki, nisko opuszczanej po poprzednim mężczyźnie, pewnie o dobre dwadzieścia centymetrów, aż wreszcie listwa dotyka jego głowy, dotyka zaczesanej pod górę grzywki, lecz pielęgniarka oczywiście musi przydusić mu włosy listwą aż do samej skóry. Henry stoi spokojnie, zaciskając zęby. Kobieta odnotowuje wynik, nie robiąc z tego wielkiego halo, mamrocze jedynie cicho: „metr sześćdziesiąt jeden", jak gdyby nigdy nic, ale on widzi, że ją to bawi, a jej starania, by to przed nim ukryć, jedynie podwajają upokorzenie. Jakby sądziła, że nie zniósłby słów wypowiedzianych na głos. Jakby co chwilę, każdego dnia, nie przypominano mu o mikrym wzroście.

Henry wraca do domu i zaczyna się oczekiwanie. Długie, wlekące się dni, podczas których tylko czeka na wiadomość o wyjeździe, bo wreszcie ma okazję to wszystko zostawić. Ma okazję uciec z Levanger, od całej tej przeciętności i drobnomieszczaństwa, tam gdzie toczą się prawdziwe walki, gdzie rodzą się prawdziwi bohaterowie. Inni też zadeklarowali gotowość do służby, ale nieliczni, dlatego Henry zauważa respekt gości

kawiarni, gdy mówi im, że zgłosił się na ochotnika i że to tylko kwestia czasu, kiedy pojedzie na północ.

Mija tydzień.

Mijają dwa tygodnie.

Wreszcie pocztą przychodzi odpowiedź. Rinnan rozdziera palcami kopertę, czując się tak, jakby zrywał warstwy nudy i niemocy, jak gdyby znalazł przejście do innego świata, innego życia. Wtedy widzi, że podjęto decyzję odmowną. „Niezdolny do służby".

Nie może tego pojąć, czyta list kilka razy, zanim nabiera pewności, że naprawdę właśnie to napisali, czarno na białym. Napisali, że jest niezdolny do służby. Bez uzasadnienia.

Kurwa. Czy to z powodu wzrostu?

Czy wojna zimowa to konkurs wysokości? Czy trzeba mieć dwa metry, żeby na przykład pociągnąć palcem za spust karabinu? Jasne, że nie! Czy trzeba mieć metr dziewięćdziesiąt, żeby prowadzić samochód w terenie? Przypuścić szturm na budynek? Zastrzelić wroga?

Nie, oczywiście, że nie. Gotuje się z wściekłości. Mimo to żadne wcześniejsze upokorzenie nie zdołało przygotować go na cicho wypowiedziane słowa, które słyszy pewnego popołudnia w drodze do domu – jakieś młokosy spacerują z dziewczynami, przed którymi na pewno chcą się popisać. Gdy Henry ich mija, jeden z młodzieniaszków odzywa się szeptem, ale na tyle głośno, że wszystko do niego dociera: „Słyszałem, że Rinnan nie pojedzie na wojnę, dopóki nie zaczną produkować dość małych czołgów".

Kurwa.

Kurwa mać!

Gdyby tylko mógł połamać tym gnojom karki! Gdyby mógł zetrzeć głupie uśmieszki z tych wstrętnych ryjów, wszystkich na ulicy, we władzach państwa, gminy i w ministerstwie. Wszystkich tych w chuj wymuskanych idiotów, którym w życiu się powiodło, a którzy nie zrobili n i c poza tym, że od urodzenia mają normalny wzrost.

Jeszcze popamiętają, myśli Henry, idąc dalej ze wzrokiem utkwionym w drodze. Pewnego pięknego dnia jeszcze, kurwa, zobaczą, jak wyrośnie

z tego miasta, jak zostanie kimś wielkim, wtedy będą błagać na kolanach, żeby tylko z nim porozmawiać. Poczekajcie! – krzyczy głos w jego piersi.

Poczekajcie!

J jak Jannicke. „Razem z Grete miałyśmy swój klub, który nazywałyśmy Klubem Stearynowym, bo na strychu istniało tajemne przejście, tak ciemne, że musiałyśmy palić świece, aby cokolwiek tam zobaczyć. Oczywiście było to czyste szaleństwo, przecież mogłyśmy zaprószyć ogień. Na końcu przejścia znajdował się tajemny pokój, w którym pewnie ukrywał się Rinnan. To tam ją znalazłyśmy, tę torbę…

Zawsze myślałam, że dzieciństwo spędzone w tym domu nie odcisnęło na mnie piętna, dopóki się coś nie zdarzyło. Miało to miejsce jakiś czas po naszej przeprowadzce z powrotem do Oslo. Byłam już na tyle dorosła, że mogłam pracować w kiosku na stacji kolejki na Majorstua. Często przychodził tam jeden pijak, rozczochrany, zaniedbany typ, ale stały klient, więc z czasem zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Pewnego dnia wyznał, że był członkiem bandy Rinnana. Nie wiem, kim był, pewnie jednym z tych, którym udało się uniknąć kary śmierci. Wyszedł z więzienia. Opowiadał i opowiadał o wszystkim, co tam robili, o więźniach, torturach, aż zrobiło mi się słabo. Ponoć całkiem pobladłam, a później musiałam usiąść na zapleczu”.

K

K jak kłujący chłód.

K jak kilka zimowych miesięcy, ciała blade z braku słońca.

K jak kipa, czyli jarmułka. Pamiętam, że pierwszy raz usłyszałem te słowa wypowiedziane na głos na pływalni w Bærum pewnego zimowego dnia pod koniec ubiegłego tysiąclecia. Stałem blady w szortach, chociaż nigdy nie chodziłem o tej porze roku w krótkich spodniach z powodu kompleksów na punkcie nóg – sądziłem, że tak ubrany wyglądam jeszcze wątlej niż w rzeczywistości. A jednak stałem tam pośrodku zimy, aby wziąć udział w kursie dla ratowników, który miał mi zapewnić pracę na półkoloniach letnich na wyspie Kalvøya pod Oslo. Zaraz po wejściu na pływalnię zauważyłem młodą kobietę siedzącą kawałek od krawędzi basenu, jedyną osobę w pełnym stroju. Wystarczyło tylko spojrzenie, bym poczuł, że coś nas łączy, chociaż nie była w moim typie. Młoda kobieta, krótko ostrzyżona, w czarnych spodniach i batikowym topie, czarnym z odcieniem niebieskiego, o jasnych, brązowych oczach. Ledwie na siebie popatrzeliśmy, zatrzymaliśmy na sobie wzrok tylko odrobinę dłużej niż trzeba, po czym ona wróciła do rozmowy z przyjaciółką, powiedziała, że wszystko u niej dobrze, że właśnie znalazła chłopaka, a ja pamiętam zawód, jaki mnie wtedy ogarnął. Pomyślałem, że to typowe, że muszę o niej zapomnieć. Zaraz potem gadałem ze znajomym przy krawędzi basenu, rozmawialiśmy o czymś, nie do końca pamiętam o czym, może o jakimś szczególe z filmu czy książki, w każdym razie bezskutecznie próbowałem przypomnieć sobie nazwę żydowskiego męskiego nakrycia głowy. Wtedy młoda kobieta spojrzała w moją stronę i rzuciła: „jarmułka albo kipa".

Okazało się, że jest kierowniczką półkolonii i spędza lato w Norwegii przed powrotem do Hiszpanii na studia. Nosiła nieprzeciętne nazwisko Komissar, a zanim lato dobiegło końca, zakończyła swój ówczesny związek i staliśmy się parą, postanowiła też zostać w Norwegii. Wprowadziłem się do jej mieszkania. Podróżowaliśmy, studiowaliśmy i się pobraliśmy.

Niedługo później urodziło nam się dziecko, potem drugie, i w ten sposób nagle minęło dwadzieścia lat, podczas których coraz głębiej wikłaliśmy się w siebie.

K jak kochanie.

K jak kreacja. Wiele lat temu żydowski artysta Victor Lind stworzył instalację rekonstruującą noc i ranek dwudziestego szóstego listopada 1942 roku, gdy deportowano z Oslo wszystkie żydowskie rodziny. Podobnie jak norweski policjant Knut Rød, zamówił sto taksówek, którym kazał stać w rzędzie na Kirkeveien i mrugać kogutami w synchronicznej kolumnie syren, podczas gdy minuty mijały, a niewidzialny statek odbił od brzegu w Oslo i wypłynął na fiord.

K jak *Krieg*, wojna, wielka wojna, która się rozprzestrzenia, pochłania coraz więcej. Jak gdyby ktoś podstawił płonącą zapałkę pod mapę, tuż pod Niemcy, sprawiając, że papier pociemniał od ciepła, zniknęły narysowane drogi, aż nagle mapa stanęła w ogniu, powstała rosnąca dziura, połykająca kraj za krajem, miasto za miastem.

Dla Rinnana wojna zaczyna się okrzykiem dobiegającym z drogi od strony sypialnianego okna. Otwiera oczy i siada na łóżku. Klara stoi naga przy oknie, w połowie schowana za firanką, Henry dopada do niej i wygląda na zewnątrz. Członek w erekcji sterczy po skosie w bok, jak zwykle, gdy Rinnan się budzi. Wtedy słyszy, co krzyczą. Że Norwegia została zaatakowana. Że przyszła wojna.

Nareszcie, myśli Henry, wrzucając coś na siebie, i pędem wychodzi, nawet bez śniadania. Nareszcie! Tym razem nie będzie miało znaczenia, czy jest wysoki, czy niski. Teraz już muszą go przyjąć, a jeśli będą zadawać pytania, pokaże im, ile ma doświadczenia jako kierowca. Bo kto inny we wsi potrafi prowadzić tak szybko jak on i równie bezpiecznie? Kto jeszcze w tej części Norwegii zna każdy garb i zakręt tak dobrze jak Henry Oliver Rinnan, który najpierw woził kumpli na tańce, a później zjeździł z towarami wszystkie zakątki Północnego Trøndelagu?

Nikt!

Nikt, nikt, nikt inny – tak brzmi odpowiedź; Rinnan – tak brzmi odpowiedź, wszyscy to wiedzą i tym razem nikt nie może mu tego odebrać.

Henry dostaje mundur. Każą im nosić stare, lecz nie ma mowy, żeby posłuchał. Przecież widział całe skrzynie nowiutkich mundurów. Henry znajduje jeden w swoim rozmiarze. Dużo ich, więc wzrost jednak n i e j e s t problemem, myśli i zaczyna się przebierać; czuje, że uniform go zmienia, bo szata naprawdę zdobi człowieka. Wciąga przed lustrem spodnie, zapina marynarkę z pozłacanymi guzikami, sznuruje buty i w chwili, gdy napotyka własne spojrzenie, wie, że będzie mógł zrobić wszystko, że na wszystko się odważy, cokolwiek by to było.

Zostaje wcielony do norweskiego oddziału przy Sandnesmoen, tajnej grupy kryjącej się w gospodarstwie wiejskim. Jeździ na lotnisko, gdzie pomaga ładować na ciężarówkę amunicję – skrzynię za skrzynią – by następnie usiąść za kierownicą i czuć pod rękawiczkami twardy, biały plastik, czuć niebezpieczeństwo ze strony prochu, ustawionego w skrzyniach za nim. Materiałów wybuchowych, które jedynie czekają, by je wypuścić, wystrzelić, by mogły przelecieć przez ciała niemieckich żołnierzy i ich zabić.

Jak on kocha to życie. Spanie tuż obok pozostałych, jak równy z równym. Opowiadanie innym żołnierzom historii, słuchanie radia, dyskutowanie o ostatnich wydarzeniach z frontu.

Mija tydzień. Dwa tygodnie.

Wtedy dociera do niego wiadomość, że kraj skapitulował. Że tchórze na południu rzuciły broń i już po wszystkim, muszą się poddać.

Dostają taki r o z k a z. Henry próbuje namówić pozostałych, żeby walczyli dalej, mówi, że mogą założyć tajny klan, ale się nie da, bo nagle zjawiają się niemieccy żołnierze w sinych płaszczach, z żarem w niebieskich oczach.

Kapitulacja odbiera rezon wszystkim jego przyjaciołom. Opadają z sił, są bezużyteczni, zniechęceni. Wtedy, z dnia na dzień, cała kompania zostaje zlikwidowana, a wszyscy żołnierze przewiezieni do niemieckiego obozu w Snåsie.

Henry stoi przy ogrodzeniu, pod palcami i czołem czuje chłód metalu. Czeka w błocie, znudzony. We mgle i salach sypialnych, w długie,

niekończące się, bezczynne dni i noce. Wkrótce jego wyobraźnia znowu zaczyna działać. Zmieniać wydarzenia.

W myślach widzi, jak razem z kolegą unieszkodliwiają strażnika, uderzając go w głowę kamieniem. Następnie przeczołgują się pod płotem, w ciemności chowają między drzewami i docierają do rzędu niemieckich ciężarówek, transportu broni. Idealnie. Nikt nie widzi, jak wspinają się na jeden z wozów, skąd wyjmują sobie po sztuce broni automatycznej. Później siedzą z kolanami pod brodą, drżąc z ekscytacji, przez całą drogę powrotną do Trondheim. Przy pierwszym skrzyżowaniu, na którym ciężarówka musi się zatrzymać, wyskakują. Kierowca widzi ich w lusterku bocznym i wypada z szoferki z rewolwerem w dłoni, lecz Henry celuje w niego, pociąga za spust i Niemiec pada na ziemię. Wtedy Rinnan rzuca się między pnie drzew.

– Halo! Ty tam!

Ktoś wyrywa go z marzeń na jawie. Krzyk sprawia, że scena ucieczki się rozmywa, a on znów stoi w obozie, z błotem pod butami.

– Odejdź od ogrodzenia! – woła żołnierz po niemiecku, na co Henry wraca do pozostałych jeńców. Dopieszcza opowieść o ucieczce, aż zgadza się każdy szczegół.

Całe dwa tygodnie lęku przed tym, co będzie dalej. Dwa tygodnie nudy i wyczekiwania, aż wreszcie Henry dowiaduje się, że ma spakować rzeczy do plecaka i stawić się na dziedzińcu przed barakiem sypialnym. Parkują tam już ciężarówki, które mają wielkie opony i zielone plandeki. Henry wdrapuje się na nie wraz z pozostałymi i zostaje odwieziony do miasta.

Wojna mogła się tak dla niego skończyć.

Wraca do pracy, żyje jak wcześniej, a chociaż Klara nieszczególnie cieszy się z jego powrotu, szef zakładu transportowego jest mu wdzięczny, jak gdyby go uratował, bo któż inny by mu teraz pomógł? Przez pozostałą część wiosny, aż do lata, Henry rozwozi towary w rejonie. Zna wiele rodzin w gospodarstwach i miasteczkach, teraz jednak to wojna staje się nowym tematem rozmów, tymczasem on odnotowuje w myślach, kto sympatyzuje z Niemcami, a kto nie, zanim wyruszy w kolejne miejsce, aby dokonać następnej transakcji, podczas gdy pieniądze i pochwały płyną

strumieniem. Szef cieszy się tak bardzo, że zaprasza Henry'ego na przyjęcie, podczas którego ma zjeść obiad w towarzystwie niemieckich oficerów. Na prawdziwe przyjęcie, z kierownikami i oficerami.

On! Zaproszony! Do oficerskiego stołu!

Henry myje się i czesze, przymierza różne koszule, nie może się zdecydować. Klara nie rozumie, dlaczego aż tak go to zajmuje, ale Henry jej nie obwinia. Tłumi jedynie złość, gdy żona dziwi się, dlaczego tak bardzo przejmuje się tym zaproszeniem. „Ani słowa – mówi. – A n i s ł o w a".

Zapina ostatni guzik koszuli, wypuszcza mankiety przez rękawy marynarki uszytej przez dziadka, po czym kopniakiem otwiera drzwi. Słyszy, jak nowo narodzona córka krzyczy w kuchni, daje niewerbalny wyraz frustracji, bo czegoś nie dostała. Dobrze tak Klarze, to nie jego sprawa, on wychodzi, już idzie. Dostrzega uznanie w oczach spotkanych po drodze osób, a ci, którzy na niego nie patrzą, niech żałują, że nie wiedzą, myśli.

Radość i duma, które czuje, stojąc przed dzwonkiem, zostają ośmieszone przez zachowanie dwóch niemieckich oficerów, którzy całkiem go ignorują, ledwie raczą się z nim przywitać, po czym natychmiast wracają do rozmowy po niemiecku, w języku, z którego niewiele rozumie. Siedzą roześmiani w tych swoich lśniących mundurach, Henry zaś milczy, niepewny.

Tylko trzeci mężczyzna na przyjęciu okazuje mu jakieś oznaki zainteresowania. Gerhard Stübs. Na szczęście nauczył się norweskiego i z uprzejmości pyta Henry'ego, czym się zajmuje. Rinnan uśmiecha się z wysiłkiem i opowiada o tym, jak jeździ ciężarówką. Jak wozi towary do gospodarstw w całym regionie i że pracuje tak już od dawna.

– To musi pan dosyć dobrze znać miejscowych? – zagaduje mężczyzna, nagle bardzo zaciekawiony; jeden z pozostałych Niemców o coś go pyta, ale Stübs nie zwraca na niego uwagi, całkiem skupiony na Henrym.

– Czy ich znam? – zaczyna. – Znam każde gospodarstwo i każdą wioskę… Chyba nikt w całym Trøndelagu nie orientuje się w życiu tutejszych mieszkańców tak dobrze jak ja – odpowiada, popijając z kieliszka.

Niemiec przez chwilę spogląda na swój talerz, po czym wyciera usta białą serwetką i pyta:

– To może wie pan też, kto z nami sympatyzuje, a kto nie?

– Tak, tak. – Henry kiwa głową. – Jasne, że wiem. Od dziesięciu lat jeżdżę do każdej najmniejszej wioski, do każdego gospodarstwa. Jeździłem również w ostatnich miesiącach, więc dobrze wiem, kto jest za, a kto przeciw okupacji. Wiem także, w których gospodarstwach jest zakopana broń i kto chowa radio na strychu, jeżeli was to ciekawi…

Nagle oczy dwóch pozostałych oficerów także są skierowane na niego, a z ich twarzy znika wesołość. Stübs pochyla się nad stołem, podsuwa Henry'emu otwartą papierośnicę i prosi jednego z Niemców, żeby podał Rinnanowi ogień. Nagle na przyjęciu chodzi tylko o niego, uwaga wszystkich skupia się na nim, dokładnie tak jak popołudniami w kawiarni, ale jest jeszcze lepiej, donioślej, ważniej, bo on posiada coś, co chcieliby mieć oni. Siedzący przed nim oficer mamrocze coś szybko po niemiecku do pozostałych, zapewne streszcza im dotychczasową rozmowę, po czym znów wbija spojrzenie w Henry'ego.

– Niech pan posłucha, Rinnan – odzywa się. – Walczymy na wojnie, którą mamy zamiar wygrać, dla naszych dzieci, naszych wnuków, chodzi o całą naszą wspólną przyszłość.

Henry zaciąga się papierosem. Zwraca uwagę na spojrzenia pozostałych, na ciszę w pomieszczeniu, czuje drżącą w ciele radość, ale stara się zachowywać jak gdyby nigdy nic, wydmuchując dym na bok i kiwając głową, by pokazać, że słucha.

– A na tej wojnie informacje są bardzo ważne. Szczególnie takie jak te, w których posiadaniu pan się znajduje. Czy może pan zdradzić coś więcej?

Gerhard Stübs chce wiedzieć wszystko o każdym gospodarstwie i każdej wiosce, Henry zaś opowiada tak dokładnie, jak gdyby poproszono go o opisanie pokojów w domu, w którym dorastał. Piją i jedzą, a on mówi o skrzynkach z bronią i członkach ruchu oporu. O tym, kto trzyma radio na strychu i kto zna kogoś, kto wozi ludzi przez granicę. Pod koniec wieczoru Gerhard dziękuje mu za rozmowę i dodaje, że chętnie pozostanie z nim w kontakcie, że Henry może być dla nich cennym źródłem informacji.

W jego wzroku nie ma cienia współczucia. Ani śladu szyderstwa czy pogardy. Uznanie uderza Henry'emu do głowy, sprawia, że na jego usta wypływa uśmiech.

Kilka dni później w jego drzwiach staje posłaniec. Henry słyszy stukanie, po czym Klara przychodzi do niego z kopertą w dłoni. Z małą, kremową kopertą, na której nazwisko Henry'ego Olivera Rinnana starannie wypisano czarnym atramentem. Henry wstaje, bo od razu wie, kto jest nadawcą, z walącym sercem odczytuje list. Kriminalkommissar Gerhard Stübs raz jeszcze dziękuje mu za towarzystwo i prosi o spotkanie nazajutrz w hotelu Phoenix w Trondheim, pokój trzysta dwadzieścia, celem dyskusji na temat „możliwej współpracy".

Możliwej współpracy!

Z nim!

Henry czyta kilka razy. Przesuwa palcami po słowach.

Możliwej współpracy… Pokój 320… bardzo miłe spotkanie… jutro, pokój 320… Z poważaniem Gerhard Stübs.

Nazajutrz jest dwudziesty siódmy czerwca 1940 roku. Henry znowu przejechał całą drogę z Levanger. Teraz nerwowym krokiem wchodzi na dziedziniec przed hotelem Phoenix w Trondheim, aby spotkać się z Gerhardem Stübsem. Ponownie sprawdza, która godzina, zdążył już obejść kwartał, bo zjawił się za wcześnie, teraz jednak zostało już tylko dziesięć minut do spotkania, czyli w sam raz, myśli Henry. Wystarczy, by zrozumieli, że jest punktualny i traktuje sprawę poważnie. Przed wejściem stoi posąg, w którym widzi jedynie przeszkodę. Wysoki ptak z brązu, pozieleniałego od patyny, którego musi minąć w drodze do lobby, gdzie kroki odbijają się echem, zwiększając jego zdenerwowanie. W recepcji siedzi mężczyzna, który spogląda znad gazety i pyta, w czym może pomóc.

– Mam… Eee… Spotkanie z Gerhardem Stübsem – odzywa się Henry. – Pokój trzysta dwadzieścia?

– Winda jest tam – odpowiada recepcjonista i obojętnie wskazuje na ścianę po przeciwnej stronie.

Na windę, lśniącą lustrami i mosiądzem, ze świecącym przyciskiem z cyfrą trzy. Dźwięk rozsuwanych drzwi. Korytarz. Rinnan staje przed

drzwiami pokoju. Puka, by wpuścili go do środka.

Otwiera mu Gerhard Stübs, tym razem w niemieckim mundurze. Ściska Henry'emu rękę.

Siedzi tam też dwóch obserwatorów, z którymi Henry się wita. Próbuje sprawiać wrażenie rozluźnionego, lecz jest zanadto podekscytowany. Zbyt skoncentrowany na mimice, przejęty doborem słów i tym, jak się porusza, zanim zajmie miejsce. Jak udaje się to innym, myśli Henry, przysuwając krzesło do stołu i zastanawiając się, gdzie położyć ręce. Jak udaje im się zachowywać tak naturalnie, jak gdyby w ogóle nie myśleli o tym, co robią i mówią, lecz jakby po prostu b y l i, po prostu r o b i l i, na co mają ochotę? Jeżeli drapią się po podbródku lub głowie, to zwyczajnie drapią się po głowie, nie zastanawiając się nad tym specjalnie i mówiąc dalej z największą oczywistością, tak jak teraz komisarz kryminalny niemieckiej służby bezpieczeństwa, który drapie się po policzku, a następnie prosi Henry'ego, by znów opowiedział co nieco o składach broni ukrytych w stodołach. O ruchu oporu.

Na szczęście udaje mu się stłumić zdenerwowanie i mówić. Zachęcony spojrzeniami komisarza, potrafi się odprężyć i skupić na opowieści, dokładnie tak, jak kiedyś w kawiarni, umie przyciągnąć uwagę innych, po kawałeczku serwuje im prawdę, która jest jak pułapka z rozłożonych w rządku okruchów chleba. Po ich oczach poznaje, że chwycili przynętę, widzi, jak podążają za opowieścią, krok za krokiem, aż zaskakuje ich finałowy wybuch.

Są zadowoleni, zdumieni, maluje się to na ich twarzach, a Gerhard Stübs promienieje ojcowską dobrocią. Gdy Henry kończy, mają dla niego propozycję, coś, o czym nie śmiałby nawet marzyć.

Niemiecka policja bezpieczeństwa chce go zatrudnić.

Chcą, żeby Henry notował wszystko, co wyda mu się podejrzane, informacje o każdym, kto będzie sprawiał wrażenie, że robi coś, czego nie powinien. Na przykład kto posiada zakazany radioodbiornik albo stoi po niewłaściwej stronie podczas wojny. Ma być ich oczami i uszami, by użyć określenia Gerharda Stübsa, i wszystko im raportować.

– Jak agent? – pyta Henry.

– Jak agent – potwierdza Niemiec i uśmiecha się przyjaźnie. Ponadto chcą, aby infiltrował norweski ruch oporu. Zdradzał, gdzie przebywają jego członkowie i gdzie przechowują broń – o wszystkim ma informować Gerharda Stübsa.

Jego pseudonim to Lola.

Wynagrodzenie wynosi sto koron tygodniowo, więcej, niż kiedykolwiek zarabiał w sklepie sportowym. Do tego ma otrzymać nieograniczony dostęp do papierosów, racjonowanych artykułów spożywczych i wódki.

Gerhard gasi niedopałek w popielniczce, przydusza go kciukiem.

– A więc, Rinnan. Pewnie potrzebuje pan kilku dni na przemyślenie oferty? – pyta.

Henry kręci głową i odpowiada, że nie musi się zastanawiać. Ściskają sobie dłonie. Dyskutują o formalnościach. Potem wypuszczają Henry'ego na korytarz.

Ma ochotę krzyczeć z radości, gdy zamykają się za nim drzwi windy; przygląda się własnej twarzy w lustrze, podczas gdy maszyneria zabiera go w dół. Widzi oczy promieniejące triumfem. Nawet nie chce mu się spoglądać na recepcjonistę, bo kim on jest? Prostym człowiekiem, studentem, zwolnionym robotnikiem, pijakiem? Portier mówi coś, gdy Henry przechodzi obok, ale on mija go w milczeniu, sadząc długie kroki, z uczuciem, że oto zdarto mu z oczu zasłonę, że poszerzyło się jego pole widzenia. Otwiera drzwi i wychodzi na ciepły letni wieczór, pachnący bzami i trawą, papierosami i perfumami. Dopiero teraz rozpoznaje, co przedstawia posąg. To przecież pieprzony feniks, myśli z zadowoleniem, poklepując go lekko po głowie.

Henry nie wyjawia Klarze szczegółów swojego nowego zajęcia, bo co by z tego zrozumiała? Mówi jedynie, że są uratowani, że dzięki swej znajomości okolicy otrzymał znaczącą posadę pomocnika niemieckich dowódców w Trøndelagu. Prosi, by na razie zachowała to w tajemnicy. Potem zdradza jej, ile będzie zarabiał, i widzi, jak troski odpływają z jej twarzy, na której znów gości uśmiech. Mają córeczkę i starszego syna. Klara musi zapisać się do Nasjonal Samling, ale to nie problem, mówi, bo

coraz więcej osób powoli uznaje to za niezbędne, by móc dalej żyć w nowym systemie.

Przytula się do niego, Henry czuje ciepło jej ciała i zamyka powieki. Ulga wypełnia mu pierś.

Gdy rano Henry otwiera oczy, od razu wie, co ma robić. Po śniadaniu wychodzi i kupuje strój na wieczór: ciemnobrązowy garnitur podobny do munduru Gerharda Stübsa. Potem bierze samochód i wyjeżdża z miasta, krętymi drogami zmierza do gospodarstwa, gdzie kilka miesięcy wcześniej niemieccy żołnierze zaskoczyli ich aresztowaniem. Jak gdyby wszystko stanowiło część większego planu. Wszystko, co przydarzyło się Henry'emu, doprowadziło go tutaj.

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że zatrzymali go Niemcy! Jakie szczęście, że zdążył trafić tu jako kierowca i dowiedzieć się czegoś o akcjach norweskiego ruchu oporu, zanim sieć się zacieśniła, bo czyż nie przyda się to teraz tajnemu agentowi?

Henry parkuje samochód na placu między budynkiem mieszkalnym a stodołą i zauważa w oknie kuchennym dziewczynkę, która stuka drewnianą kopyścią w szprosy, aż pojawia się matka i ją zabiera. Zaraz potem drzwi wejściowe się otwierają i wychodzi przez nie mężczyzna w gumiakach i płaszczu zarzuconym na zużyte ubrania robocze. Kilka sekund mija, zanim gospodarz go rozpoznaje.

– Ale… To już pana wypuścili? – pyta rolnik, a Henry kiwa poważnie głową.

– Tak, szczęśliwie wypuścili nas z obozu jenieckiego po dwóch tygodniach – odpowiada, chwytając jego dłoń. Ściska ją z entuzjazmem. – Gdyby tylko wiedzieli, jakie posiadaliśmy informacje – ciągnie ciszej i uśmiecha się przebiegle. W powietrzu unosi się powaga. – Broń nadal bezpieczna?

Rolnik kiwa głową, oczy mu błyszczą.

– Pokażecie, gdzie leży?

Gospodarz zabiera go za stodołę, w gąszcz pokrzyw i krzewów malin. Trzeba by się bardzo dokładnie przyglądać, aby zauważyć, że niektóre łodygi pokrzyw są złamane i odsłaniają jaśniejsze spody liści, pokryte gęstymi włoskami.

– Dwa metry w głąb – mówi.

– Świetnie! Tam jest bezpieczna. – Henry poklepuje mężczyznę po ramieniu. – To niesamowicie ważne dla działań ruchu oporu, aby broń pozostała w tym miejscu. W porządku?

– Tak.

– Dziękuję wam za odwagę.

– Oj, to nic takiego – odpowiada gospodarz cicho, lecz Henry widzi, że rozpiera go duma, chociaż stara się ukryć uśmiech.

– Ależ tak, bo to odwaga takich ludzi jak wy sprawia, że wygramy z Niemcami i wyrzucimy ich z kraju!

Rolnik kiwa głową. Henry klepie go przyjaźnie po ramieniu, tak jak poklepałby dobrego przyjaciela, po czym rusza w stronę samochodu.

– Ostatnia sprawa – odzywa się cicho, otwierając drzwi auta.

– Tak?

– Możliwe, że NS-owcy przyjdą tu węszyć. Może nawet Norwegowie, którzy przeszli na drugą stronę… To bardzo ważne, żebyście nikomu nie mówili o tej broni. Mam nadzieję, że to rozumiecie?

– Rozumiem! – odpowiada gospodarz. – Nie pisnę nikomu ani słówka!

Henry Oliver Rinnan wsiada z powrotem do samochodu i wkłada rękawiczki. Przekręca kluczyk w stacyjce i wyobraża sobie zadowolenie swojego niemieckiego szefa, gdy już pierwszego dnia służby zdradzi mu położenie tajnego składu broni. Oczyma wyobraźni widzi, jak dowódca Gestapo z uśmiechem kiwa głową, podczas gdy Henry pręży się przy jego biurku. Wszystko wydobędzie na światło dzienne. Już sprawił sobie notatnik do zapisywania tego, co wyda mu się podejrzane. Zaczyna się zastanawiać, które sklepy i kawiarnie powinien odwiedzić. Gdzie zwykli spotykać się komuniści i członkowie ruchu oporu. Teraz im pokaże. Pokaże wszystkim, że jest najlepszym agentem, jaki mógł się Niemcom trafić.

K jak komunistyczne zagrożenie.

K jak kupiec, żydowski właściciel sklepu z czasomierzami w Trondheim, do którego zwykłeś zaglądać, chociaż miałeś wiele własnych zegarków. Mimo

to, gdy byłeś w okolicy, chętnie wchodziłeś do środka, żeby przywitać się z właścicielem oraz popatrzeć na nowe zegarki, które mieli w ofercie, coraz bardziej finezyjne i pełne detali, by potem udać się piętro wyżej do kawiarni Kaffistova.

K jak keja w Trondheim, z wielkimi budynkami magazynów, podobnymi do skrzyń, gdzie fale na granatowym morzu w równym rytmie uderzają o beton. Unoszą opony traktorów, zawieszone na nabrzeżu. Wyobrażam sobie, jak przychodzisz tam rankiem, gdy ukośne promienie słońca padają na miasto, sprawiając, że pochylone nad brzegiem wielkie żurawie z dziobami ze stali rzucają długie cienie. W dzień pełen mechanicznych krzyków i jęków. Sporadycznych nawoływań. Jakiś mężczyzna gwiżdże. Wyobrażam sobie, jak idziesz na keję i gawędzisz z kapitanami statków. Wyobrażam sobie oczekiwanie i widok łodzi powoli sunącej w głąb fiordu. Jest w tym coś na kształt medytacji, jak patrzenie w ognisko, bo chociaż fiord się nie zmienia, a łódź zbliża się bardzo wolno, to wystarczy, aby podtrzymać twoje zainteresowanie. Pomarańczowy kadłub prujący wodę. Widok mew krążących wokół statku, aż wreszcie któraś stwierdza, że to frachtowiec, co oznacza brak szans na jedzenie. Widok maleńkich ludzi poruszających się na pokładzie, wypatrujących czegoś na lądzie. To wszystko wystarczy, abyś przystanął i się przyglądał, aż statek dobije do brzegu, a ściśnięte opony traktorów wydadzą jęk. Później szykuje się cumy, liny tak grube, że wyglądają jak z wyspy olbrzymów. Sznury tak silne, że najpierw trzeba je wciągnąć za pomocą mniejszej liny, zanim założy się pętlę na pachoł na kei.

Wyobrażam sobie, że podczas tych spacerów nad morze korzystasz z okazji, aby utrwalać znajomość języków, którymi władasz. Że rozmawiasz po niemiecku z robotnikami, po francusku z hurtownikiem i po rosyjsku z kapitanem, następnie zabierasz do sklepu skrzynki z jedwabnymi wstążkami, piórami i guzikami. Wiem w każdym razie, że te spacery na nabrzeże przyczyniły się do spekulacji, jakoby twoje życie było jedynie przykrywką. Sklep, rodzina – wszystko to miało ukrywać fakt, że jesteś szpiegiem na usługach Rosjan, Anglików lub jednych i drugich.

K jak kurs na Jonsvannsveien i koła taksówki, które z chrzęstem żwiru zjeżdżają na pobocze; następnie auto parkuje. Jest październikowy wieczór. Nareszcie znów jestem przy domu, w którym zbiegają się wszystkie te historie, tym razem umówiony mailowo z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Sprawdzam godzinę na telefonie, podczas gdy kierowca drukuje paragon; jest za pięć szósta, więc zjawiłem się wystarczająco wcześnie. To spokojna ulica, droga, której nie mija się ot, tak sobie, a teraz, gdy chłód zmusił dzieci do porzucenia trampolin i hulajnóg, w okolicy panuje niemal zupełna cisza. Przerywa ją tylko dźwięk motorynki, zmieniającej bieg kilka kwartałów dalej.

– Powodzenia! – mówi kierowca.

On też dobrze zna historię domu; czasem przyjeżdżał tu jako dziecko, żeby popatrzeć. Pobyć w pobliżu. Dziękuję i zamykam drzwi, a następnie odwracam się i przyglądam się willi. Idę po żwirowej alejce, wciskam dzwonek.

Otwiera mi wysoki, szczupły mężczyzna – widziałem go w wielu reportażach. Podajemy sobie dłonie, a po kilku krótkich pytaniach o podróż zaprasza mnie do środka.

Pokoje, które otwierają się przede mną, wręcz zaskakują mnie swoją zwyczajnością, jak gdybym spodziewał się muzeum. W bok prowadzi korytarz z wieloma drzwiami, który poznaję z planów budynku oraz ze szkiców Grete.

– To tam znajdował się pokój dziecięcy? – pytam, a właściciel otwiera. Pokazuje mi pokój przerobiony na bibliotekę komiksów, starannie ułożonych według lat wydania, kompletne numery „Kaczora Donalda" z kilkudziesięciu lat, a do tego całe skrzynki longplayów. To też kolekcjoner, jak Tambs-Lyche. Patrzę w kąt, w którym na rysunku Grete znajdowały się jej łóżko i łóżeczko Jannicke.

W tym miejscu spała też ośmioletnia córka jednej z członkiń bandy. Dziewczynka, która musiała nasłuchiwać dźwięków docierających z piwnicy, a do snu kołysał ją szum głosów dobiegających z sąsiednich pomieszczeń.

Później pokazuje mi drogę do salonu połączonego z kuchnią. Na kominku stoi szereg ołowianych kul, dziwnie miękkich i zapadniętych po

spotkaniu z murem. Kul, które właściciel znalazł, kiedy zerwał boazerię w piwnicy. Pokazuje mi kuchnię i wyjście na ogród, po chwili wchodzimy po schodach na piętro. Są tam drzwi do czegoś na kształt magazynu, pełnego starych bibelotów, a ja dostrzegam niewielką wnękę pod sufitem, gdzie Jannicke i Grete wpełzły, by znaleźć tajemny pokój. Drzwi obok prowadzą do pomieszczenia z łukowym oknem. To tam Rinnan miał swoją centralę komunikacyjną: telegraf i bezpośrednie połączenie telefoniczne z Hotelem Misyjnym. Właściciel zabiera papiery z biurka, a ja odwracam się i widzę łóżko wbudowane w ścianę. To tutaj chowała się Ellen, kiedy miała migrenę. To tu leżała, myślę, ale nie mówię nic do mężczyzny, który tam mieszka. Pytam jedynie, czy mogę zrobić kilka zdjęć telefonem. Schodzimy na parter.

– Pewnie chciałby pan też zobaczyć piwnicę? – pyta, szarpiąc za ciemnobrązowe, drewniane drzwi. Kiwam głową, odwzajemniam uśmiech i idę za nim po stopniach w dół; od razu czuję stęchły zapach. Stare, sypiące się, murowane ściany. Drzwi do piwnicy są otwarte, może mężczyzna uchylił je przed moim przyjściem.

Kiedyś całe drzwi przykrywała olbrzymia płachta papieru, na której jeden z członków bandy Rinnana narysował średniowieczne wrota, zabite ukośnie przytwierdzonymi deskami, z wielkimi żelaznymi okuciami i gwoździami w postaci kropek zaznaczonych na czarno, na koniec zaś przebił papier, przeciskając przezeń klamkę. Nad łukowymi drzwiami wypisano słowo „Bandeklosteret!” oraz zdanie o piciu, którego nigdy nie udało mi się do końca odcyfrować: „Jeśli jesteś zmęczony, pamiętaj, że kieliszek to…”.

Odwracam się, kiedy wchodzę do środka, jak gdybym spodziewał się znaleźć tam drugi rysunek, o którym wiem, że wisiał z tyłu drzwi – widniał na nim kościotrup z kosą i wypisanym powyżej hasłem: „Witamy na przyjęciu!”.

Strop piwnicy jest niski, a ja wyobrażam sobie rozmaite elementy, które, jak mi wiadomo, kiedyś się tu znajdowały. Podwyższony bar z lewej, który stał się sceną Grete i Jannicke. Stojące tu zwykle dwie beczki oraz wiele przedmiotów, które przed południem widziałem w Muzeum Sprawiedliwości w Trondheim.

Właściciel prezentuje mi kule znalezione w ścianach podczas remontu. Później pokazuje, gdzie znajdowały się cele. Dwie ciasne klitki dla więźniów, które zostawiły po sobie nadal widoczne ślady na ścianie: suche otwory po śrubach i jaśniejsze pasy na murze w miejscach, gdzie kiedyś były belki.

K jak kobiety z drugiego skrzydła, które z rzadka, przelotnie widywałeś przez okno albo z dziedzińca. K jak kąsające zimno na spacerniaku zimą i jak kawałki kalarepy pływające w zupie. K jak Komissar, nazwisko, które odziedziczyłeś po ojcu, Israelu Komissarze. Nazwisko tak bardzo przypominające tytuł ludzi, którzy cię aresztują, segregują i w ogóle często masz z nimi do czynienia – Kriminalkommissar. Niewątpliwie owe wyrazy mają ten sam źródłosłów. O ile mi wiadomo, nazwisko twojego ojca pochodziło od funkcji, jaką sprawował – pracował jako carski leśnik. *Komissarov*, ten, kto służy carowi.

K jak kroki w stronę schodów do piwnicy przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć. Nagły chłód sprawia, że Ellen się zatrzymuje. Musi tam zejść, bo gosposia wyszła z Grete, a bluzka, którą Ellen chce na siebie włożyć, suszy się na dole. Gerson jest w pracy, Jannicke w szkole. Przez chwilę rozważa, czy nie ubrać się w coś innego lub w ogóle zrezygnować z wyjścia, udać się do pokoju na piętrze, na odpoczynek, ale to chyba bez sensu, prawda?

Czasami Ellen chciałaby po prostu zniknąć albo lepiej uciec od tego wszystkiego, zostawić wszystko, tak jak Nora zostawiła Helmera, i zwyczajnie wyjechać, znów zacząć grać na fortepianie, koncertować, myśli, wyobrażając sobie, jak spogląda na wypełnioną salę, na ludzi, którzy klaszczą na stojąco, na twarzach mają szerokie uśmiechy, a oczy im lśnią. Wyobraża sobie, że pakuje walizki i wyjeżdża, daleko od płowiejącego związku, od obrazów okrucieństwa, które ją nawiedzają, od poczucia, że nic jej się nie udaje – tylko dokąd miałaby jechać? Skąd miałaby wziąć pieniądze? Nic z tego. Nic nie może. Dorastała jako wnuczka żydowskiego właściciela fabryki tytoniu Moritza Glotta i jego norweskiej żony, Rosy Olivii. We wspaniałej willi z kucharkami, szwaczkami i gosposiami, prowadząc życie, które wymaga bogactwa, zabranego rodzinie przez

wojnę, bo chociaż dziadek próbował ratować majątek, przepisując akcje na wnuki i swoją norweską żonę, władze i tak znalazły argumenty na poparcie konfiskaty ich dobytku. Skonfiskowano więc fabrykę tytoniu w Oslo, willę dziadka w Nordstrand, dom na wsi na Konglungen i willę jej ojca w Heggeli, którą zmieniono w kasyno dla nazistów. Później zostali zmuszeni do ucieczki. Nie pomogło to, że matka była z północnej Norwegii, bo jakakolwiek domieszka żydowskiej krwi wystarczała, by ich zatrzymać. Rodzina nie pojmowała powagi sytuacji, dopóki niemieccy żołnierze nie zastukali do drzwi willi w Nordstrand. Przyszli z nakazem aresztowania dziadka Moritza za jego żydowskie pochodzenie, ale wtedy wydarzyło się coś niesamowitego – zawał. W samym środku rozmowy z żoną i dyskusji z żołnierzami, dlaczego ma z nimi jechać, co złego zrobił, dziadek dostał zawału serca, co, jak na ironię, uratowało ich wszystkich, bo wtedy żołnierze stracili rezon i wyszli. Poprosili Moritza, żeby zgłosił się sam, jeżeli przeżyje, i odjechali, zostawiając go na podłodze z kłującym bólem w klatce piersiowej, czekającego na ambulans. Wylądował w szpitalu, dzięki czemu rodzina zyskała czas, by zaplanować ucieczkę. Dziadkowie ukryli się w domku letniskowym w dolinie Gudbrandsdalen, gdzie pozostali do końca wojny, a Ellen i inni uciekli do Szwecji z pomocą Carl Fredriksens Transport. Pojechali do zakładu ogrodniczego, tam spotkali ludzi, którzy im pomogli, i schowali się pod plandeką na pace ciężarówki. W lęku i w mroku Ellen siedziała z siostrą bliźniaczką i rodzicami, czekając na dekonspirację.

Przedostali się przez granicę, do obozu dla uchodźców, ale ona już nigdy nie odzyskała poczucia wolności. Podobnie jak swoich ambicji, by grywać koncerty lub zostać artystką. W obozie spotkała Gersona. Minęły lata. Wojna dobiegła końca, lecz mimo to nigdy się nie skończy. Przeszłość ją prześladuje, czy tego chce, czy nie, tak jak tego ranka, gdy stoi przy wejściu na schody do piwnicy.

Drzwi nad nią górują, Ellen tkwi bez ruchu, aż wreszcie potrząsa głową i naciska klamkę. Uchylone drzwi skrzypią, ale robią tak zawsze. Nie ma powodu do strachu, myśli i zagląda do środka, skąd dobiega ją nasilający się zapach stęchlizny, zimny, zakurzony. Schodzi na dół, trzymając się poręczy, nagle jednak myśli, że Rinnan też musiał przesuwać ręką po tym drewnie, więc szybko zabiera dłoń, jakby się oparzyła. Oddech staje się

ciężki, Ellen zmusza się, by iść dalej, stopień za stopniem. Schyla głowę, gdy zbliża się do sklepienia, i zagląda w głąb piwnicy.

– Halo? – mówi prosto przed siebie, musi sprawdzić, czy nikogo tam nie ma.

Stąpa dalej po podłodze z desek, przecież była tu już tyle razy, więc skąd ten lęk, myśli, chociaż nigdy nie była tu sama, a w pomieszczeniach, w których jest się samemu, wyobraźnia potrafi płatać figle, zmieniać przedmioty, zapełniać przestrzeń wspomnieniami i urojeniami. Tak jest i teraz w piwnicy, gdy Ellen mija bar, przy którym członkowie bandy popijali trunki w przerwach między przesłuchaniami. Przed oczami stają jej urywane sceny smagania biczem i łańcuchem więźnia przywiązanego do krzesła. Słyszy krzyk, w jej wyobraźni ożywają szczątki opisów, którymi dzielili się z nią różni ludzie – z chciwymi uśmiechami na twarzach, nieczuli, niepotrafiący zrozumieć, że ich słowa wypalają się jej w pamięci.

Ellen strząsa obrazy spod powiek, spiesznie przechodzi przez pokój, zauważa ślady po kulach w boazerii, ale mija róg i idzie dalej do pralni. Tam widzi jedwabną bluzkę zawieszoną na sznurku pośrodku pomieszczenia, obok obrusu, bielizny i prześcieradła. To bzdura sądzić, że ktoś mógłby tu być, myśli, duchy nie istnieją. A jednak ręce jej drżą, kiedy zdejmuje spinacze, do tego spieszy jej się tak bardzo, że biała bluzka wyślizguje się jej na podłogę, dlatego musi odsunąć obrus i się pochylić. Ellen chwyta ubranie, podnosi je, ale wydaje krótki okrzyk, kiedy ów ruch obnaża to, co znajduje się pod spodem. To tylko okrągły odpływ do odprowadzania wody, lecz Ellen w przelocie widzi spływającą doń krew i słyszy słowa przyjaciółki: „Słyszałaś? Ponoć poćwiartowali w tej piwnicy troje ludzi".

K jak krępowanie, krojenie i kadź.

K jak koszmar, krzyk i komenda.

K jak Karl, Karl Dolmen – takie nosił nazwisko. Jasnowłosy dziewiętnastolatek, który zgłosił się do służby u Rinnana w maju 1942 roku, szybko awansował i stał się jego najbardziej zaufanym człowiekiem.

To Karl tamtego dnia pod koniec kwietnia 1945 roku stał bez tchu w piwnicy z zakrwawioną siekierą w dłoniach i cierpieniem wypisanym na twarzy.

L

L jak Lizbona, gdzie w roku 1506 doszło do pogromu, kiedy tłum chrześcijan po dłuższym okresie suszy i słabych plonów wylał swą rozpacz na żydowskich mieszkańców miasta, których prześladowano, łapano, zabijano i palono. Prawie wszyscy lizbońscy Żydzi – pięćset osób – zginęli w ciągu tych kilku krwawych kwietniowych dni.

L jak lśnienie w ogrodzie przy Jonsvannsveien, światło między drzewami, które Ellen pamięta z pierwszego lata. Pamięta, że podniosła wzrok i ujrzała, jak Gerson chwyta Jannicke pod ręce i pomaga jej, rozpromienionej z radości, wskakiwać po schodach. Ellen leży na piętrze w pokoju z łukowym oknem i przypomina sobie urywki z życia w szwedzkim obozie dla uchodźców. Blask oczu Gersona, kiedy się do niej odwracał. Pamięta lekkość jego ruchów, przez którą zwróciła na niego uwagę, pamięta też, jak pewnego wieczoru, gdy grali różni muzycy, pozwolono mu usiąść przy perkusji. Sposób, w jaki spodnie opinały mu pupę, gdy wstawał, i w jaki uśmiechnął się do niej, tylko do niej, sadowiąc się na stołku, chwytając miotełki i wybijając rytm jazzowej piosenki, która już zdążyła się zacząć. Szczęście, które czuła, kiedy budzili się razem i mogła pogłaskać go po udzie. Ich wargi, pożądanie i długie poranki w łóżku, gdy byli całkiem sami, ale dobiegały ich odgłosy ludzi przechodzących przed oknem, więc kiedy się kochali, musieli być cicho.

Wszystko wydaje się jej bardzo odległe, kiedy leży sama w ciemności na poddaszu z dudniącym bólem głowy. Szczęście jest daleko, a światło, które próbuje wcisnąć się przez firanki do środka, tylko pogarsza sprawę.

L jak Landstadvei jeden, gdzie pewnego popołudnia pod koniec wojny mały chłopiec opiera się o okno w salonie na piętrze domu. To Roar Rinnan, syn Henry'ego. Wygląda na zewnątrz, czuje chłód szyby dotykającej czoła i widzi, jak krajobraz zmienia się w złotym blasku słońca, które świeci na drzewa i drogę. Wzrokiem podąża za ptakiem, słyszy, jak matka brzęka garnkami w kuchni, aż wreszcie dostrzega ojca, który szybko idzie drogą.

Chłopiec unosi rączkę, by mu pomachać, ale ojciec go nie zauważa. Patrzy przed siebie, zatrzymuje się przy drzewie i zapala papierosa. Na co czeka?, zastanawia się chłopiec. Wtedy widzi, że nadchodzi inny mężczyzna, prędkim, nerwowym krokiem. Patrzy, jak ojciec chowa się za pniem. Jak ten drugi człowiek się zbliża, a ojciec nagle wypada zza drzewa i chwyta go za kołnierzyk, aż tamten kuli się ze strachu. Patrzy, jak ojciec gestykuluje wolną ręką, widzi broń i ledwie słyszy, że ojciec krzyczy. Co ten pan zrobił?, zastanawia się Roar i od razu myśli też, że matka nie może tego zobaczyć. Że nikt nie może zobaczyć ojca, jak pcha obcego mężczyznę na ziemię na szczycie trawiastej górki, z której zimą zjeżdżają na sankach, kopie biedaka, aż ten się przewraca i toczy w dół. Widzi, jak ojciec wtyka pistolet pod marynarkę, przeczesuje ręką włosy, poprawia grzywkę, po czym odwraca się i dalej wspina pod górę. Roar czuje, jak serce wali mu w piersi, myśli zaś wirują w głowie. Nagle ojciec spogląda na ich dom, a on pada na podłogę, by ojciec się nie dowiedział, że był świadkiem tej sceny.

L jak Last Train, bar, który przez wiele lat był stałą miejscówką Rikke. Mały, ciasny lokal w kształcie wagonu kolejowego ze skupiskami czarnych skórzanych siedzeń. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych nadal wypełniał go papierosowy dym, unoszący się nad stolikami, przy których ludzie siedzieli pochyleni, aby usłyszeć nawzajem swoje głosy, które musiały się przebijać przez muzykę płynącą z głośników. Pewnego wieczoru Rikke wdała się tam w pogawędkę z facetem, obutym tak jak ona w glany, w czarnych spodniach i o miłym spojrzeniu. Polubili się i długo rozmawiali przy barze, aż wreszcie jakoś wyszło na jaw, że mężczyzna nie należy do środowiska antyrasistowskiego, jak sądziła Rikke, lecz wręcz odwrotnie – jest neonazistą.

– W takim razie chyba nie będziemy już ze sobą gadać – powiedziała Rikke – ponieważ pochodzę z żydowskiej rodziny.

Wydawał się zaskoczony i smutny, jak gdyby zdał sobie sprawę z tego, jak niemożliwe jest to spotkanie. Potem zapytał Rikke o nazwisko.

– Komissar – odpowiedziała, a młody człowiek pokiwał kilka razy głową, jakby z namysłem smakując to słowo, po czym odparł:

– Komissar. Wobec tego jesteś na naszej liście.

– Jakiej liście? – chciała wiedzieć Rikke.

– Na liście śmierci. Figuruje na niej nazwisko Komissar – powtórzył i przerwał, jakby chciał coś przemilczeć.

Rikke posłała mu surowe spojrzenie i pokręciła głową. Bez słowa odeszła od baru i usiadła z przyjaciółkami, a lęk i dyskomfort zaczęły ogarniać jej ciało.

L jak ludzki zapach, od którego powietrze w celach Falstadu staje się ciężkie i nieprzyjemne. L jak liczne wybuchy śmiechu, kiedy któryś z więźniów opowie dowcip na poprawę nastroju, co dzieje się częściej, niż początkowo sądziłeś, jak gdyby humor nie był jedną z pierwszych ofiar wojny, lecz wprost przeciwnie, jedną z ostatnich, ponieważ śmiech łagodzi przygnębienie, sprawia, że spojrzenia pozostałych więźniów na kilka sekund stają się żywsze, a mięśnie twarzy rozluźnione, jakby w chwili łaski.

L jak Lillemor, czyli Esther Meyer Komissar, jak brzmi jej właściwe nazwisko, jedyna osoba z rodziny, która pozostała w Szwecji po pierwszej ucieczce Komissarów zaraz po wybuchu wojny w 1940 roku. Może jedynie Lillemor to wszystko przeżyje, zastanawiasz się czasem, gdy otoczenie pozwala ci na chwilę wytchnienia, wędrówki myślami wstecz, na przykład w kamieniołomie, kiedy niemieccy strażnicy są zajęci rozmową. Nigdy się tego nie dowiesz, ale Lillemor przeżyła wojnę, przeżyła wszystkich i miała właśnie skończyć dziewięćdziesiąt dziewięć lat, gdy jesienią 2016 roku odwiedziłem ją z Rikke w Sztokholmie.

Był początek września, niedziela, a my umówiliśmy się w jej domu, w funkcjonalistycznej kamienicy nieco poza centrum miasta. Wcześniej spotkałem Lillemor dwukrotnie, ostatnio na pogrzebie Gersona; zapamiętałem ją jako energiczną, barwną kobietę w wielkich okularach przeciwsłonecznych, czerwonych spodniach i z apetytem na sztukę, ale od tamtej pory minęło już wiele lat, więc nie miałem pojęcia, w jakim stanie jest teraz. Czas potrafi szybko zmienić starszych, podobnie jak zmienia małe dziecko, które w ciągu zaledwie kilku lat z raczkującego brzdąca staje się przedszkolakiem z tornistrem na plecach i z włosami spiętymi w koński

ogon. U starszych osób pięć, sześć lat może dzielić pełnię sił umysłowych od demencji, jednak z twoją córką tak nie było. Lillemor przyjęła nas z uśmiechem przy balkoniku, na którym położyła tacę ze śniadaniem i filiżanką kawy. Była ubrana w żywoczerwony kardigan i białe spodnie, w uszach miała kolczyki pasujące do stroju, a siwe włosy uczesała na pazia. Zrzuciliśmy buty, przekazaliśmy jej butelkę portwajnu oraz koszyk truskawek i pokonaliśmy pierwsze sekundy towarzyskiej niezręczności, pomagając sobie frazami o tym, jak miło znowu się widzieć. Gdy potem staliśmy w kuchni, by przygotować zastawę, postukała swoim blisko dziewięćdziesięciodziewięcioletnim palcem wskazującym w seledynowy talerz, który trzymałem w dłoniach, i powiedziała:

– Ten talerz mieliśmy, jak byłam mała. Mama i tata sprowadzili go z Ameryki.

Przez moment przed oczami stanęła mi rączka pięcio- czy sześciolatki, malutkie paluszki o gładkiej skórze, zmieszane z widokiem pomarszczonej dłoni i niemal sinego paznokcia. Talerz, który kiedyś otaczała aura wspaniałości i bajkowości.

A później?

Rozmawialiśmy w jej salonie, pełnym obrazów i starych mebli z twojego mieszkania. Stała tam na przykład czerwona dwuosobowa kanapa, zdobiona ornamentami i pokryta brokatem, który też się zachował. Na tej sofie zwykła siadywać Marie – tak twierdziła Lillemor. Piliśmy kawę, a ona opowiadała po szwedzku o swoim dzieciństwie, zapętlając się, stale wracając do tego samego, powtarzając coś, co padło zaledwie kilka minut wcześniej, ale za każdym razem dodawała nowe szczegóły, nowe opisy, nieraz też zaskakująco mądre sformułowania, tak jak wtedy, gdy Rikke spytała, jak to się stało, że Gerson i Ellen kupili po wojnie dom Rinnana.

Lillemor popatrzyła przez chwilę na swoje ręce, potarła o siebie palce, po czym chwyciła warstwę wyimaginowanych ubrań i je zdjęła:

– Człowiek rozbiera się ze swoich uczuć – powiedziała po szwedzku. – Tak trzeba.

Trzeba rozebrać się ze swoich uczuć.

Pochyliłem się w przód na kanapie, myśląc o tym, co słyszałem o Ellen, o jej postępującej chorobie, kiedy tam mieszkała, podczas gdy Gerson

wydawał się nieporuszony przeszłością willi.

– Ale… Chyba na Ellen ten dom wpłynął trochę inaczej niż na Gersona? – zapytałem.

Wyciągnęła starą dłoń i odstawiła filiżankę z kawą na spodek, który wciąż balansował na balkoniku.

– Tak, w Gersonie było coś takiego… – odpowiedziała. – Nie pozwalał się nikomu do siebie zbliżyć, więc nikt tak naprawdę nie wiedział, co czuje. Ellen to co innego. Była całkiem… całkiem otwarta – Lillemor oderwała dłoń od piersi i brzucha – jakby bezbronna.

Jej słowa zawisły w powietrzu na kilka sekund, po czym rozmowa skoczyła dalej przed siebie niczym pies, który biegnie przez park, to tu, żeby powąchać ławkę czy drzewo, to tam, żeby poczuć prędkość i wracać do właściciela, zataczając coraz większe kręgi. Podobnie nasza rozmowa biegła w różnych kierunkach, ale zawsze wracała do tego, co stanowi fundament ludzkiego życia – do dzieciństwa. Prawie stuletnia kobieta właściwie niepytana zdradziła, że od czwartego roku życia tańczyła w balecie Trøndelag Teater.

– To dlatego przez tyle lat zachowałam zdrowie – dodała, rozkładając ręce w pełnym wdzięku geście i jednocześnie prostując się na fotelu. *Grand plié* na siedząco.

Za pierwszym razem, kiedy Lillemor wykonała ten ruch, wyobraziłem ją sobie jako dziecko, ubraną w jasnoróżowy strój baletnicy, w pointach zawiązanych nad kostką, jak u mojej córki, ale po chwili rozmowa przyjęła inny obrót. Opowieść staruszki przeskoczyła szybko do okresu okupacji, przedreptała przez ucieczkę do Szwecji, aż wykonała piruet, by skończyć się historią o tym, jak po wojnie, gdy pozostali wrócili do Trondheim, ona wybrała życie w Szwecji.

Nazwa rodzinnego miasta poprowadziła rozmowę do punktu wyjścia, czyli do Trøndelag Teater i jej baletowych występów w dzieciństwie.

– To pewnie dlatego przez tyle lat zachowałam zdrowie – powtórzyła i ponownie wyprostowała ręce w eleganckim, lekkim ruchu, tym razem jednak zawadziła wierzchem dłoni o filiżankę stojącą na balkoniku; jasnobrązowy płyn wylał się na jej białe spodnie i chlusnął na parkiet. W tej samej chwili jej wiek znów stał się widoczny i czar prysł.

Przyniosłem z kuchni ręcznik papierowy, w który wsiąkła kawa z podłogi pod jej krzesłem i wokół kółek balkonika.

Potem Lillemor opowiedziała o niani, którą zatrudnialiście dla dzieci, długo i ciepło mówiła też o swojej matce, Marie, o tym, jaka była bystra, jak potrafiła przemawiać i pisać do gazet. Że pięknie śpiewała, grała na fortepianie i była pierwszą kobietą na wydziale prawa, zanim zaszła w ciążę.

Opowiedziała też o sklepie w Trondheim. O „Paris-Wien", o tym, jak matka skłoniła Gersona do przeprowadzki, żeby pomógł jej w działalności sklepu, i jak załatwiła im dom.

– Czas leczy wszystkie rany – stwierdziła, przerwała na chwilę, po czym zmieniła zdanie i powiedziała: – Nie wszystkie, ale tę tak.

L jak letarg. Ellen leży z zamkniętymi oczami w pokoju na poddaszu i tęskni za innym życiem, bo choć od porodu minęły lata, nadal czuje się jak sparaliżowana. Nie ma siły przebywać z innymi i nie potrafi być matką, którą zawsze stawała się w wyobraźni, ponieważ jej życie też nie okazało się takie, o jakim kiedyś marzyła. A miała przyszłość przed sobą, złotą i otwartą. Mogła być, kim tylko chciała. Miała zagrać koncert fortepianowy solo w auli uniwersyteckiej, ćwiczyła przecież od dzieciństwa. Była młoda, zakochana, wtedy jednak przyszła wojna i wszystko zniszczyła. Koncert, ukochanego, domy w Heggeli i Nordstrand, szwaczki, mieszkanie portiera, szofera oraz fabrykę. A teraz?

Teraz spędza dnie i noce w sali tortur, a do tego dzieli łóżko z mężem, którego prawie nigdy nie ma w domu. Prowadzi życie, przez które niedługo odejdzie od zmysłów, przez które najczęściej, jak to możliwe, stara się znikać z domu, daleko od dzieci, choć tego nie chce, chociaż nie ten obraz siebie ma w głowie, lecz nie potrafi się oprzeć. Słyszy śmiech dobiegający z piętra niżej.

Jakim ja jestem człowiekiem, myśli, odwracając twarz do ściany. Słyszy, jak duńska gosposia z czułością bawi się z dziećmi, jak udaje jej się to wszystko, czego ona nie potrafi. Duńska gosposia patrzy dzieciom w oczy i śmieje się całą sobą, pełna światła. Dlaczego Ellen tak nie może? Dlaczego nie umie bardziej się nimi zainteresować, oprócz chwil, gdy są daleko? Gdy

nie ma dzieci, Jannicke jest w szkole lub bawi się na dworze z siostrzyczką, w t e d y Ellen potrafi sobie wyobrazić, co mogłyby razem robić. Może nauczyłaby je szyć, zabrała do teatru albo do miasta. Wyobraża sobie, jak idą razem, we trzy, jak dziewczynki spoglądają na nią, uśmiechają się i chichoczą, rozmowa zaś toczy się lekko o wszystkim i o niczym. Nigdy jednak nie udaje jej się zrealizować tych marzeń. Ilekroć córki naprawdę stają w drzwiach, z tysiącem pytań, hałaśliwe i wymagające, jej marzenia zwyczajnie wyparowują, przykryte czarną mgłą, która wysnuwa się z głowy, w związku z czym po prostu musi się wycofać, iść się położyć i słuchać, jak życie toczy się na dole, bez niej.

Może jestem chora, myśli, zamykając oczy. Albo gorzej, może to jakiś mój defekt, wrodzona wada. Czy inni ludzie też są tacy? Sąsiedzi, rodzina, przyjaciele Gersona. Jak oni dają radę? Jak dają radę tyle się uśmiechać, tyle się śmiać, mówić bez cienia wysiłku?

Czy są głupi? Nie wiedzą, co się stało, a może to tylko nieczułość? Dlaczego tylko ja nie potrafię utrzymać tych myśli na dystans, zadaje sobie pytanie w drodze do salonu, mijając duńską gosposię, która coś nuci pod nosem. Taka młoda, o smukłej sylwetce, zawsze w sukienkach, które krojem uwypuklają biodra i biust, bo nie mają dekoltów, nie są nieprzyzwoite ani za krótkie, dlatego n i c nie może zarzucić jej strojom, a jednak! Jednak ma w sobie coś wyzywającego i czy nie zdarza się, że Gerson ukradkiem na nią spogląda? Niby przypadkiem zerka znad gazety, kiedy gosposia go mija, rzuca okiem na jej pupę, gdy kręcąc nią, wychodzi z pokoju ze stertą ręczników albo produktów spożywczych.

Boże drogi! Weź się w garść, Ellen, karci się, próbując odsunąć od siebie paranoiczne myśli, one jednak za chwilę wracają. Jednego popołudnia nie tak dawno temu zaskoczyła Gersona i gosposię podczas pogawędki w kuchni. Dzieliło ich półtora metra, więc to nie tak, że zastała ich w sypialni, jak się obściskiwali, a ona miała sukienkę podciągniętą na uda, lecz atmosfera była jakaś szczególna, czy raczej: atmosfera się zmieniła wraz z jej wejściem do środka. Śmiech umilkł, temperatura między nimi opadła jak podczas nagłej zmiany pogody, która późnym latem potrafi przynieść niskie ciśnienie. Ellen też próbowała się uśmiechnąć, lekkim, entuzjastycznym tonem zapytała, o czym rozmawiają, jednak chyba zbyt zaskoczyła ich tym entuzjazmem bądź też strapiło ich własne zachowanie

– może jej obecność przypomniała im o zakazanym owocu, którego właśnie chcieli skosztować?

A może przesadza? Czy to tylko urojenia? Duńska gosposia jest przecież miła, urocza, więc Gersonowi wolno chyba z nią porozmawiać?

Boże, myśli Ellen, z zamkniętymi oczami słuchając odgłosów życia dobiegających z dołu. Co w tym dziwnego, że patrzy na inne, skoro ja jestem t a k a, myśli, ale nic z tego. Zapuściła się w trzęsawisko gdzieś w głębi siebie i nie może się już z niego wydostać. Im mocniej się szamocze, tym bardziej tonie.

Słyszy Gersona w drzwiach. Słyszy, jak się śmieją i gadają na dole jak małżeństwo, i postanawia zainterweniować. Musi poczynić drastyczne kroki.

L jak Levanger.

L jak Lille-London – Mały Londyn – jak nazywano Ålesund. To tam przyjmowano statki z bronią z Anglii, to z Ålesund wypływały łodzie z uchodźcami.

L jak listopad.

L jak lata po rozwodzie, po którym rodzice Grete przeprowadzili się z powrotem do Oslo, każde do własnego mieszkania. Gerson z nową, nieco starszą partnerką, Ellen do mieszkania w centrum, za które płacił Gerson. Grete opowiadała o tym, jak matka podjęła naukę w akademii sztuk pięknych, jak prawie nic nie zarabiała, żyła z alimentów od Gersona. Jak Jannicke musiała gotować obiady, oszczędnie gospodarując składnikami, których niewiele było w lodówce. Grete mówiła też o tym, jak dostawała za darmo jabłka od ludzi prowadzących sklep po przeciwnej stronie ulicy. Jak po kilku latach ojciec poznał nową kobietę i przeprowadził się za granicę.

L jak Lex Rinnan, „prawo Rinnana", pod którym ocalali agenci-członkowie bandy – jak sami mówili – musieli się podpisywać. Według zasad tego

prawa Rinnanowi nie wolno się było sprzeciwiać. Nie wolno było podważać jego decyzji. I wreszcie, co nie mniej istotne, bandy Rinnana nie wolno było opuścić. Lex Rinnan zakładało karę za łamanie zasad: sprzeciwienie się przywódcy oznaczało śmierć.

M

M jak mrok, jak mężczyzna i męka.

M jak miejsce odosobnienia w Falstad, którego z całych sił starałeś się uniknąć jako kary, bo była nim mała klitka bez okien. Strażnicy mieli w zwyczaju wylewać tam wiadra wody na podłogę, żeby więźniowie nie mogli na niej siadać. Pewnego ciemnego marcowego poranka widziałeś, jak do środka wciśnięto jakiegoś mężczyznę. Widziałeś, jak bez słowa popatrzył na swoje mokre stopy, a następnie drzwi zamknięto i zaryglowano. Później słyszałeś, jak wyszarpnięto go z celi, pobito i znów tam wtrącono. Nigdy nie poznałeś przyczyny, a ilekroć dochodziły cię okrzyki bólu więźnia, wśród twoich uczuć dominowała ulga, że to nie ty. Ilekroć jakiś strażnik zerkał na ciebie, gdy zdał sobie sprawę, że widziałeś, co się tam działo, odwracałeś się na pięcie i odchodziłeś, dość szybko, by nie znaleźli pretekstu, aby cię zatrzymać.

M jak muzyka i Marie w twoich wspomnieniach, przy fortepianie na Klostergaten, grająca popołudniami sonaty Chopina lub proste utwory Mozarta. Melodie sprzed setek lat wypełniały mieszkanie, tworząc ciągłość, niekiedy przerywaną przez dzieci, które rzucały się na instrument, by otwartymi rączkami uderzać w klawisze niskich tonów; patrzyły przy tym tak dużymi, niewinnymi oczami, że trudno było je karcić, choć tak naprawdę chciałeś. Później dzieci podrosły i przerwy w grze się skończyły. Mimo to Marie grała rzadziej, jedynie krótkie etiudy, a i wtedy zdarzało jej się gwałtownie wstawać, z nagłym wyrazem melancholii na twarzy.

M jak monstrum, które czai się w każdym z nas.

M jak *människor*, „ludzie” po szwedzku, słowo, które utkwiło mi w pamięci po wizycie u Lillemor w Sztokholmie: „Ludzie to najbrutalniejsze ze

wszystkich zwierząt. Ludzie mogą mieć w sobie jednocześnie okrucieństwo… i dobro. Mogą być jednym i drugim" – powiedziała, by zaraz szybko zamachać pomarszczoną dłonią. J e d n y m, jak wierzch dłoni, który zwija się w pięść i uderza, i d r u g i m, wnętrzem dłoni, które potrafi dotknąć policzka i ostrożnie głaskać w geście pocieszenia, podtrzymywać główkę noworodka lub toczyć dzban na kole garncarskim, kształtując glinę.

M jak Misjonshotellet, Hotel Misyjny. To tam pewnego przedpołudnia Gerhard Stübs rozkazuje mu zdemaskować ruch oporu.

– Zawsze i wszędzie musisz mieć się na baczności. Notuj i donoś mi o wszystkim, co uznasz za podejrzane. Zrozumiano? – pyta.

Rinnan raz jeszcze dziękuje za zaufanie i wychodzi. Mija tłum żołnierzy, funkcjonariuszy, masę papierów i skrzynek, myśląc, że teraz musi naprawdę się postarać.

Dalej skupia się na drobiazgach. Dowiaduje się, że żadne wydarzenie nie jest nieistotne, dlatego zapełnia notatnik informacjami; musi pokazać, na co go stać, udowodnić, że zatrudnienie go było mądrą decyzją, że powinien zostać. Jeździ do gospodarstw, które już kiedyś odwiedzał, zapisuje, gdzie znajduje się broń, kto z kim sympatyzuje. Szlifuje swoje kwestie i sposób działania i stopniowo powiększa terytorium. Jesienią 1940 roku udaje się do Romsdalu, gdzie znajduje rozmownego kioskarza, który po dyskusji o beznadziejnej sytuacji pod rządami Niemców zszokowany opowiada, że niedawno zajrzały do niego dwie kobiety otwarcie popierające nazistów.

– Podłość, prawda? – mówi, wyjmując spomiędzy warg drobinkę tytoniu. Rinnan uśmiecha się i pochyla nad ladą.

– Wie pan co? – odzywa się.

– Nie…?

– To ja wysłałem tu te dwie kobiety…

– Co pan mówi? – pyta mężczyzna zdezorientowany i przechyla się w tył, rozbieganym wzrokiem szukając drzwi, jakby przez chwilę rozważał, czy stamtąd nie uciec.

– Chciałem pana sprawdzić, zobaczyć, jak pan zareaguje – odpowiada Rinnan cicho, niemal szeptem, i stuka papierosem o ladę. – W dzisiejszych

czasach nigdy nie można być pewnym. Nawet Norwegowie przechodzą do Niemców. Dlatego chciałem pana sprawdzić, wysyłając zawczasu tamte kobiety. Teraz wiemy już z całą pewnością, że jest pan po właściwej stronie – kończy.

– Ale… Ale dlaczego? – pyta właściciel kiosku, skołowany.

– Robię rekonesans w okolicy, aby znaleźć partnerów do współpracy, którzy mogliby przyjąć broń… Zgrupować się i wesprzeć działania ruchu oporu. Czy zna pan kogoś, z kim mógłbym porozmawiać?

Kioskarz uśmiecha się z ulgą, a Rinnan dostaje adres. Drzwi, do których może zastukać. Nazwiska ludzi, którzy go wpuszczą. Nowe nazwiska, które wieczorem zapisze w notatniku, by po powrocie opowiedzieć o swoich odkryciach Stübsowi. Wciąż podróżuje sam, pociągiem, autobusem i samochodem, i wciąż nocuje w domu, chociaż bywa tam coraz krócej. Ściska dzieci, przynosi prezenty i jedzenie, rozdaje je i patrzy, jak buzie maluchów promienieją radością. Tak to jest, gdy ma się za ojca Henry'ego Rinnana. Można dostawać cukier i świeży chleb, nowe kurtki i grube swetry, gulasze i desery, wódkę i papierosy. A co mają inne rodziny? Żyją z reglamentowanych towarów, ograniczonych dóbr, które są niczym paprochy z dna kieszeni, tylko dlatego, że brakuje im dość pragmatyzmu, aby pojąć swój błąd, bo wystarczy się przecież rozejrzeć, by wyraźnie zobaczyć, w jakim kierunku to wszystko zmierza i kto wygra wojnę. Wystarczy poczytać gazety, by widzieć jak na dłoni, jak to się skończy, myśli Rinnan, bo wszędzie piszą o zwycięstwach Niemców, na kolejnych frontach. O tym, jak zajmują kraj za krajem.

Wtedy roznosi się wieść, że Adolf Hitler chce poważnie zainwestować w Trøndelagu, że planuje zbudować wielkie aryjskie miasto, stworzyć podziemną bazę dla okrętów podwodnych w Trondheim w celu zatrzymania dostaw broni i żołnierzy z Anglii. Coraz to nowe łodzie, nowe dostawy zasilają ruch oporu, któremu raz za razem udaje się zmobilizować i przypuścić atak. Strzelać do żołnierzy, niszczyć linie kolejowe i mosty potrzebne Niemcom. Rinnan widzi powagę sytuacji i szansę dla siebie, by dokonać czegoś wielkiego. Pomyśleć, że mógłby zinfiltrować ruch oporu w rejonie Møre og Romsdal! Pomyśleć, że mógłby się dowiedzieć, gdzie wpływają te łodzie i kto odpowiada za ich przyjmowanie! Co by to znaczyło! Zostałby dostrzeżony, nie tylko tu, w Trøndelagu, czy w małej

Norwegii, ale również w Anglii, w Niemczech, przez samego Adolfa Hitlera.

Przechodzi przez drzwi Hotelu Misyjnego i pozdrawia żołnierzy, którzy go rozpoznają. Lekkim krokiem mija hol. Sekretarki podnoszą wzrok i posyłają mu uśmiech.

Wielu zna jego nazwisko, większość wie, kim jest.

Mówi teraz o sobie jedynie Rinnan, bo Gerhard Stübs zawsze zwraca się do niego po nazwisku. Imię stało się skórą, którą Henry zrzuca i zostawia za sobą, tak jak żmije zygzakowate zrzucają suche, pożółkłe skóry, które Rinnan niekiedy znajduje zwinięte na leśnej ściółce, jako jedyny widoczny ślad tego, że gad urósł. Henry Oliver już nie istnieje. Koniec pomiatania, szturchania i ośmieszania. Koniec chodzenia opłotkami Levanger z pochyloną głową, żeby uniknąć spojrzeń. Teraz nazywa się Rinnan lub Lola. Teraz jest w Trondheim, odmieniony, został agentem specjalnym, ma stałą pensję, odpowiedzialność i wolny dostęp do papierosów i wódki. Chadza ulicami w swoim brunatnym garniturze, w spodniach mocno rozszerzanych na udach, tak ma teraz być. Snuje plany złamania ruchu oporu i wkrótce zostaje poproszony, by zaczął wcielać je w życie.

Takie to proste, wręcz za bardzo, myśli Rinnan, idąc przez centrum. Ktoś, kto zna Trondheim i wie, gdzie przebywają ludzie z poszczególnych warstw społecznych, nie ma wątpliwości, dokąd powinien się udać z zamiarem infiltracji ruchu oporu. Dlatego to j a zostałem zatrudniony, nikt inny, myśli Rinnan z zadowoleniem, przechodząc przez ulicę i stąpając po bruku, pewnym krokiem w drodze do celu, bo dobrze wie, gdzie zbierają się komuniści i członkowie ruchu oporu. W kawiarni w Domu Ludu.

Mija ostatni zakręt i zbliża się do murowanego budynku w stylu funkcjonalistycznym. Lokal pęka w szwach, nawet teraz, w środku dnia. Goście siedzą i czytają gazety, palą i wymieniają wieści, snują plany. Rinnan widzi, że na niego patrzą, ale spokojnie wspina się po schodach i kieruje się do bufetu. Zamawia kawę i podczas gdy mężczyzna za ladą unosi filiżankę, by nalać do niej parującego, czarnego płynu, szybko rozgląda się po lokalu. Udaje, że szuka wolnego stolika, choć w rzeczywistości ustala, kogo warto śledzić. Kto siedzi tam jedynie dla

zabicia czasu, a kto przyjechał do kawiarni na tajne spotkanie lub by rekrutować nowych ludzi do pracy na rzecz ruchu oporu.

Mężczyzna z krótkimi, ciemnymi włosami zerka znad gazety, posyła Rinnanowi badawcze spojrzenie. Chociaż nie trwa to dłużej niż ćwierć sekundy, Rinnan widzi, że został zauważony jako ktoś nowy.

W lokalu panuje gwar, jak to w godzinach największego ruchu; Rinnan stoi wśród innych gości przy bufecie i balansuje filiżanką na spodku, szukając wzrokiem, gdzie mógłby usiąść. Wtedy jakiś mężczyzna wstaje, co oznacza, że zaraz zwolni się miejsce, tuż obok podejrzanego człowieka, którego Rinnan chce lepiej poznać. Mija kolejne oparcia krzeseł.

– Przepraszam? Czy tu będzie wolne? – pyta nonszalancko, wskazując głową stolik. Mężczyzna, którego sobie upatrzył, potwierdza:

– Proszę.

– Dziękuję panu – odpowiada Rinnan, a następnie siada. Upija łyk kawy, wyjmuje papierośnicę i potrząsa nią; słychać, że w środku jest tylko jeden papieros. Otwiera etui i na widok zawartości cicho wzdycha, jak gdyby rozważał, czy nie zostawić sobie ostatniego papierosa na później, w końcu jednak rozmyśla się i wkłada go między wargi. Klepie się po kieszeniach marynarki. Szuka zapalniczki lub pudełka zapałek, którego, jak dobrze wie, wcale tam nie ma. Sprawdza w kieszeniach spodni, ale wyciąga jedynie wnętrze kieszeni i raz jeszcze wzdycha, po czym odwraca się do mężczyzny przy stoliku obok. Ten najwyraźniej spostrzegł, co się dzieje, bo zdążył już wziąć zapalniczkę do ręki.

– Ognia? – pyta obcy. Mówi dialektem z Trondheim.

– Poproszę – odpowiada Rinnan i przyjmuje zapalniczkę; zapala papierosa, wypuszcza dym w bok i odkłada pożyczony przedmiot na stolik sąsiada.

– Miło z pana strony – mówi. – Zapomniałem, że skończyła mi się benzyna do zapalniczki. Czy raczej ona t e ż mi się skończyła – dodaje z sardonicznym uśmiechem i potrząsa papierośnicą. – Przez tych Niemców niedługo już nic nie będzie można zdobyć… – mamrocze jakby do siebie i znów się zaciąga, czekając, czy tamten złapie haczyk.

– To prawda – odpowiada mężczyzna. Też zapala papierosa. Teraz albo nigdy, myśli Rinnan i odwraca się do niego. Patrzy mu prosto w oczy.

– Wcześniej byłem ciągle zajęty – odzywa się, pochylając się nieco do przodu i konspiracyjnie ściszając głos; tworzy w ten sposób wspólną przestrzeń, zawiązuje nić porozumienia – aż do tej idiotycznej inwazji!

– Aha? – odpowiada tamten. Nadal siedzi odchylony, mową ciała wciąż sygnalizuje wyraźny dystans. – A czym się pan zajmował?

Henry z papierosem w kąciku ust podaje mu prawą rękę. Mruży oko, kiedy mija je unoszący się dym.

– Ole Fiskvik. Jestem marynarzem. – Cofa rękę. – To znaczy b y ł e m marynarzem, aż do dziewiątego kwietnia… A pan?

– Fiskvik? Nie jest pan przypadkiem krewnym Arnego-Johana Fiskvika? – pyta cicho nieznajomy, pochylając się lekko nad stolikiem.

Rinnan odsuwa się nieco, uśmiecha przebiegle i odpowiada:

– No, można powiedzieć, że krewnym… To mój brat.

– Naprawdę?! Ten, co tyle zrobił dla kraju? – wykrzykuje tamten i rozgląda się spłoszony po lokalu; widać, że stara się opanować, bo mruga raz po raz i lekko cofa tułów, ale to nic, myśli Rinnan, bo gość złapał haczyk. Chwycił przynętę, wystarczy tylko wciągnąć zdobycz na ląd.

– Tak, brat dużo działa na rzecz komunizmu – odpowiada Rinnan, ponownie się zaciąga i w zamyśleniu wypuszcza chmurkę dymu. – Gdyby jeszcze dało się pomóc, jak on, a nie tylko czekać z założonymi rękami… – wzdycha, strzepując popiół z papierosa. – Zaoszczędziłem nawet sporą sumę, ale co mi z tego, skoro nie da się nic kupić, bo przecież jest reglamentacja?

Rinnan podnosi wzrok i widzi, że tamten myśli, jego mózg pracuje na pełnych obrotach, mężczyzna rozważa w duchu wszystkie za i przeciw.

– Możliwe, że da się coś zrobić – odzywa się cicho.

– Ach, tak? – odpowiada Rinnan, z początku w pustą przestrzeń, jakby musiała minąć chwila, aby zrozumiał, że to tak naprawdę ukryte zaproszenie. Wtedy spogląda tamtemu w oczy i pyta jak.

– Jeżeli pan chce, możliwe, że znam kogoś, z kim mógłby się pan skontaktować – ciągnie nieznajomy.

– Chętnie. Kiedy?

– To zależy od tego, jak bardzo jest pan zajęty.

– Niestety, przestałem być zajęty dziewiątego kwietnia. Zawsze mi pasuje – odpowiada Rinnan. Czeka, podczas gdy tamten pochyla się w przód, aby pozwolić jakiemuś człowiekowi przejść za sobą, tak blisko, że unoszą się tylne nogi jego krzesła.

– To może na przykład teraz? – pyta tamten, obnażając w uśmiechu zęby.

– Na przykład teraz? To najlepszy z możliwych terminów – odpowiada Rinnan.

Przez kilka sekund patrzą sobie w oczy, po czym człowiek z ruchu oporu wybucha śmiechem.

– W takim razie niech pan dopija kawę i idzie ze mną – rzuca, wstając. – Może pan zresztą mówić mi Knut. Chodźmy!

Rinnan wypija ostatni łyk i się podnosi. Wychodzą na słońce.

– O, tu jest trochę mniej uszu – mówi Knut, mocniej otulając się marynarką.

– W dzisiejszych czasach ostrożności nigdy za wiele – odpowiada Rinnan i spogląda poważnie na swojego towarzysza.

– Niestety. – Knut przechodzi przez ulicę. Rinnan za nim. – Jednocześnie potrzebna nam każda pomoc.

– Więc można to nazwać szczęśliwym zbiegiem okoliczności, że dzisiaj na pana wpadłem – podsumowuje Rinnan. – Chętnie pomogę – kończy, starając się, by w ostatnich słowach zabrzmiał tłumiony entuzjazm.

– Panie Fiskvik… Czy ma pan dostęp do samochodu?

– Tak. Auto, którego używałem przed wojną, stoi w garażu.

– Współpracuję przy tworzeniu gazety… Potrzebujemy pomocy w dystrybucji naszej bibuły.

– Chodzi o… materiały ruchu oporu? – szepcze Rinnan.

Mijają kobietę z wózkiem dziecięcym, a Knut czeka z odpowiedzią, aż oddalą się od niej na kilka metrów.

– Jeśli to pana nie przeraża…?

– Ani trochę – Rinnan kręci głową. – Wprost przeciwnie.

– W porządku. Będę z panem szczery. – Knut zatrzymuje się na skrzyżowaniu nad rzeką. Jakaś mewa szarpie ciało martwego ptaka nad

wodą, zanurza głowę w jego wnętrznościach i podnosi dziób, po czym rozgląda się niespokojnie.

– To, co robimy, niesie w sobie ryzyko. Poza tym nikt nie otrzymuje zapłaty za pracę. Rozumie pan?

– Rozumiem. Dziękuję. Musiałbym się pewnie trochę zastanowić… Niech no pomyślę… Już! Skończyłem. Idziemy dalej? – pyta Rinnan i posyła uśmiech Knutowi, który zaczyna się śmiać.

– Świetnie, miałem nadzieję, że coś takiego pan powie. Proszę za mną, Fiskvik.

– Dokąd idziemy? – pyta Rinnan cicho.

– Do kwatery głównej – odpowiada Knut.

Szybko mijają kolejne ulice, wchodzą w ciasny zaułek w centrum miasta, a potem do niewielkiej kawalerki. W pokoju prawie nie ma mebli, w oknach wiszą zasłony zaciemniające. Niegdysiejsza kwatera studencka została zmieniona w tajną drukarnię, pełną kaszt, walców i rolek papieru. Wszystko jest oczywiście małe i nieprofesjonalne. Dwóch mężczyzn spogląda na niego i go pozdrawia, a Rinnan przedstawia się jako Ole Fiskvik. Dostaje do ręki gazetę, którą wertuje podniecony, bo już wyobraża sobie, co powie Gerhard Stübs, kiedy się o tym dowie. W środku zachęta do stawiania oporu, napomnienia, żeby wytrzymać, lista wykonanych operacji, które zakończyły się powodzeniem, i informacje o drobnych zwycięstwach aliantów na froncie.

– Sprzęt jest, niestety, stary. Ale tylko taki mamy – mówi przedstawiciel ruchu oporu.

– Nie, jest znakomity! – zaprzecza Rinnan. – Te gazetki mogą przyczynić się do zwerbowania kolejnych ludzi. Tak można wygrać wojnę. Jeżeli trzeba, chętnie pomogę je rozprowadzać!

– Potrzebujemy pomocy… – mówi tamten, a na jego twarzy pojawia się wyraz zrezygnowania.

Rinnan zauważa, że spogląda na dwóch pozostałych, jakby chciał ich zapytać, co o tym sądzą, czy to ich zdaniem bezpieczne, ale gdy tamci się nie sprzeciwiają, tylko nieznacznie wzruszają ramionami, mężczyzna odwraca się do Rinnana i pyta, kiedy w takim razie może zacząć.

– Jutro – odpowiada Rinnan. Im szybciej, tym lepiej.

– Dziękuję, Fiskvik. – Tamten uśmiecha się ciepło i proponuje godzinę, o której mogą się spotkać następnego dnia.

Rinnan wiele razy dziękuje im za zaangażowanie. Potem wygląda za drzwi, sprawdza, czy jest czysto i spiesznie się stamtąd oddala; idzie zaułkami, zapamiętując trasę. Nadkłada drogi, upewnia się, że nikt go nie śledzi, aż wreszcie wpada do Hotelu Misyjnego. Ma ochotę od razu pobiec korytarzami do gabinetu Gerharda Stübsa, żeby powiedzieć szefowi o wszystkim, czego się dowiedział. Niemcy poświęcili wiele miesięcy, by rozpracować tę siatkę, lecz nie natrafili na żaden ślad, a Henry dał radę w jedno przedpołudnie!

Witają się, po czym Henry prędko rozwija bibuły ruchu oporu i kładzie je na biurku Stübsa. Gerhard pochyla się nad materiałami propagandowymi, mamrocząc coś pod nosem, patrzy na Rinnana i pyta, skąd to ma, na co on zdaje oficerowi relację z całego dnia. Mówi o tym, jak udało mu się wypatrzyć odpowiedniego człowieka w kawiarni i zdobyć jego zaufanie dzięki temu, że podał się za brata znanego w okolicy komunisty. Opowiada o niewielkiej siedzibie członków ruchu oporu, o prasie drukarskiej i sieci ludzi rozprowadzających gazetę w różnych miasteczkach; przyznaje, że ich sprzęt jest co prawda przestarzały i prowizoryczny, lecz mimo to może wyrządzić szkodę. Gerhard Stübs odkłada okulary na biurko. Następnie poklepuje Rinnana po ramieniu i go chwali. Mówi, że to n i e s a m o w i t e, co udało mu się osiągnąć. W y b i t n e d o k o n a n i e. Że wiedział, iż słusznie postąpili, zatrudniając go, a Henry stoi i słucha pochwał, usiłując powstrzymać uśmiech, który lada chwila może rozsadzić mu policzki. Gerhard otrzymuje adres, który Henry powtarzał w myślach przez całą drogę powrotną.

Zapada cisza; widać, że Stübs się nad czymś zastanawia. Po chwili lekko klepie dłonią w biurko i pyta Rinnana, czy może poczekać. Dodaje, że chciałby przedstawić mu pewnego człowieka.

Henry kiwa głową. Kto to może być?

Stübs wraca w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich jest w mundurze, ma rzadkie włosy i jasne, niebieskie oczy.

– Rinnan, oto naczelny dowódca Gerhard Flesch – odzywa się Gerhard Stübs. Flesch podaje Rinnanowi rękę, a Stübs zwraca się do nowo przybyłego po niemiecku, wymieniając też nazwisko Henry'ego. – Trzecia

osoba tutaj to tłumacz. Flesch nie mówi po norwesku, chociaż sporo rozumie, bo po inwazji pracował w Bergen.

Flesch kiwa głową. Następnie mówi coś po niemiecku do Stübsa, tłumacz przekłada jego pytanie i nastaje niezwykła, krępująca chwila, kiedy obaj muszą poczekać na przekazanie sensu wypowiedzianych słów.

– Podobno znalazł pan kryjówkę jednego z naszych największych wrogów? – pyta tłumacz.

Rinnan potakuje. Opowiada o drukarni. O gazecie ruchu oporu. O materiałach propagandowych rozprowadzanych w całym rejonie. Tłumacz przekłada, a Flesch z zadowoleniem kiwa głową.

– Ma pan adres? – pyta, Henry zaś rozumie na tyle, by potwierdzić ruchem głowy, zanim jeszcze tłumacz dokończy zdanie.

– Tak… Na pewno nadal tam są – ciągnie Rinnan z zapałem. – Powinien pan tam kogoś po nich wysłać… I to szybko – mówi, ale wtedy Flesch stwierdza, że ma lepszy pomysł.

– Ci ludzie myślą przecież, że jest pan po ich stronie – kontynuuje Flesch z przebiegłym uśmiechem. – Do tego planują kolportaż swoich materiałów w Trøndelagu. Prawda?

Rinnan czeka na tłumaczenie.

– Eee… tak?

– W takim razie musimy im pomóc, Rinnan. Pomóc w dystrybucji. Może i pan mógłby dostać stosik gazet, zaoferować, że je rozwiezie?

Henry rozumie kilka słów, które padają, takich jak *helfen* czy *verteilen*, mimo to czeka na tłumaczenie, lecz nawet wtedy sens zdaje mu się niejasny. Ma im p o m ó c?

– Ale… dlaczego? – pyta.

– W ten sposób zyskamy ogląd na całą tę pajęczą sieć, dzięki czemu łatwiej uda nam się ją zniszczyć – mówi Gerhard po norwesku, wykonując gest dłonią, jak gdyby zdzierał niewidzialną pajęczynę.

– Mam być podwójnym agentem? – pyta Rinnan.

Flesch kiwa głową.

– Nazywamy to g r ą w n e g a t y w n y m s e k t o r z e. Rzecz polega na infiltracji i rozpoznaniu wroga, sprawieniu, że będzie działać na naszą

korzyść, myśląc, że pracuje dla swoich. W ten sposób możemy dotrzeć do ludzi, którzy za wszystkim stoją… Rozpracować sieć w całym Trøndelagu. Może uda nam się też poznać głównych działaczy w innych miastach, na przykład w Oslo i Bergen…

Rinnan się uśmiecha, bo brzmi to jak szpiegowskie historie, którymi kiedyś się zaczytywał. Jest jak w filmach, tyle że tym razem to o n, Henry Oliver Rinnan, trafił na wielki ekran, aby odegrać główną rolę.

– Dlatego, Rinnan, chciałbym, aby nikomu pan o tej grupie nie mówił – ciągnie Flesch. – Wspominał pan, że mają tam przestarzały sprzęt?

Henry czeka na tłumaczenie, kiwa głową.

– Dla nas lepiej będzie, jeśli wydrukują więcej tych gazet. Im więcej egzemplarzy wyprodukują i rozprowadzą, tym więcej wrogów możemy ujawnić. Mam pomysł, jak możemy im pomóc w poprawie wydajności… – Flesch pochyla się zadowolony nad biurkiem, po czym przedstawia swój plan.

Nastaje wieczór, Henry zostaje w domu z rodziną. Bawi się z synem. Trzyma chłopca na kolanach i udaje, że jadą ciężarówką po wyboistej drodze. Porusza się coraz szybciej, podczas gdy syn piszczy ze śmiechu w oczekiwaniu na nieuchronnie zbliżający się moment, gdy ciężarówka wypadnie z drogi, kolana się rozewrą, a chłopiec będzie musiał mocno się trzymać, by nie wylądować na podłodze. Wierci się i ściska kurczowo ojca, próbując złapać oddech. Klara uśmiecha się do nich, stojąc w drzwiach kuchni z córką przy piersi, lecz w jej uśmiechu jest pewien smutek. Trudno. To już jej problem, myśli Rinnan, a gdy dzieci idą spać, wyjmuje butelkę likieru. Wypija dość szybko kilka kieliszków, zastanawiając się nad szalonymi planami na jutro, bo to może być coś wielkiego. Naprawdę wielkiego, myśli z zadowoleniem i opróżnia ostatni kieliszek. Potem się kładzie, nie czekając na Klarę.

Nastaje noc.

Nastaje ranek. Światło pada przez firanki na Klarę, która odwróciła się do niego plecami. Nie śpi? Może. Henry od razu wstaje z łóżka, ubiera się i je śniadanie z synem, by potem udać się bezpośrednio do tajnej siedziby ruchu oporu. To najbezpieczniejsza opcja, na wypadek gdyby ktoś go

śledził – zobaczą wtedy jedynie, że idzie z domu prosto do nich. Flesch miał załatwić resztę.

Stuka do drzwi, zostaje wpuszczony i mówi, że przy pomocy starego przyjaciela pracującego w nieużywanej drukarni udało mu się zorganizować prasę drukarską. Podaje markę maszyny i liczbę ulotek, jaką jest w stanie odbić na godzinę.

– Tylko jak ją tu sprowadzimy? – pyta człowiek, który do tej pory milczał.

– Już czeka na dworcu kolejowym, dostarczona dziś rano. Musimy tylko po nią pojechać i pilnować, żeby nikt nas nie śledził.

– Aha, ale co z dzisiejszym spotkaniem? – pyta tamten. Mężczyźni wymieniają spojrzenia. O jakim spotkaniu mowa?

– Zdążymy wrócić, zanim przyjdą – nalega Ole. – Chodźcie!

Wyjeżdżają razem i idą parami, udając, że się nie znają; później część z nich stoi na parkingu przed dworcem, rozglądając się, czy w pobliżu nie ma nikogo podejrzanego, podczas gdy pozostali podchodzą do skrzynki. Zabierają ją do samochodu i rozchodzą się.

Parkują w pobliżu kryjówki, sprawdzają, czy w okolicy nie ma Niemców, a następnie zakradają się do kawalerki.

Jeden z mężczyzn otwiera pudło i wyjmują maszynę. Ktoś wybucha śmiechem, pozostali zaś przeciskają się bliżej, żeby lepiej widzieć. Nowoczesna prasa drukarska ze stali i szkła, pełna przycisków i lampek.

Henry mówi, jak szybko ta maszyna potrafi drukować, ile kartek może przerobić na minutę i że nie tylko drukuje, ale też zszywa arkusze we właściwej kolejności.

– Boże, Fiskvik… I ot, tak ją dostaniemy?

– Nie, ale możecie z niej korzystać do końca wojny. Właściciel i tak nie będzie miał z niej pożytku, dopóki Niemcy się nie wyniosą. Powiedziałem mu, że może nastąpić to szybciej, jeśli nam ją pożyczy. Tylko tyle było trzeba.

– Bajecznie! – Jeden z mężczyzn kręci głową. – Jak mamy ci dziękować?

– Wyrzućcie Niemców z Norwegii! – odpowiada Henry. – A jeśli wyrazicie zgodę, chętnie wam w tym pomogę!

– Pewnie! Jak wspomniałem wczoraj, potrzebujemy kogoś do rozwożenia gazet po prowincji… Nie jest to całkiem bezpieczne, ale jeżeli…

– Chętnie się tym zajmę. To byłby zaszczyt! – mówi Rinnan z ostrożnym, pokornym uśmiechem, cieszy go naiwność tamtych, zwraca również uwagę na ich zmęczenie, które kryje się pod uśmiechami. Dostrzega wyczerpanie, będące efektem życia, jakie prowadzą ci ludzie, stale narażając się na śmierć, podczas gdy w domach być może czekają na nich rodziny. Są tak bardzo wdzięczni za odciążenie, szansę na podział ryzyka, że nie zadają pytań.

Henry otrzymuje sporządzoną odręcznie listę miejsc, w które ma pojechać, i nazwisk osób kontaktowych, mających odebrać gazety do dalszego kolportażu. Pakuje do aktówki stos z poprzedniego nakładu, ponownie dziękuje i już ma wyjść, już się cieszy, że opowie o wszystkim Fleschowi, gdy nagle drzwi się otwierają i do środka wchodzi dwóch obcych. Dwóch mężczyzn, których obecność sprawia, że nastrój w pomieszczeniu się zmienia.

– Jesteście! – odzywa się człowiek, którego Henry poznał w kawiarni. – Poznajcie nasz najnowszy nabytek – ciągnie, podchodzi do Rinnana i popycha go do przodu. – To Ole Fiskvik, brat… Tak, właśnie! – i zaczyna się śmiać. Obcy jednak wciąż zachowują powagę. – Fiskvik załatwił nam nową prasę drukarską i pomoże w dystrybucji. A to, Fiskvik, jedni z naszych najważniejszych ludzi. Przywódca grupy z Oslo… i z Bergen.

Henry wita się grzecznie i w sam raz służalczo, jakby naprawdę ich podziwiał, mówi, że to dla niego zaszczyt, i mocno ściska im dłonie, bo myśli, że takim ludziom zwykle się to podoba. Przywódca grupy z Oslo opowiada o planowanym strajku generalnym, który ma sparaliżować całą okupowaną Norwegię, a Rinnan bacznie się przysłuchuje. Drugi mężczyzna mówi o działaniach mających na celu sabotaż statków towarowych w jakimś porcie. Henry próbuje zapamiętać każdy szczegół i zaczyna się denerwować, musi coś zrobić z rękami, więc chowa je w kieszeniach, skąd wyjmuje papierośnicę. Zapala papierosa i uważnie słucha. Odkłada etui do kieszeni marynarki, ale wtedy uświadamia sobie, że powinien zaproponować papierosa innym, to go do nich zbliży, więc znów grzebie w kieszeni, omija rękawiczki i wyjmuje pudełko, lecz po

fakcie orientuje się, że to inna papierośnica, innego typu. Tamci przerywają rozmowę.

– Jeny! Ma pan przy sobie dwie różne marki? Imponujące! – komentuje sarkastycznie człowiek z Oslo. Pozostali na szczęście niczego nie zauważyli, stoją pochyleni nad planami leżącymi na stole.

– Coś podobnego, nie? – Henry uśmiecha się, zawstydzony. – Całe tygodnie nie miałem papierosów, aż nagle nadarzyła się okazja, by kupić więcej, więc z niej skorzystałem. Teraz na wszelki wypadek nigdzie ich nie odkładam. Zapali pan? – pyta, podając mężczyźnie papierośnicę. W tej samej chwili człowiek z Bergen podnosi głowę i szuka ich oczami, aby podjąć wątek.

– Dobra, słuchajcie. Musimy ustalić wiele szczegółów – mówi i patrzy na zegarek.

Mają mało czasu, co za fart, myśli Henry, bo wkrótce wszyscy skupiają się na swoich zadaniach, w związku z czym on mniej ich interesuje. Zostaje z nimi, trzyma się z tyłu i powtarza w myślach zasłyszane detale. Wreszcie przewodniczący grupy z Oslo i Bergen wychodzą, dla pewności w kilkuminutowych odstępach, pozostali zaś zostają w mieszkaniu, i nagle Henry ma dla siebie więcej przestrzeni.

– Co za poświęcenie – odzywa się. – Takich odważnych facetów nam trzeba, żeby złamać Niemców.

– Tak, ale każdy pomaga, jak umie, Fiskvik – odpowiada jeden z tamtych, poklepując prasę drukarską. Pozostali kiwają głowami, a jeden przesuwa stertę gazet w stronę Henry'ego, który podnosi ją i głęboko wciąga powietrze, poważnie się uśmiechając, jakby z wdzięcznością, następnie wkłada stos do aktówki. Potem otrzymuje nazwiska kolejnych osób, nazwy kolejnych miejsc.

– I wszyscy na tej liście to dobrzy jøssingowie? – pyta. – Bo znacie tych ludzi, prawda?

Klepią go po ramieniu i dziękują za ostrożność, aż wreszcie wykrada się na zewnątrz; ma ochotę zatańczyć na bruku, ale nie może, musi uważać. Wie, że powinien iść prosto do domu, do rodziny, na wypadek gdyby ktoś go śledził, lecz jednocześnie nie może się doczekać, by opowiedzieć szefowi, co przed chwilą usłyszał. Jak najszybciej musi się tym podzielić.

Pokonuje kilka kwartałów w złym kierunku, z łomoczącym sercem skręca w boczną uliczkę i odczekuje kilka sekund, po czym zerka za siebie, ale nikt za nim nie idzie, więc rusza przez centrum do Hotelu Misyjnego, cały czas powtarzając w myślach nazwy i daty, o których mówili dwaj przywódcy. Za progiem nareszcie jest na tyle bezpiecznie, że może wyjąć z wewnętrznej kieszeni notatnik i zapisać w nim wszystkie zapamiętane szczegóły. Nazwiska przywódców grup z Oslo i Bergen, daty ataków i adresy kryjówek. Jest wręcz z b y t dobrze, myśli, zamykając notes. Podoba mu się rezolutny trzask, z jakim strony stykają się z sobą. Potem spiesznie udaje się do gabinetu Gerharda Flescha.

Flesch siedzi pochylony nad jakimś dokumentem, obok stoi na wpół zjedzona napoleonka. Żółtawy krem wypływa spomiędzy twardych warstw ciasta. Mężczyzna wyczuwa, że coś się stało; pewnie widzi, że promienieję pewnością siebie, myśli Rinnan, kładąc aktówkę na biurku i wyjmując z niej stertę nielegalnych gazet. Nie tylko dotarł do wydających je ludzi, ma również nazwiska wielu osób kontaktowych w innych miejscowościach, całej sieci dystrybutorów. Ponadto spotkał przywódców dwóch innych komórek ruchu oporu, dowiedział się też o nadchodzącej akcji sabotażowej przeciwko kolei. Flesch wysłuchuje tłumaczenia opowieści i z początku kręci głową, ale nie w przeczącym geście, o, nie, czyni to w sposób, który daje Henry'emu do zrozumienia, że zrobił coś niezwykłego; to w y j ą t k o w e d o k o n a n i e, mówi szef i dziękuje za to osiągnięcie, po czym dodaje zdanie, które wyryje się Rinnanowi w pamięci, które będzie mu towarzyszyć podczas dalszej pracy: „Wiedziałem, że warto na pana postawić!".

Henry angażuje się w układanie strategii. Ma głos doradczy w kwestii dalszych posunięć, wypowiada się na temat tego, jak najefektywniej przypuścić atak. Wszystko to jego zasługa, myśli, gdy siedzą i snują plany; widzi, że jego działalność szpiegowska wiele zmieniła. To j e g o zasługa.

Wtedy naziści rozpoczynają akcję. Pięćdziesiąt trzy osoby zostają aresztowane. Wiele zabitych. Henry nie bierze w tym udziału, po wszystkim dowiaduje się o sukcesie. Strajk i sabotaż nie dochodzą do skutku.

Po zakończeniu działań Flesch zaprasza go do swojego gabinetu, aby uczcić sukces. Na biurku stoi butelka drogiego koniaku i starannie

zdobione kryształowe kieliszki. Wznoszą toast za zwycięstwo, Henry dowiaduje się też, że czeka go awans. Do tego podwyżka i nowe, jeszcze ważniejsze zadania.

– *Für Agent Lola* – mówi Flesch, unosząc kieliszek, a pozostali wtórują mu z uśmiechem.

Kilka dni później Flesch pyta go, czy odbył szkolenie z *Abfragetechnik.* Sekretarka w gabinecie tłumaczy to wyrażenie: „technika przesłuchań".

Henry kręci głową, odpowiada: *nein.*

Flesch prosi, aby udał się z nim schodami do piwnicy w Hotelem Misyjnym. Chociaż Rinnan zdążył się dowiedzieć, że pod biurami znajdują się cele dla więźniów, jeszcze nie widział ich na własne oczy. Flesch sprowadza tłumacza. Idą. Po schodach w dół, tam gdzie unosi się zapach żelaza, tytoniu, potu i strachu. Stale ktoś krzyczy. Flesch zatrzymuje się przy jednej z cel i krótko mówi Henry'emu o więźniu, który w niej siedzi. Podejrzewają, że wie coś na temat tajnego transportu członków ruchu oporu. Dodaje też, że ludzie tacy jak on są zagrożeniem dla Trzeciej Rzeszy.

– Tak musisz o nich myśleć. Przede wszystkim jako o zagrożeniu.

Tłumacz przekłada.

– Poza tym musisz myśleć, że posiadają klucz. Rozwiązanie. Ich wola stanowi przeszkodę, jednak da się ją złamać za pomocą innego narzędzia: bólu.

Flesch kiwa głową do idącego za nimi żołnierza na znak, żeby otworzył. To takie proste. Wystarczy lekkie skinienie głowy, a otwierają się drzwi, na stół wjeżdża jedzenie i picie. Jeden znak, a ktoś zostaje aresztowany, rozstrzelany lub wypuszczony na wolność.

W środku znajduje się mężczyzna. Siedzi pochylony na krześle, z rękami związanymi na plecach. Na stole obok leżą różne narzędzia. Bicz. Szydło. Nóż.

Więzień podnosi głowę i patrzy na nich. Włosy ma przetłuszczone, oczy lśnią złością i lękiem.

– Widzisz? – odzywa się Flesch po niemiecku, wyjmując z kieszeni żółtą skórzaną rękawiczkę. – Trzeba ich poskromić… Są jak dzikie zwierzęta, które muszą się nauczyć, kto jest ich panem… Trzeba ich złamać, wtedy zaczną mówić… Pomogą nam zakończyć wojnę, żebyśmy wszyscy mogli uniknąć tego plugastwa.

Wkłada rękawiczki i zwraca się do więźnia: – Prawda?

Cios Flescha całkowicie zaskakuje Henry'ego. Nagle żółta rękawiczka wyrywa się do przodu, zaciśnięta pięść trafia więźnia w policzek. Jęk. Ślina cieknie powoli z kącika ust, zabarwiona czerwienią krwi.

– Na początek dobry jest pojedynczy cios pięścią. W ramach rozgrzewki.

Tłumacz przekłada, ale widać, że czuje się nieswojo. Flesch uderza więźnia raz jeszcze. Henry czuje, jak serce łomocze mu w piersi. Wyczuwa unoszącą się w powietrzu agresję. Tłumacz pyta o coś Flescha po niemiecku, zapewne o to, czy konieczna jest jego obecność, czy może już iść.

Flesch wyprowadza lewą ręką jeszcze jeden cios i potrząsa głową. Gdyby tak mieć jego władzę!

Rinnan uśmiecha się szeroko i przypomina sobie, jak raz zabił rybę na oczach Klary, jak się odwróciła, gdy rozciął zwierzęciu brzuch i wypatroszył je, tak że wnętrzności – jelita, żołądek, wątroba – wisiały ściśnięte między jego palcami, oślizgła masa siności, pomarańczu i żółci. Więzień na krześle przed nimi mocno zamyka powieki. Z nosa zaczynają mu cieknąć smarki i krew. Flesch zdejmuje żółte rękawiczki, ostrożnie je składa, chowa do kieszeni płaszcza i zwraca się do Henry'ego, tłumacz zaś przekłada jego słowa:

– Teraz twoja kolej.

Nie pyta, po prostu konstatuje fakt. Henry kiwa głową. Patrzy na więźnia przed sobą, widzi spojrzenia Flescha i tłumacza. To test, myśli, ściskając prawą pięść tak mocno, że paznokcie wpijają się we wnętrze dłoni. To test, dlatego muszę pokazać, że dam radę, myśli. Wtedy uderza i zaskakująco mocno trafia w coś kłykciami. Cios jest tak silny, że krzesło się odchyla, chwilę balansuje na dwóch nogach, aż wreszcie mężczyzna z impetem spada na podłogę.

Flesch zaczyna się śmiać.

– Co za cios – mówi po niemiecku, pochylając się nad człowiekiem, który leży na kamiennej posadzce. – To jak…? Będziesz mówił? Kto ci pomaga? Kto jest twoim kontaktem?

Tłumacz przekłada. Mężczyzna tylko zaciska wargi. Nie odzywa się, więc Flesch się prostuje i udaje zawiedzionego.

– No tak. Czasami trzeba użyć innych narzędzi, żeby włamać się do upatrzonego miejsca – stwierdza, przyciskając but do twarzy mężczyzny, podczas gdy tłumacz powtarza jego słowa Rinnanowi.

Policzek więźnia się marszczy, podobnie jak buzia Henry'ego w dzieciństwie, gdy czasem stawał przed lustrem i ściskał ją dłońmi, robiąc różne grymasy. Z gardła maltretowanego człowieka dobiega charkot, kiedy Flesch obraca but, przenosząc cały ciężar ciała na jedną nogę i następując na niego jak na pieniek sterczący na leśnej ścieżce, po czym podchodzi do stołu. Leżą tam różne narzędzia. Metalowy ścisk, którego kształt sugeruje, że używa się go na kostce albo na ramieniu. Bicz pełen gwoździ, kilka młotków i różnego typu broń kłująca, wszystko pieczołowicie ułożone w rzędach.

– Chodzi o to, by znaleźć właściwe punkty – mówi Flesch, unosząc szydło ze stołu pod ścianą. Następnie chwyta stopę leżącego i ściąga z niej but. – Podeszwy stóp to dobre miejsce.

Flesch zdejmuje mężczyźnie skarpetę i przesuwa palcem po podeszwie, od palców do kostki. – Zwłaszcza tutaj – dodaje, stukając opuszką w obszar między piętą a brzuścami palców, tam gdzie stopa nigdy nie styka się z podłożem, a skóra jest najcieńsza. – Mógłbyś przytrzymać drugą stopę?

Rinnan podchodzi do mężczyzny i chwyta go za kostkę. Więzień próbuje wierzgać, ale po chwili leży już nieruchomo. W pomieszczeniu słychać tylko ich oddechy. Wtedy rozlega się krzyk. Flesch przytknął mu szydło do stopy i powoli wbija je w ciało.

– Będziesz zeznawał?

– Taaaak!!!

Wrzask. Krew, ślina i łzy. Flesch spogląda na Rinnana i wyjmuje szydło. Krew sączy się z białej skóry, broczy po boku pięty, kapie na podłogę.

– Będę… zeznawał…

– A nie mówiłem? – rzuca Flesch zadowolony i odkłada szydło na stół, po czym poprawia je, żeby leżało równolegle do rękojeści bicza. Następnie schyla się, wyjmuje notatnik i prosi więźnia, żeby zaczął mówić.

Po kilku minutach pełnych łez, śliny i słów wypowiadanych głosem ochrypłym od krzyku nazwiska trafiają do notesu i Flesch wstaje.

– Każdą wolę da się złamać – mówi. – To tylko kwestia czasu. Polegam na moich ludziach, ufam, że będą wykonywać takie rozkazy, kiedy zajdzie potrzeba… – ciągnie i czeka na tłumaczenie. – Zakładam też, że nie będziesz protestował, jeżeli poproszę cię o przeprowadzenie przesłuchania?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada Henry.

– Znakomicie. To była pierwsza lekcja, Rinnan. Będzie ich więcej.

M jak musztra karna, kryjąca się pod określeniem „poranna gimnastyka": biegi, skoki i pompki, aż człowiek ze zmęczenia pada na ziemię z posmakiem krwi w ustach i z rzężącym, urywanym oddechem, który czuje w piersi i w gardle, tak wycieńczony, że myśl o śmierci zdaje mu się wybawieniem.

M jak migrena.

M jak mijające miesiące, pełne coraz to nowych zleceń dla Rinnana. Nadchodzi lato 1941 roku, na spotkaniach w Hotelu Misyjnym Henry przekonuje się, jak bardzo jest im potrzebny. Jak bardzo ufają jego sprawozdaniom. Nadchodzi grudzień i nadal pracuje sam, zapisuje każdą, nawet najmniejszą obserwację, jest aktywny niemal przez całą dobę.

M jak możliwość, z której nagle zdaję sobie sprawę pewnego przedpołudnia, grzebiąc w mojej historii. Kto podsłuchał twoją rozmowę w Kaffistovie, a później usłyszał, jak dzielisz się uzyskanymi w ten sposób informacjami? Musiał to być ktoś znający norweski, pomyślałem, a poza tym ktoś, kto się nie wyróżniał. Kto mógł się tam zjawić, nie zwracając niczyjej uwagi. Nagle z pełną mocą uderzyło mnie, że do tego opisu

szczególnie pasuje jeden człowiek. Mężczyzna, o którym wiedziałem, że jesienią i zimą 1941/1942 odwiedzał różne lokale w Trondheim i notował wszystko, co wydało mu się podejrzane.

Rinnan.

To całkiem możliwe, a nawet prawdopodobne, myślę i wyobrażam sobie, jak Henry w styczniu 1942 roku przejeżdża przez Trondheim. Zatrzymuje się przed Kaffistovą. Gasi silnik i szarpnięciem za opuszki ściąga rękawiczki samochodowe. Ściskając pod pachą gazetę, wyjmuje papierosa z etui. Mija żydowski sklep z zegarami, wchodzi po schodach do kawiarni, zamawia u kelnerki czarną kawę i siada przy wolnym stoliku. Zauważa grupkę mężczyzn o ciemnych włosach i brązowych oczach, to przypuszczalnie Żydzi, myśli, udając, że interesuje go gazeta, którą rozkłada na blacie, choć tak naprawdę całą uwagę skupia na rozmowie czterech mężczyzn. Słyszy, że dyskutują o wiadomościach BBC. Że całkiem otwarcie mówią o rosyjskim froncie, jakby nie wiedzieli, że słuchanie wiadomości jest zakazane. Właściwie to całkiem bezczelne, myśli Rinnan, siedzieć tak i otwarcie rozmawiać o propagandzie, która może osłabić niemieckie rządy. Chociaż inni mogą ich usłyszeć, chociaż kelnerka podchodzi do stolika, żeby dolać im kawy, oni ciągną dyskusję. Jest im po prostu za dobrze. Czują się zbyt bezpiecznie, myśli Henry, wertując gazetę do strony z krzyżówką, po czym zaczyna uzupełniać ją imionami, które padają z ust mężczyzn. Zapisuje wszystkie informacje i już szykuje się do wyjścia, gdy jeden z nich wstaje. Najszczuplejszy, o imieniu David. Zdecydowanie Żyd, o wyraźnie komunistycznych ciągotach, co wiele razy dało się wyczuć w rozmowie. Henry posyła uśmiech kelnerce, dopija kawę, a następnie wstaje i idzie za Davidem. Zmierzch zapada wcześnie o tej porze roku. Postanawia nie wsiadać do auta, tylko śledzić go pieszo, z bezpiecznej odległości, lecz dba o to, by podejrzany nie zginął mu z oczu. Widzi, jak David poklepuje poły płaszcza w rytm jakiejś piosenki i gwiżdże obcą, żydowską melodię.

Zobaczymy, dokąd się wybierasz, mój ty komuszku, myśli Henry, skradając się pod budynkami. Widzi, jak David wchodzi do sklepu odzieżowego o nazwie „Paris-Wien” i rozmawia z nieco starszym mężczyzną w okrągłych okularach, którego Henry decyduje się śledzić później, bo po chwili David wychodzi na ulicę. Rinnan idzie przeciwną

stroną drogi aż do kamienicy, do której wstępuje David. Czeka, by po chwili odszukać nazwisko na skrzynce na listy: David Wolfsohn. Następnie zapisuje nazwę sklepu, „Paris-Wien", i notuje w pamięci, że musi sprawdzić, kim są jego właściciele, po czym wraca do kelnerki z Kaffistovy, udaje mu się ją oczarować i wmówić jej, że chyba zna część przyjaciół Davida, ale za nic nie może sobie przypomnieć ich nazwisk.

– Strasznie irytujące, no nie? – pyta, na co ona podaje mu nazwiska.

Może tak właśnie się stało. Odpowiedź kryje się zapewne w grubych betonowych ścianach Archiwum Państwowego w Trondheim. Jeżeli rzeczywiście tak było, historie naszych rodzin mają ze sobą jeszcze więcej wspólnego, niż początkowo sądziłem. Jednocześnie opowieść o mojej rodzinie może okazać się boleśniejsza i mroczniejsza.

Wspomniałem Rikke o takiej możliwości.

– Możemy się tego jakoś dowiedzieć? – zapytała. Powiedziałem jej o Archiwum Państwowym w bunkrze Dora i o notatniku Rinnana, którego fragmenty znalazłem w różnych biografiach, więc możliwe, że taka informacja się tam znajduje, zapisana ręką Rinnana, w notesie schowanym w głębi betonowego skarbca.

Nazajutrz miałem już zamówione bilety.

M jak Majavatn, gdzie podczas akcji zabito dwóch niemieckich żołnierzy.

Piątego maja 1942 roku ruch oporu dokonał dywersji na trasie kolejowej, na której odbywał się transport rudy z kopalni w Løkken. Rudy, która miała zostać zmieniona w broń. Dwudziestego września wysadzono elektrownię w Glomfjord. Piątego października przeprowadzono jeszcze jedną akcję wymierzoną przeciwko kopalni. Poza tym dwóch niemieckich żołnierzy zostało zabitych przez człowieka pomagającego uchodźcom. Cierpliwość okupantów się wyczerpała. Ktoś musi za to zapłacić. Szóstego października 1942 roku Josef Terboven staje na placu w Trondheim i ogłasza wprowadzenie stanu wyjątkowego. Zakazuje się przebywania na zewnątrz od godziny ósmej wieczorem do piątej rano. Kina zostają zamknięte. Inne lokale mogą być otwarte do siódmej wieczorem. Sprzedaż tytoniu zostaje wstrzymana, w ramach kary. Norweska policja porządkowa łączy się z niemieckim wojskiem, więc ulicami chodzi ponad dwa tysiące

uzbrojonych ludzi, którzy przeszukują domy, przesłuchują rodziny i aresztują podejrzanych.

A przede wszystkim: dziesięciu mężczyzn zostaje skazanych na śmierć za czyny bezimiennych sprawców odpowiedzialnych za akcje ruchu oporu. Jednym z nich jesteś ty.

M jak Marie Komissar i jak mieszkanie, przez które wytwornie kroczy razem z gosposią, niosąc jedzenie na dużych półmiskach, które stawia na stole w salonie, bo szykują przyjęcie. M jak myśli o przeszłości, jak marazm i cisza, które odsuwa od siebie, stale czymś zajęta, z głową pełną planów, zawsze w ruchu, aby uniknąć melancholii, która nagle potrafi ją dopaść, pogrążyć w chandrze, przygnębieniu, tak jak podczas spóźnionych obchodów Chanuki, na które postanawia zebrać rodzinę, tuż przed Bożym Narodzeniem 1950 roku.

Marie zerka na zegar ścienny, do przyjścia gości została jedynie godzina, więc prosi gosposię o zapalenie ośmioramiennego świecznika, na pamiątkę ośmiu dni, przez które płonęły niemal puste lampki oliwne zapalone przez Boga w jerozolimskiej świątyni, nareszcie odzyskanej przez Żydów. Dziwna historia, zwłaszcza że cud jest taki niewielki, myślała wiele razy.

Przy stole będzie pełno ludzi. Mimo to Marie wie, że wszyscy będą myśleć o tych, których brakuje. Nie będzie Davida. Nie będzie ciebie, a to ty zawsze zajmowałeś miejsce obok niej podczas święta Chanuki. Teraz usiądzie na nim Gerson, a przy nim Ellen, która jest w zaawansowanej ciąży i może w każdej chwili urodzić. Dalej Jacob i Vera, obok nich zaś wdowa po Davidzie oraz ich dzieci, które straciły ojca. Marie patrzy na przystrojony stół, zastawiony kryształowymi kieliszkami i talerzami z pozłacaną krawędzią, przy których leżą białe serwetki. Mimo to odczuwa potrzebę, by spocząć, przytknąć butelkę do ust, odprawić gosposię i po prostu oddać się wspomnieniom.

M jak młodzi mężczyźni i kobiety, członkowie bandy Rinnana. Widnieją na wielu fotografiach zrobionych podczas rozprawy po wojnie. Siedzą w rzędach, uśmiechają się, rozmawiają, czy raczej – siedzą tam ci, którym

się udało. Około siedemdziesięciu osób należało w którymś momencie do Sonderabteilung Lola, lecz banda nigdy nie liczyła więcej niż trzydzieścioro członków naraz. Niektórych zabito, inni się wycofali, podczas gdy organizacja zwiększała swoją skuteczność. Rozwój bandy Rinnana zaczyna się od podróży do Steinkjer w styczniu 1942 roku. Tuż po udanym rozpracowaniu nielegalnej komórki ruchu oporu w Trondheim. Flesch chce, aby Rinnan zwerbował pomocników, którzy mogliby się przyczynić do rozbicia oddziałów walczących z Niemcami w rejonie Møre og Romsdal. Plan obejmuje powstrzymanie nielegalnego ruchu morskiego pomiędzy Norwegią a Anglią, który zapewnia wrogowi stałe zaopatrzenie w broń, technologie i ludzi.

Rinnan żegna się z rodziną. Pakuje rzeczy i mówi, że przez jakiś czas go nie będzie. Unosi syna, żeby go przytulić, to samo robi z dziewczynką, która zaczęła biegać po domu. Klarę cmoka jedynie w policzek, głównie na pokaz, bo syn patrzy, i uświadamia sobie, że ona po prostu daje się trzymać w objęciach, bez cienia oddania, nie próbuje szukać jego ust, jak robiła na początku, pozwala się pocałować w policzek i natychmiast wywija się z jego ramion. Czy naprawdę jest aż tak mało pociągający? Czy nie jest dumna z tego, jak odpowiedzialne zadania wykonuje jej mąż? Ze wszystkiego, co mają dzięki jego pracy? Z pieniędzy, które zarabia dla rodziny? Niech się zołza wypcha, myśli Henry i podnosi walizkę, czuje, że za mocno ściska jej uchwyt i zanadto napina mięśnie twarzy, lecz nie potrafi się powstrzymać. Spogląda na córkę, która siedzi na podłodze i bawi się pustym kartonowym pudełkiem, nawet nie podnosząc na niego wzroku. Zagaduje do niej, raz jeszcze próbuje zwrócić na siebie jej uwagę, bo w końcu wyjeżdża na długo, ale jaki w tym właściwie jest sens?

– No tak. No to trzymaj się – mówi, częściowo dlatego, że naprawdę jej dobrze życzy, a częściowo po to, by Klara nie wykorzystała później przeciwko niemu, że ot, tak sobie pojechał, że był milczący i zimny, bo wcale taki, do cholery, nie jest, po prostu ma dużo na głowie. Przy takiej odpowiedzialności chyba wolno mu być trochę wybuchowym. Wolno mu mieć nadzieję, że choć o d r o b i n k ę tęsknią za nim w domu, kiedy go nie ma, że jest odrobinkę wyczekiwany, w salonie oraz w sypialni, ale wcale tego nie widać, właściwie, kurwa, już od narodzin córki, myśli i znów patrzy na Klarę, która posyła mu niby-uśmiech i prosi, żeby jechał

ostrożnie. Odkąd się tak przejmuje? Na rękę by jej pewnie było, gdybym się gdzieś roztrzaskał, myśli, siadając za kierownicą i powtarzając jej pożegnanie zniekształconym, pełnym pogardy głosem. „Tylko jedź ostrożnie!”

Śmieszne! Czy ona insynuuje, że nie jest dobrym kierowcą? Należy pewnie do najlepszych w całym okręgu, lokalne drogi zna jak nikt inny, a poza tym, myśli, przekręcając kluczyk w stacyjce i wciskając pedał gazu, poza tym w jej słowach kryje się fałszywa troska. Tak naprawdę Klara wcale nie mówi serio. Czy nie byłoby to dla niej bardzo korzystne, gdyby zjechał z drogi i zderzył się z drzewem, wypadł z samochodu i zginął? Przez resztę wojny mogłaby żyć z renty, może nawet przez resztę życia, gdyby Niemcy naprawdę wygrali, myśli, zwiększając prędkość wycieraczek.

Jest styczeń, drogi są białe, śnieg unosi się nad jezdnią chmarą kropek niczym zasłona z koralików, przez którą trzeba się przedrzeć, ale prawie nikt go nie mija, więc wkrótce się rozluźnia i zaczyna cieszyć podróżą. Chociaż jest ślisko, choć panują okropne warunki do jazdy, cieszy się, bo traktuje to jako dodatkowe wyzwanie, egzamin, który musi zdać, i po kilku godzinach dociera do Steinkjer, gdzie parkuje koło hotelu.

Wyjmuje walizkę z bagażnika. Cieszą go uśmiech i uniżoność recepcjonisty, który wita go w lobby. Wszystko wokół zostało stworzone po to, by mu dogodzić, uczynić pobyt gościa tak miłym, jak tylko się da. A kto może gościć w takim miejscu? Oczywiście ludzie na ważnych stanowiskach, wysoko postawieni pracownicy firm, przyjezdni z zagranicy lub oficerowie po stronie nazistów. Jednak żaden z gości nie ma tak szczególnej pozycji jak j a, myśli Rinnan i uśmiecha się, odbierając klucz do pokoju.

Wypija kieliszek portwajnu na rozgrzewkę, potem je i odpoczywa. Przygotowuje się do rozpoczęcia nowego rozdziału w swoim życiu agenta. Znaleźć pomocników, rozszerzyć działalność. Pomyśleć, ile mógłby zdziałać, gdyby dysponował większą liczbą oczu i uszu, rąk notujących obserwacje, przekazujących mu sprawozdania! Mógłby wszystko. N a p r a w d ę pokażę Fleschowi, na co mnie stać, myśli Rinnan i zamawia kolejny kieliszek wina w hotelowej restauracji. Uśmiecha się do młodej kobiety, która go obsługuje. Kiedy pyta, czy mu smakowało, odpowiada: „Nie mogłoby być lepiej…”, a potem, gdy posyła mu serdeczny uśmiech:

„A zresztą, chyba istnieje c o ś, co wolałbym teraz robić…” – dodaje i puszcza do niej oko. Przecież odezwała się do niego niezwykle uprzejmie, prawda? Jak gdyby próbowała z nim flirtować albo była nim zauroczona. Kelnerka się rumieni, nagle czując, jak czarna spódnica klei jej się do bioder i jak ciasno opina ją biała bluzka, kiedy schyla się po spodek, lecz Henry widzi, że jej to odpowiada. Zwraca na to uwagę, dlatego pamięta, by dać jej sowity napiwek i się uśmiechnąć, a mimo to w uśmiechu, jakim odpowiada mu kobieta, jest jakaś powściągliwość. Pewnie się wstydzi, myśli Rinnan, może nie przywykła do takich bezpośrednich zwrotów. Właściwie chciałby, by się schyliła i zapytała, w którym pokoju nocuje, wyszeptała, że przyjdzie, gdy tylko skończy zmianę, jednak tego nie robi. Po prostu przyjmuje pieniądze i grzecznie dziękuje niepewnym głosem. Może czeka na nią jakiś kawaler, może nawet pracownik hotelu, myśli Rinnan w drodze do pokoju. Wypija kolejny kieliszek, wyglądając przez okno i zastanawiając się, co przyniesie jutrzejszy dzień. Na samą myśl zaczyna się uśmiechać. Znajdzie sobie pomocników, wespnie się, do diaska, w hierarchii, zacznie zatrudniać ludzi. Niewiarygodne, ale prawdziwe, myśli, unosi kieliszek i wlewa w siebie ostatnie krople. Czuje, że zaczyna mięknąć, że alkohol przytępił niepokój i złość, zostało jedynie zadowolenie i lekkie mrowienie ekscytacji. Odstawia kieliszek i idzie do łazienki się odlać, lecz zderza się z ramą łóżka – łydkę przeszywa ostry ból; musi stawiać maleńkie kroczki, żeby odzyskać równowagę w drodze do ubikacji. W tej samej chwili słyszy kroki na korytarzu i wmawia sobie, że to młoda kobieta, która go obsługiwała. Że zbliża się, bo wyrzuciła wszystkich gości i zaraz zapuka do jego drzwi, wpadnie do pokoju i zacznie na jego oczach rozpinać białą bluzkę w przyćmionym świetle latarni wpadającym przez okno. Rinnan czuje drżenie w podbrzuszu, zbliża głowę do drzwi, słyszy oddalające się kroki, cichnące skrzypienie podłogi. Szybko otwiera, by wyjrzeć na korytarz, ale to tylko jakiś łysy facet po pięćdziesiątce, który wchodzi do swojego pokoju.

No tak, myśli Henry, dociągając drzwi. Wchodzi do łazienki, ale teraz jest dodatkowo podniecony, chce mu się nie tylko sikać, więc musi usiąść na drewnianej desce, ręką docisnąć członka w erekcji do dołu i wychylić się mocno do przodu, żeby załatwić potrzebę. Spogląda na łazienkową podłogę, pokój lekko ucieka w bok i wreszcie mocz tryska na porcelanę. Za

chwilę Henry będzie mógł się zatoczyć z powrotem do pokoju, zwinąć w kłębek pod kołdrą i czuć, jak pokój powoli wiruje, jakby pośrodku znajdował się odpływ, który stopniowo wciągnie go głębiej, aż wszystkie myśli zassie sen.

Następnego ranka Rinnan budzi się z pulsującym bólem głowy i podniebieniem tak suchym, że język się o nie ociera. Wstaje, patrzy na swoje odbicie w lustrze i kilka razy przepłukuje twarz, lecz ucisk wcale się nie zmniejsza. Czuje się tak, jakby mózg spuchł mu pod czaszką i na nią napierał, więc jednak za dużo wypił poprzedniego wieczoru, ale wolno mu się chyba zabawić, zważywszy na to, ile pracuje i jak długą drogę musiał przebyć. Nagle Rinnan przypomina sobie fiolkę z tabletkami, którą Flesch dał mu przed wyjazdem. Wstąpił do Hotelu Misyjnego, był niewyspany i Flesch skomentował jego wygląd.

– To pomoże ci odzyskać wigor – powiedział z uśmiechem.

– Co to za pigułki? – zapytał Rinnan, obracając pojemnik w palcach.

– Pervitin – odparł Flesch, Henry zaś na jego polecenie wyjął korek, wysypał białe tabletki na rękę i włożył jedną do ust. Zadziałała natychmiast. Tego właśnie było mu teraz trzeba.

Przeszukuje walizkę, odnajduje szklaną buteleczkę i wyjmuje białą pigułkę. Kładzie ją na języku, czuje chemiczny smak i schyla się do kranu, żeby popić proszek łykiem wody. Po prysznicu i śniadaniu ból głowy zaczyna mijać, a on nabiera sił, które zjawiają się znikąd, dziękuje fiolce i chowa ją do kieszeni spodni, po czym zaczesuje włosy do tyłu. Nakłada więcej wosku, ładnie unosi grzywkę na czubku głowy i z obu stron ogląda fryzurę w lustrze. Następnie idzie do kawiarni, w której ma szukać pomocników. W miejsce, gdzie przesiadują sympatycy NS. Zapamiętał adres. Wychodzi odpowiednio wcześnie i przemierza ulice zbombardowanego miasta, gdzie czworokątne baraki i proste domy zaczynają wyrastać jeden po drugim niczym szkielety cywilizacji. Kiedyś stały tu piękne kamienice z wieżyczkami i wykuszami, które pamięta z wcześniejszych podróży do Steinkjer. Szkoda, że to przepadło, myśli i wyobraża sobie, co by było, gdyby to jego rodzinne miasto zostało zbombardowane. Gdyby również Levanger zmieniło się w kupę gruzów,

tak jak Steinkjer – nie podobałoby mu się to, chociaż na pewno uznałby to za konieczne. Mija róg nowego budynku i widzi kawiarnię w prostym baraku, w którym znajduje się też salon fryzjerski dla mężczyzn. Tutaj nie muszę ukrywać swojej prawdziwej tożsamości, bo bywają tu tylko sympatycy NS, myśli Rinnan, pchnięciem otwierając drzwi i wchodząc do przestronnego pomieszczenia, gdzie rozrzucone grupki mężczyzn piją kawę, palą i czytają gazety. Kilku odwraca się w jego stronę, a on posyła im uśmiech. Zamawia coś do picia, siada przy wolnym stoliku i się rozgląda. Przysłuchuje rozmowom. Zagaduje kilka osób, ale one albo nie okazują mu zainteresowania, albo się nie nadają. Rinnan dowiaduje się, że wieczorem w kawiarni ma się odbyć przyjęcie świąteczne. Zbiorą się na nim wszyscy okoliczni mieszkańcy. Idealnie.

Wieczorem znowu tam jest, w tłumie wystrojonych kobiet i mężczyzn, którzy piją, palą, uśmiechają się i gawędzą. Wypytuje mężczyzn, czy chcieliby się podjąć odpowiedzialnego zadania. Wkrótce znajduje jednego, który chce z nim rozmawiać. Człowieka o jasnych włosach i niebieskich oczach, nieco wyczerpanego, o trochę zawstydzonym uśmiechu. Wysłuchuje Rinnana, mówi, że nazywa się Ingvar Aalberg i „kibicuje Niemcom", jakby chodziło o drużynę piłkarską. Obok Ingvara siedzi mężczyzna, który z niezadowoleniem spogląda na kobietę rozmawiającą z facetem przy barze. Na imię ma Bjarne. Obaj mają czas. Obaj są zainteresowani. Zwłaszcza gdy Rinnan wspomina o pieniądzach i o tym, jak łatwe byłoby ich zadanie: podać się za uchodźców, którzy muszą przedostać się morzem z Ålesund na Szetlandy, znaleźć kogoś, kto będzie chciał ich przewieźć, a następnie ujawnić całą sieć przemytników i członków ruchu oporu. Rinnan stawia kolejkę, wznoszą toast, rozmowa toczy się coraz głośniej. Nagłe wybuchy śmiechu, chmury dymu. Ktoś się potyka, ludzie stojący dokoła go podtrzymują.

– Potrzebujemy już tylko – Rinnan pochyla się nad stolikiem – kogoś, kto mógłby pełnić funkcję łącznika. Kursować między wami a mną i składać sprawozdania z działań. Znacie kogoś odpowiedniego? Najlepiej kobietę – mówi i przewraca kieliszek. Patrzy na tamtych dwóch i rejestruje, że Bjarne jest bystrzejszy, bardziej rozgarnięty, ale też bardziej powściągliwy. Ingvara mógłby przekonać do wszystkiego. Wydaje się przeszczęśliwy, że dostał propozycję pracy, a kiedy Rinnan pyta, czy ma rodzinę, odpowiada

jedynie krótkim „nie". Bjarne ma więcej rezerwy, ale to on mówi, że zna kobietę, która być może zgodzi się na tę propozycję, po czym idzie w głąb lokalu, żeby ją znaleźć. Zaledwie kilka minut później wraca, prowadząc pod ramię nieco prostacką kobietę o kanciastej twarzy i mocnych rękach i nogach.

Rinnan wstaje, ściska jej dłoń i podaje nazwisko:

– Rinnan, miło mi.

– Ragnhild Strøm – odpowiada z uśmiechem.

Henry prosi, żeby usiadła. Czuje się lekko zawiedziony; miał nadzieję, że będzie bardziej pociągająca, ale Ragnhild Strøm nie jest kobietą, którą chciałby poderwać. Należy jednak do NS i chce pełnić funkcję łączniczki między nim a tamtymi dwoma. Upijają się. Umawiają się na spotkanie nazajutrz w jej domu.

Tam piją razem wódkę przyniesioną przez Rinnana, który instruuje ich, co mają robić w najbliższym czasie. Pomaga mężczyznom wymyślić fałszywe nazwiska, pomaga im je zapamiętać i przećwiczyć historyjkę, którą mają się posługiwać. Grozi im aresztowanie przez nazistów i potrzebują pomocy w wydostaniu się z Norwegii.

Na koniec odgrywają krótkie scenki. Kilka dni później Rinnan wraca do domu, a Ingvar i Bjarne udają się na wybrzeże, żeby zinfiltrować przemytników. Przekazują mu informacje przez Ragnhild, z którą Henry codziennie rozmawia przez telefon. Jedna po drugiej spływają do niego nazwy łodzi, nazwiska ich właścicieli, nazwy portów i daty wypłynięcia w morze.

Każe Ingvarowi i Bjarnemu grać dalej, mówi, że nie mają się czego obawiać, bo właśnie zaczynają, właśnie mają po nich wyruszyć, i zdaje relację Fleschowi. Oficer jest z niego wyraźnie zadowolony i nakazuje mu „przeprowadzić akcję Seelhund II". Mają pojechać tam z oddziałem żołnierzy i aresztować całą gromadę.

Rinnan jedzie w jednej z ciężarówek, dowodzi akcją, pięćdziesięcioma uzbrojonymi żołnierzami. Chyba mam prawo być trochę dumny, myśli, gdy drzewa migają za oknem, a żołnierze obok niego trzymają się siedzeń i kołyszą z boku na bok wraz z krajobrazem.

Wtedy dochodzi do wypadku. Jedna ciężarówka łapie gumę. Rinnan wysiada, przeklina, idzie żwirową drogą i krzyczy, że mają mało czasu, ale to na nic.

Gdy wreszcie dobę później docierają na wybrzeże, łódź z uchodźcami zdążyła odpłynąć, a wraz z nimi Ingvar i Bjarne. Pewnie śmiertelnie boją się zdemaskowania, myśli Rinnan, spoglądając na fiord, gdzie wiatr burzy pianę na czarnych falach i ciągnie nad taflą chmurę kropelek wody.

Na morzu przewidywana jest zła pogoda, a niepogoda to ich jedyna szansa. Henry kontaktuje się przez telefon z Ragnhild, otrzymuje najświeższe wieści od fałszywych uchodźców oraz listę osób zaangażowanych w przerzut. Wysyła żołnierzy, by aresztowali członków ruchu oporu. Rozkazuje im skonfiskować część pozostałych łodzi i wysyła ich na poszukiwanie tej z uchodźcami na pokładzie. Po południu stoi na brzegu, wpatrzony w morze.

Nastaje noc, ranek i wieczór, gdy wreszcie dociera do niego wiadomość, że łódź z uchodźcami zawróciła z powodu niepogody i wszystkich aresztowano. Dopiero wtedy agenci mogą się ujawnić, wystąpić z szeregu uchodźców i przejść na niemiecką stronę. Rinnan poklepuje obu po ramieniu, prowadzi do ciepłego pomieszczenia. Mimo przejściowych kłopotów akcja się powiodła. Aresztowano pięćdziesięciu dwóch ludzi, z których dwudziestu dwóch umiera w więzieniu. Jest styczeń 1942 roku.

W marcu powstaje Sonderabteilung Lola, a Rinnan ma zatrudnić kolejnych członków i zintensyfikować działania. Otrzymują siedzibę główną w centrum, w mieszkaniu, które stoi puste po tym, jak jego właściciela zastrzelono w Falstad. Tym mężczyzną był David Wolfsohn, brat Marie.

M jak Marie Arentz. Henry spotyka ją w domu Ragnhild Strøm, którą wcześniej poprosił, by znalazła sobie koleżankę do towarzystwa na rejs do Bodø. Kobiety mają się podać za członkinie ruchu oporu i zwerbować więcej ludzi. Marie podoba mu się od pierwszego wejrzenia. Podoba mu się to, jak się do niego uśmiecha, również rozmowa toczy się między nimi lekko. Rinnan napełnia kieliszki kobiet, rozśmiesza Marie. Piją razem, on daje im pieniądze i papierosy, opowiada o czekającym je wynagrodzeniu –

honorarium za kilka dni pracy odpowiada miesięcznej pensji. Mówi Marie, że dostanie trochę więcej, żeby mogła kupić sobie coś ładnego. „Nie żebyś tego potrzebowała" – dodaje i puszcza do niej oko, a ona odpowiada figlarnym uśmiechem. Przez krótką chwilę Henry myśli o Klarze, ale od razu odsuwa od siebie jej obraz, bo dlaczego miałby mieć wyrzuty sumienia, skoro żona jest taka zimna i oschła? Skoro Klara nie wykazuje najmniejszych oznak pożądania ani chęci, by spać z nim z własnej woli, tylko robi to, bo o n ma ochotę, to niech się wypcha, myśli. W ten sposób jakby upoważniała go do korzystania gdzie indziej. Rinnan mówi, że może odprowadzić Marie do domu. Oboje są podpici. Obejmuje ją w pasie, a w ciemnym kącie przyciąga do siebie i całuje. Widzi jej łakome spojrzenie, więc idzie za nią do jej kawalerki. Chichocze na schodach, bo muszą być cicho, i gdy kobieta przekręca klucz i otwiera drzwi wejściowe, wchodzi za nią do środka. Przyciska ją do ściany i całuje. Wsuwa jej dłoń pod sweter, dotyka nagich pleców i czuje, jak ona napiera na niego; za chwilę oswobadza się z uścisku, ale tylko po to, żeby zdjąć sweter, wywijając rękawy. Henry zrzuca buty. Zaczyna rozpinać guziki koszuli, aż nagle czuje jej dłonie na swoim pasku. Marie otwiera sprzączkę i szybko oddycha tuż przy jego policzku, on zaś wodzi dłońmi po jej udach, podciągając przy tym spódnicę, i idzie za nią do łóżka. Widzi jej uśmiech, czuje miękką skórę, taką świeżą, jaka może być tylko przy pierwszym spotkaniu.

Wszystko jest możliwe, myśli, zsuwając jej majtki z ud, pochyla się i całuje ją tuż poniżej pępka. Czuje zapach jej łona i zatapia w nim twarz.

Rankiem siada na łóżku, podparty poduszką, a Marie się w niego wtula. Wyjmuje mu z palców papierosa i mocno się zaciąga. Słońce świeci spomiędzy firanek, rozjaśniając włoski na jej ręce. Rozmawiają, tak łatwo się z nią gada. Rozmowa toczy się bez wysiłku, przeskakuje z miejsca na miejsce, z tematu na temat.

Kilka miesięcy później Marie ucieknie z bandy Rinnana i zgłosi się do służby za granicą. Trzy lata później tych dwoje będzie siedziało w podobnej pozycji. Marie naga, znów w jego ramionach, lecz martwa, w piwnicy Bandeklosteret, ze sznurem na szyi – zabije ją Rinnan.

M jak Molde i jak maskarada. Bjarne Asp, późniejszy członek ruchu oporu, jest żarliwym przeciwnikiem nazistów. Nieustraszony, bystry mężczyzna, który uczestniczy w odpowiednich rozmowach we właściwych kawiarniach. Bjarne Asp nawiązuje romans z kobietą o imieniu Solveig, działaczką norweskiego ruchu oporu, w którym aktywni są także jej dwaj bracia. Bjarne Asp pomaga jej, tworzy listy osób, bierze udział w spotkaniach, uprawia z nią seks i opowiada Solveig historie, które mają ją przekonać, że jest po jej stronie. Bjarne i Solveig zostają parą i planują wspólną przyszłość po wygraniu wojny przez Norwegię. Wspólnie śpią, jedzą i podróżują.

Dopiero po sześciu miesiącach Bjarne Asp wyjawia, że naprawdę nazywa się Henry Oliver Rinnan. Że przewodzi tajnej organizacji działającej na rzecz Niemców i że ona też musi do niej wstąpić, jeżeli chce być bezpieczna. Mówi Solveig, że może sprawić, iż jej rodzina nie zostanie aresztowana, jeśli ona zgodzi się na współpracę. Że Niemcy wygrają tę wojnę, lecz Solveig może przyczynić się do zminimalizowania norweskich strat, jeśli udałoby się uniknąć angielskiej inwazji, natomiast on może zapewnić bezpieczeństwo jej rodzinie. Solveig przystaje na propozycję. Nadchodzi lato, a potem jesień 1943 roku. Sonderabteilung Lola rośnie, więc Rinnan otrzymuje nową kwaterę główną nieco poza centrum. W willi przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć. Tam wprowadzają się z całym swoim dobytkiem. Rinnan każe zbudować w piwnicy cele i do tego właśnie domu we wrześniu 1943 roku przenosi się Solveig wraz z ośmioletnią córką. Do końca wojny pracuje jako sekretarka Rinnana. Opatruje rany torturowanym, gotuje im i pozwala córce spać w tym domu, pomimo krzyków dobiegających z piwnicy.

M jak musical, przedstawienie, które Jannicke organizuje w piwnicy Bandeklosteret. Jest sobotni wieczór roku 1956, Grete stoi w piwnicy z Jannicke i dwiema przyjaciółkami z sąsiedztwa. Tygodniami przesiadywały tu po szkole. Zrzucały tornistry w przedpokoju, witały się z matką albo z gosposią, po czym pędziły po schodach w dół, nie zważając na wilgoć ani zapach stęchlizny. Tam mogły się bawić w spokoju. Nikt nie narzekał na męczące matkę hałasy.

Pod ścianą urządziły scenę. Starsze dziewczynki ćwiczyły piosenki i numery taneczne, a pięcioletnia Grete im się przyglądała, kiedy zaś mała spytała siostrę, co ma robić, w odpowiedzi usłyszała, że potrzebują kogoś do sprzedaży biletów. Oczywiście, że potrzebują kogoś do sprzedaży biletów, pomyślała Grete z entuzjazmem i pobiegła po schodach po kartki i kredki.

Następnie położyła się na brzuchu na parkiecie w piwnicy i narysowała całe mnóstwo biletów.

Gdy powiedziały rodzicom o przedstawieniu, Grete zauważyła grymas na twarzy matki. Wymuszony uśmiech, po którym powtórnie padło pytanie, jakie zadawała im wcześniej: czy aby na pewno muszą tyle czasu spędzać w piwnicy. Takiej zimnej i wilgotnej. Za każdym razem Jannicke odpowiadała, że ciepło się ubierają, że to nie problem. Grete zaczęła powtarzać odpowiedzi siostry, a matka nigdy nie znalazła dobrego kontrargumentu.

Jednak pewnego wieczoru, leżąc w łóżku, Grete usłyszała dyskusję rodziców w kuchni i zrozumiała, że chodzi o ich musical. Matka powiedziała:

– Ale w piwnicy, Gersonie! W piwnicy!

– Ciszej, Ellen.

– Przecież one nic nie wiedzą! – ciągnęła matka, lecz wtedy Grete usłyszała ich kroki. Oddalili się od sypialni. Uniosła głowę i na sąsiednim łóżku ujrzała zarys tułowia Jannicke, która także usiadła. Obie w zupełnej ciszy wpatrywały się w ciemność. O co chodziło matce? O czym nie wiedziały? Wkrótce głosy w salonie ucichły. Grete usłyszała, jak matka lub ojciec idzie do łazienki, w rurach zaszumiało, a potem musiała już zasnąć.

Minęło kilka dni; wreszcie nadszedł wyczekiwany wieczór, czas premiery.

Dziewczynki chodziły po okolicy i sprzedawały bilety. Zniosły krzesła do piwnicy, ustawiły je w rzędy, wystroiły się i zapaliły świeczki. Wszystko było gotowe.

– Grete, możesz wpuszczać publiczność.

Jannicke uśmiecha się do siostrzyczki wargami czerwonymi od szminki. Jej twarz pokrywa puder pożyczony od gosposi, rzęsy są czarne od tuszu.

Ma na sobie suknię wieczorową i wysokie obcasy. Grete energicznie kiwa głową, po czym odwraca się na pięcie i wbiega po schodach. Stopień za stopniem, w podskokach dostaje się na górę; na zewnątrz słyszy głosy. W zdecydowanej większości dziecięce. Uchyla drzwi i wystawia głowę. Patrzy prosto w twarze dzieci z sąsiedztwa i ich rodziców. Pomieszczenie jest wypełnione po brzegi.

– Gotowe? – pyta Gerson, głaszcząc córkę po ramieniu.

– Macie bilety? – odpowiada pytaniem. Gerson się odwraca i mamrocze do sąsiada coś, czego nie udaje jej się zrozumieć, ale co wywołuje śmiech w dalszej części kolejki, aż wreszcie ojciec podaje jej dwa ręcznie zrobione bilety.

– Dziękuję – mówi Grete, siląc się na neutralny, zwyczajny ton, jak gdyby była dorosłą bileterką przy wejściu do jednej z sal Trøndelag Teater. – Można zajmować miejsca.

– Czy miejsca są numerowane? – pyta ojciec z chytrym uśmieszkiem i gładzi ją przyjaźnie po plecach. Grete kręci głową. Zwraca uwagę na napięcie widoczne na twarzy matki. Piwnicę wypełniają sąsiedzi. Grete zauważa, że niektórzy z nich, rozglądając się i patrząc na ściany, mają takie miny, jak gdyby zbliżyli nos do czegoś o okropnym zapachu.

Henry Oliver Rinnan budzi podejrzenia – nieustannie pojawiają się ostrzeżenia, głosy o tym, jakim jest zagrożeniem, jak wielką wyrządza szkodę, o tym, że wkrótce trzeba będzie go sprzątnąć. Wreszcie postanawiają złapać Rinnana, schwytać go żywcem.

Jest jesienny wieczór 1943 roku, Rinnan jedzie do rodziny, do domu przy Landstadvei jeden. Wysiada z auta, zmęczony po całodniowej pracy, w głowie wirują mu myśli o planach, kolejnych zadaniach, lecz mimo to zauważa, że coś jest nie tak. Przy ich podjeździe parkuje jakiś obcy samochód z wyłączonym silnikiem i światłami, a jednak wydaje mu się, że za przednią szybą dostrzega sylwetkę człowieka. A może dwie?

Nagle trzeźwieje, przechodzi w stan gotowości, maca pistolet przy pasku, wyjmuje go i jednocześnie spostrzega, że z krzaków wychodzi trzecia osoba, mężczyzna z bronią.

– Uciekaj, Rinnan! – woła Karl, kierując w ich stronę karabin maszynowy i pociągając za spust.

Rinnan wbiega do bramy, słyszy wymianę strzałów. Z pochyloną głową biegnie do drzwi. Oburącz ściska pistolet przy piersi i szybko wygląda zza rogu. Słyszy krzyk. Uruchamiany silnik, pisk opon. Samochód odjeżdża, a Rinnan wybiega po płytach na drogę. Karl idzie w jego stronę, trzymając się za brzuch. Trafili go. Rinnan zarzuca sobie na szyję jego ramię i prowadzi go do auta. Po drodze podnosi wzrok i widzi w oknie Klarę, na wpół schowaną za firankami.

Musi jechać z Karlem do szpitala, więc porozmawia z nią później, ale już teraz się tego obawia. Pomaga Karlowi wsiąść do samochodu i prosi kierowcę, żeby wcisnął gaz do dechy i jechał do szpitala. Widzi, jak kładą Karla na nosze, jak dostaje zastrzyk w ramię. Czeka na korytarzu, czując, jak wzbiera w nim złość, i nie wraca do domu, dopóki nie dowiaduje się, że to nic poważnego. Że pocisk ominął ważne organy i że ranny bez kłopotu z tego wyjdzie. Dopiero wtedy wsiada do auta i jedzie do domu. Kładzie się w pokoju gościnnym.

Henry czuwa całą noc, myśląc o tym, jak daleko posunęli się jego przeciwnicy, skoro atakują go tutaj, w domu! A co by było, gdyby któryś z pocisków gdzieś zabłądził, myśli, zaciskając w ciemności szczęki. Co by było, jeśli syna albo córkę obudziłby hałas, podeszliby do okna, zostali trafieni przez te pociski i zabici? Trwa wojna, jasne, ale coś takiego?! To oznacza koniec wszelkich grzeczności, koniec wszelkich zasad. Teraz wolno już, kurwa, wszystko, myśli i wydaje rozkaz dwóm członkom bandy, by wyszli na ulice i w akcie zemsty zatłukli pierwszego człowieka, który stanie im na drodze.

W ten sposób tej samej nocy przypadkowy mężczyzna wracający z miasta do domu zostaje pobity na śmierć. Gdyby wyruszył później lub wybrał inną trasę, padłoby na kogoś innego.

M jak matematyka, świat, za którym Gerson zaczyna tęsknić w drodze do pracy rano, bo chociaż próbował całkowicie oddać się prowadzeniu sklepu, wrócił do Trondheim, by pomóc matce, ożenił się z kobietą z żydowskiej rodziny – strategicznie patrząc, ze świetnej rodziny – to wszystko na nic.

Jak by nie liczyć, wychodzi na minus, bo co go obchodzą kapelusze i suknie? Co go obchodzi „Paris-Wien" i klientki z wyższych sfer, które zjawiają się tam po pomoc i patrzą na niego z prośbą w oczach, tak głodne komplementów, że przełkną każdy ochłap, który im się rzuci. Mija róg przy Nordregate i uśmiecha się do znajomej po drugiej stronie ulicy, bo wie, że powinien, bo trzeba być w dobrych stosunkach ze stałymi klientami, żeby dalej wybierali „Paris-Wien" zamiast konkurencji. Dobrze radzę sobie w tej pracy, myśli, kolejny raz przekręcając klucz, by otworzyć sklep. Nie w tym rzecz, że nie radzi sobie w nowym życiu, po prostu go ono nie cieszy. W krótkich przerwach podczas dnia pracy tęskni za środowiskiem akademickim, za rozmowami o matematyce, jazzie, literaturze i filozofii. Tęskni za podobnym do górskiej wspinaczki wysiłkiem, jakim jest rozwiązywanie problemów matematycznych, oraz za wrażeniem niesamowitej klarowności na szczycie, gdy wreszcie uda się objąć wzrokiem krajobraz.

Wszystko to ma z tyłu głowy, gdy trzyma klientkom lusterko, pomaga znaleźć właściwy rozmiar lub przedstawia im różnice kroju, jakości tkanin, wzorów i barw. Nagle dzwoni telefon, to stary znajomy. Człowiek, który pomógł mu znaleźć zatrudnienie podczas wojny, przyjaciel rodziny, matematyk. Oferuje Gersonowi pracę. I to nie byle jaką, ale polegającą na wspieraniu dalszego rozwoju uczelni ekonomicznej BI. Gerson potakuje, dziękuje, lecz musi ściszyć głos, bo wchodzi klientka. Mówi, że się zastanowi, ale od razu wie, że temu nie podoła. Że będzie musiał odmówić. Wreszcie czas zamykać. Odprowadza ostatnią klientkę do drzwi, a w każdym ruchu czuje nowy, obcy ciężar. Idzie ulicami, wie, co czeka go w domu, i decyduje się nadłożyć drogi. Wie, że Ellen pewnie jest zmęczona, zamknięta w sobie, jak często jej się zdarza, może znów dostała migreny, więc musi leżeć w pokoju na poddaszu, sama. Próbował jej pomóc, naprawdę próbował do niej dotrzeć, ze względu na dziewczynki, ale nie potrafi, bo ona jest taka bezradna! Bezczynna i całkowicie niezdolna do zwykłego życia, myśli i przypomina sobie scenę w kuchni, niedługo po przeprowadzce, gdy po wypadzie z kolegą z uczelni przyniósł do domu rybę. Wielkiego, dorodnego, ponadkilogramowego dorsza. Wniósł go i przekazał Ellen, wyobrażając sobie, że coś im przyrządzi, ale ona posłała mu tylko przelękłe spojrzenie. Zmarszczyła nos na widok

dyndającej ryby, ociekającej krwią z rozszerzonych skrzeli. Próbował być pogodny, wyobrażał sobie, że go pochwali, że przygotuje dorsza z pieca lub zupę rybną, przecież uwielbia oba dania, ale Ellen zaniosła się płaczem i powiedziała, że nie ma pojęcia, co zrobić. Że nie wie, jak się patroszy i przyrządza rybę. Nie udawała, tak było naprawdę, myśli Gerson. Tak było naprawdę. Rodzice zawiedli. Zwyczajnie ją rozpuścili, teraz jednak dostatek, w którym wcześniej znajdowała oparcie, przepadł. Fabryka zniknęła, podobnie jak dom, kierowcy, szwaczki i gosposie, została tylko bezradność, obnażona i nieładna. Gerson poprosił żonę, żeby poszła odpocząć na górze, a potem sam wypatroszył rybę i ugotował obiad z pomocą duńskiej gosposi.

Dalej człapie przed siebie. Odwleka powrót do domu, podczas gdy w głowie wciąż brzęczy mu głos, który niespodzianie rozległ się w słuchawce telefonu. Oferta pracy w Oslo. Ekonomika przedsiębiorstw. Szansa na to, aby pójść wyżej, wreszcie zająć się tym, co potrafi, tym, co go pociąga.

W głowie rozpisuje rachunek. Jego życie minus „Paris-Wien", minus klientki narzekające na za szerokie czy za wąskie talie, za duże czy za małe biusty, minus dom przy Jonsvannsveien ze wszystkimi swoimi wadami, plus matematyka, plus studenci, plus Oslo.

A gdy tylko sformułował myśl w głowie – minus Ellen.

N

N jak Nicea i słynny sobór, który odbył się tam w 325 roku naszej ery, gdy postanowiono, że chrześcijańskim duchownym nie wolno zajmować się lichwą. Nie mogli oni zatem udzielać pożyczek, mogli tylko wspierać krewnych i przyjaciół. Cudzoziemców zakaz nie dotyczył. To dało początek wyobrażeniom o chciwych Żydach.

N jak niewładne palce, którymi trzymasz piłę, w których nosisz kamienie od siódmej rano do dwunastej w południe, a później od obiadu do ósmej wieczorem, gdy roje owadów krążą w słońcu między drzewami, gdy przyroda nadal jest pełna życia i blasku. Zimą dzień pracy trwa krócej. Nie ze względu na was, więźniów, lecz żeby nikt nie skorzystał z okazji i nie zbiegł pod osłoną mroku.

N jak Nordstern. Nowa nordycka stolica, którą Adolf Hitler planował na obrzeżach Trondheim, zaprojektowana na jego zlecenie przez architekta Alberta Speera. Pomysł zrodził się podobno podczas jednej z wędrówek Hitlera po Alpach, w drodze do punktu widokowego Mooslander Kopf, gdzie kazał sobie wybudować niewielką herbaciarnię i ławkę, na której mógł spocząć, by snuć plany na przyszłość. Stamtąd rozpościerał się przed nim krajobraz zdominowany przez gładko wyszlifowane, szare góry wpadające do jeziora, jakby przypomnienie o małości człowieka. Może czasami myślał o legendzie związanej z tym miejscem – według niemieckiej mitologii pod górami pochowany jest olbrzym, który ma wyłonić się na powierzchnię w sądnej godzinie dla Niemiec.

Podczas spaceru ze swoim owczarkiem Hitler miał rozmyślać o problemie, jaki stanowiły statki z zaopatrzeniem kursujące między Anglią a kontynentem. Zastanawiał się pewnie, jak je powstrzymać, w którym strategicznym miejscu wybudować bazę, aż nagle pomyślał o Norwegii, o jej twarzy otwartej na północny Atlantyk. Cały teren był pod okupacją, ale powinien znaleźć jakieś miejsce na północy, z którego mógłby kontrolować ruch morski na północnym Atlantyku. Z którego niemieckie

krążowniki wypływałyby, żeby powstrzymywać Anglików, zatapiać ich okręty wojenne i podwodne, aby Wielka Brytania naprawdę stała się wyspą, odizolowaną na oceanie, niezdolną do dostarczania europejskiemu ruchowi oporu odwagi, cekaemów i amunicji.

Powiódł palcem przez Skagerrak do Oslo i dalej wzdłuż poszarpanej linii brzegowej na południe. Palec wskazujący minął Kristiansand i Bergen, aż zatrzymał się przy Trondheim. Hitler zerknął w stronę Rosji, następnie przesunął palcem przez granicę ze Szwecją, nad Östersund i z powrotem.

Trondheim.

Ze strategicznego punktu widzenia to idealna lokalizacja dla floty okrętów podwodnych. Tutaj statki towarowe mogły dostarczać zaopatrzenie z kontynentu, tu można też było wyładowywać sprzęt wojskowy do użytku na froncie wschodnim. Na mapie Norwegia jest w tym rejonie cieniuteńka, jakby ściśnięta pośrodku olbrzymią ręką. Hitler posłał samochód po Alberta Speera, żeby razem mogli obejrzeć plany, poprosił asystentów o znalezienie jak najdokładniejszych map przedstawiających Trondheim. Fotografii również.

Ze Speerem na nowo rozrysowywał świat.

Po kilku dniach intensywnej pracy gotowe były pierwsze szkice. W Trondheim miał powstać tunel w skale, gdzie mogłyby stacjonować okręty wojenne i podwodne. Następnie mogła się rozpocząć budowa nowego miasta. Nordyckiej stolicy Trzeciej Rzeszy – Nordsternu – liczącej dwieście pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, którzy mieli zostać wysłani tam z Niemiec; jej architektura miała przyćmić układy urbanistyczne innych metropolii. To tutaj powinna się zaczynać czteropasmowa autostrada łącząca nowe miasto z Berlinem. To stąd okręty wojenne miały kontrolować cały północny Atlantyk.

Pozostałości nabrzeża dla U-Bootów stanowią obecnie siedzibę Archiwum Państwowego. Gdzieś tam leżą może notatki Rinnana, jeśli istnieją. Wszystkie jego zapiski na temat podejrzanej działalności w Trondheim, gdzie wędrował od kawiarni do kawiarni, z miejsca na miejsce. Gdzieś tam jest może dowód, że to przez niego aresztowano ciebie i brata Marie. Jadąc wypożyczonym autem przez Trondheim, dzwonię do Archiwum Państwowego, by przygotować ich na moją wizytę, żeby zdążyli wyjąć ze skarbca właściwe pudełka. Mężczyzna na drugim końcu linii

odpowiada, że jeśli notatnik Rinnana w ogóle ocalał, znajduje się w Archiwum Państwowym nie w Trondheim, lecz w Oslo. Bo chociaż rozprawa odbyła się w Trondheim, całą dokumentację z powojennych procesów przeciwko kolaborantom po kilku latach przeniesiono do Oslo – tam leży schowana w magazynie wydrążonym w skale, dokąd da się dotrzeć rowerem z miejsca, w którym mieszkam.

N jak nowi członkowie, nowe upoważnienia i nowa kwatera główna pod nowym adresem, przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć.

Jest wrzesień 1943 roku. Rinnan po raz pierwszy wchodzi do salonu, w butach. Rozgląda się, szeroko uśmiecha i myśli, że tutaj będzie im dobrze. Blisko centrum, a jednak na uboczu. Dużo miejsca i widok na pola, jeżeli ktoś by coś kombinował, do rodziny zaś szybko można dojechać autem.

Podchodzi do okna, skąd patrzy w dal, ponad więdnącymi drzewami owocowymi w ogrodzie, wydmuchuje chmurkę dymu, która rozpływa się w tym samym miejscu, i odwraca się do pozostałych. Są wśród nich Ivar Grande, Kitty i Inga. Karl Dolmen, Solveig Kleve i jej ośmioletnia córka, która też ma zamieszkać w tym domu. Wszyscy młodzi, tak jak on. Wszyscy weseli, tak jak on. Pokazuje im, gdzie mają odstawić skrzynki, które wnoszą, a następnie otwiera jedną i wyjmuje butelkę koniaku. Zdobył ją specjalnie na tę okazję. Inni mieszkańcy miasta nie mają papierosów, nie mają wódki, nie mają samochodów, benzyny ani pracy. On ma wszystko.

– Ivar? Przyniesiesz kieliszki? – pyta Rinnan.

Czy to chwilowe wahanie w spojrzeniu zastępcy dowódcy, Ivara Grandego? Czy uważa się za zbyt ważnego, by wykonywać tak proste zadania? Mimo to robi, co każe mu Rinnan. Wychodzi z nim Inga. Potem wszyscy gromadzą się wokół Henry'ego, tak jak kiedyś stawał w półkręgu z rodzeństwem w lesie albo na piętrze, gdzie spali. Rinnan podchodzi do każdego po kolei, napełnia kieliszek za kieliszkiem, czuje unoszącą się woń koniaku, tak mocną, że prawie szczypie go w oczy. Po tym jak nalewa wszystkim, wznosi toast.

– Drodzy członkowie bandy. Witajcie w naszej nowej kwaterze głównej – mówi i zbliża kieliszek do warg, czuje palący smak w ustach, zauważa też, że alkohol prawie natychmiast rozprasza myśli. – Tutaj możemy w spokoju planować akcje. Stąd będziemy koordynować ataki. Planować infiltrację ruchu oporu, szykować się do zmiażdżenia go od wewnątrz.

Widzi, że słowa te wzbudzają zachwyt, wszyscy się ożywiają.

– Razem, moi przyjaciele i współpracownicy, razem jesteśmy najważniejszą bronią Niemców w Norwegii! Słyszeliście, co Goebbels powiedział w swojej przemowie?! Agenci, o których wspomniał, to my! Tak dobrze nam idzie, że wieść o nas dociera aż do serca Niemiec! A będzie jeszcze lepiej! To nasza nowa kwatera główna. Tu będziemy planować akcje… I oczywiście się bawić!

Niektórzy się rozluźniają i unoszą kieliszki. Rinnan wstaje i robi kilka kroków w stronę kominka. Zatrzymuje się, odwraca do pozostałych. Jednym haustem wypija resztę koniaku.

– Otrzymaliśmy upoważnienie, by robić, co nam się podoba. Możemy aresztować wrogów, przesłuchiwać ich, a jeśli trzeba – dokonywać egzekucji. Wszelkie środki dozwolone, przypomnijcie sobie tylko, jak próbowali mnie zabić przed moim własnym domem! W czasie gdy spały tam moje dzieci! Jest wojna, ale my ją wygramy. Stąd zmiażdżymy ruch oporu. Tutaj, w tym domu, moi przyjaciele, napiszemy historię! – woła Rinnan na koniec, unosząc przed sobą pusty kieliszek, chwilę wytrzymuje spojrzenia pozostałych, aż nagle ciska nim do kominka. Kieliszek trafia w polana, sypią się iskry, brzęczy szkło rozbite o ściankę za płomieniami.

Kilka osób aż podskakuje. Niektórzy zaczynają się śmiać, ale jego nie oszukają. Już wie, że się go boją, że są niepewni, co może wymyślić, i tak właśnie ma być, bo w ten sposób może dalej nimi sterować, mieć nad nimi pełną władzę. Rinnan zapala kolejnego papierosa i rozgląda się po pokoju, jakby nic się nie stało.

Potem schodzi na dół przyjrzeć się piwnicy.

N jak nazwiska.

N jak nerwy.

N jak noc i nękające myśli, które nachodzą Ellen Komissar, kiedy leży w ciemności w sypialni przy Jonsvannsveien czterdzieści sześć i nie może spać. Nasłuchuje oddechu męża, próbuje poznać, czy śpi, aż wreszcie odzywa się do niego szeptem:

– Gerson?

W mroku nie widać tapety, szafek nocnych ani firanek. W mroku nie widać oczu Gersona, które się otwierają i patrzą w ciemność po przeciwnej stronie łóżka, odwrócone od niej.

Cicho odpowiada „tak". Kilka sekund panuje cisza, aż wreszcie Ellen znów otwiera usta.

– Nie wiem, czy dam radę tu dłużej mieszkać.

– Ależ, Ellen...?! Myślałem, że tę dyskusję mamy już za sobą?

– Ja...

– Wiesz, że nie mogę zostawić Jacoba w Trondheim samego z matką. Ktoś musi prowadzić sklep...

– Tak, ale dlaczego musimy mieszkać tutaj... w tym domu?

– Może wytrzymasz jeszcze trochę? Przejdzie ci.

– Mówiłeś tak przed przeprowadzką, ale wiesz, że mi nie przejdzie. Będzie jedynie gorzej. Wszyscy pytają mnie, jak się tu mieszka, czy się nie boję, czy nie...

– Cicho, Ellen! Obudzisz Jannicke!

– Wiesz, co oni tu robili, Gerson? Wiesz?!

– Tak, jasne, że wiem. Ellen, ale to było dawno!

– Dawno?! Dzisiaj Jannicke przyniosła z piwnicy kolejną kulę i zapytała, co to takiego. Myślałam, że wszystkie zebrałeś?

– Rozejrzę się tam jeszcze raz. Ponownie wszystko umyję. W porządku?

Przez kilka sekund żadne z nich się nie odzywa. Myśli błądzą po omacku w ciemności, jak dwoje ludzi uciekających nocą przez las, bez tchu, wystraszonych, odsuwających gałąź za gałęzią w poszukiwaniu miejsca, w którym można by się wydostać; wtedy Gerson znajduje prześwit.

– Nigdy nie narzekałaś na morderstwa w twierdzy Akershus, kiedy tam byliśmy. Albo na wojny, które toczyły się za granicą. To tylko przeszłość! Musimy myśleć o tym, co będzie!

– Ja…

– Nie możesz po prostu spróbować, Ellen?

– Tak…

– Dobrze… A teraz muszę już spać. Dobranoc, Ellen.

– Dobranoc.

N jak niespodziewane znalezisko. Jest popołudnie w połowie lat pięćdziesiątych. Siostry wdrapują się po schodach na poddasze. Za zamkniętymi drzwiami, które mają przed sobą, znajduje się pokój z łukowym oknem, gdzie nie wolno im wchodzić, bo matka znów ma migrenę i musi odpocząć, ale mogą za to wejść do jednego z pokoików po lewej stronie, do tajnego pomieszczenia na strychu, nazywanego przez Jannicke Klubem Stearynowym. Tajemny kącik, do którego można się dostać jedynie w pozycji skulonej, na czworakach. Starsza siostra prowadzi, trzymając oburącz świecę o rozedrganym płomieniu, i z przerażeniem zmieszanym z radością pokazuje Grete, co znalazła w środku: malutki woreczek związany sznurkiem. A w nim coś dziwnego. Nieduże, powyginane płatki czegoś suchego i twardego, co Grete rozpoznaje dopiero po kilku sekundach. To paznokcie. Nie tylko końcówki, ale całe ludzkie paznokcie.

O

O jak oskarżenie.

O jak osadzenie.

O jak obóz.

O jak opisujące nas słowa, które nie tylko traktują o rzeczywistości, ale i ją kształtują.

To słowa potrafią tworzyć kategorie, nazywać grupy ludzi karaluchami, mówić o spiskach, słabości, o psuciu białej rasy.

Wtedy logiczne staje się usuwanie innych za pomocą środków, które muszą się zdawać niezbędne.

O jak okrucieństwo, które w ten sposób staje się nie tylko czymś rzeczywistym, lecz także koniecznością.

O jak oczy, puste oczy byka. W gospodarstwie tuż za centrum Trondheim stoi byk i wolnymi, monotonnymi ruchami przeżuwa trawę. Jest sierpień 1944 roku. Na dźwięk głosów zwierzę podnosi głowę i spogląda znad pastwiska, by ujrzeć, jak trzech mężczyzn i kobieta przechodzą przez płot. To Rinnan, Karl, Ivar i Inga.

– Boże drogi, ale wielki – mówi Inga. Zerka na Henry'ego i chichocze. Rinnan powoli opuszcza głowę, bierze głęboki wdech i szura stopą o ziemię, a następnie wydaje z siebie nagłe, głośne i realistyczne „muuuu"!

Pozostali wybuchają śmiechem. Byk macha ogonem, potrząsa łbem, by odgonić muchę, po czym znów się pochyla i wraca do jedzenia. Rinnan jedną ręką trzyma w gotowości zwój liny. Formuje pętlę, co wcześniej wielokrotnie ćwiczył, teraz zaś naprawdę jest cowboyem. Ziemię pokrywa błoto. Ivar wdeptuje w krowi placek i przeklina – Henry i Inga nie mogą

przestać się śmiać. Byk gapi się na nich wielkimi, czarnymi oczami. Lasso wielokrotnie chybia. W końcu muszą podejść do zwierzęcia i założyć mu pętlę na szyję, a potem otwierają bramę i ciągną je za sobą. Karl trzyma linę, którą przywiązuje do zderzaka ciężarówki. Następnie wszyscy do niej wsiadają i powoli wracają do Bandeklosteret. Ciągnięty byk próbuje się opierać, wytrzeszcza ślepia i szarpie szyją w bok, ale musi dreptać za nimi z pianą cieknącą z mordy. Dopiero gdy parkują niedaleko domu, tuż przed ogrodzeniem z drutu kolczastego, przy którym stoją strażnicy, Karl poluzowuje supeł i przez ostatni odcinek wlecze byka za sobą.

Rinnan udaje, że trzyma w rękach kierownicę, człapiąc obok Karla, który dzierży linę. Dwóch niemieckich żołnierzy zamyka za nimi bramę i zerka ze zdumieniem na Rinnana, gdy ten skręca wyimaginowaną kierownicą, ku uciesze agentek wydaje warczące dźwięki i jak gdyby nigdy nic zwraca się do idącego obok mężczyzny:

– Nie sądzisz, że możemy tu zaparkować, Karl? – Rinnan udaje, że opuszcza boczną szybę.

– Przepraszam, moje panie. Czy mógłbym tu zaparkować?

Jedna z agentek wychyla się z uśmiechem do przodu, mówi: „oczywiście", potem zaś wskazuje mu drogę do ogrodu.

– Co to właściwie za auto? – pyta Inga.

– Ford MU – odpowiada Rinnan. Inga wybucha śmiechem, a jej skrzekliwy rechot straszy byka, którego pięćsetkilogramowe cielsko wyrywa się w bok. – I jak pani widzi, ma bardzo dużo koni… Znaczy się, krów mechanicznych – ciągnie Henry, szczerząc zęby.

Pozostali też się śmieją, oprócz Karla, który z całych sił stara się utrzymać linę.

– Trzymaj, Karl! – woła Rinnan, wychodzi z roli kierowcy, robi kilka kroków w bok, wyjmuje pistolet z kabury na biodrze i waży go w dłoni.

– No! Uważam, że ostatnio było tu kiepsko ze świeżym mięsem. Do broni!

Wykonują rozkaz. Kierują pistolety i karabiny maszynowe w stronę byka, który wyczuwa w powietrzu agresję i próbuje się wyrwać, ale Karl mocno trzyma linę. Zwierzę głośno ryczy.

– Na trzy! Jeden… Dwa…

Rozbrzmiewają strzały, niemal jednocześnie, jakby oddawał je pluton egzekucyjny. Niemieccy żołnierze stoją jak wryci i przyglądają się w milczeniu. Byk wydaje z siebie krótki, ryczący jęk i pada na ziemię; leżąc, mruga wielkimi ślepiami i ryje racicami w podłożu, jak gdyby chciał biec. Nagle z tyłu tryska strumień moczu, opryskuje kamienne płyty oraz kostki Ingi i Ivara, którzy odskakują w bok.

– Proszę! Witamy w rzeźni. Przyniesiesz jakieś noże, Karl?

Chwilę później Karl wraca. W rękach trzyma dwa noże kuchenne.

Unosi je przed sobą z pytającym wyrazem twarzy, ale nikt nie podchodzi, żeby je od niego odebrać. Nikt nie chce.

– W porządku. Zatem ty zaczniesz, Karl – mówi Rinnan. To rozkaz i tak zostaje odebrany.

Karl klęka i przytyka czubek ostrza do suchej, jasnobrązowej sierści na brzuchu byka, ale się waha, niepewnym wzrokiem patrzy w bok na Rinnana.

– Nigdy tego nie robiłem… – odzywa się.

– No przestań, Karl! Chcemy ugotować coś przed Bożym Narodzeniem, prawda?

Pozostali śmieją się niepewnie. Karl znów przytyka czubek noża do martwego zwierzęcia, dociska. Nagle ostrze wbija się w ciało, na dłoń mężczyzny tryska cienki strumień krwi. Z sierści podrywają się dwie muchy, każda zatacza łuk nad padliną, ludzie stoją wokół Karla jak zahipnotyzowani, podczas gdy on piłuje dalej, rozdziera mięso, przez które wypadają wnętrzności. Połyskujące i obce, sine, żółte, szarawe i czerwone.

– O, tak. – Rinnan poklepuje Karla po ramieniu i odwraca się do pozostałych.

– Można się częstować. Obowiązuje samoobsługa: każdy odcina sobie, ile chce, i zabiera mięso do kuchni, gdzie nasi kucharze zajmą się resztą.

Okazuje się, że to wcale nie takie proste, ale po kolei próbują. Odcinają kawałki mięsa. Przez kilka minut pełnych odrazy, napięcia i śmiechu brudzą się czerwienią aż po ramiona, po czym zanoszą mięso na talerzach, zostawiając ścierwo na trawie.

P

P jak pomoc i opieka, jaką początkowo można było otrzymać w obozowej izbie chorych, na przykład gdy ktoś się przeziębił albo nabawił pęcherzy na rękach od pracy w kamieniołomie. Dłonie można było mieć posmarowane maścią, ranę na stopie czy miejsce skaleczenia piłą – zszyte, a na ból gardła dostawało się tabletki. P jak przypomnienie o humanitaryzmie tej prostej formy pomocy, która trwała aż do zaostrzenia rygoru. Ktoś powtórzył ci słowa Flescha wypowiedziane podczas jego wizyty w Falstad, gdy w izbie chorych znalazł trzech żydowskich więźniów. Jego pytanie, dlaczego obóz w ogóle przeznacza środki na leczenie chorych Żydów. „Trzy kulki i po kłopocie".

P jak pogłoski. P jak pogarda.

P jak Pervitin, pigułki, które prędko kończą się Rinnanowi, więc musi zajść do gabinetu Flescha w Hotelu Misyjnym i poprosić o więcej.

– Działają, co? – pyta Flesch z uśmiechem, wyjmuje z szuflady biurka metalową fiolkę i podaje ją Henry'emu.

Rinnan dziękuje po niemiecku, ma ochotę od razu wziąć tabletkę, ale tylko powtarza podziękowanie. Wypada na korytarz, przytłoczony liczbą zadań do wykonania. Staje tuż za drzwiami i połyka pigułkę. Kilka minut później już odczuwa jej działanie. Nagłą jasność i rozpierającą go energię, którą rozładowuje, bębniąc palcami w kierownicę w drodze powrotnej do domu.

P jak plan Ellen. Jest popołudnie w połowie lat pięćdziesiątych. Ellen schodzi z piętra domu na Jonsvannsveien, w dłoni schowanej w kieszeni spódnicy ściska pięciokoronowy banknot, czuje zapach kotletów mielonych, słyszy bulgotanie wody na ziemniaki, gotującej się na kuchence, i zwraca uwagę na to, jak narasta w niej napięcie, bo jest pewna, że to właściwy moment. Wyobrażała to sobie, leżąc w mansardzie. Nikt nie

może nic zauważyć, musi się zabezpieczyć, dlatego skręca do kuchni, uśmiecha się do duńskiej gosposi, mówi, że ładnie pachnie, i pyta, czy może w czymś pomóc, ale nie ma takiej potrzeby. Dobrze wiedziała, że gosposia odmówi, więc wychodzi, sprawdza, czy dzieci są zajęte, a potem, w drodze do ubikacji, znów dotyka banknotu. Mija kurtkę gosposi wiszącą w przedpokoju. Wtedy błyskawicznie, z łomotem serca, wsuwa banknot do kieszeni kurtki i idzie do toalety. Rozgląda się, otwierając drzwi – nikt mnie nie widział, myśli, zaciskając powieki – w lustrze widzi swój szeroki uśmiech, który musi zniknąć najszybciej, jak to możliwe. Wstaje i spuszcza wodę dla niepoznaki. Myje ręce, przegląda się w lustrze i wychodzi. Spędza czas z dziewczynkami, pomaga im w lekcjach, czuje, że musi się powstrzymywać, nie może się zanadto zapalać, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Wkrótce słyszy, że otwierają się drzwi. Gerson woła: „Halo?!" i po chwili wchodzi do pokoju. Mimo to ona czeka.

Czeka, aż jedzenie zostanie podane. Czeka, aż wszyscy polewają sobie sosem ziemniaki i zaczną jeść. Dopiero wtedy pyta Gersona, jakby przypadkiem, po tym, jak wspomniał o całodniowym utargu:

– À propos pieniędzy – mówi i zawiesza głos. Widzi, że Jannicke podnosi wzrok. – Czy to ty wziąłeś banknot pięciokoronowy, który rano zostawiłam na kredensie? – pyta.

Gerson spogląda na nią, nic nie rozumiejąc.

– Banknot pięciokoronowy?

– Tak, położyłam go rano na kredensie, pamiętam dokładnie, bo chciałam go wziąć, idąc do miasta, ale najpierw musiałam się przygotować, a później, kiedy wyszedłeś, już go nie było. Zakładam, że potrzebowałeś na coś gotówki?

– Nie. W ogóle go nie widziałem – odpowiada. Przekrawa kotlet mielony, jasnobrązowy w środku. Duńska gosposia przestała jeść. Siedzi spokojnie, nie ruszają się jej śliczne, szczupłe dłonie ani urocza twarz. Może przeczuwa, co się stanie, myśli Ellen, wycierając usta serwetką.

– A ty? – pyta gosposię. – Może sprzątnęłaś go, kiedy przyszłaś? Albo wzięłaś, żeby kupić jedzenie?

– Nie – mówi gosposia, nagle niepewna, wygląda wręcz na przestraszoną, zapewne czuje wiszące w powietrzu oskarżenie, które z wolna nabiera kształtu.

– Aha… – bąka Ellen. – Ale chyba nie mógł zniknąć bez śladu?

Dzieci jedzą. Zerkają znad talerzy. W pokoju słychać jedynie tykanie starego zegara z wahadłem oraz brzęk noży na porcelanie, ilekroć dziewczynki odkrawają kawałek mięsa czy zbierają sos.

– Może położyłaś go gdzie indziej? Albo zgubiłaś? – pyta Gerson. – Jestem pewien, że uda się to wyjaśnić.

– Ach tak? – odpowiada Ellen sucho. Nadziewa kęs kotleta na widelec i trzyma go przed ustami. – Niestety nie pierwszy raz znikają tutaj pieniądze… – mówi cicho, jakby nie zwracała się do nikogo konkretnego, bo teraz musi to odpowiednio rozegrać.

Gerson odkłada nóż i widelec, nieco zbyt mocno, dając wyraz ogarniającej go frustracji. Patrzą na siebie. Oboje nieustępliwie.

– Ach tak? – odzywa się. – To co mam twoim zdaniem zrobić, Ellen?

Ellen przeżuwa do końca. Wzrusza ramionami.

– Nie wiem… A jak myślisz? Może to w porządku, że znikają stąd pieniądze?

Patrzy prosto na gosposię, która pochyliła głowę.

– Boże – mówi Gerson. – Mam sprawdzić w jej torebce?

– Nie mam torebki – odpowiada gosposia. – Wszystko noszę w kurtce – dodaje.

– Aha. To może tam sprawdzę? W porządku? – pyta, zwracając się do gosposi.

Kobieta kiwa w milczeniu głową, może już wie, co się zaraz stanie. Ellen powstrzymuje uśmiech. Odsuwane krzesło szura po parkiecie. Gerson wychodzi do przedpokoju.

– Co się stało, tato? – pyta Jannicke.

– Nic. Nic takiego, skarbie. – Ellen przykrywa ręką dłoń córki. Dotyka mięciutkiej skóry i czuje, że gosposia na nią patrzy. Podnosi wzrok, stara się wyglądać jak zawsze i zachowywać jak gdyby nigdy nic, a Dunka posyła jej surowe spojrzenie i zaciska wargi.

Gerson wraca. Zdezorientowany trzyma przed sobą banknot.

– Czy to ten? – pyta.

Ellen kiwa głową.

– Był w mojej kurtce? – pyta gosposia.

Ellen zwraca uwagę na szczere zaskoczenie na jej twarzy. Kobieta i Gerson wymieniają spojrzenia, aż wreszcie on bierze głęboki wdech i odwraca się do Ellen. Przygląda się jej badawczo.

– Nie ja go tam włożyłam – mówi gosposia, wstając. – Ale dobrze. Nie zostanę tu ani chwili dłużej. – Odchodzi od stołu z zaszklonymi oczami.

Nie tak Ellen to sobie wyobrażała, miała raczej nadzieję, że Gerson będzie bardziej stanowczy, lecz zauważa jego zwątpienie. Mąż obrzuca ją szybkim spojrzeniem. Surowym. Odprowadza gosposię, próbuje z nią rozmawiać, ale to na nic. Kobieta się pakuje, podczas gdy Ellen i dzieci kończą posiłek. Pół godziny później już jej nie ma w ich życiu.

P jak *pale* i jak Parycze. P jak przemoc.

P jak pogrom, *погром*, słowo pochodzące od rosyjskiego czasownika, który oznacza „miażdżyć", „dewastować", czyli robić wszystko, co było trzeba zrobić – chociaż to straszne – by pozbyć się Żydów. Atak za atakiem, zanim ktoś zdążył się nad tym zastanowić.

„Ostateczne rozwiązanie" powstawało przez wieki. Pomysł jest jak roślina, która zapuściła korzenie w różne strony, która błądziła w drodze do światła. Rosnąc, mijała glinę, żwir i podziemne głazy narzutowe. Dopiero dwudziestego stycznia 1942 roku, w dniu, w którym przeniesiono cię z więzienia w Trondheim do Falstad, pomysł ten nabrał kształtów przy stole konferencyjnym w willi w berlińskim Wannsee: myśl, że nie istnieje inny sposób rozwikłania raz na zawsze problemu ludności żydowskiej aniżeli zrobienie tego, co jest niestety konieczne – wszystko, co żydowskie, trzeba usunąć z powierzchni Ziemi.

Zebrać wszystkich Żydów, wierzących czy nie, ich współmałżonków i dzieci, i ich unicestwić.

Zebrać święte teksty, tradycje i przepisy, zwoje modlitewne i świeczniki, i wszystko zniszczyć, aż judaizm przestanie brukać ten świat i go osłabiać.

Pomysł jest jak molekuła, receptura, budowla, a elementami, z których budowla się składa, są opowieści i wyobrażenia. Na przykład takie, że Żydzi robią kiełbasę z dzieci. Sterują gospodarką. Ponoszą winę za kiepskie plony, za niepogodę, choroby i zarazę. Do najbardziej znanych prób oczernienia Żydów jako wspólnoty zalicza się pamflet *Protokoły mędrców Syjonu*, po raz pierwszy wydany w Rosji w 1905 roku, opisujący tajny kongres w Bazylei w roku 1897 – w rzeczywistości nigdy się on nie odbył – na którym rzekomo Żydzi z różnych krajów zebrali się po to, by ułożyć plan przejęcia panowania nad światem. Dokument został sfabrykowany przez carską policję polityczną w oparciu o przesądy i dawną propagandę. Historia pogromów jest jednak dużo starsza. Do pierwszych należą ataki Rzymian na żydowską społeczność w Judei w dziesięcioleciach poprzedzających erę chrześcijańską, wskutek czego Żydzi rozproszyli się po okolicznych terenach i musieli przenosić się coraz dalej. Później mamy ataki niemieckich i francuskich krzyżowców na żydowską ludność Spiry, Wormacji i Moguncji w roku 1096, w których wyniku zabito około dwóch tysięcy ludzi, oraz utopienie Żydów w Połocku w 1563, gdy wszyscy, którzy odmówili przejścia na prawosławie, stracili życie w wodach Dźwiny.

W latach 1881–1884, tuż przed twoim narodzeniem, doszło do ponad dwustu ataków na osady żydowskie w Imperium Rosyjskim. Już w roku 1791 caryca Katarzyna Wielka zdecydowała, że wszyscy Żydzi muszą zamieszkać na wyznaczonym obszarze. Strefa osiedlenia, którą po angielsku określa się mianem *pale*, od łacińskiego słowa oznaczającego „pal" lub „granicę", zajmowała dużą część dzisiejszej Litwy, Białorusi i Ukrainy. Żydzi mieszkali w miasteczkach zwanych sztetlami i mieli coraz mniej praw. Twoi rodzice osiedlili się w jednym z takich miasteczek, w Paryczach na południe od Mińska. Kto wie, jak wielki lęk odczuwali na brudnych, nieutwardzonych uliczkach, między prowizorycznymi domami z cegieł i desek. Podczas pracy w polu i na targu, podczas gotowania bielizny. Gdy towarzyszyły im zapach pieców opalanych drewnem, ujadanie psów, śpiew. Pola, łajno, pot. Nie wiem. Ile setek tysięcy uciekło stamtąd wraz z nasileniem się przemocy? Niektóre źródła podają, że aż

dwa miliony. Moritz Glott wyjechał najpierw do Wilna, gdzie odebrał szkolenie w fabryce tytoniu, by potem udać się na studia do Niemiec i Anglii, aż wreszcie wylądował w Norwegii.

A ty? Jechałeś na zachód konno, na wozie? A może pociągiem? Szedłeś pieszo?

Gerson tak pisze w jednej ze swoich nielicznych notatek na temat rodziny:

Ponieważ my, młodzi Komissarowie, dorastaliśmy właściwie bez kontaktu z bliższymi czy dalszymi krewnymi, samo pojęcie krewnych jakby zniknęło nam z pola widzenia. Nasza relacja z dziadkami polegała wyłącznie na regularnym wysyłaniu przez ojca na Białoruś pocztą lotniczą niebieskich listów, pisanych w jidysz hebrajskim alfabetem i zwieńczanych krótkim pozdrowieniem od dzieci. Później jednak te listy się skończyły, zapewne po śmierci babki. Ojciec nigdy nie mówił nam o stanie ani warunkach życia swoich rodziców. [...]

Niesprecyzowany stosunek rodziców do własnych korzeni wpłynął na nasze postrzeganie minionych pokoleń. Brakowało nam perspektywy, nie wiedzieliśmy, kim tak naprawdę byli nasi dziadkowie i co przedsięwzięli. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem takiego stanu rzeczy był po prostu zbyt wielki dystans między teraźniejszością a przeszłością.

O czym nie powiedziałeś swoim dzieciom? O niespodziewanych atakach? O tym, że sklepy były demolowane przez motłoch, okna wybijane, młodzieńcy bici, a kobiety gwałcone? Co wiedzieliście – ty i inni, którzy wyjechali – o dalszych prześladowaniach w ojczyźnie, takich jak pogrom w Częstochowie, podczas którego rozwścieczony tłum napadł na sklepy, zabił czternastu Żydów i obrzucił kamieniami rosyjskich żołnierzy, wysłanych po to, by powstrzymać zamieszki? Życie w Oslo i Trondheim musiało wam się wydawać spokojne i proste: przyjaciele i krewni mieszkali w okolicy Grünerløkki, zbierali się na ławkach na Olaf Ryes plass, zakładali sklepy, rodziły im się dzieci, podczas gdy warunki na terenach, które opuściliście, stopniowo się pogarszały. Może wieści dotarły też do gmin żydowskich w Oslo i Trondheim, a wraz z nimi zmartwienia, bo w latach 1903–1906 nastąpiła tak zwana druga fala pogromów w carskiej Rosji, kiedy

to kilka tysięcy ludzi straciło życie. Jaką bronią ich zabito? Nożami, łopatami, widłami?

Ta niechęć nadal istnieje, czyha prawie niezauważona pod powierzchnią i z rzadka daje o sobie znać, na przykład w wiadomościach o szykanowaniu żydowskich uczniów w wielu europejskich szkołach albo o strzałach posłanych w stronę synagogi w Oslo. Budowę tej bożnicy współfinansowali prapradziadkowie moich dzieci – pomagali ją zaprojektować i angażowali się w jej codzienną działalność, włącznie z obchodami wszystkich żydowskich świąt. W zakup mebli, opłacanie pracowników, rachunki za ogrzewanie i konserwację. Zarówno w Oslo, jak i w Trondheim różne gałęzie rodziny Rikke udzielały się we wspólnocie i środowisku żydowskim, podczas gdy inne się od niego oddalały, coraz bardziej asymilując się z norweskim społeczeństwem.

Czasem sam łapię się na tym, iż odczuwam pewien dyskomfort związany z tą tożsamością, mimo że nie jesteśmy wierzący, bo dzieci, wybierając się na przyjęcia urodzinowe kolegów, robią zwykle własne laurki, a nasz syn prawie zawsze przyozdabia je gwiazdą Dawida, rysuje ją pisakiem lub kredką na okładce, choć nie pojmuję, dlaczego to robi. Wypełnia mnie wówczas lęk, który Rikke – jak mówiła – odczuwała w dzieciństwie. Bo nawet w spokojnej Norwegii można zauważyć, co kryje się pod powierzchnią.

Lista pogromów jest długa – to studium okrucieństwa – znajduje się na niej na przykład pogrom w Jedwabnem w Polsce w 1941 roku. Tamtejszego rabina zmuszono do poprowadzenia procesji liczącej około czterdzieściorga członków lokalnej wspólnoty. Wpędzono ich do stodoły, zabito i pochowano wraz z fragmentami zburzonego pomnika Lenina. Później tego samego dnia dwieście pięćdziesiąt do trzystu osób zostało zamkniętych w tej samej stodole, którą następnie podpalono. Nie wiem, jakie to uczucie wdychać powietrze tak gorące, że pali płuca. Obejmować żonę lub brata czy dziecko, podczas gdy iskry dziko wirują pod dachem, wysuszona trawa i deski trzaskają i syczą, a żar piecze żywcem.

Jest na tej liście również inne zdarzenie, przez wielu historyków uważane za wstęp do Holocaustu: masakra w kijowskim Babim Jarze w 1941 roku. Nazwę tę nosi wąwóz niegdyś wyznaczający granicę miasta, w którym znudzonych wartowników często odwiedzały ukochane.

Do masakry doszło w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego września 1941 roku. Minęło zaledwie dziesięć dni od przejęcia miasta przez nazistów, gdy dowództwo Einsatzgruppe D rozpuściło plotkę, jakoby wszyscy okoliczni Żydzi mieli zostać przewiezieni pociągami nad Morze Czarne i do Palestyny. Zebrano ich i wyprowadzono z miasta. Wśród ocalałych znajdował się chłopiec o nazwisku Rubin Stein, który później relacjonował, że Żydów zatrzymano po drodze pięć razy, przy pięciu posterunkach:

Na pierwszym posterunku odebrali nam dokumenty tożsamości i wrzucili je do ognia. Na drugim zabrali biżuterię, złote pierścionki i złote zęby, na trzecim – futra i lepszą odzież, a na czwartym walizki. Leżały na wielkiej stercie. Na ostatnim posterunku kobiety i dzieci oddzielono od mężczyzn i nastoletnich chłopców. Tam straciłem z oczu matkę.

Dziesięciolatek zdołał schować się w rurze, nie wiem jakiej, może w jednej z tych betonowych, którymi prowadzi się pod drogami strumienie – sam bawiłem się w podobnych jako dziecko.

Według raportu wysłanego niedługo później do Berlina zastrzelono tam 33 771 żydowskich kobiet, mężczyzn, chłopców i dziewcząt, których ciała wpadły do wąwozu. Wszystko w ciągu trzydziestu sześciu godzin. Rubin Stein był ponoć jednym z dwadzieściorga dziewięciorga ocalałych.

Dopiero pisząc te słowa, uzmysławiam sobie, że wśród zabitych przypuszczalnie znajdowali się także krewni moich dzieci, bo cała rodzina pochodziła z tamtych terenów. Z zamkniętej żydowskiej prowincji cesarstwa. Wszystkie przerwane historie – to właśnie oni.

Q

Q jak Quisling, norweski nazista i polityk, którego nazwisko stało się synonimem zdrajcy. Również Vidkun Quisling w młodości poszukiwał, próbował różnych dróg, aż skończył jako żarliwy zwolennik Nasjonal Samling. Również Quisling w latach po wojnie wyolbrzymiał swoją rolę, przypisywał sobie wiele zasług, co unaoczniło jedynie jego pragnienie, które dzielił z wieloma innymi młodymi mężczyznami – palące pragnienie, aby coś znaczyć.

R

R jak Rikke. „Widziałam, że dom mamy i mojego ojczyma jest nieco inny, na przykład zdarzało się, że ubieraliśmy jukę w salonie zamiast choinki, a na wigilię jedliśmy polędwicę zamiast tradycyjnych świątecznych dań. Żydówka? Nigdy nie odnosiłam się do tego określenia, bo żydowska tożsamość tak wiele mieści. Mam ojca z zachodu kraju, ojczyma z południa i matkę z Oslo. W domu nigdy nie kultywowaliśmy żydowskich tradycji. A jednak to z Komissarami identyfikowałam się najmocniej. Ze względu na sztukę, kulturę, jedzenie, zainteresowanie polityką i społeczeństwem. Ze względu na coś niedefiniowalnego, w czym kryją się drobne przejawy żydowskości. Na przykład ośmioramienny świecznik stojący u dziadka, u babci i w domu Lillemor. Albo przaśny chleb, który dostałam od cioci Jane. Żydowskość polega na świadomości, że gdybym żyła w roku 1943, przypuszczalnie bym zginęła. Świadomości, że część mnie jest dla wielu niepożądana tak bardzo, że mogliby zabić, by się mnie pozbyć. A ja? Jestem przecież tylko Norweżką. Tak samo czuli się moja babcia i dziadek. Pamiętam, jak raz zapytałam dziadka, dlaczego tak mało zajmuje go to, co żydowskie, na co on odpowiedział: nie jestem Żydem, jestem człowiekiem.

Z dzieciństwa pamiętam szczególnie dwa zdarzenia. Pierwsze miało miejsce w szkole podstawowej. Chodził do niej chłopiec, którego wszyscy znali, ponieważ był Żydem. Często wracał ze mną do domu po szkole, może dlatego, że wiedział o pochodzeniu mojej matki. Pewnego dnia, gdy gadaliśmy w drodze, zbliżyło się do nas trzech większych chłopaków. Podeszli prosto do niego i zaczęli go popychać, powtarzając słowo «Żyd».

Pamiętam, że się wystraszyłam i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że ten wyraz może też być wyzwiskiem, dlatego nikt nie mógł się dowiedzieć o moim pochodzeniu. Chłopiec, którego dręczyli, nie wspomniał o tym, chociaż musiał wiedzieć. Mógł wskazać mnie tamtym, napuścić ich na mnie, ale tylko się schylił, zasłaniając głowę rękami, aż im się znudziło i poszli dalej. W milczeniu, powoli udaliśmy się do domu, ja

zaś wyrzucałam sobie, że ich nie powstrzymałam. Powinnam była coś zrobić.

Do drugiego zdarzenia doszło wiele lat później, kiedy ktoś spoza szkoły rozdawał na dziedzińcu neonazistowskie ulotki. Głosiły, że Żydów powinno się wytępić. Pamiętam swój szok, ściśnięcie w dołku. Czy dotyczyło to także mnie? Nie byłam pewna, ale w tamtej chwili postanowiłam się odezwać. Nie mogłam do końca życia milczeć".

R jak ranga, Rinnan, rozczłonkowywanie i rausz.

R jak Rørvik.

Jest siódmy września 1944 roku, Rinnana budzi stukanie do drzwi sypialni. Język ma zaschnięty, w skroniach czuje ucisk, bo poprzedniego wieczoru sporo wypił, lecz szybko zaczerpuje powietrza i wstaje. Znowu stukanie i głos Karla, który pyta, czy nie śpi, bo jest do niego telefon. Rinnan spogląda na zegar na szafce nocnej. Dopiero kwadrans po siódmej, więc coś musiało się stać, myśli, odkrzykuje, że już idzie, po czym energicznie odrzuca kołdrę na bok i stawia stopy na zimnej posadzce. Obok niego w łóżku nie ma nikogo. Musiałem spać sam, myśli, przywołując w pamięci obrazy z poprzedniego wieczoru, uśmiechnięte twarze, twarze wykrzywione w śmiechu, likier cieknący po podbródku Ingi – Henry powstrzymał ją przed starciem go wierzchem dłoni, pochylił się w stronę kobiety i scałował kroplę; zauważył, że Indze się to spodobało. Później zeszli do piwnicy po więcej trunków, wzięli też jednego więźnia i posadzili go na krześle. Młodego faceta, przerażonego, właściwie słusznie, skoro był tak głupi, że nie chciał mówić. Karl usadził go na krześle, a oni starali się strzelać jak najbliżej jego głowy, ale tak, by nie trafić. Ależ tam pioruńsko huczało, za każdym razem był tak samo zaskoczony tym, jak strzał z pistoletu odbijał się echem od ścian, jak kule roztrzaskiwały pokrytą drewnem ścianę i wbijały się w mur. Pamięta, że zainicjował nową zabawę, którą nazwał „prawo/lewo", polegającą na tym, że wołał „prawo" albo „lewo", a więzień musiał zrobić szybki unik, żeby nie zostać trafionym. Przezabawnie było widzieć lęk na jego twarzy, krzyczeć: „prawo!", strzelać w stronę krzesła i trafiać dokładnie tam, gdzie chciał, w oparcie, podczas

gdy więzień schylał się najbardziej, jak tylko mógł. Po kilku rundach tej zabawy znowu zachciało mu się pić. Gdy się rozejrzał, Ingi już nie było, poszła na górę. Która mogła być wtedy godzina? Druga? Rinnan wciąga spodnie i koszulę, pochyla się do lustra, wyjmuje grzebień z tylnej kieszeni i zaczesuje włosy z czubka głowy do tyłu, aż wreszcie wychodzi z sypialni. Mija kuchnię, gdzie w zlewie stoją sterty brudnych talerzy, mija kanapę, gdzie odpoczywa jeden z członków bandy, szturcha go, każe kontynuować przesłuchanie więźniów w piwnicy i podchodzi do Karla, który mówi, że dzwonił Flesch, że ma się z nim jak najszybciej skontaktować. Jak najszybciej? Niedobrze. To coś pilnego, coś, nad czym nie ma kontroli, przez chwilę boi się, że zrobił coś złego, że czeka go reprymenda, tylko za co?

– No to musimy się zbierać – odpowiada Rinnan i zahacza o kuchnię, wyjmuje z lodówki wędzoną kiełbasę i nalewa sobie szklankę mleka. Słyszy go owczarek, który przydreptuje z wielkimi ślepiami, pełnymi nadziei, stukając pazurami o parkiet. – Już, już, masz – mówi Rinnan, przełamując kiełbasę na pół. Pies z radości zaczyna merdać, Henry nie zwraca uwagi na to, że ogon za każdym machnięciem uderza we framugę. Podaje owczarkowi kawałek kiełbasy, pozwala mu jeść prosto z ręki, po czym klepie go po grzbiecie. Odgryza spory kęs z tego, co mu zostało, znów czuje ucisk w głowie.

Trzeba coś wypić, myśli i jednym haustem opróżnia szklankę. Słyszy okrzyki bólu dobiegające z piwnicy, co oznacza, że już zaczęli. To dobrze. Koniecznie trzeba wydobyć z tego więźnia jakieś nazwiska, żeby udało im się rozpracować kolejny oddział ruchu oporu, myśli, odgryza jeszcze jeden kęs i wychodzi na korytarz, gdzie wzuwa buty i zarzuca na siebie płaszcz. Karl idzie za nim. Wsiadają do auta i przejeżdżają przez bramę, koło drutów kolczastych i uzbrojonych strażników. Rinnan pozdrawia niemieckich żołnierzy; za każdym razem, gdy ich mija, odczuwa swego rodzaju dumę z tego, co udało mu się dokonać. To on zbudował to wszystko. Gdyby tamci w Levanger wiedzieli, gdyby mogli go teraz zobaczyć, myśli, wyjmując z kieszeni płaszcza papierośnicę; stuka papierosem o wieczko i go zapala. Ludzie idą do pracy, wciskają uszy w postawione kołnierze, za pazuchą chowają smutne kartki reglamentacyjne. Za to on! Wozi go jego własny kierowca, zarabia

dziesięciokrotność przeciętnej pensji i może mieć wszystko, czego dusza zapragnie.

Parkują przed Hotelem Misyjnym, żołnierze posyłają mu uśmiech i otwierają drzwi, on uśmiecha się do sekretarek, a następnie zmierza prosto do gabinetu Flescha. Dwa tygodnie wcześniej Gestapo rozkazało mu aresztować jak najwięcej osób z oddziału podziemnej organizacji Milorg w Viknie. Grupę zinfiltrował w lutym 1943 roku jako członek ruchu oporu Olof Wisth, więc orientuje się, kim są ci wszyscy ludzie – pięćdziesięcioro aktywistów. Nie pojechał tam sam, miał już dość podróżowania i wolał zostać w Bandeklosteret, dlatego wysłał Karla Dolmena. Karl spisał się na medal, razem z Niemcami aresztował wielu członków Milorgu, włącznie z Bjørnem Holmem, o którym Rinnan już wiedział, że przemycał broń wraz z niejakim pastorem Moe.

– Podczas przesłuchania więzień wyznał, że posiadają skład pięciuset pistoletów maszynowych – mówi Flesch. – Pięciuset! Ten sygnał traktujemy bardzo poważnie – ciągnie, po czym opowiada o czerwcowej inwazji aliantów na Normandię oraz o ich obawach, że coś podobnego zdarzy się w rejonie Vikny.

Rinnan uśmiecha się do Flescha, nigdy nie zdołał się przyzwyczaić do sztucznych przerw na słowa tłumacza.

– Twoje zadanie, Rinnan, polega na tym, by najszybciej, jak to możliwe, pojechać tam, znaleźć skład i go skonfiskować. Rozkaz pochodzi z n a j w y ż s z e g o s z c z e b l a – mówi Flesch, dając do zrozumienia, że polecenie sformułował sam Führer. – A jeśli ludzie nie będą chcieli współpracować i nic nie znajdziecie, macie zastrzelić dwóch przypadkowych zakładników, żeby pojęli powagę sytuacji – kończy Flesch.

Rinnan kiwa głową, obiecuje, że znajdzie skład, ale już wychodząc stamtąd i wsiadając do auta, by pojechać do domu się spakować, czuje narastający niepokój. Nieprzyjemne przeczucie, że coś się nie zgadza, bo dlaczego nikt wcześniej nie powiedział mu o tym składzie? Wie, że w rejonie Vikny przechowuje się ukrytą broń, ale żeby aż tyle? Kiedy ją wwieźli? Dlaczego żaden z jego nieświadomych informatorów się o tym nie zająknął ani też o wielkiej akcji, którą najwyraźniej planują?

Budynki i ludzie przesuwają się za oknem, podczas gdy on przegląda w pamięci miejsca, przywołuje piwnice i twarze. Stara się ustalić, kogo nie

zna, w którym gospodarstwie? W której wiosce albo na której wyspie?

Zajeżdża do domu, bawi się z dziećmi. Nie przejmuje się chłodem Klary, bo bez najmniejszego problemu znajduje sobie kobiety. Przed wyjściem cmoka żonę w policzek, jedynie na pokaz, dla dzieci. Jedzie wykonać zadanie. Informuje dwóch członków grupy, by wzięli skonfiskowany motorowiec Rusken i wyruszyli drogą morską, sam natomiast ma zebrać niemieckie oddziały i jechać za nimi lądem. Przekazuje im listę ludzi, których mają aresztować i zmusić do wyjawienia informacji. Następnie wsiada do jednej z ciężarówek. Nie widzi, jak trzydziestometrowy statek wpływa na spokojną taflę fiordu. Jak słońce rzuca promienie na morze i przystrojone zielenią pastwiska, schodzące aż do wody, do czarnych skał, które z bliższej odległości okazują się szaro nakrapiane, otoczone morszczynami, unoszącymi się na falach i połyskującymi różnymi odcieniami brązu. Rinnana nie ma przy aresztowaniu Haralda Henrikø, który, przed chwilą zajęty okopywaniem ziemniaków, żegna się z dziećmi i wsiada na pokład. Nie widzi, jak Karl i dwóch jego kolegów płyną dalej do sąsiedniego gospodarstwa, jak podążając za dźwiękiem uderzeń, znajdują Kyrrego Henrikø z synem przy pracy nad wodą, gdzie właśnie zbijają z desek nową szopę na łódź, ale też muszą odłożyć piłę i młotek i do nich dołączyć.

Rinnan widzi jedynie efekt przesłuchań, gdy wieczorem dwie doby później dociera do Rørviku w towarzystwie pięćdziesięciu żołnierzy z Schutzpolizei oraz ich dowódcy o nazwisku Hamm. Rinnan miał nadzieję, że wszystko rozwiąże się jeszcze przed jego przyjazdem, że Karl wyjdzie mu na spotkanie i gdy tylko Henry wysiądzie z ciężarówki, oświadczy, że więzień złamał się podczas przesłuchania, że znaleźli tajny skład broni, lecz kiedy widzi Karla na nabrzeżu, nieogolonego, z przetłuszczonymi włosami, z oczami przekrwionymi z braku snu, pojmuje, że nie zdobyli potrzebnych informacji.

– Witaj, szefie. Więźniowie są tutaj – mówi Karl.

Rinnan dotyka jego ramienia, kiwa głową. Wchodzą do lokalu magazynowego przejętego przez bandę. Buty z każdym krokiem stukają na deskach. Pośrodku siedzi więzień z głową pochyloną do przodu, rękami związanymi z tyłu, pękniętą wargą i półotwartymi ustami.

– Jeszcze nic nie powiedział – informuje Karl.

– Boże – mówi Rinnan, podchodzi do więźnia, jedną ręką chwyta jego szczękę, widzi ślinę na podbródku i cieszy się, że nie zdjął rękawiczek.

– Hej, ty – odzywa się, odchylając mu głowę do tyłu. – Wiesz równie dobrze jak ja, że prowadzą stąd tylko dwie drogi, prawda?

Półprzytomny mężczyzna oddycha ciężko przez nos, ma rozbiegane oczy.

– Jedna droga jest taka, że rozkażę moim ludziom, by dalej cię urabiali, aż zaczniesz mówić, a jeśli nie powiesz tego, co chcemy wiedzieć, żeby cię zastrzelili i wyrzucili ciało do fiordu. To jedno wyjście. Słyszysz?

Mężczyzna kiwa głową, ciężko oddycha przez nozdrza.

– Druga, o wiele prostsza droga to powiedzieć nam, gdzie znajduje się broń. – W tej samej chwili Rinnan słyszy za sobą kroki, odwraca się i widzi, jak do pomieszczenia wchodzi niemiecki oficer.

– Ale ja nic… nie… wiem – rzęzi mężczyzna, prawie bez tchu, może na skraju płaczu.

– Ach tak. – Rinnan puszcza jego podbródek. – Musimy być bardziej kreatywni. Przyprowadź Bjørna Holma – mówi do Karla, który kiwa głową i pędzi na górę, pokonując po dwa stopnie naraz.

To Bjørn Holm powiedział o składzie broni podczas przesłuchania w Hotelu Misyjnym. Rinnan zabrał go jako przewodnika i swoją szansę. Zapala papierosa, proponuje jednego niemieckiemu oficerowi, który dziękuje. Po chwili przychodzi Karl, prowadząc przed sobą więźnia z Trondheim. Bjørn spogląda na mężczyznę na krześle, mamrocze: „o Boże” i kręci głową. Ręce ma związane na plecach, jedno oko podbite.

– No proszę… – mówi Rinnan i śpiewa o jego oku na melodię dziecięcej piosenki. Prosi pozostałych, żeby posadzili więźnia na krześle. Tej metody nauczył go Flesch. Należy umieścić kogoś, kogo zna torturowany, tuż przed nim i zmusić ich, by na siebie patrzyli, w nadziei, że któryś się złamie i zacznie mówić. Karl pchnięciem sadza Holma na krześle.

– Ja nic nie wiem! – krzyczy Harald Henrikø z rozpaczą. – Boże, ja nic nie wiem! – powtarza.

– Ach tak, to dlaczego Bjørn Holm powiedział, że schowano gdzieś tutaj pięćset sztuk broni maszynowej? – odpowiada Rinnan, dając znak, by kontynuowano tortury.

– Przepraszam! – woła Bjørn, po czym zwraca się do Rinnana: – Nie ma żadnej broni! Zmuszono mnie, żebym się przyznał, ale nie ma żadnej broni!

– Stul pysk! – odpowiada Rinnan, podchodzi do mężczyzny i go policzkuje, bo nie ma, kurwa, mowy, żeby udzielał moralnego wsparcia więźniowi, którego przesłuchują – gra toczy się o zbyt wysoką stawkę. Trzeba będzie znaleźć ten cholerny skład, bo co pomyśli Flesch, jeśli mu się nie uda?

Rozkazuje kontynuować. I zaczynają.

Ciosy, przypalanie.

Krzyk, płacz, ślina, krew.

Kijami i łańcuchami biją w ręce, nogi. Zabierają krzesło, więc więzień musi leżeć na podłodze.

W pewnym momencie Harald Henrikø mdleje. Bjørn płacze. Rinnan znów podnosi głowę Haralda, ale ten jest nieprzytomny. Kurwa mać, myśli Rinnan, czuje, że powinien pójść do ubikacji, zaczyna też odczuwać głód, ale to wszystko będzie musiało poczekać. Wdepnął w niezłe szambo, trafiając tutaj, pod nadzór tego Niemca, śledzącego jego każdy, nawet najdrobniejszy ruch, bo więzień, którego torturują, nie będzie mówił, to oczywiste, w przeciwnym wypadku już dawno by się odezwał. Henry to wie, bo ma wprawę, jeśli chodzi o przesłuchania.

– Odnieście go – mówi Rinnan. – Załatwcie nam jakieś jedzenie i picie i przyprowadźcie drugiego więźnia, teraz nim się zajmiemy.

Po chwili członkowie bandy wracają z butelką likieru kawowego, kieliszkami i ostatnim więźniem. Paulem Nygårdem.

– Posadźcie go tam i czekajcie – mówi Rinnan, wskazując na przewrócone krzesło na podłodze, a następnie odkręca korek, nalewa sobie kieliszek i go opróżnia. Czuje, jak słodki, gładki płyn sunie w dół gardła, przynosząc przyjemne ciepło, które rozchodzi się po całym ciele.

– Zaraz wracam – rzuca i idzie do ubikacji. Sika, patrząc na swoje odbicie w lustrze maleńkiej toalety. Myje ręce i jeszcze raz równo zaczesuje włosy, od czubka głowy w górę. Muszę coś zjeść, cokolwiek, myśli, a następnie zagląda do pomieszczenia, w którym odbywa się przesłuchanie.

Paul Nygård zaczyna wyć na widok zbliżającego się noża, krzyczy, że będzie mówił, że wszystko powie.

Karlowi brakuje tchu, jest tak pochłonięty pracą, że nie przerywa tortur od razu, ogłupiony zapachem krwi, myśli Rinnan, powstrzymując Karla.

– Świetnie, Karl! – Poklepuje kolegę po ramieniu. – Zmienię cię, a ty zjedz coś i wypij – dodaje, widzi ulgę w oczach Karla i odwraca się do zdesperowanego więźnia: – No, to gdzie jest ta broń?

Mężczyzna oddycha ciężko, spogląda na Bjørna.

– Na… wyspie Galsøya.

– Ach tak – odpowiada. – Świetnie. A gdzie ona jest?

– Tu… niedaleko – mówi Paul resztką tchu, wbijając wzrok w nóż.

– Świetnie, a zatem nie ma się nad czym zastanawiać. Chodź! – Rinnan chwyta go za ramię, podnosi i prosi wszystkich ze sobą. Harald opiera zakrwawione dłonie o podłokietnik, żeby się dźwignąć, lecz nogi uginają się pod nim i upada na ziemię. Cholera jasna, trzeba go zabrać, myśli Rinnan, zauważa taczkę opartą o ścianę, wskazuje na nią i każe Karlowi położyć na niej sponiewieranego mężczyznę. Idąc obok niemieckiego oficera, Henry zdaje mu relację z zeznania więźnia, a jeden z żołnierzy tłumaczy. Podążają wzdłuż nabrzeża, by wejść na pokład motorowca Rusken. Słońce wstaje nad fiordem, nad połyskliwą, spokojną taflą wody.

Zabiera Paula i Karla do sterówki. Niemiecki oficer również do nich dołącza, i dobrze, bo właśnie zobaczył, co są w stanie osiągnąć, zobaczył, że potrafią wydobywać z ludzi zeznania i zaraz odkryją cały ten arsenał, a może też zapobiegną „skandynawskiej Normandii", powstrzymają angielską inwazję i w ogóle zmienią bieg wojny, myśli Rinnan, gdy statek łukiem odbija od nabrzeża.

– Paul, prowadź. – Rinnan klepie więźnia przyjacielsko po ramieniu. Widzi jego lęk, przekrwione oczy i rozpaloną skórę, pełną urazów po ciosach. Gdyby powiedział im wszystko od razu, uniknąłby kłopotów, facet powinien się, kurwa, cieszyć, że żyje, chociaż długo dziad wytrzymał, aż zaczynałem wątpić, czy w ogóle i s t n i e j e jakiś skład broni, myśli Rinnan; to oznaka silnego charakteru, kiedy człowiek pomimo bólu jest w stanie nie wyjawić posiadanej informacji, choć nic mu po tym, gdy spotka kogoś, kto naprawdę z n a swój fach.

Rinnan wreszcie może napić się kawy i zjeść parę bułek. Trzech żołnierzy wnosi taczkę z więźniem. Henry widzi to kątem oka, gdy przyjaźnie wita się z kapitanem, po czym wskazuje na morze i mówi: „tędy", na co tamten kiwa głową i odpowiada: „Galsøya, zgadza się?". Rinnan potakuje, dostrzega niechęć kapitana, ale go to nie obchodzi. Facet ma ich zawieźć na miejsce, tylko tyle od niego wymaga, później najwyżej wyśle agentów, żeby poobserwowali jego rodzinę, sprawdzili, z kim sympatyzuje.

Wypływają, skąpani w blasku słońca, jest siódma rano, a Rinnanowi dokucza zmęczenie – z braku snu szczypią go oczy, ruchy ma ociężałe. Sięga głęboko do kieszeni i znajduje fiolkę z tabletkami; odchrząkuje, udaje, że drapie go w gardle, po chwili zaś zasłania dłonią usta i wrzuca do nich pigułkę, którą połyka bez popijania. Potrzebuje kopa po długiej podróży i całonocnych przesłuchaniach. Wokół nich zbiera się stadko mew; czekają, aż wyciągniemy sieć, ale się rozczarują, myśli Rinnan i prosi kapitana, żeby pokazał mu wyspę na mapie. Kłębi się tam od malutkich wysepek, Galsøya jest tylko kropeczką na fiordzie, a zatem sprytnie wybranym miejscem. Niemcy nigdy w życiu nie znaleźliby sami tej kryjówki, myśli Henry i wyobraża sobie uznanie Flescha, gdy przyniesie mu nowinę, albo i lepiej – gdy każe niemieckim żołnierzom wnieść skrzynie z bronią i ustawić je jedna na drugiej w Hotelu Misyjnym.

Tabletka zaczyna działać – czuje, jak myśli się rozjaśniają, jak wracają mu siły i dobry nastrój, nabiera ochoty na kawę, więc prosi kogoś, żeby załatwił im jedzenie i picie. Wkrótce kapitan wskazuje na wyspę, mówiąc, że są na miejscu.

– I jak, Paul? To tam? – pyta Rinnan. Paul podnosi wzrok znad podłogi, patrzy, na co pokazuje palec Henry'ego, i kiwa głową, lecz mruga przy tym nerwowo i po chwili oczy umykają mu na bok; coś jest nie tak, myśli Rinnan, ma złe przeczucia, jednak nie chce mu się teraz tracić na to energii.

Wysepka jest mała, ma najwyżej kilkaset metrów średnicy, ale, do diaska, znajduje się na niej gospodarstwo, a do tego pomost, przy którym mogą rzucić cumę.

– No, dalej. Prowadź, Paul – mówi Rinnan, chwytając kubek z kawą, przyniesiony przez któregoś z żołnierzy, i schodzą na ląd. – Gdzie jest

broń? W gospodarstwie?

– Eee… Chyba tak. – Wzrok Paula znów umyka w bok.

– Chyba tak? Co to ma, kurwa, znaczyć? – pyta Rinnan.

– Nie byłem… Nie byłem przy tym, jak ją chowano.

– Ale tu leży, prawda?

– Tak, powinna. – Paul znów mruga nerwowo, jakby próbował od czegoś uciec, co Henry'emu się ani trochę nie podoba, to przejście od całkowitej pewności, widocznej podczas przesłuchania, do nieśmiałego sformułowania „tak, powinna", ale niech mu będzie.

Teraz wystarczy przeczesać tę przeklętą wyspę, myśli i rozkazuje żołnierzom, by rozpoczęli poszukiwania, najpierw w domu, w stodole i w piwnicy. Mieszka tam jakaś rodzina, lecz gdy pytają o broń, ludzie patrzą na niego, jakby nic nie rozumieli. Ich spojrzenia nie kłamią. Małżonkowie mają dwoje dzieci, Rinnan jasno mówi im, co się stanie, jeżeli ich oszukają, a oni mimo to utrzymują, że o niczym nie wiedzą, on zaś im wierzy. Wystarczy, żeby rzucili okiem na Paula, na jego pobitą twarz, aby pojęli, że to nie żarty. Poza tym po okolicy krąży dziesięciu niemieckich żołnierzy uzbrojonych w karabiny maszynowe.

– Nic nie wiedzą. – Paul mruga kilka razy. – Nie było ich na wyspie, kiedy chowano broń – mówi.

– Ach tak? Myślałem, że nie wiesz, gdzie się znajduje – rzuca Rinnan.

– Nie wiem… Powiedziano mi tylko, że wykorzystano moment, gdy mieszkający tu ludzie wyjechali, na wypadek… gdyby byli po złej stronie albo mieli się wygadać… – wyjaśnia, względnie przekonująco.

Rinnan wypija łyk kawy, znów chwyta fiolkę z tabletkami, wracają mu siły, czuje, że może wszystko. Później stoją w słońcu wrześniowego poranka, czekając na Niemców, którzy przetrząsają dom. Przeglądają wszystko, od piwnicy po strych, wypatrują ukrytych włazów w stodole i przeszukują krzaki na tyłach budynku. Szukają śladów po łopatach, świeżo skopanej ziemi czy choćby miejsc porośniętych jedynie drobnymi pędami, ale nic nie znajdują. Żołnierze zaczynają mieć dość. Oficer pyta, jak im idzie, na co Rinnan odpowiada, że dotrą do broni. Następnie wraca na statek. Zabiera ze sobą Karla i posyła po drugiego więźnia, Haralda. Dwóch żołnierzy wnosi go po schodach i znów kładzie na taczce. Jadą

z nim do gospodarstwa. Harald cały czas ma zamknięte oczy. Nagle zaczyna płakać.

– Hej, ty! – odzywa się Rinnan, nie ma już siły na pierdoły. Chce zakończyć tę pieprzoną operację i wrócić do domu, do Bandeklosteret. – Gdzie jest broń? – pyta, ale Harald jedynie płacze, mówi, że nic nie wie, że nigdy nie słyszał o żadnej broni, że przysięga.

Rinnan wyjmuje pistolet z kabury, waży go w dłoni i kieruje w stronę głowy Haralda. Mocno przyciska mu lufę do czoła, patrząc na zakrwawioną twarz i skołtunione, tłuste włosy, ale to na nic. Harald zanosi się szlochem, zawodząc, powtarza, że nic nie wie, że muszą mu uwierzyć, i Rinnan mu wierzy. Ten facet gówno wie, stwierdza, w tym właśnie problem; wraca do niego myśl, że ich oszukano albo, co gorsza – że cały ten skład broni jest wytworem wyobraźni torturowanego więźnia, który wymyślił to wszystko, by przeżyć.

Z drugiej strony, myśli Rinnan, możliwe, że to naprawdę uparte skurczybyki albo że jakiś skład r z e c z y w i ś c i e istnieje, lecz informacje o jego położeniu zostały zatajone przez ruch oporu; może jedynie nieliczni wiedzą, gdzie znajduje się broń, z pewnością to arcyważne miejsce dla Brytyjczyków, myśli i wysyła żołnierzy, by przeszukali wyspę.

Schodzi im na to całe przedpołudnie.

Palą. Posilają się, kobiecie z gospodarstwa każą przygotować wszystkim jedzenie. Chodzą się załatwić, czekają, czekają i czekają, podczas gdy żołnierze przeczesują wyspę wzdłuż i wszerz. W ruchach mężczyzn nie widać zapału, są zmęczeni i zniechęceni, pokazują swoją postawą, że szukają wyłącznie dlatego, że taki padł rozkaz.

W końcu trzeba się poddać. Nie znajdują broni, zapewne dlatego, że żadna broń nie istnieje, myśli Rinnan, zamykając oczy. Znów odkręca fiolkę i wrzuca tabletkę do ust. Nie przejmuje się, że ktoś to zobaczy, bo teraz trzeba wykonać ostatnią część rozkazu: „Jeśli nic nie znajdziecie, macie zastrzelić dwie przypadkowe osoby".

Taki jest rozkaz, więc trzeba go wypełnić. Nie ma, kurwa, wyjścia. Rozkaz to rozkaz. Chcą ich nastraszyć, tak jak wtedy, gdy w ramach akcji odwetowej zastrzelili przypadkowe osoby w Falstad. Chcą zabitych, żeby zasygnalizować, co czeka kolejnych. Kurwa mać, myśli Rinnan i spogląda

na Karla, który podchodzi do niego z niezwykłym poczuciem winy wymalowanym na twarzy.

– Szefie… Chyba nie ma żadnej broni – odzywa się cicho, strzepując paproch ze spodni.

– Wiem, Karl… Ale i tak musimy dokończyć misję. – Podchodzi do grupki żołnierzy, bezradnych i wycieńczonych. Rinnan prosi oficera, aby rozkazał im się wycofać na statek, bo to już koniec poszukiwań.

Kilka minut później płyną w stronę stałego lądu. Rinnan wypatruje tam gospodarstw. Z któregoś będę musiał wybrać dwóch mężczyzn, myśli, patrząc na czerwone stodoły i domy. Uzmysławia sobie absurd tej sytuacji – ktoś niedługo zginie, choć jeszcze tego nie wie.

Nie ma wyjścia, chuj by to strzelił. Że też Niemcy nie mogli j e m u pozwolić na dalszą działalność wywiadowczą, wówczas może uniknąłby tej całej chryi. Najwyraźniej wymusili zeznanie na człowieku, który powiedziałby nawet, że w piwnicy ma armię, a na strychu diabła, jeśliby tortury miały się przez to skończyć, no i proszę, oto stoję tu, w samym środku szamba, myśli Rinnan, przyjmując podwójną kromkę z dżemem truskawkowym, z dużą ilością dżemu, tak jak lubi, Karl dobrze o tym wie.

– Dziękuję – mówi, odgryza kęs, a kiedy już cisza zostaje przerwana, kapitan odwraca się w jego stronę, by zapytać, dokąd ma płynąć.

Oto znak, jakiego było mu trzeba.

Rinnan wskazuje spokojną zagrodę, w której widzi dwóch mężczyzn przy pracy. – Do tego gospodarstwa – mówi.

Kapitan skręca na sterburtę. Woda burzy się, pieni za nimi, a silnik Diesla stuka pod pokładem, mocno i szybko, jak serce zwierzęcia. Rinnan widzi, jak mężczyźni przerywają pracę i skupiają uwagę na statku sunącym ku nabrzeżu. Wyglądają na ojca i dorosłego syna w ubraniach roboczych.

Przybijają, Rinnan zeskakuje na ląd. Starszy z mężczyzn unosi rękę w geście pozdrowienia, lecz w tej samej chwili zauważa żołnierzy stojących na pokładzie, więc ją opuszcza. Młodszy coś mówi, wygląda, jakby chciał uciekać, ale ojciec go powstrzymuje.

– Dzień dobry! – Rinnan podchodzi do nich. Karl idzie za nim z karabinem maszynowym przerzuconym przez ramię, dalej zaś niemieccy żołnierze.

Od obu nieznajomych bije niechęć, którą Rinnan nie raz już widywał. Ojciec i syn wiedzą jednak, że muszą stać spokojnie, przeczekać tę chwilę, która zjawiła się niczym nagły, niespodziewany ból.

– W czym mogę wam pomóc? – pyta ojciec.

– Jeden z tutejszych mieszkańców powiedział, że w którymś z tych gospodarstw jest schowany wielki skład broni. – Rinnan uważnie obserwuje ich reakcję. Ma nadzieję, że któryś się przestraszy, ucieknie wzrokiem, ale oni patrzą na niego, nic nie rozumiejąc.

– Skład broni? – powtarza ojciec.

– Tak. Czy możemy się rozejrzeć? – pyta Rinnan.

– Proszę – odpowiada ojciec.

Jeżeli jednak coś znajdziemy, nie będzie potrzeby robić tego, do czego niedługo będę zmuszony, myśli Henry i każe żołnierzom pilnować mężczyzn na statku.

Rinnan puka do drzwi i wyciera nogi przed wejściem. Zagląda do izby, gdzie widzi starsze małżeństwo, ojca z fajką i matkę z robótką w rękach.

– Pokój temu domowi – wita się z uśmiechem, a oni odwzajemniają uśmiech. Nawet nie ma sensu tu szukać, myśli i wychodzi. Nie oglądając się za siebie, bez wahania wchodzi na pokład i prosi kapitana, by znalazł w pobliżu skalistą wysepkę.

Idzie po więźniów. Karl zmusza ich do zejścia na ląd na kamiennej, jałowej wyspie, porośniętej krzewami i zamieszkanej jedynie przez mewy.

Haralda trzeba wynieść ze statku; następnie wszyscy zostają wypchnięci na środek wysepki. Paul idzie milczący, z pochyloną głową, zamknięty w sobie.

– Dokąd idziemy? – pyta właściciel gospodarstwa, odwracając się do Rinnana.

– Możemy się tu zatrzymać. Stańcie tam z rękami na głowach. – Henry wskazuje nieporośnięte miejsce wśród wrzosów.

Karl Dolmen i Finn Hoff ustawiają się, celując do nich z karabinów. Karl jest jak zwykle niewzruszony, nie okazuje oznak niepewności, za to Finn, wysoki jak tyka, ma rozbiegane spojrzenie, spogląda na Rinnana

z udręczonym wyrazem twarzy, jak gdyby wpadł w pułapkę i szukał drogi ucieczki.

Tak nie powinno, kurwa, być. Nie powinni ot, tak zabijać tych dwóch, zupełnie niewinnych ludzi, myśli Rinnan; syn zaczyna płakać, ojciec też wygląda, jakby zbierało mu się na płacz, opuszcza rękę i zbliża ją do twarzy, na co Karl rzuca gniewnym głosem:

– Ręce do góry!

Wtedy ojciec pęka, łzy zaczynają mu płynąć i bełkocze coś bez ładu i składu.

– Proszę! My nic nie zrobiliśmy! Jesteśmy niewinni! Czego wy chcecie? – mówi. – Proszę, musieliście się pomylić! Jesteśmy tylko rolnikami! Proszę, nie zabijajcie mojego syna! – Łzy ciekną ojcu po policzkach, twarz ma całkiem rozmytą z desperacji, lęku i smutku. Byle już mieć to z głowy.

– Co robimy, szefie? – pyta Finn z karabinem wycelowanym w tych dwóch, lecz z głową zwróconą do Rinnana.

– Harald! – krzyczy Henry. – Powiedz nam, gdzie jest schowana broń!

Jednak Harald też płacze. Zakrwawiona, pobita twarz wilgotnieje od łez, a z nosa ciekną mu smarki, gdy mówi:

– Boże, o Boże, my nic nie wiemy! Ja nic nie wiem! Proszę!

– Czy to twoje ostatnie słowa? – pyta Rinnan i szybko obrzuca spojrzeniem Paula, ale on stoi milczący, z pochyloną głową i nie wygląda, jakby zamierzał się odezwać.

Nie pozostaje im nic innego. Do kurwy nędzy, byle jak najszybciej skończyć tę tragedię, myśli Rinnan, odwraca się do Karla i Finna, kiwa głową.

– Nie! – ojciec dobywa z siebie krótki krzyk i szeroko otwiera usta, lecz jego głos ginie wśród terkotu karabinów. Pociski przeszywają ciała ojca i syna, obaj mężczyźni osuwają się na ziemię.

– O Boże – szepcze Harald i opada na taczkę. Bjørn stoi z zaciśniętymi powiekami.

Karl podchodzi do ciał, obraca je. Finn tkwi w miejscu bez ruchu, z karabinem opuszczonym wzdłuż uda, z pochyloną głową, ciemna grzywka zasłania mu twarz.

Syn jeszcze oddycha, drży i mruga, jego ciałem wstrząsają konwulsje, krew sączy się z piersi i kącika ust. Błagalnie spogląda na strzelców i wyciąga rękę do Karla, jakby prosił o pomoc.

– Ja pierdolę. – Karl celuje z karabinu w głowę chłopaka.

Nad fiordem rozlega się ostatni strzał. Rinnan wciąga powietrze, kręci głową i patrzy na syna, który wreszcie leży nieruchomo wśród wrzosów. Finn się odwrócił i odszedł na kilka kroków. Stoi jak kreska na tle nieba.

Nikt się nie odzywa. Jakaś mewa krąży nad nimi z krzykiem.

– Co teraz, szefie? – pyta Karl.

Rinnan wkłada rękę do kieszeni i znowu dotyka fiolki z tabletkami, choć nie powinien na razie brać więcej. Ostrzegano go przed przyjmowaniem zbyt dużych dawek, może stanąć od tego serce, ale potrzebuje teraz czegoś. Chciałby się napić. Nie powinno mnie tu, do chuja, w ogóle być, myśli, a potem prosi Karla i Finna, by dopilnowali, żeby ciała wrzucono do fiordu. Operacja Seelhund II dobiega końca. Zbierają się jak najszybciej, aby się stąd oddalić, aby zapomnieć o całej sprawie. Rinnan wsiada do ciężarówki. Wraca do Trondheim złożyć sprawozdanie.

Jesienią zadań jest coraz więcej. Ludzie, których trzeba aresztować, torturować lub zabić. Bez końca.

Niemcy przegrywają na kolejnych frontach. Rosjanie dokonują inwazji na północną Norwegię.

Nastaje grudzień.

Na świątecznym przyjęciu Rinnan poznaje nową dziewczynę. Nosi imię Gunnlaug, jest niska, ma niebieskie oczy, blond włosy i zagubione spojrzenie, bo – jak się okazuje – jej ukochany kilka miesięcy wcześniej został zabity przez ruch oporu. Potrzebuje bezpiecznej przystani, kogoś, kto będzie stał u jej boku, kto może zapewnić jej ciepło, pożywienie, miłość. Rinnan może to wszystko, poza tym dziewczyna podoba mu się od pierwszej chwili, bo jest taka młoda, młoda i czysta, cała aż promienieje, gdy się uśmiecha, a w jej spojrzeniu jest taki żar, że można by się w nim ogrzać. Jej uśmiech zaraża. Podczas przyjęcia wymieniają krótkie wiadomości, wyrażane wzrokiem i słownie, gdy podają sobie półmisek z ziemniakami czy napełniają kieliszki wódką, by zaraz unieść je do warg.

Iskrzy między nimi, kiedy przypadkiem trącają się dłońmi lub kiedy on ośmiela się dotknąć jej kostki pod stołem.

Ach, jak cudownie!

Jak cudownie znów być zakochanym, Rinnan natychmiast zauważa, że z wzajemnością. Wie, że wyjdą stąd razem. Razem się obudzą. Zdejmą z siebie ubrania. Oczywiście, że tak będzie. Dla niego nie liczą się żadne zasady. Tyle poświęcił, aby znaleźć się w miejscu, w którym jest teraz. Więcej, niż odważyłby się poświęcić ktokolwiek, myśli, w nagrodę zaś może prowadzić życie, w którym obowiązują odmienne reguły niż w życiu innych. W którym wolność smakuje inaczej, w którym wszystko jest płynne.

Nastaje ostatni dzień 1944 roku, Rinnan urządza przyjęcie w domu przy Landstadvei dla niektórych członków grupy. Minęła już północ, usiedli z powrotem w salonie, aby dalej pić. Klara i dzieci śpią. Stół jest zastawiony popielniczkami z niedopałkami, zbitymi w gromadkę niczym maleńkie zwierzątka. Kieliszki noszą ślady palców, twarze lśnią w rozedrganym blasku świec. Tylko jedna osoba coraz bardziej milczy. Finn. Dwudziestodwulatek, z którym coś się stało wtedy na wysepce, kiedy musiał zastrzelić dwóch niewinnych ludzi. Od tamtej pory na jego ustach rzadziej gości uśmiech, a w oczach ma mrok.

Jest noc pierwszego stycznia, początek nowego roku. Finn opróżnia kieliszek, chwyta podłokietniki fotela, w którym siedzi, po czym niepewnie wstaje. Zaczesuje ciemne włosy do tyłu. Następnie mówi:

– No to chyba pójdę się zastrzelić.

Rinnan wybucha śmiechem. – Powodzenia! – rzuca i wznosi kieliszek do toastu. Pozostali robią to samo, natomiast Finn, pochylony, mija kanapę, lekko obija się o framugę drzwi i wciąga zimowe buty. Potem otwiera drzwi wejściowe.

Przyjęcie trwa dalej i dopiero po jakimś czasie ktoś zwraca uwagę na to, że Finn długo nie wraca. Następnego dnia ktoś znajduje go w okolicy, w której się wychował, z kulką w skroni i pistoletem leżącym obok w śniegu.

Tak zaczyna się pierwszy ranek nowego, 1945 roku.

R jak rynny, którymi płynie deszcz, dudniący o dach Bandeklosteret i lądujący kroplami na oknach, po których spływa nieregularnymi, trudnymi do przewidzenia torami.

Nastał kwiecień 1945, dnie i noce są jak jedna, niekończąca się burza. Stale tylko telefony, rozkazy Flescha, by przeprowadzać kolejne przesłuchania, planować kolejne akcje. Rinnan pije, łyka pigułki, wyłapuje ludzi, odbiera życie. Urlop ma tylko raz, w marcu, razem z najnowszą kochanką, Gunnlaug Dundas, którą nazywa Kicią. Pozostały czas zlewa się w jedno, ale nie ma już wyjścia. Tylko ten system może zapewnić mu wynagrodzenie i władzę. Tylko wojna może ochronić Rinnana przed wszystkimi, którzy czyhają na jego życie.

Nadchodzi popołudnie, gdy jeden z agentów informuje go o powrocie Marie Arentz do Norwegii po kilku latach spędzonych w Niemczech. Ona i jej ukochany Bjørn Bjørnebo z innej niemieckiej organizacji wywiadowczej planowali ucieczkę do Szwecji i właśnie skontaktowali się z kimś, kto może im pomóc. Pomocnicy są nieświadomymi informatorami Rinnana, pracują dla niego, nie zdając sobie z tego sprawy. Rinnan dziękuje mężczyźnie za informacje, prosi go też, aby przekazał, że uchodźcy mogą się szykować, bo ktoś odbierze ich jeszcze tego samego wieczoru.

Później nalewa sobie kieliszek likieru kawowego i mówi o wszystkim Karlowi.

– Pozwolisz im wyjechać? – pyta Karl, nie bez kozery, bo czasem Rinnan tak właśnie robi w porozumieniu z Fleschem: pozwala uchodźcom pokonać granicę, by szerzyli dobre słowo o organizacji i uzasadniali jej działalność. To prosty rachunek – czasem trzeba wypuścić z kraju pewną liczbę nieistotnych uchodźców, aby schwytać iluś aktywnych członków ruchu oporu.

Rinnan uśmiecha się i kręci przecząco głową. Tych dwoje się nie wymknie. Nigdy w życiu. Wypija łyk, zlizuje likier z warg i zdradza Karlowi swój plan.

Nadchodzi wieczór. Marie i Bjørn czekają w mroku, nagle rozciętym przez światła samochodu, który zatrzymuje się przed nimi. Na siedzeniach

z przodu siedzi dwóch mężczyzn. Bjørn pozwala Marie iść pierwszej, a następnie sam wsiada do auta i z ulgą spogląda na kierowcę.

– Świetnie, że mogliście tak szybko przyjechać – odzywa się. Kierowca zdejmuje kapelusz i odwraca się do nich.

– Cześć, miło znów was widzieć. – Rinnan posyła im uśmiech.

– Henry Oliver? – mówi Marie.

W tej samej chwili Karl odwraca się z miejsca dla pasażera i kieruje w ich stronę rewolwer. Henry myśli o tym, że dziwnie znów widzieć jej twarz. Długie włosy otulające policzki, które kiedyś głaskał. Widzieć usta, które całował, i oczy, które kiedyś zamykały się z rozkoszy, gdy się kochali. Teraz role się zmieniły, ale nie z mojej winy, myśli Rinnan.

– Co chcesz z nami zrobić? – pyta Marie.

– Tylko się przejechać – mówi Rinnan, zmieniając bieg. – Ale nie do Szwecji.

– A dokąd? – chce wiedzieć Bjørn.

– Do domu – odpowiada Rinnan. – Wrócimy do domu i wymyślimy, co by tu zrobić z taką parą zdrajców.

R jak Riksarkivet, Archiwum Państwowe w Oslo. Starszy ochroniarz sprawdza mój identyfikator, po czym wspinam się po schodach, mijam gabloty ze starymi książkami i podchodzę do punktu informacyjnego. Wykładam sprawę pracującej tam osobie, która mówi, że wszystkie materiały na temat Rinnana przechowuje się w postaci cyfrowej, a nie mogłem wejść tutaj wcześniej, ponieważ dostęp do dokumentów jest ograniczony. Ze względu nie na Rinnana, lecz na niewinne ofiary, których nazwiska lub fotografie pojawiają się w papierach. Można tam znaleźć wszystko, co go dotyczy, to znaczy wszystko, co się ostało, bo podobnie jak Henry Oliver Rinnan, biuro z siedzibą w Hotelu Misyjnym w ostatnich dniach wojny usiłowało zniszczyć jak najwięcej materiałów dowodowych.

Stron jest przeszło pięć tysięcy. W większości to zeskanowane kartki w formacie A4 z notatkami napisanymi na maszynie. Znajdują się tam zapisy z przesłuchań Rinnana, jego niesamowite opisy związku z fikcyjną rosyjską agentką. Tego, jak uśpiła go chloroformem, lecz nie potrafiła odebrać mu życia, bo byli w sobie zakochani. Wśród dokumentów są też

stenogramy z przesłuchań ocalałych więźniów oraz zdjęcia zwłok. Jedna fotografia szczególnie zapada w pamięć. Widnieje na niej martwy więzień z Bandeklosteret, znaleziony w śniegu, ma skulone ciało, mocno owinięte sznurem, jak związany kurczak albo szynka.

Przeglądam zapisy z przesłuchań i dzienniki sądowe. W końcu natrafiam na katalog zatytułowany „Różne". Wkrótce pojawia się jedna z notatek Rinnana. Ta, którą cytowałem wcześniej za jedną z jego biografii. Szukam dalej, lecz nie znajduję innych notatek sporządzonych jego ręką niż te, które już znam. Zapewne zostały zniszczone tuż przed końcem wojny, tak samo jak przepadł zapis z twojego przesłuchania. W końcu jestem zmuszony uznać, że nie wyjaśnię tajemnicy.

R jak rozprawa, którą Rinnan przeprowadza w Bandeklosteret. Jest noc z osiemnastego na dziewiętnastego kwietnia 1945 roku, światło ulicznych latarni wpada przez okno w salonie, rzucając długie cienie dwóch osób, które stoją pośrodku pokoju z rękami związanymi liną na plecach: to Marie Arentz i Bjørn Bjørnebo. Rinnan siedzi za swoim biurkiem, po obu stronach ma pozostałych członków bandy. Nalewa sobie kieliszek likieru, oblizuje wargi i upija łyk, po czym odchrząkuje, by zwrócić uwagę obecnych.

– Szanowni zgromadzeni! Wysoki Sądzie, Karlu Dolmenie. Jeden z oskarżonych chce sam pełnić funkcję obrońcy, siedzi… o, tutaj. Sąd otwiera posiedzenie!

Uderza trzcinową rózgą w biurko i szeroko uśmiecha się na dźwięk jej słabego trzasku.

– Widział kto podobny młotek? Musimy znaleźć coś lepszego dla sędziego. Zobaczmy…

Rinnan wstaje, podchodzi do kominka i wyjmuje polano. Nikt nic nie mówi, gdy je podnosi, waży w ręku, odkłada na miejsce i kręci głową. Następnie rozgląda się po pokoju. Wszyscy podążają za jego spojrzeniem, oprócz dwojga oskarżonych, wpatrzonych w podłogę, w punkt przed swoimi stopami. Wreszcie Rinnan zauważa coś odpowiedniego, przynosi krzesło z jadalni i podaje je Karlowi.

– Wysoki Sądzie, raczy sąd wyjąć jeden z tych młotków sędziowskich. Próbowały zbiec, podobnie jak niektórzy z tutaj obecnych…

Rinnan wskazuje z teatralną przesadą na dwoje oskarżonych, a w reakcji kilkoro członków bandy szczerzy się w uśmiechu.

– Na przykład ten młotek sędziowski… – ciągnie i poklepuje dłonią jedną z nóg krzesła. – Próbował zniknąć. Starał się u d a w a ć, że wcale nie jest młotkiem sędziowskim, tylko niewinną nogą od krzesła! – Rinnan widzi, jak jego słowa działają na pozostałych, jak wielu z nich zaczyna się śmiać z jego żartu, więc ścisza głos i dotyka ramienia Karla Dolmena.

– Ale my nie damy się oszukać, no nie, sędzio? – kończy i odstępuje na bok, by zrobić mu miejsce.

Karl Dolmen potrząsa głową, ale przyjmuje krzesło. Kładzie je płasko na podłodze, jedną stopę stawia na spodniej stronie siedzenia i przechyla nogę mebla w bok. Rozlega się trzask przerywanych suchych włókien i metaliczny jęk gwoździ wyciąganych z drewna.

– No proszę, sędzio! Już jest! – mówi Rinnan.

Karl uderza kilkakrotnie nogą o wnętrze dłoni i spogląda na Rinnana.

– Dziękuję, prokuratorze. Świetny młotek!

– Cieszę się, że mogłem pomóc, Wysoki Sądzie!

Rinnan mija Bjørna Bjørnebo i znów zajmuje miejsce za biurkiem. Zerka na Karla, uśmiecha się.

– Sąd otwiera posiedzenie, sędzio… Wie sędzia, że trzeba postukać młotkiem w stół i tak dalej?

Karl ożywia się i trzy razy stuka w stół nogą od krzesła.

– Tak… Sąd otwiera posiedzenie, możemy zaczynać… Prokuratorze, czy może pan na wstępie powiedzieć, o co oskarżonych jest tych dwoje komunistycznych dezerterów?

Rinnan upija łyk likieru, a kiedy wstaje, rozlega się szuranie odsuwanego krzesła.

– Tak, Wysoki Sądzie. Tych dwoje, Marie Arentz i Bjørn Bjørnebo, zostało oskarżonych o zdradę narodu, bunt i usiłowanie ucieczki.

Karl kiwa z zadowoleniem głową.

– Znakomicie. Dziękuję! Czy oskarżeni zgłaszają sprzeciw?

Marie nieznacznie potrząsa głową. Bjørn się nie odzywa.

– Brak sprzeciwu?! – Rinnan opiera łokcie o stół, chowając głowę między ramionami. – Mówimy tu o wyjątkowo poważnych przestępstwach. Czy mamy jakieś dowody na poparcie tych zarzutów? Nie możemy przecież osądzać ludzi o tak ciężkie przestępstwa bez żadnych dowodów…

Karl potakuje.

– Tak, prokuratorze, musimy zobaczyć jakiś dowód. Mamy takowy?

Rinnan odsuwa krzesło na bok i wychodzi przed stół.

– Tak się składa, że na sali znajduje się świadek, Wysoki Sądzie. Czy Henry Oliver Rinnan mógłby stanąć w miejscu dla świadków?

Inga klaszcze z radości, podczas gdy Rinnan zbliża się do niedużego sekretarzyka przyciągniętego spod ściany, ozdobionego pojedynczym wazonem.

– Tak, to ja… Dziękuję… Tak… – odpowiada Rinnan, spoglądając na puste biurko, przy którym przed chwilą stał jako prokurator, i kilka razy kiwa głową, jakby zadawano mu pytania, a on usiłował sformułować odpowiedzi. Pozostali się śmieją.

– Tak, Wysoki Sądzie. Chętnie opowiem o swojej znajomości z tych dwojgiem zdrajców narodu. Marie Arentz poznałem w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, gdy przyjaźniła się z jedną z pierwszych członkiń bandy, a mianowicie z Ragnhild Strøm. Razem udały się na pokładzie statku M/S Kong Haakon wykonać wyjątkowo ważną i zakończoną powodzeniem misję w Bodø, gdzie zinfiltrowały komórkę ruchu oporu i odkryły wiele istotnych szlaków przerzutowych do Szwecji…

Rinnan w roli świadka udaje, że słucha, kilka razy kiwa głową i mówi:

– Tak, tak, zdecydowanie, całkowicie się zgadzam. – Tak, panna Arentz bez wątpienia była wybitną agentką Sonderabteilung Lola… Mogła zajść bardzo wysoko, ale zbiegła, jak sąd słusznie zauważył, wstąpiła w szeregi niemieckiego Czerwonego Krzyża, jakby nie mogła wybrać inaczej. Powinna była tam zostać, gdyby miała dość oleju w głowie. Jednak ona wróciła do Trondheim, gdzie związała się z tym oto podłym szpiegiem o nazwisku… Niech no pomyślę… Jak mu tam? Ulv Ulvesen, chyba tak…

Kobieta Karla Dolmena, Ingeborg Schevik, śmieje się w głos, w związku z czym Gunnlaug także chichocze, jakby nie mogła się powstrzymać. Rinnan napotyka jej spojrzenie i uśmiecha się przebiegle, tak cieszy go ta rozprawa i uśmiech Gunnlaug, musi jednak wrócić do roli, dlatego opanowuje się i mówi:

– Nie, przepraszam, Bjørn Bjørnebo, z konkurencyjnej służby wywiadowczej, tak beznadziejnej, że nie chciało mi się nawet zapamiętywać jej nazwy.

Rinnan wraca na miejsce prokuratora, popija likier i czuje alkoholowe ciepło rozlewające się po ciele.

– A zatem, panie Henry Oliverze Rinnanie. Czy może pan powiedzieć, co wydarzyło się później, a zwłaszcza dlaczego ci dwoje zostali oskarżeni?

Rinnan wraca na miejsce dla świadków, kładzie wyprostowane ręce na blacie stołu i kieruje uwagę na Karla Dolmena.

– Wysoki Sądzie, wydarzenia te miały miejsce dzisiaj. Od jednego z naszych nieświadomych informatorów dowiedziałem się o norweskiej parze planującej ucieczkę, więc zorganizowałem im transport do granicy. Załatwiłem samochód, pojechałem na miejsce i czekałem, wkrótce też zjawiła się ta oto para gruchających gołąbków, gotowych do lotu przez granicę. Nie byli zadowoleni, gdy zobaczyli, kto siedzi za kierownicą, mogę zapewnić państwa tu zgromadzonych!

Rozgląda się, a twarze pozostałych jaśnieją. Rinnan przechodzi przez pokój i wyrywa Karlowi z rąk nogę od krzesła.

– Skoro to sprawa dla Sądu Najwyższego, musimy mieć więcej sędziów, prawda? – Karl kiwa głową, Rinnan zaś widzi, jak Ingeborg z uśmiechem szturcha w bok Gunnlaug.

– Zgadza się – odpowiada Karl, ale Rinnan już zdążył się odwrócić.

Idąc przez pokój, raz za razem uderza nogą od krzesła o wnętrze dłoni. Napotyka spojrzenia członków gangu, widzi, jak w ich oczach płoną iskierki nadziei. Następnie staje za stołem, gdzie odgrywał rolę prokuratora, i patrzy na miejsce, w którym stał jako świadek.

– Znakomicie, panie Rinnan. Dziękuję za ten krótki i precyzyjny wstęp. Czy oskarżeni chcą skomentować postawione im zarzuty?

Bjørn i Marie kręcą głowami, ale nie odpowiadają, więc Rinnan podnosi głos i mocno uderza nogą od krzesła w stół.

– Pytam, czy oskarżeni chcą skomentować postawione im zarzuty?!

Marie i Bjørn aż podskakują, by zaraz spojrzeć na Rinnana i bardziej szeptem niż na głos powiedzieć: „Nie!".

Najpierw Marie, po niej Bjørn.

– Dobrze. Dziękuję. Czy oskarżeni rozumieją, jaki jest wymiar kary za zdradę i ucieczkę?

– Nie – odpowiada Bjørn.

– Nie, ja w sumie też nie… Wysłuchajmy zatem zdania ławy przysięgłych, zanim główny sędzia ogłosi wyrok…

Oboje musieli to przeczuwać, jednak dopiero teraz chyba naprawdę zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Może Marie miała nadzieję, że to, iż byli kiedyś w związku, odegra tu jakąś rolę, że Henry będzie chciał ją oszczędzić, lecz w tej chwili nadzieja pryska, Marie wybucha bezgłośnym płaczem. Łzy toczą się jej po policzkach i kapią na sukienkę.

– Czy obrońca chce przedstawić sądowi okoliczności łagodzące?

Bjørn potrząsa głową, a jego ruch zdradza niepewność, jakby obawiał się konsekwencji niewłaściwej odpowiedzi.

– Nie! Choć to nietypowe.

Rinnan się rozgląda, wszyscy obecni w pokoju się uśmiechają.

– Zazwyczaj obrońca stara się zmienić albo jak najbardziej złagodzić wyrok, ale nie w tym przypadku, panie obrońco…?

Bjørn Bjørnebo znów kręci głową.

– Co na to powiemy, główny sędzio?

– Cóż… Jeśli dobrze rozumiem, obrońca nie ma nic korzystnego do powiedzenia o tych przestępcach – mówi Karl. – Jedyną dobrą rzeczą, jaką można powiedzieć o oskarżonych, jest chyba to, że panna Arentz ma na sobie ładną sukienkę.

Rozlega się śmiech, na co Rinnan stuka nogą od krzesła w biurko.

– Właśnie. Całkowicie się zgadzam. Ładna sukienka, pod którą z pewnością kryje się coś równie ładnego…

Wielu członków bandy zaczyna klaskać, ale Rinnan nie zwraca na to uwagi. Wpatruje się prosto w stojącą przed nim parę.

– A zatem podtrzymuję oskarżenie. Wysoki Sądzie, na jaką karę sąd skazuje tych dwoje? – Rinnan przekazuje nogę od krzesła Karlowi.

Karl patrzy na niego, jakby się wahał, po czym spogląda na parę, oblizuje wargi i oznajmia:

– Niniejszym skazuję tych dwoje oskarżonych na najsurowszą karę przewidzianą przez prawo, na karę śmierci.

– Znakomicie, dziękuję – mówi Rinnan. – Proszę zaprowadzić tych dwoje do piwnicy.

Po tych słowach Marie się wyrywa, odwraca i rzuca do drzwi, lecz powstrzymują ją członkowie bandy, którzy ją chwytają i ciskają na podłogę.

– Nie!!! – krzyczy, wierzgając nogami i szamocząc się z boku na bok.

Bjørn podchodzi do niej, tak samo jak ona z rękami związanymi na plecach, ale nie udaje mu się powiedzieć więcej niż „proszę", bo dwóch członków bandy i jego ciska na dywan. Gunnlaug stoi przy ścianie i patrzy, jedną ręką nerwowo skubiąc mankiet bluzki. Nie uśmiecha się. Od dawna się nie uśmiecha i w sumie nic w tym dziwnego, jako całkiem nowa może oczywiście odczuwać, że to zbyt wiele, lecz jednocześnie musi też pojąć, że to część pracy Henry'ego, za którą mu płacą.

– Odprowadzić więźniów! – krzyczy Rinnan, puszczając oko do Gunnlaug.

Dwóch mężczyzn wynosi parę skazańców, jeden trzyma nogi, a drugi tułów. Marie krzyczy i płacze przez całą drogę z pokoju do drzwi do piwnicy. Wkrótce do salonu dochodzą już tylko jej wrzaski.

– Szanowni bliźni, sąd zamyka posiedzenie! – mówi Rinnan i obchodzi biurko. Z udawanym spokojem maszeruje przez pokój, aż pod drzwi do piwnicy. Odurzenie likierem i tabletkami przytępia mu myśli i odbiera pewność krokom, więc opiera się o framugę, na chwilę odwraca się do pozostałych, mówi:

– Do zobaczenia wkrótce, przyjaciele – i schodzi na dół. Stopień po stopniu. Po drodze uśmiech znika z jego twarzy, zastępuje go nagły, zaskakujący smutek, ponieważ wie, co będzie musiał zrobić.

S

S jak *Stolpersteine*, kamienie pamięci. Na wiele sposobów można próbować dotrzeć do tego, czego niepodobna opisać słowami. Starać się ogarnąć rozumem zdarzenia tak niepojęte i bestialskie, że myślom i uczuciom trzeba podparcia, zanim w ogóle podejmie się próbę. Pomocne w tym są na przykład kamienie pamięci. Jak dotąd w różnych miastach Europy rozmieszczono około sześćdziesięciu siedmiu tysięcy kamieni z brązu, na których widnieją nazwiska zmarłych. Sześćdziesiąt siedem tysięcy ludzi, z których każdy był kiedyś dzieckiem. Lubił słuchać jakiejś muzyki. Miał złe przyzwyczajenia. Sześćdziesiąt siedem tysięcy różnych ludzi, którzy się zakochiwali, marzyli o przyszłości. Pyskowali, śmiali się, śpiewali, kochali. Sześćdziesiąt siedem tysięcy to niepojęcie dużo, pomyślałem, gdy po raz pierwszy usłyszałem tę liczbę, lecz zaraz potem uzmysłowiłem sobie, jak wiele kamieni jeszcze brakuje, jeżeli dzieło miałoby zostać zwieńczone. Zostało ich jeszcze blisko sześć milionów. Chodniki Europy powinny wręcz pokryć się miedzią, jeżeli projekt miałby kiedyś zostać ukończony. Ta myśl przyprawia o zawrót głowy, prawie nie da się jej wytrzymać. Raptem przypominam sobie synagogę w Pradze, którą odwiedziłem z Rikke niedługo po tym, jak zostaliśmy parą. Spokojne miejsce, gdzie nazwiska zabitych mieszkańców miasta wypisano na czerwono na białej, murowanej ścianie, od podłogi aż po sufit, przez co wchodząc tam, miało się wrażenie, jakby wkraczało się do grobowca, podczas gdy natarczywy szept wymienianych nazwisk ciągnął się i ciągnął, bez słów: „Nie zapomnijcie o mnie. Nie zapomnijcie o mnie. Nie zapomnijcie o mnie. Nie zapomnijcie o mnie".

S jak serie ćwiczeń podczas karnej musztry, do której zmuszono cię tylko raz i która mogła przyjmować rozmaite formy. Ten jeden raz, kiedy kazano ci w niej uczestniczyć, przebiega tak: ustawieni w szeregu, musicie w jak najszybszym tempie wpełzać pod łóżka i wspinać się na nie. Robić przysiady na podłodze, przewrót w przód i od razu zaczynać następną rundę, najszybciej, jak potraficie, popędzani ciosami i kopniakami

stojących szeregiem żołnierzy. Jednemu mężczyźnie, którego znasz, zostaje wybita szczęka, więc ląduje w izbie chorych. Tobie udaje się uniknąć większych urazów. Czujesz jedynie złość, bo maltretowanie trwa do czasu, aż zmęczeni żołnierze dowiadują się, że mogą już przestać.

S jak spokój w celi. S jak szał.

S jak sen, który przychodzi zrywami. S jak strudzone mięśnie. S jak słowiański język twojego dzieciństwa, w którym możesz rozmawiać z rosyjskimi i jugosłowiańskimi więźniami. S jak sale, jak smutek i słońce na niebie, które świeci, choć nie wie i nie przejmuje się tym, co oświetla, czyje ciała ogrzewa – czy więziennego strażnika, odchylającego głowę z zamkniętymi oczami, więźnia, zmuszonego do czołgania się po ziemi, czy może cytrynka, który na chwilę siada mu na plecach, kiedy on leży wyczerpany, i który zaraz znów się podrywa i przelatuje nad żółtym murem.

S jak słowa przypisywane Rinnanowi, którymi podobno witał nowych więźniów przybywających do Bandeklosteret: „Witamy w jedynym miejscu w Trondheim, gdzie mówi się prawdę".

S jak spacer z psem. W jednym z wywiadów Klara Rinnan opowiada o tym, jak po raz pierwszy dowiedziała się o niewierności męża, gdy jakiś jej znajomy zobaczył go wychodzącego z hotelu w towarzystwie innej kobiety. Dlaczego trwała w małżeństwie? Mieli trójkę dzieci, on był często nieobecny, ale miły dla maluchów, gdy bywał w domu, a co nie mniej istotne – dobrze zarabiał i dbał o to, by mieli wszystko, czego im trzeba, w czasach, gdy większość ludzi stała w kolejkach po reglamentowane towary. Dlatego z nim została.

Idąc ulicami Trondheim, przypadkiem spotkała młodą kobietę na spacerze z ich owczarkiem. Klara mówi, że pies od razu ją rozpoznał i pociągnął za smycz, aby się do niej zbliżyć, merdając ogonem. Kobieta z psem była ostatnią kochanką Rinnana, zwaną Kicią. Zaszła z nim w ciążę, lecz usunęła ją w więzieniu, jak mówi Klara w wywiadzie.

Oddaliły się każda w swoim kierunku, a Klara nie chciała się odwracać, żeby nie spojrzeć owczarkowi w oczy. Słyszała tylko, jak obca kobieta przywołuje psa, po czym pociągnęła go za sobą i odeszła.

S jak strach, który słychać w krzyku dobiegającym z piwnicy Bandeklosteret. Jest dwudziesty szósty kwietnia 1945 roku, minął jakiś tydzień od rozprawy Marie i Bjørna. Rinnan schodzi do piwnicy. Był w Hotelu Misyjnym, aby powiedzieć Fleschowi o więźniach i dowiedzieć się, co z nimi zrobić.

– Zabij ich – odpowiedział Flesch krótko. Rinnan chciał pytać dalej – jak i kiedy ma się to odbyć – ale nie miało to sensu. Flesch się tym nie przejmował, więc nie powinien zawracać mu głowy.

Więźniowie stoją z rękami związanymi na plecach. Karl celuje do nich z pistoletu. Marie zaczyna się wyrywać i krzyczeć, gdy go zauważa, Rinnan kładzie palec na ustach, kobieta jednak się nie ucisza. Cofa się, potyka o własne nogi i z łomotem upada na podłogę, ale nie uderza się w głowę. Bjørn rusza w jej stronę, jednak Karl Dolmen chwyta go za koszulę i przytyka mu pistolet do czoła. Z wybałuszonymi oczami odwraca się do Rinnana, gotów wykonać rozkaz.

Marie pełznie dalej ku przeciwległej ścianie. Wijąc się, sunie przed siebie. Zdziera skórę z nagich kolan i łokci, zanosząc się szlochem.

– Wprowadź go do pustej celi! – woła Rinnan, a Karl wykonuje polecenie. Pcha więźnia przed sobą, Bjørn musi stawiać drobne kroki, by się nie potknąć.

Rinnan obchodzi stół z obcęgami i biczami, przeskakuje jedną z beczek. Marie wciąż krzyczy, patrzy na niego i zawodzi: – Zostaw mnie! Zostaw mnie! – aż bolą uszy, za dużo dźwięków, myśli Rinnan i rozgląda się za jakimś rozwiązaniem, za czymś, co ją uciszy; w końcu podnosi buteleczkę, z której nigdy jeszcze nie korzystał, z magicznym słowem „chloroform” na etykiecie. Odkręca korek, obok znajduje szmatkę i ją nasącza.

– Zostaw mnie! Pomocy! Pomóżcie mi!

Rinnan podchodzi do niej. Marie wylądowała w kącie pod ścianą i wrzeszczy, wydaje z siebie głośny, przenikliwy krzyk. Rinnan odwraca się, podnosi pistolet i strzela, tak że pocisk trafia w ścianę metr od niej.

– Marie! – woła Bjørn z celi, na co Karl każe mu się zamknąć. Marie płacze, ale leży bez ruchu.

– Proszę, przestań krzyczeć. – Rinnan podchodzi do niej ze szmatką schowaną za plecami. – Po prostu bądź cicho…

Kobieta patrzy na niego wytrzeszczonymi oczami. Ma przyspieszony oddech, otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

Wtedy on przyciska jej do twarzy szmatkę nasączoną chloroformem.

W filmach, w których Rinnan widział podobne sceny, ofiara opada z sił zaraz po zetknięciu ze szmatką, nie stawiając oporu, osuwa się elegancko na podłogę, jakby kładła się na letniej łące, by zamknąć oczy i zasnąć. W tym przypadku tak nie jest. Marie napina mięśnie, chcąc zrobić unik. Próbuje odeprzeć go kopniakami i się wywinąć.

– Do kurwy nędzy! – wykrzykuje Rinnan, wolną ręką chwytając ją za ramię i wciąż przyciskając jej szmatkę do nosa i ust. Marie usiłuje ugryźć go przez materiał, aż musi mocniej ją trzymać, lecz wreszcie chloroform zaczyna działać. Rinnan zabiera rękę, zaciskając szmatkę w dłoni, czuje, jak środek znieczulający rozluźnia kobiecie mięśnie, pozbawia je życia – są jak suknia osuwająca się z krzesła.

Karl wchodzi. Skoncentrowany.

– Marie! – woła Bjørn, więc Karl wraca do niego. Stuka chwytem pistoletowym o drzwi celi i każe mu stulić pysk.

Rinnan kuca przed Marie. Sukienkę ma podciągniętą na brzuch, tak że widoczne są majtki. Henry wstaje i podchodzi do stołu. Znajduje tam nóż do patroszenia o brzozowej rękojeści i długim, spiczastym ostrzu. Przesuwa kciukiem po jego krawędzi i czuje, jak bardzo jest ostra. Następnie znów kuca przed Marie, zbliża nóż do jej biodra, wsuwa na płasko pod majtki, przekręca i zaczyna rozcinać bawełnę. Stara się nie zadrasnąć skóry. Kilka pociągnięć nożem, aż wreszcie ostrze przechodzi przez tkaninę, gumka dzieli się na dwoje i opada. Rinnan chwyta luźną część majtek, zaciska je, żeby wsunąć nóż pod materiał na drugim biodrze. Czuje dotyk jej skóry, suche włosy łonowe na samej górze. Jeden ruch i majtki są już rozcięte po obu stronach. Rinnan słyszy, że Karl się zbliża, ale się nie odwraca, tylko wprowadza ostrze pod sukienkę, koło brzucha,

i ciągnie nóż w górę, przez tkaninę, do siebie. Wystarczy już tylko chwycić materiał po obu stronach i rozerwać resztę.

Jej pierś unosi się wolno, a twarz jest nieruchoma, spokojna, jak w te poranki, gdy budzili się obok siebie.

Henry wsuwa nóż pod biustonosz i go rozcina. Jego oczom ukazują się piersi, pięknie rozlewają się na boki, brodawki sterczą do góry. Te same, w których zatapiał twarz, które lizał i ssał.

– Co z nią zrobimy? – pyta Karl.

– Znajdź linę – odpowiada Rinnan, nie odwracając się. Gładzi Marie po brzuchu. Otula dłonią pierś.

– Marie! Jesteś tam?! – woła znów Bjørn z celi.

Rinnan nie odpowiada. Opiera ostrze o kobiece ramię i rozcina dwa ostatnie skrawki materiału, na których trzyma się sukienka. Następnie je rozprostowuje, przez co suknia przypomina ubranko wycięte z magazynu, z paskami do zagięcia z boku, które można założyć na papierową figurkę.

Rinnan odkłada nóż i podchodzi na czworakach do Marie. Podnosi jej tułów, bezwładną głowę opiera sobie na kolanach. Włosy Marie rozpościerają się na jego spodniach. Wargi ma rozwarte, wciąż miękkie i piękne. Oczy zamknięte. Karl wchodzi do środka i patrzy na nich. W jednej ręce trzyma sznur, stara się nie zatrzymywać spojrzenia na nagim kobiecym ciele.

– Dziękuję – mówi Rinnan, nie podnosząc wzroku. Gładzi Marie po czole i ostrożnie odsuwa jej włosy z oczu. – Zrób dobrą pętlę i zamocuj linę pod sufitem.

– Tak jest, szefie!

Karl przesuwa końcówkę liny przez belkę. Następnie wiąże pętlę i podaje ją Rinnanowi, który nareszcie patrzy na niego.

– Dziękuję, Karl – mówi i nakłada Marie pętlę na głowę. Delikatnie unosi jej potylicę, żeby nie zrobić jej krzywdy, w końcu owija sznurem szyję i zaciska.

– Już. Możesz ciągnąć, Karl.

Karl podchodzi do liny zwisającej z belki i zaczyna za nią ostrożnie pociągać. Głowa Marie przechyla się do tyłu i unosi nad podłogą. Po niej

tułów, po trochu, za każdym szarpnięciem Karla za sznur. Ręce wiszą luźno po bokach, a Rinnan siedzi, patrząc, jak Marie lewituje nad jego kolanami, a potem zawisa nad podłogą, z dyndającymi rękami i lekko odchyloną głową.

– Dobrze, Karl, jeszcze trochę – mówi, Karl zaś wykonuje polecenie, wtedy jednak Marie zaczyna wierzgać.

Rinnan podpełza do niej i obejmuje jej nogi w kolanach, mocno przytrzymuje. Ściąga ją w dół, podczas gdy Karl ciągnie z drugiej strony. Czuje, jak pulsuje w niej życie, jak miota się i wije pod jego palcami, gdy przyciska twarz do jej ud i ciągnie z całych sił, aż Marie nieruchomieje, później zaś tylko obraca się wolno z powodu skręconej liny.

Dopiero wtedy Rinnan puszcza jej nogi i podnosi głowę. Dziwny to widok. Naga kobieta, ciało, przy którym leżał, okręca się powoli, zwieszona z liny zaczepionej pod sufitem. Ze zmęczenia brakuje mu tchu. Karlowi również. Słyszy dzwonek telefonu na górze.

– W porządku, możesz ostrożnie ją opuścić – mówi Rinnan, na co Karl po trochu wypuszcza linę.

Sznur zrywami ociera się ze szmerem o drewnianą belkę pod sufitem. Wreszcie Marie opada nieruchomo na parkiet. Piersi leżą na boku. Kosmyk włosów wpadł jej do ust.

– No tak. To będzie jej pogrzeb, Karl. Możesz sprawdzić na górze, czy mamy jakieś kwiaty? – pyta Rinnan. Karl idzie, a Henry siada tuż przy Marie, przy lekko odchylonej głowie, przy ciężkich piersiach leżących na podłodze.

– Halo?! Marie?! – woła Bjørn z celi.

Rinnan przesuwa palcem wskazującym po jej udzie. Kładzie dłoń na jej brzuchu, tak jak tamtego ranka w sypialni, gdy obudzili się razem nadzy. Drugą ręką odsuwa włosy, które znów zasłaniają jej oczy. Nie chce, żeby do nich wpadały.

– Dlaczego musiałaś uciec, Marie? Dlaczego musiałaś to zrobić?

W tej samej chwili przychodzi Karl z wazonem kwiatów z salonu.

– Dziękuję – mówi Rinnan cicho, odsuwając się od martwego ciała. Wyjmuje kwiaty, zagina palce Marie na łodyżkach, dłonie ściskające bukiet kładzie między jej udami, tak że prawie zasłaniają łono.

Wygląda ładnie. Leży z zamkniętymi oczami, z kwiatami w rękach. Ładniej już się nie da, myśli Henry, zapala papierosa i prosi, by Karl sprowadził Bjørna, z nim też muszą już skończyć.

– Halo?! Marie! Rinnan! Co się tam dzieje?! – krzyczy Bjørn.

Karl przechodzi przez pomieszczenie, zdejmuje pęk kluczy z haczyka na ścianie i otwiera kłódkę na drzwiach celi. Następnie wyciąga stamtąd więźnia i zabiera go do pokoju. Rinnan widzi gwałtowne ruchy Bjørna i jego rozbiegany wzrok, zanim mężczyzna dostrzega ciało pośrodku podłogi. Nagle się uspokaja. Nogi prowadzą go same naprzód, a wargi poruszają się, gdy powtarza: – Nie, nie, nie, nie… Wreszcie kuca koło Marie. Nikt nie próbuje go zatrzymać. Bjørn dotyka dłonią jej czoła, mówi przez łzy, że też chciałby umrzeć. Pyta, czy mogą już mieć to z głowy.

– Aha. Załatwione – odpowiada Rinnan. Przytyka lufę rewolweru do czoła Bjørna i pociąga za spust. Pistolet wydaje zaskakująco głośny huk, głową mężczyzny targa nagły wstrząs, krew wypływa na beton.

Karl spogląda na drugą celę, w której siedzi jeszcze jeden więzień, członek ruchu oporu. Potem patrzy na Rinnana, który odpowiada mu krótkim skinięciem głowy. Tamtego więźnia też trzeba się pozbyć, żeby nie mógł nikomu powiedzieć, co tutaj widział.

Ś

Ś jak świerki – czasami każą ci wykopywać i przepiłowywać korzenie tych wielkich drzew. Praca jest tak wyczerpująca, że mięśnie drżą później, gdy trzymasz łyżkę, więc rozlewasz zupę. Ś jak światło wieczoru, ten spokój, gdy tytoniowy dym unosi się nad spacerniakiem, a powietrze wypełniają pogawędki i kwakanie kaczek krzyżówek zbierających się, żeby odlecieć na zimę.

Ś jak ślina. Ś jak śpiewy na poprawę nastroju, rozbrzmiewające w niektórych warsztatach.

Ś jak środa, siódmy października 1942 roku.

T

T jak trumny. A raczej skrzynie z sosnowych desek, upstrzone gdzieniegdzie brązowymi plamami sęków.

T jak cyfra trzy. W piwnicy leżą trzy ciała – Marie Arentz, Bjørna Bjørnebo oraz Dagfinna Frøylanda, członka ruchu oporu, którego zabili tego samego wieczoru. Na piętrze Rinnan chwyta za słuchawkę telefonu, który łączy go bezpośrednio z centralą w Hotelu Misyjnym. Nauczył się trochę niemieckiego i chce pokazać to pozostałym.

– *Guten Tag* – odzywa się do mężczyzny po drugiej stronie. – *Drei Kisten, bitte, für Sonderabteilung Lola.*

Pada pytanie, gdzie dostarczyć trumny, więc podaje adres i dowiaduje się, że zostaną wysłane najszybciej, jak to możliwe.

– *Vielen Dank* – mówi Rinnan z zadowoleniem i odkłada słuchawkę, po czym wypija łyk z kieliszka. Dobry likier, w sam raz słodki, gęsty i przyjemny w ustach. Owczarek się podnosi, patrzy na niego wyczekująco, a Rinnan głaska go po łbie, mierzwi zwierzęciu futro, potem zaś wchodzi do salonu, gdzie słyszy, że Karl myje ręce w toalecie, dlatego czeka, aż tamten wyjdzie.

Pozostali członkowie bandy są zajęci swoimi sprawami. Czytaniem dokumentów, paleniem papierosów, pogawędkami lub planowaniem nowych obław. Szkoda Marie, ale sama jest sobie winna, myśli Henry. Taką cenę płaci się za próbę ucieczki, zdradę ich organizacji, dobrze jej tak, myśli i spogląda na Gunnlaug, ubraną w sukienkę tak jak Marie, wyobraża sobie, co zrobi z nią później, kiedy ciała zostaną już wyniesione z domu. Uśmiecha się do niej, a ona, stojąc przy oknie, próbuje się uśmiechnąć do niego, z marnym skutkiem. Co jest?, myśli Rinnan, lecz w tej samej chwili Karl wychodzi z ubikacji, więc woła do niego przez pokój. Chce, by usłyszeli go pozostali.

– Zamówiłem trzy trumny dla naszych więźniów z dołu, Karl. Mogą je przynieść w każdej chwili.

– Dobra, szefie – rzuca jedynie Karl. Załatwi wszystko, jak należy. Trzeba mieć takiego człowieka, który będzie rękami, gdy samemu jest się głową. Rinnan wychodzi do kuchni. Wszędzie stoją sterty brudnych talerzy. Pełno na nich resztek gulaszu i sosu, ale to nic, dopóki mają co jeść, myśli i zagląda do garnka. Gulasz wołowy pokrył się gęstą, ciemną błoną, ale wystarczy kilka razy zamieszać kopyścią, żeby wszystko ładnie się połączyło. Zjada trochę prosto z garnka, posyła uśmiech Gunnlaug, która wchodzi do kuchni, i częstuje ją. Ona zbliża się do niego, jak zawsze oczarowana tym, że może podejść tak blisko do szefa bandy, myśli Henry, obejmując ją w pasie. Naraz z zewnątrz dochodzi go dźwięk silników, co oznacza, że ktoś przyjechał. Przez materiał sukienki wodzi dłonią po jej szczupłym ciele; przesuwa ręką w dół po plecach, prosząc, by otworzyła buzię, i karmi ją kawałkiem mięsa. Jej oczy lśnią, Henry czuje biust przy swoim ciele, łuk pleców pod palcami i mrowienie między nogami na myśl o tym, co będą robili później.

W tej samej chwili rozlega się dzwonek do drzwi. Szybko, myśli Rinnan, pochyla się i całuje ją w usta. Na jej wargach wyczuwa smak sosu i się uśmiecha.

– Do pracy… – mówi, podając jej garnek. Wychodzi na korytarz, gdzie Karl właśnie idzie otworzyć.

– To pewnie trumny. – Rinnan opiera się o framugę w przedpokoju, podczas gdy Karl otwiera drzwi. Za nimi stoi dwóch młodych niemieckich żołnierzy. Trzymają między sobą drewnianą skrzynię zbitą z żółtych sosnowych desek. To żadna trumna. Rinnan sztywnieje. Mruga i patrzy na skrzynię. Jest, co prawda, dość duża, ma może metr długości, ale to nie trumna. Za nimi stoją jeszcze dwie identyczne skrzynie.

– *Was ist das*? – pyta Rinnan.

– *Drei Kisten* – odpowiada jeden z żołnierzy niepewnie, wskazując na dwie skrzynie za nimi. Rinnan czuje na karku spojrzenia pozostałych członków grupy, odwraca się, by zobaczyć niepewny uśmiech Gunnlaug. Kobieta widzi, że nie tego się spodziewał, pozostali oczywiście też to dostrzegają. Rinnan odwraca się znów do żołnierzy, ma ochotę zapytać ich, czy to naprawdę są *Kisten*, ale się powstrzymuje, bo przecież właśnie powtórzyli to słowo, to samo, które wypowiedział przez telefon, a więc to Rinnan popełnił błąd. *Kiste* po niemiecku najwyraźniej nie znaczy

„trumna", jak ten sam wyraz w języku norweskim, tylko „skrzynia". Niech zatem to będą ich trumny. Musi tak być, myśli, bo za cholerę nie przyzna się, że użył złego słowa. Nie ma, kurwa, mowy, żeby się tak upokorzył, więc musi improwizować, wykorzystać, co dostali, udać, że właśnie o takie skrzynie mu chodziło. Wtedy nikt z pozostałych nie ośmieli się nic powiedzieć. Przecież wiedzą, do czego jest zdolny.

– *Gut, gut, drei Kisten.* – Rinnan uśmiecha się z zadowoleniem do żołnierzy. – *Vielen Dank* – dodaje i odwraca się do reszty bandy.

– No. Karl! Weź kogoś, znieście skrzynie do piwnicy i włóżcie do nich ciała – mówi Rinnan i rusza w stronę kuchni, chce wrócić do jedzenia, najlepiej razem z Kicią, z którą dopiero co tam stał, ale Gunnlaug już nie ma. Widzi, że poszła do salonu i stara się na niego nie patrzeć. A jeszcze w marcu spędzili razem cały tydzień, kiedy on wreszcie wziął urlop. Był tylko z tą młodziutką kobietą, tak niepewną, tak łatwo dającą się uwieść.

No tak. Oczywiście może odczuwać pewien dyskomfort z powodu tych ciał, myśli. Może zorientowała się też, że kiedyś był związany z Marie, która teraz leży na dole martwa. Pewnie tak właśnie było, skoro trzymali tych więźniów przez tydzień. Ktoś na pewno zdążył się wygadać, a teraz Gunnlaug może się boi, że będzie następna, choć oczywiście tak się nie stanie, myśli Rinnan w przypływie czułości do tej cudownej kobiety. Młodej, niewinnej i pięknej. Dawno nie czułem nic podobnego, myśli, zajadając gulasz, wybiera tylko kawałki mięsa, a potem rozgląda się za jakimś deserem. Kieliszeczek likieru, mają też jakieś landrynki. Wrzuca jedną do ust, czuje, jak trzaska mu w zębach, a następnie wychodzi do salonu, gdzie Gunnlaug stoi z dłońmi niepewnie splecionymi przed sobą, jakby biedactwo nie do końca wiedziała, co z nimi zrobić.

– Proszę, wypij sobie. – Rinnan podaje jej kieliszek likieru kawowego. – Zaraz kończę, więc potem możemy wyjść, znaleźć sobie jakieś miłe zajęcie, prawda? – pyta, unosząc kieliszek. Dzwoni telefon. Ktoś go odbiera. Mija go jeden z agentów, Henry zaś wypija łyk, ciepło alkoholu rozchodzi mu się po ciele, od środka wygładzając wszelkie nierówności.

W tej samej chwili z piwnicy przychodzi Karl, czerwony na twarzy z wysiłku. Na czole perli mu się pot, minę ma zaciętą. To do niego zupełnie niepodobne.

– Szefie, nie mieszczą się do skrzyń. – Jest zdenerwowany, mówi cicho, żeby nikt inny nie słyszał, ale to na nic.

Rinnan kładzie mu rękę na ramieniu.

– Wybacz na chwilę, Kiciu – zwraca się do Gunnlaug i odchodzi kilka kroków w stronę okna. – Co mówisz, Karl?

– Ciała… Nie mieszczą się do skrzyń… Co mamy zrobić?

– Wciśnij je, Karl. Zrób, co konieczne. Takie skrzynie dostaliśmy, więc takich użyjemy. Zrozumiano?!

Pod koniec zdania czuje narastającą złość, kipiącą w nim frustrację. Bo po co, do kurwy nędzy, Karl tu przyłazi i demonstruje całemu światu, że szef bandy nie wie, jak jest trumna po niemiecku? Czy nie rozumie, że go kompromituje, ujawniając ten fakt?

– Aha, oczywiście, szefie. – Karl odwraca się na pięcie. Zerka na Kicię, po czym udaje się schodami do piwnicy.

Rinnan podchodzi do Kici, zaczyna mówić o czymś zupełnie innym, o tym, gdzie mogą zamieszkać po wojnie, o wspólnych wakacjach, i zauważa, że Gunnlaug powoli, ale skutecznie mięknie, stopniowo wyzbywa się strachu i znów się do niego zbliża. Pozwala mu się objąć w pasie, posyła mu uśmiech. Pewnie rozumie, że ma wyczerpującą pracę, że musi podejmować wiele trudnych decyzji. Ciąży na mnie duża odpowiedzialność, myśli, głaszcząc dziewczynę po plecach.

Wtedy znów zjawia się Karl, stuka go w ramię, w oczach ma strach.

– Przepraszam, że przeszkadzam, szefie – zaczyna i robi kilka kroków w tył. Chce, aby Rinnan poszedł za nim, i słusznie, dobrze pomyślał, byle nie wyciągał kolejnych problemów w obecności jego ukochanej.

– Co jest? – pyta Rinnan.

– Przepraszam, ale te skrzynie są o wiele za krótkie… Chociaż wkładamy ich ze zgiętymi kolanami, oni i tak się nie mieszczą… Co mamy zrobić?

Rinnan czuje, że traci resztki cierpliwości.

– Albo zmieścisz te ciała w skrzyniach, Karl, albo sam cię do jednej wsadzę. Zrozumiano? Gówno mnie obchodzi, jak to zrobisz. Użyj wyobraźni, do chuja – syczy.

– Przepraszam, szefie – powtarza Karl, ale nie odchodzi. Pewnie dlatego, że nie znalazł jeszcze dość dobrego rozwiązania.

– Wiesz, że na dworze mamy siekierę, prawda? – mówi Rinnan cicho. Karl kiwa głową. Odwraca się i wychodzi.

Gunnlaug zaczęła gadać z Ingeborg. Stoją zajęte rozmową, ale choć Ingeborg się śmieje, Gunnlaug zachowuje się tak, jakby nie słuchała uważnie. Karl wraca z siekierą w ręce, obrzuca spojrzeniem Rinnana, jakby w nadziei, że szef go zatrzyma, lecz on tylko patrzy mu w oczy. Karl schodzi do piwnicy.

Mija kwadrans. Może dwadzieścia minut. Karl i jeden z pozostałych członków bandy wracają z piwnicy z pierwszą skrzynią.

– Znakomicie, Karl! – woła Rinnan przez pokój. – Wynieście wszystkie trzy skrzynie i każcie wrzucić do fiordu.

W salonie zapada cisza. Nikt nie rozmawia. Wszyscy szukają czegoś, na czym mogliby zawiesić spojrzenie, udają, że są czymś zajęci, że patrzą w innym kierunku, podczas gdy dwóch mężczyzn nosi skrzynie przez pokój. Od spodu kapie z nich krew, wkrótce salon i korytarz wypełnia zapach żelaza.

Wszyscy milczą.

– Co z wami nie tak?! – pyta Henry. – Mamy wojnę do dokończenia. Pracować dalej! – krzyczy. Zapala papierosa i prosi Ingeborg o otwarcie okna. Wkrótce skrzynie znajdują się na zewnątrz.

Ktoś z własnej inicjatywy zaczyna myć podłogę. Wreszcie przychodzi noc.

T jak tłoczące się myśli Ellen Komissar, gdy szybkim krokiem, ze spojrzeniem utkwionym w ziemi, przemierza śródmieście Trondheim. Prędko oblizuje wargi i przyspiesza, nie ma czasu do stracenia, myśli, a przez głowę przelatują jej obrazy z Gersonem w roli głównej, bo jest już całkiem pewna, że coś przed nią ukrywa. Odkąd tylko duńska gosposia złożyła wypowiedzenie, Ellen zaczęła rozumieć, że zerwały się ostatnie łączące ich nici poufałości, bo nagle wzrok Gersona stwardniał. Odwraca się od niej, czyta gazetę podczas posiłków. Bierze nadgodziny i ledwie bywa w domu. Jasne, że coś ukrywa, myśli Ellen, krocząc przez ulice.

Wyobraża sobie, jak otwiera drzwi sklepu i zastaje go tam z jakąś kobietą. Albo, co gorsza, że Gersona, wbrew jego słowom, w ogóle n i e m a w pracy, że stoi tam tylko Marie, która z początku nie rozumie, o co Ellen chodzi, bo i ją Gerson wprowadził w błąd. Albo może ona też macza w tym palce, kryje syna, wymyśla historyjkę, że Gerson odbiera towar, chociaż na sto procent jest w domu u jakiejś kochanki, pewnie u tej młodej Dunki. Kotłuje się z nią w łóżku. Do licha, myśli Ellen, czując, jak serce tłucze jej się w piersi. Czując złość, która rozlewa się po całym ciele i powoduje, że Ellen mocno zaciska zęby i mówi do siebie pod nosem. Dopracowuje kolejne zdania, w których stawia męża do pionu. Sprawia, że się przed nią korzy, prosi o przebaczenie. Mówi, że rozumie jej frustrację, że mogą wrócić do Oslo, ona zaś wyobraża sobie, jak znów jadą na południe, jak całą rodziną przekraczają próg jej rodzinnego domu, lecz zdaje sobie sprawę, jak mało wiarygodnie wygląda zakończenie tej mrzonki. Początek jest bardziej prawdopodobny, myśli, mijając róg Nordregate; nagle zaczyna truchtać, żeby szybciej dotrzeć na miejsce, przekonać się, czy ma rację, aż wreszcie jej oczom ukazują się rozświetlone okna wystawowe. Widzi Gersona za ladą oraz starszą panią, która wkłada na głowę jakiś kapelusz i odwraca się do swojego męża, by poznać jego zdanie.

Nie ma tam żadnej młodej kobiety, Gerson jest w pracy. Ellen się zatrzymuje, już ma się odwrócić i szybko oddalić, lecz wtedy on ją zauważa. Najpierw wydaje się zaskoczony, jaśnieje i wygląda, jakby chciał unieść rękę, by do niej pomachać, ale nagle zastyga w bezruchu. Niechybnie dostrzega wyrzut na jej twarzy, bo Ellen widzi, jak opuszcza ramiona i zwraca się do starszej pani w kapeluszu, uśmiechając się z trudem.

Ellen dalej stoi. Rozważa, czy przejść przez ulicę i z nim porozmawiać, ale co miałaby powiedzieć? Że po co przyszła? W odwiedziny? W takim razie nie powinna była się zakradać, przeklina się w myślach. Że też mogłam być taka głupia, myśli, po czym odwraca się i zrozpaczona rusza w stronę domu.

Później krząta się po domu, stara się sprawić, by wyglądał przytulniej. Próbuje rozmawiać z córkami, jednak one są zajęte i nie rozumieją, dlaczego tak nagle szuka ich bliskości, dlaczego próbuje je przytulać, więc się jej wywijają, by wrócić do zabawy.

Nastaje wieczór. Gerson wraca do domu późno, coś wypił i nie chce powiedzieć, gdzie był.

Idzie prosto do łazienki, a potem do łóżka, chociaż Ellen czeka na niego na kanapie, chociaż wstaje i uśmiecha się, gdy tylko mąż staje w drzwiach. Chce być od niej jak najdalej, w jego oczach nie pozostał nawet ślad blasku, który dawniej w nich gościł, gdy na nią patrzył.

Kładą się. Ellen wyciąga w ciemności rękę i dotyka jego ramienia, na co Gerson mamrocze, że jest zmęczony, że chce spać, i odwraca się do niej plecami.

Ellen zaciska powieki. Słyszy jego miarowy oddech. Czuje dzielący ich dystans i ogarnia ją uczucie, że wszystko rozsypało się w proch.

Kilka dni później Gerson wraca ze sklepu wcześniej, gdy dzieci nie ma w domu, i po prostu to mówi. Że dostał ofertę pracy w Oslo. Że nie widzi przed nimi przyszłości. Że załatwi mieszkanie dla niej i dzieci, ale chce rozwodu.

T jak telefon od Rikke. Gdy jechałem przez Trøndelag, zadzwoniła do mnie, aby powiedzieć, że istnieje też inny powód, dla którego w jej rodzinie milczano na temat wydarzeń z czasu wojny. Przyczyną był nie tylko dyskomfort, twierdziła, ale coś wprost przeciwnego – chęć, by wybaczyć i żyć dalej. Powiedzieć, że co się stało, to się nie odstanie. Ale nie żeby coś wygładzić, wyprzeć albo zapomnieć. Zmienić można jedynie drogę, którą ma się przed sobą. Właśnie w tym tkwiło sedno pracy Juliusa Paltiela. Nie chciał potępiać, prześladować i oskarżać, chciał wybaczyć, patrzeć przed siebie.

„Żyjemy w czasie walki na słowa. Niech lepiej ta powieść będzie zachętą, by patrzeć do przodu. Możliwością, by się pogodzić oraz przebaczyć" – napisała nieco później w SMS-ie.

Coś podobnego zauważyłem także u Grete podczas naszych rozmów o jej matce, które prowadziliśmy w ostatnich latach. Stopniowe odejście od zarzutów o wszystko, co Ellen się nie udało, czego nie zrobiła, na rzecz dojrzewającego zrozumienia i pogodzenia się z faktem, że wojna złamała tę kobietę, zniszczyła osobę, którą mogła być, którą mogła się stać.

Wszystkie te rozmowy, fragmenty i urywki wspomnień stopniowo sprawiły, że Grete się z tym pogodziła. Wojna zniszczyła potencjał tak wielu ludzi, tak wiele młodych marzeń. A jednak z tego zniszczenia powstała moja własna rodzina.

T jak telefon dzwoniący na biurku Rinnana w nocy z szóstego na siódmego maja 1945 roku. Ostatnio Niemcy zaczęły przegrywać na coraz to kolejnych frontach, stale malała także nadzieja, że szala zwycięstwa w następnym półroczu przechyli się na drugą stronę. Pracownik Hotelu Misyjnego oznajmia, że już po wszystkim. Niemcy skapitulowały. Wojna się skończyła.

Boże drogi.

To koniec.

– Co jest? – pyta Karl, bo poznaje po nim, że coś się stało.

Rinnan nie potrafi odpowiedzieć. Czuje odrętwienie, które rozchodzi się po całym ciele, niemal paraliż. Może powinien odebrać sobie życie? Zastrzelić się w piwnicy? Nie, odsuwa od siebie tę myśl równie szybko, jak się pojawiła, bo nie może się jeszcze poddać. Nie złapali ich. Może uda mi się wymknąć, myśli, odkładając słuchawkę.

– Obudź wszystkich! Niemcy skapitulowali, gamonie jedne.

Karl na niego patrzy. Jego dziewczyna, Ingeborg, ma takie samo ciemne spojrzenie.

– No dalej. Szybko. Musimy pozbierać wszystkie papiery i je spalić, a potem stąd spierdalać. Już, już, już! – mówi i uderza otwartą dłonią w ścianę.

Potem wyjmuje butelkę likieru. Wychyla kieliszek i zaczyna się zastanawiać, co jest najważniejsze, co na pewno trzeba zniszczyć, podczas gdy pozostali członkowie bandy kręcą się po pokojach, podnoszą rzeczy i je odkładają. Pukają do drzwi, za którymi śpią ludzie. Rinnan nalewa sobie drugi kieliszek, opróżnia go i idzie do archiwum. Wyjmuje teczki z poufnymi dokumentami, wytrząsa z nich kartki z planami, listami agentów, nieświadomych informatorów, osób, które torturował i zabił. Następnie pośpiesznie układa je w stos, podchodzi do kominka i wrzuca doń dokumenty. Część kartek spada obok, ale reszta ląduje w środku,

wzbijając chmurę popiołu, która rozchodzi się po pokoju, zmusza Rinnana, by odwrócił twarz i wstrzymał na chwilę oddech, zanim wyjdzie poszukać zapałek. Tradycyjne rozpalanie trwałoby wieczność, dlatego prosi Karla, żeby przyniósł kanister z naftą. Podnosi z podłogi ostatnie kartki. Pomaga mu Ingeborg. Później polewa stos papieru, czuje unoszący się zapach ropy i podpala dokumenty. Po zetknięciu z ogniem opary nafty buchają z zaskakująco głośnym dźwiękiem. Rinnan parska śmiechem, ale zaraz zaczyna myśleć o tym, co powinni ze sobą zabrać. Musi spakować plecak z prowiantem. Wziąć papierosy. Jeżeli tylko udałoby im się dotrzeć do gór koło Verdalu, mogliby przedostać się do Szwecji. A tam wystarczy już tylko się schować, wyparować, zniknąć.

To może się udać. Latami rozpracowywał trasy ucieczki. Zna przecież ten teren. Wystarczy się pospieszyć. Zastanawia się, ile mają samochodów, bo nie ma czasu załatwić więcej.

– Hej, wszyscy! Spakujcie broń, amunicję i jedzenie. Pojedziemy przez granicę do Szwecji. Za pięć minut wyruszamy! Czy to jasne?!

– Tak – mówi Karl. Ingeborg również. Kicia stoi pod ścianą osłabiona, bidulka musiała doznać szoku, co jest zrozumiałe, myśli Rinnan i podchodzi do niej, lecz ona się odsuwa, mówiąc, że musi się pakować. No tak. Teraz t a pokazała swoją prawdziwą twarz. Niech to szlag. A Rinnan myślał, że będą razem. Dziwka czasów prosperity. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

Sam musi się pakować. Znajduje plecak i wypełnia go papierosami, nabojami, pieniędzmi. Zabiera karabin maszynowy.

Idzie przez korytarz. Nie ogląda się za siebie.

Ostatni raz opuszcza Bandeklosteret, po ciemku, gdy miasto spowija noc.

U

U jak uciążliwe, przykre uczucie na widok bitych więźniów. Rozchodzący się po ciele ból, zmieszany ze złością, którą po prostu trzeba poskromić, by nie doświadczyć tego samego. Raz widzisz, jak rosyjscy więźniowie zmuszani są do biegania w koło w otoczeniu strażników, którzy okładają ich kijami od mioteł. Walą nimi, aż pęka okrągłe drewno. Wtedy maltretowanie na chwilę ustaje, po chwili ktoś idzie do warsztatu po łopaty.

U jak upływający czas.

U jak uszy żołnierzy wystające spod metalowych hełmów, podobne do małży albo do nienarodzonych dzieci – modele płodów zwiniętych w łożysku.

V

V jak Verdalsfjellene, góry Verdalu. Jest początek maja 1945 roku, Rinnan zapakował do samochodów całą bandę, wziął też więźnia z piwnicy jako zakładnika. Swoją rodzinę wysadził w Levanger, przytulił zdezorientowane dzieci i pojechał dalej, w góry, w nadziei, że znajdzie drogę ucieczki do Szwecji.

Co zabawne, ciężarówka złapała gumę, więc muszą iść pieszo. Chociaż jest maj, panuje niezwykły chłód, w wyższych partiach gór zalega śnieg. Idą w rzędzie. Rinnan w jednej ręce trzyma pistolet, a w drugiej butelkę likieru. Do kieszeni płaszcza włożył karton papierosów, ale kieszeń jest za płytka, więc z każdym krokiem ma wrażenie, że opakowanie zaraz mu wypadnie. Gunnlaug idzie tuż za nim, wzrok ma wbity w ziemię. Udaje, że musi uważać, aby nie potknąć się o jakiś kamień albo nie wejść w śnieżną zaspę. Co to ma być? Czy zachowuje się tak tylko dlatego, że przegrywają tę bitwę? Rinnan odwraca się i patrzy na więźnia, Magnusa Caspersena, który ciężko brnie naprzód, także z pochyloną głową. Że też nie wrzucili go do fiordu, co za fatalna pomyłka. Człowiek ma przecież swastykę wypaloną na udzie, dowód, że był torturowany. Trzeba się było go pozbyć, ale jest już za późno. Poza tym mają kartę przetargową, gdyby zostali złapani. Musimy tylko dostać się do Szwecji, myśli. Bezpiecznie przekroczyć granicę, to jasne. Powinno się udać, a wtedy mógłbym osiedlić się tam z Gunnlaug, a ona urodziłaby moje dziecko, które nosi pod sercem, myśli, odsuwając gałąź świerku. Docierają do drogi i nagle dobiega ich dźwięk przejeżdżającej w pobliżu ciężarówki.

Rinnan się rozgląda i szybko macha do pozostałych, na co oni przebiegają przez drogę do lasu po drugiej stronie. Później sam śmiga za nimi, tak szybko, że pudełko z papierosami wypada mu z kieszeni i zjeżdża z zaspy. Widzi, jak Karl ciska w śnieg skrzynkę wódki, aż rozlega się brzęk szkła.

– Tędy, prędko! – woła Rinnan, wskazując na pagórek, za którym mogą się schować.

Członkowie bandy przebiegają obok, jeden za drugim, przywierają do skały. Rinnan unosi głowę i widzi, jak Magnus Caspersen zawraca i pędzi ku drodze, gwałtowanie wymachując rękami. Szlag by to trafił, nie mają już zakładnika, który przydałby się do negocjacji. Takie życie.

– Musimy szybko iść dalej – szepcze Rinnan do pozostałych.

– Dokąd? – pyta Karl.

– Do Szwecji – odpowiada Henry i słyszy, jak ciężarówka się zatrzymuje. Słyszy trzaśnięcie drzwiami i nawoływanie męskich głosów.

Karl kręci głową, mówi, że to za daleko, i proponuje, by ukryli się w pobliskim schronisku i przeczekali, aż sytuacja trochę się uspokoi. Rinnan zaciska powieki. Wszystko się, kurwa, sypie, skoro nawet jego najwierniejszy człowiek nie chce przyjąć rozkazu, ale już trudno. Odtąd każdy liczy na siebie, myśli i życzy powodzenia Karlowi i jego dziewczynie. Potem mówi pozostałym, żeby szybko szli za nim, jeżeli chcą przeżyć.

Gunnlaug patrzy na niego, Rinnan z uśmiechem wyciąga do niej rękę, lecz ona się odsuwa. Później to wyjaśnię, myśli, po czym klepie Karla po ramieniu, powtarza: „Powodzenia" i gestem przywołuje pozostałych do siebie. Trudno się idzie, bo w terenie roi się od kamieni, wrzosów i stromych urwisk. Od dziur schowanych pod śniegiem, szczelin w piargu, w które nagle można się zsunąć. Na łydkach czuje zimny śnieg, schyla się pod igliwiem świerków i czuje, jak puch sypie mu się na kark, czuje zapach świerkowych igieł, kojarzący mu się z dzieciństwem, i się odwraca. Ślady, które zostawili w śniegu, będzie łatwo wytropić. To nie do uniknięcia, myśli i śpieszy dalej przed siebie. Docierają do leśnej polany, gdzie kolejni chcą się rozdzielić, ale on nie ma już nawet ochoty dyskutować. Po prostu odprawia ich kiwnięciem dłoni, chociaż cholernie go boli, że nie wierzą w jego plan, w to, który członek grupy ma największe szanse zaprowadzić ich w bezpieczne miejsce. Oczywiście że ja, ale nie ma, kurwa, mowy, żebym pouczał ich jak jakiś gówniarz, bo skoro postanowili uciekać w innym kierunku, to proszę bardzo, powodzenia, myśli i im to mówi, lecz nie potrafi ukryć wahania, gdy patrzy na Gunnlaug i pyta, kto idzie z nim dalej.

Zostało ich tylko sześcioro. Grupa dzieli się na pół, co właściwie mu odpowiada, bo przy odrobinie szczęścia ich prześladowcy wybiorą drugi ślad i to ich tropem pójdą, myśli Rinnan. Wolno ruszają dalej przed siebie,

rzędem, z pochylonymi głowami. Idą w dół doliny, przecinają niewielką drogę, wspinają się po zboczu pod osłoną ciężkich drzew iglastych. Nagle słyszą w oddali terkot karabinów maszynowych. Strzały ze sztucerów. Wybuch granatu. Patrzą na siebie. Rinnan czuje, jak mocno bije mu serce. Dopadają go zmęczenie i głód, pewnie tak samo jak innych. Strzelanina ucicha, las pogrąża się w ciszy. Gunnlaug spogląda na niego ciemnymi oczami, jakby o coś pytała, w białym anoraku jest taka piękna, nawet w czapce jej ładnie, myśli Henry i zbliża się do niej o krok, wiedziony nagłą ochotą, aby jej dotknąć, lecz ona się wtedy odwraca, wskazuje prześwit między drzewami i pyta, czy pójdą tamtędy.

Idą dalej, może kwadrans, aż Rinnan zauważa na polanie chatkę o ciemnych oknach, bez dymu z komina. Idealnie. Pewnie da się tu znaleźć nieco jedzenia, myśli, po czym oznajmia, że teraz się zatrzymają, aby nabrać sił. Do chatki nie prowadzą żadne ślady oprócz okrągłych tropów saren, które szukały tu pożywienia.

Rinnan szybko podchodzi do okna i zagląda do środka. Chatka jest pusta, tak jak przypuszczał, więc zbliża się do drzwi, które nie są nawet zamknięte na klucz. Wystarczy tylko przekroczyć próg, myśli, przytrzymując drzwi, tak by pozostali mogli wejść pierwsi. Musimy poszukać czegoś do jedzenia i do picia, myśli, szybko udając się do kuchennych szafek. Znajduje konserwy i z uśmiechem odwraca się do reszty. W tej samej chwili rozlega się terkot karabinu maszynowego, brzęczy wpadające do środka szkło ze stłuczonych okien i wszyscy rzucają się na podłogę. Rozbrzmiewa kolejna salwa, lecą drzazgi i odłamki szkła. Trafiona miska na kuchennym blacie roztrzaskuje się w drobny mak. Potem nastaje cisza. Rinnan zerka znad podłogi. Gunnlaug posyła mu surowe, wręcz pogardliwe spojrzenie, a następnie odwraca się do drzwi.

– Rinnan! Wiemy, że tam jesteście! Wyjdźcie z podniesionymi rękami! – krzyczy jakiś mężczyzna.

– Nie strzelać! – odkrzykuje Rinnan. – Wychodzę!

Wstaje. Trzeba z nimi negocjować, myśli, starając się nie dotknąć ręką stłuczonego szkła, gdy podnosi się z podłogi. Potem wychodzi. Stoi tam mężczyzna z karabinem maszynowym, tuż za nim jeszcze trzech. Na wzniesieniu nad nimi leży kolejny z karabinem na statywie. W tej sytuacji siłą nie wygramy, myśli, dlatego będzie musiał spróbować sprytu.

– Czołem! – odzywa się Rinnan dziarsko z rękami w górze, ale opuszcza je wolno, robiąc krok w stronę tamtego. – Chciałbym ponegocjować… – zaczyna, lecz nie udaje mu się powiedzieć więcej, bo żołnierz przytyka kolbę do policzka i celuje do niego z karabinu.

– Stop! – krzyczy. – Jesteście otoczeni! Natychmiast oddaj broń albo strzelam!

Rinnan patrzy na niego i ocenia sytuację, bo rzeczywiście nie wygląda na to, by facet blefował, wprost przeciwnie, może c h c e mnie zastrzelić i tylko szuka pretekstu, żeby nacisnąć spust, myśli Rinnan, powoli wyjmując pistolet z kabury.

– Połóż się na ziemi z rękami wyciągniętymi do przodu! Pozostali w środku: wyjdźcie spokojnie z rękami w górze. Kto będzie miał broń albo spróbuje uciekać, zostanie zastrzelony!

Rinnan czuje na policzku śnieg. Odwraca głowę i widzi, jak z chatki wychodzi Gunnlaug; wygląda na wyczerpaną, tak bardzo wyczerpaną, lecz nadal jest piękna; w tej samej chwili czuje, jak ktoś szarpie mu ręce do tyłu. Na nadgarstkach zatrzaskują się kajdanki. To koniec. Później podchodzi do niego jeden z żołnierzy z zaciśniętą pięścią, z jego oczu bije nienawiść. Za nim zbliża się kolejny.

– Straciłeś rezon, co?! – odzywa się żołnierz. I wymierza cios.

W

W jak wojna. W jak Wehrmacht.

W jak wino.

W jak więzień, jak więzy.

W jak wirujące na niebie zmarznięte drobinki bieli, które zimą kładą się grubą warstwą na stwardniałej czarnej ziemi, na polach i dachach, otulają nawet druciane kolce płotów, nadając im miękki, przyjazny kształt króliczków albo maskotek. W jak widok żołnierza, który wieczorem odchyla głowę w świetle latarni, by płatki śniegu mogły rozpuścić się na jego twarzy. W jak wilgoć w pralni w piwnicy, gdzie organizuje się przemyt listów i paczek z jedzeniem. Pozdrowienia ze świata roznoszą się w dusznym powietrzu, wśród rozwieszonych koszul i pościeli, przyjemnie miękkich, gdy się ich dotknie, tak jak suszące się prześcieradła, do których przytulałeś się przed swoim domem rodzinnym w Paryczach, czując chłód na twarzy oraz zapach świeżo upranej bawełny.

W jak wzrastanie. Minęło już wiele lat od tamtego przedpołudnia, gdy pochyliliśmy się nad kamieniem pamięci w Trondheim. Odkąd wydało mi się, że oczy mojego syna pociemniały, gdy zapytał, co się z tobą stało. Teraz nie ma już dziesięciu lat, ma czternaście. Moja córka nie ma już sześciu lat, ma dziesięć, prawie jedenaście. W ostatnich latach oboje słyszeli oczywiście wiele rozmów na ten temat, choć wcale nie wywoływały one w nich lęku, jak początkowo sądziłem. Niedawno syn zajrzał do pokoju, gdzie właśnie pracowałem.

– Piszesz o tym Rinnanie? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem. – Słyszałeś o nim?

– Oczywiście. To ten świr, co zabił mnóstwo ludzi w piwnicy domu, w którym wychowywała się babcia, nie?

– Tak, to on – odparłem. Mój syn skinął głową, skierował wzrok na telefon, ale wychodząc, odwrócił się do mnie i powiedział: – Jeżeli znów będzie wojna, zwiejemy gdzieś na Pacyfik czy coś, okej?

W jak wybór i wybuch. Karl Dolmen z dziewczyną udali się inną drogą niż Rinnan, lecz zauważył ich patrol norweskich żołnierzy. Po krótkiej ucieczce para schowała się w szopie na terenie jakiegoś gospodarstwa, a grupka żołnierzy zagrodziła im drogę wyjścia i oddała ostrzegawczy strzał nad ich kryjówką. Karl siedział skulony na podłodze, oblizując wargi i rozmyślając o możliwościach ucieczki. Dziewczyna ściskała go mocno za ramię. Mieli wybór. Mogli spróbować uciec albo się poddać. Słyszał mężczyzn na zewnątrz, ich krzyki, wiedział, że mają karabiny, więc trudno byłoby im się oddalić, chyba że udałoby mu się usunąć wystarczająco wielu ludzi i odwrócić uwagę pozostałych, pomyślał, sięgając do plecaka. Wyjął stamtąd granat, poczuł w dłoni zaskakujący ciężar. Zerknął w górę na otwór w ścianie, pełniący funkcję okna, tuż pod kalenicą.

– Co robisz? – zapytała dziewczyna, patrząc na granat.

– Spokojnie – szepnął Karl i odwrócił się w stronę drzwi. – Dobrze! Już idziemy! – zawołał, a następnie wstał, wyjął zawleczkę i cisnął granat w stronę otworu w górze, ale w tym samym momencie, gdy broń opuściła jego dłoń, poczuł, że coś jest nie tak, że rzut nie do końca się udał. Rozległ się łomot, kiedy granat uderzył w deski przy kwadratowym otworze, odbił się od nich i spadł. Karl ledwie zdążył usłyszeć krzyk dziewczyny: „O Boże!". Ledwie zdążył rzucić się w przód, by go złapać i cisnąć na nowo, kiedy granat nagle eksplodował tuż przed nimi.

W jak wiosna 1945 roku w Szwecji, ciepła niczym lato. W jak włosy Ellen, niesforne włosy kobiety, w której zakochał się Gerson, która z pamięci gra na fortepianie długimi, szczupłymi palcami, która lubi rysować i rozmawiać o sztuce, tak samo jak on. Dziewczyna z wyższych sfer, która pali papierosy z fabryki dziadka, która tylko uśmiecha się i śmiechem kwituje wszystko, czego nie umie.

W jak wariactwo na wieść o zakończeniu wojny. O kapitulacji Niemców. O tym, że mogą wracać do domu. Obcy ludzie rzucają się sobie na szyję, całują, a majowe powietrze wypełnia nadzieja na nową wiosnę, nowy początek. Ellen się do niego przytula, on zaś pochyla się do niej z uśmiechem.

– To co, wracamy do domu? – pyta ona żartobliwie, wspinając się na palce. Ciemne oczy lśnią. Jest piękna, myśli Gerson i odsuwa z jej czoła lok.

– Tak, wracamy do domu – odpowiada. Czuje jej wargi na swoich, otwiera oczy i widzi, jak matka się do nich uśmiecha.

Później ktoś wręcza mu butelkę i świętują dalej.

W jak wiraże w drodze z gór Verdalu. Jest maj 1945 roku, Rinnan siedzi w aucie policyjnym z rękami w kajdankach za plecami, z pulsującym, sinoczerwonym okiem, tak bardzo spuchniętym od ciosów, że niewiele przez nie widzi. Znów jedzie do Trondheim. Zdrowym okiem patrzy przez okno na domy i wciągnięte na maszty norweskie flagi i mimo wszystko czuje swego rodzaju ulgę, że go złapano, że nie będzie musiał już dalej uciekać. Może jakoś uda mu się dogadać z władzami. Przekonać ich, jak wiele posiada informacji i jak bardzo może im się przydać, jeżeli tylko odpowiednio to rozegrają. W każdym razie będę mógł się teraz wykazać, myśli, unosi rękę do pulsującego oka i zastanawia się, jak wygląda. Następnie opiera się o zagłówek i czuje, jak to wspaniale móc wreszcie odetchnąć. Odpoczywa przez całą drogę powrotną do miasta, do Hotelu Misyjnego, przejętego przez norweskie władze. Nie pracują tam już młode sekretarki, gotowe przyjmować od niego rozkazy, tylko norwescy policjanci, Rinnan zaś zwraca uwagę na ich nienawiść. Widzi, że od niektórych bije pogarda i radość z jego nieszczęścia, na przykład od funkcjonariusza, który go odbiera i mocno ściska za ramię.

– No, no, Rinnan. Straciłeś rezon? – pyta i on, jakby skradł kwestię z tego samego filmu, myśli Rinnan i idzie za nim.

W ostatnich latach setki razy schodził tędy w dół, do piwnicy. Tam zostaje wepchnięty do celi, gdzie z radością wita przekręcenie klucza w zamku. Przez chwilę zdawało mu się, że ten policjant od razu się za

niego weźmie, może pośle mu kulkę w łeb, lecz najwyraźniej zostanie mu to oszczędzone.

Opiekują się nim, a on prosi, by przesłuchiwał go wyjątkowy człowiek: Odd Sørli, przywódca jednego z oddziałów ruchu oporu. Sørli to jeden z nielicznych, którzy mogą go zrozumieć, którzy będą wiedzieli, o co mu chodzi, wie także, że człowiek ten szanuje zarówno jego, jak i wszystko, czego dokonał, chociaż stał po przeciwnej stronie barykady.

Poznaje sprzątaczki, zaczyna mu się podobać w piwnicy, opowiada szczegółowo o tym, co się stało. O wszystkich misjach, o infiltracjach, o zadaniach wykonanych w roli podwójnego agenta. Mówi o rosyjskiej agentce, z którą nawiązał romans, o ich potajemnych schadzkach podczas podróży koleją za granicę albo w hotelach. O tym, jak ze sobą spali, by za chwilę ze sobą walczyć. Wygląda na to, że łapią przynętę, połykają jego historie – to dobrze. Musi zeznać wszystko, ale chce też poszukać jakiejś drogi wyjścia, bo jeśli uda mu się ich przekonać, że zna rosyjski wywiad od środka, może uznają, że bardziej przyda im się żywy niż martwy.

Strategia zapewne działa, bo w Wigilię 1945 roku strażnik, który przynosi mu jedzenie, zostawia drzwi niezamknięte na klucz.

Po prostu się oddala. Rinnan czeka. Czuje narastające napięcie, po czym wychodzi, nasłuchuje przy następnych drzwiach, ale i tam nikogo nie słyszy, naciska klamkę i wygląda przez szparę. Zakrada się po schodach w górę i ucieka.

W jak dwie zlewające się ze sobą litery V, na przykład wtedy, gdy w letni dzień pot spływa do oczu w kamieniołomie albo gdy z wycieńczenia wzrok zachodzi mgłą.

W jak Wolfsohn, nazwisko panieńskie twojej żony i nazwisko jednego z więźniów, Davida Wolfsohna. Również on ma swój *Stolperstein*, umieszczony przed jego byłym mieszkaniem, które stało się pierwszą kwaterą główną bandy Rinnana.

W jak wybaczenie. W jak wybaczenie. W jak wybaczenie.

X

X jak niewiadoma. X jak tajemnica. X jak kształt znaku z pomalowanych na czerwono desek przy przejeździe kolejowym na stacji, gdzie wysadza się więźniów w drodze do Falstad, skąd dalej muszą iść pieszo. Pod koniec września grupa więźniów zjawia się koło północy, więc zdążyłeś już właściwie zasnąć, lecz budzi cię krzyk żołnierzy, słyszysz, jak wydają rozkazy, by więźniowie ustawili się w szeregach na dziedzińcu. A potem? Wstajesz, wyglądasz przez okno, choć wiesz, że nie wychodzi na dziedziniec, więc nic nie zobaczysz. Później znów na zmianę zapadasz w sen i budzisz się od krzyków na placu, ale to cię nie dotyczy. Następnego ranka, gdy jesz śniadanie, więźniowie nadal tam stoją. Stali przez całą noc, dlatego czujesz ukłucie wyrzutów sumienia, bo sam spałeś. Jakby twoja bezsenność miała im jakoś pomóc.

Y

Y jak rysunek kobiecego łona w swojej najprostszej, najbardziej komiksowej postaci, jak symbol Y, który kiedyś wyryłeś na drzwiach ubikacji w Falstad, bo w przyrodzie nie istnieją przerwy. Kobiety spodziewające się dzieci muszą rodzić, chociaż z nieba pada deszcz bomb. Idący za potrzebą muszą się spieszyć, chociaż przez ściany przelatują pociski. Oddech, trawienie, głód i pożądanie. Nic nie jest takie jak przedtem, ale nic też się nie wyłącza, dopóki przez ciało płynie krew, a w niej wszystko, co utrzymuje cię jeszcze przy życiu.

Z

Z jak znak, jak kształt palącej rany na plecach więźnia, którego przyłapano na przemycie mleka do obozu i ukarano razami kijów.

Z jak zło, jak zbrodnia.

Z jak zaufanie.

Z jak zwierzęta domowe. Kiedy byłeś w Falstad, widywałeś czasem edredony, lecące na wybrzeże. Pewnego razu, gdy stał z tobą Ralph Tambs-Lyche, wskazał na ptaki i wyjaśnił, jaki to gatunek.

– Wiesz, że to jedne z najstarszych zwierząt domowych w Norwegii? – zapytał, na co ty pokręciłeś głową.

– Mieszkańcy wybrzeża strzegli ich gniazd w okresie lęgowym, odganiając od nich drapieżniki. W zamian ludzie dostawali miękkie pióra, które zostawały po edredonach po zakończeniu sezonu, i używali ich do wypełniania kołder i poduszek.

Pochylasz głowę, widzisz kontury ptaków niknących nad czubkami drzew i niespodziewanie ogarnia cię rzewny smutek na myśl o tej trosce. O istniejącej gdzieś czułości. Wtedy rozlega się krzyk strażnika i wracasz do piłowania.

Z jak zima roku 1945, który wkrótce się skończy, podobnie jak skończyła się wojna, miasta wracają powoli do dawnego porządku, teraz jednak jest Wigilia. Pierwsze Boże Narodzenie od wyzwolenia, ludzie siedzą w domach, by świętować w rodzinnym gronie. Zbierają się przy stołach nakrytych białymi obrusami, ich twarze rozświetla blask świec.

W Hotelu Misyjnym pracuje mniej strażników niż zwykle. Rinnan zakrada się schodami z piwnicy, rzuca okiem na główne wejście i widzi strażnika opartego o biurko, zajętego rozmową z kolegą. Dobrze, że tak

świetnie zna to miejsce, że był tu tyle razy, bo chociaż nie może wydostać się przez drzwi wejściowe, zdoła znaleźć inną drogę. Chyba tak właśnie ma być, chyba m a m uciec, ale nie mogą pozwolić mi tego zrobić w zbyt oczywisty sposób, nie mogą wypuścić mnie ot tak głównymi drzwiami, skoro jestem najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całym królestwie, nikt by tego nie pojął, myśli, zakradając się na piętro. Ludzie są zbyt głupi, za bardzo kierują się uczuciami, ale ci, którzy znają tę grę, dobrze wiedzą, w jaki sposób Rinnan może najbardziej się przydać w przyszłości – jako norweski agent. Mógłby infiltrować Rosjan, pewnie udałoby mu się ich również oszukać, a nie ma cienia wątpliwości, że pozyskane w ten sposób informacje mogą być kluczowe dla Norwegii. Co przyjdzie im po mnie martwym, dlaczego mam symbolizować przekonanie zwycięzców o własnej nieomylności?, myśli i słyszy głosy z jednego z gabinetów. Szkoda, bo nie odważy się teraz zakraść na schody na tyłach budynku i do położonego tam wyjścia. Zbyt duże ryzyko, że ktoś mnie nakryje, myśli Rinnan, zaglądając szybko do innego pomieszczenia; jest puste, więc ostrożnie zamyka za sobą drzwi.

Niewielki składzik pełen skrzynek, w którym wcześniej mieścił się gabinet – Henry był tutaj kiedyś w odwrotnej roli. Podchodzi do okna, delikatnie podnosi haczyki. Wsuwa opuszki palców między okno a framugę i ciągnie powolutku, żeby drewno nie skrzypiało.

Zdradziecki dźwięk rozlega się, kiedy skrzydło okna odrywa się od futryny. Czeka, ale ludzie w oddali nadal gadają, a kiedy słyszy śmiech jednego z mężczyzn, szybkim pchnięciem otwiera okno na oścież. Do środka wpada ziąb, na parapecie leży malutka śniegowa zaspa. Henry prędko wystawia głowę na zewnątrz i spogląda w dół. Spokojna boczna uliczka, chwilowo pusta, bo jest Wigilia, ale do ziemi daleko. Chyba nie mam wyboru, myśli Rinnan i wspina się na okno. Obraca się i pomału zsuwa w dół, ocierając się biodrem i brzuchem o framugę, przyciskając do niej pierś. Czuje, jak strój więzienny zaczepia się o jakiś haczyk i go wyrywa. Czuje topniejący śnieg na brzuchu. Zerka w dół, słyszy samochód i puszcza się futryny. Spada o wiele za szybko. Króciutka chwila i Henry z dużą siłą ląduje na ziemi, cały ciężar ciała przenosi się na wykrzywioną kostkę. Upadając, stara się ochronić twarz, czuje lodowaty chłód pod dłońmi i ledwie dotyka czołem podłoża. Przeszywa go ból promieniujący

od kostki. Jest co najmniej skręcona, jeśli nie złamana, myśli i rozgląda się wokół. Na drodze nikogo nie ma. Podnosi głowę, okno jest nadal otwarte, ale tam też nikogo nie widzi. Musi uciekać. Gdzieś się schować, tylko gdzie, myśli, kuśtykając przed siebie, przeklina to lądowanie, bo przez zasraną kostkę wszystko trafił szlag. Niełatwo będzie teraz samodzielnie wydostać się z miasta, cholera jasna. Jest w końcu Wigilia, wszyscy zajęci. Gdyby nie to, udałoby mu się ukraść jakiś samochód i odjechać, ale w tej sytuacji to wykluczone. Potrzebuję pomocy, myśli, usiłując sobie przypomnieć, kto mieszka w pobliżu. Kto chciałby wpuścić go do środka, ukryć przez dzień albo dwa, żeby mógł wyjechać z kraju i rozpocząć pracę.

Rinnan kuśtyka drogą, skręca w boczną uliczkę i nagle przypomina sobie, że niedaleko mieszka jeden facet, który może, ale tylko m o ż e chcieć mu pomóc. Utyka na ostatnich metrach do drzwi. A nuż się, cholera, ułoży, myśli i puka. Wyjaśnia swoją sytuację, przyznaje, że uciekł i uszkodził kostkę – i faktycznie, mężczyzna wpuszcza go do środka, mówi, że nie może stać tak na chłodzie ze skręconą kostką, potem każe mu usiąść. Rinnan dostaje do ręki kieliszek, podczas gdy gospodyni zdejmuje mu but i ogląda nogę. Dziękuje im, wypija łyk wódki i czuje, jak spokój ogarnia jego ciało. Po raz pierwszy od pół roku ma w ustach alkohol. Dostaje dolewkę, prosi gospodarza o pomoc w znalezieniu schronienia, mówi też, że będzie teraz szpiegował na rzecz Norwegii, ale nikt nie może się o tym dowiedzieć, informacja nie może wyciec, bo nikt tego nie pojmie. Mężczyzna kiwa głową, klepie go po ramieniu i dolewa mu wódki. Później mówi, że musi wykonać kilka telefonów, spróbuje załatwić transport i kryjówkę.

Rinnan serdecznie mu dziękuje. Dostaje talerz świątecznej strawy. Wlewa w siebie kolejny kieliszek, czuje opuszczający go ból i powracającą lekkość. Cholera jasna, musi mi się udać, myśli. Później otwierają się drzwi i do środka wchodzi patrol norweskich policjantów, uzbrojonych w karabiny maszynowe.

Dopiero teraz Rinnan pojmuje, że mężczyzna go oszukał. Sięga po kieliszek i go opróżnia.

– Przypuszczam, że nie mamy czasu na jeszcze jednego? – pyta, zanim chwytają go policjanci.

Rinnana odprowadzono z powrotem do więzienia, a drzwi jego celi już nigdy nie zostawiono otwartych. Nikt nie przyjął na siebie odpowiedzialności za jego ucieczkę. Kostka wyleczyła się w ciągu zimowych i wiosennych miesięcy. Wtedy też, wiosną 1946 roku, zakończono śledztwo w jego sprawie i można było zacząć rozprawę. Rinnan skończył już trzydzieści jeden lat, wielu jego byłych współpracowników miało około dwudziestu pięciu. Istnieją fotografie bandy Rinnana zrobione podczas rozprawy, na których członkowie Sonderabteilung Lola sprawiają wrażenie, jakby się niczym nie przejmowali, uśmiechają się z dużą pewnością siebie. Jak pisze autorka i badaczka Ann Heberlein w *Książeczce o złu*, ludzie usprawiedliwiają swoje czyny, zanim je popełnią. Podejmują działanie, ponieważ rozważyli je już wcześniej pod kątem słuszności, zastanowili się, czy należy to zrobić, czy nie. Gdy decydujemy się na popełnienie danego czynu, zdążyliśmy go już uzasadnić. W tej sytuacji trudno żałować, bo to wymaga kroku wstecz oraz odwagi, by na nowo spojrzeć na swoją motywację.

Jeden z uwięzionych członków bandy Rinnana odebrał sobie życie czterdzieści lat po zakończeniu wojny, rzucając się z okna domu opieki – miał ponad osiemdziesiąt lat. Może to on przyszedł do kiosku Jannicke przy stacji kolejki na Majorstua, by opowiedzieć o swej przeszłości, nie mając pojęcia, kim jest słuchająca go kobieta. Z kolei Kitty Grande w wywiadzie, który przeprowadzono z nią, gdy była już w podeszłym wieku, mówiła, że nigdy nie żałowała swoich czynów, że robili to, co uważali za konieczne.

Podczas rozprawy Rinnan puszcza oko do pozostałych, kiedy siadają w ławkach. Wydaje się cieszyć z uwięzienia i ze skupionej na nim uwagi. Ucina sobie pogawędki ze strażnikami, jest zadowolony, że na piersi ma cyfrę jeden, przypisuje sobie nawet zabójstwa, których nie popełnił. Chwali się kontaktami w Rosji, tajnymi międzynarodowymi misjami, w których rzekomo brał udział, pomimo dowodów na to, że w danym okresie przebywał gdzie indziej. A jednak. Niedawno odkryto notatki wykonane podczas rozprawy po drugiej stronie karteczek z numerami oskarżonych. Przebija z nich strach, na przykład z karteczki numer dwadzieścia cztery, należącej do Haralda Grøttego. Cały spód kwadratowego kawałka papieru zajmuje szkic przedstawiający kobietę na ławce, choć nie wiadomo, kim

jest – może to zabita, w której rozczłonkowaniu brał udział? Obok Grøtte narysował dwóch mężczyzn, niżej zaś widnieją proste słowa: „Kara śmierci".

Na karteczce numer jedenaście napisano: „Nie było mi dane zachować życia".

Na karteczce Rinnana nie ma napisów ani rysunków; jedyne zdarzenie, którego zdaje się żałować, to egzekucja niewinnego ojca i jego syna na wysepce po bezowocnych poszukiwaniach składu broni. Podczas całej długiej rozprawy tylko ten jeden raz Rinnan się waha.

Ż

Ż jak żyły, którymi płynie krew, rytmicznie tłoczona przez całą dobę. Szybciej podczas pracy przy piłowaniu, w kamieniołomie czy na porannych ćwiczeniach, wolniej w nocy, gdy leżysz spokojnie, godzinami pogrążony w ciężkim śnie bez marzeń sennych.

Ż jak żołnierze przydzieleni do pracy w Falstad, w większości bardzo młodzi, niezdolni pojąć, czego są częścią.

Ż jak ostatnia litera alfabetu i jak twoje życie, które dobiega końca. Jest noc z wtorku na środę, siódmy października 1942 roku.

Nad ranem leżysz w celi w Falstad, otwierasz oczy i uświadamiasz sobie, że jednak w końcu musiałeś zasnąć, bo niebo na zewnątrz jaśnieje, paru więźniów zeszło ze swoich prycz, słyszysz, jak któryś mamrocze coś o stanie wyjątkowym. Podnosisz się, dwaj mężczyźni wpuszczają cię między siebie. Wyciągasz rękę, by się przywitać, lecz dopiero gdy jeden z nich wymienia swoje nazwisko, Henry Gleditsch, pojmujesz, kim jest. Aktor Gleditsch, dyrektor Trøndelag Teater. Znasz go – z życia towarzyskiego, z „Paris-Wien" i z teatru, gdzie czasem zdarzało ci się go spotkać w foyer, gdy odprowadzałeś Lillemor na balet.

– Henry, co ty tutaj robisz? – pytasz.

– No nie? – odpowiada dyrektor teatru, rozkładając ręce z cieniem uśmiechu na ustach. – Mamy dzisiaj premierę, więc naprawdę kiepsko się składa. Nie wiem, myślisz, że wypuszczą mnie wieczorem, żebym mógł zagrać?

Uśmiech jest zaraźliwy. Pytasz, jaka to sztuka, a w odpowiedzi słyszysz, że *Dzika kaczka* Ibsena i że Niemcy wtargnęli na scenę w samym środku próby generalnej.

– Dlaczego cię aresztowali? – pytasz.

Wzrusza ramionami i mówi, że jego przewinienia są drobne, nie chciał jedynie wywiesić niemieckiej flagi na budynku teatru i przeciął liny na

masztach, aby nie zrobił tego nikt inny.

– Ale jeżeli chodzi o naszego przyjaciela – ciągnie dyrektor, kładąc rękę na ramieniu mężczyzny stojącego obok – to aresztowanie nie było chyba wielkim zaskoczeniem, co?

– Hans Ekornes – przedstawia się tamten i wyciąga rękę, by się przywitać, podczas gdy dyrektor rozpoczyna opowieść o niebezpiecznym życiu swojego kolegi. O tym, jak przemycał ludzi i broń między Szetlandami a Ålesund i odpowiadał za wiele dużych operacji, do czasu, aż norweski podwójny agent Henry Rinnan zinfiltrował ich organizację i wysłał dwóch swoich ludzi podających się za uchodźców, którzy ich zdemaskowali.

Przez kilka minut cicho gadacie, ale w pewnym momencie przestajesz skupiać się na rozmowie, bo zaczynasz nasłuchiwać głosów i kroków na dziedzińcu i korytarzach. Niezwykły ruch. Pozostali również słuchają. Wiele osób usiadło na pryczach, kroki zbliżają się do drzwi. Metaliczny szczęk zamka, drzwi się otwierają, za nimi stoi młody mężczyzna, pewnie nie więcej niż dziewiętnastoletni, z błękitnymi oczami i dziecięcymi rysami. Prosi, żebyście wyszli z cel, nie mówiąc, dokąd ani po co, lecz sama pora to zły znak, myślisz, chyba że macie zostać przeniesieni, wysłani do obozu gdzieś za granicą. W dziesięciu idziecie schodami w dół. Dyrektor teatru Henry Gleditsch przed tobą. Dziesięciu mężczyzn w dół schodów. Stukanie stóp. Chłodne, przezroczyste powietrze na zewnątrz.

Na dziedzińcu stoi samotna brzoza. Gdy zaaresztowano cię w styczniu, miała nagie gałęzie. Z czasem pojawiły się na nich zielone pędy i przyszło lato, kiedy zostałeś wysłany na północ. Później liście pożółkły, zaczęły spadać.

Rozkazują wam wyjść w świetle poranka przez bramę. Na żwirową drogę. Idziecie w rzędzie, z rękami za głową. Może przez chwilę rozważasz ucieczkę, ryzykancki bieg między świerki? Otacza was jednak zbyt wielu uzbrojonych żołnierzy.

Przypuszczalnie pojąłeś, co cię czeka, bo nie ma powodu, abyście mieli teraz iść do lasu. Bez pił ani łopat. Następnie rozkazują wam wejść między drzewa. Jakiś żołnierz popycha cię lufą karabinu, żebyś dalej szedł przed siebie.

Żwir trzeszczy pod stopami.

Czy myślisz o Gersonie i Jacobie? O Lillemor? Albo Marie? Wyobrażasz sobie jej twarz, uśmiech, który posyłała ci rankiem przy śniadaniu?

Para unosi się z ust żołnierzy, migocą kropelki rosy na trawie i wilgotne plamy na ciemnych pniach. Prowadzą cię do dziury w ziemi, zasłaniają oczy, odczytują wyrok. Wyrok śmierci. Kara ma zostać wykonana natychmiast, trzy strzały w serce i trzy w głowę.

Co dalej? Wszystko musiało przyjść niemal jednocześnie. Najpierw krzyk oficera. Później strzały, a po nich zaskakujący, obezwładniający ból.

Życie to strumień. Rzeka impulsów stale płynących przez wszystko, co żyje. A śmierć? Śmierć wszystko wyłącza. Pociski wwiercają się w ciebie, wywołując eksplozję bólu, po niej zaś mięśnie nie wytrzymują, są jak urywający się sznur, więc się osuwasz i leżysz z twarzą w ściółce.

Ostatnie, co czujesz? Gałązka kłująca w policzek.

Ostatnie, co słyszysz? Krzyk mężczyzny: „Przeładować!".

Ostatnie, co staje ci przed oczami? Buzie twoich dzieci, gdy były małe. Miękkie, krągłe policzki. Duże oczy, czujne, otwarte, piękne. Kędziory na główkach. Rączki trzymające twój palec i lekkie szarpnięcie ciałek, gdy zasypiały.

Ostatni oddech przez nos. Bagno, zimne i mokre przy czole i pod palcami.

Wtedy opuszcza cię świadomość, a twoje ciało włącza się do obiegu wszystkiego, co martwe, jak złamana gałąź, czaszka sroki czy padlina wieloryba, leżąca na dnie morza w nieprzeniknionej ciemności, podgryzana przez maleńkie szczęki.

Para rąk chwyta cię za nadgarstki, inna za kostki, podnoszą cię. Głowa zwiesza się w tył, masz szeroko otwarte usta i oczy. Strużka słonej wody cieknie z oka w stronę ucha.

Dwa razy kołyszą cię w tę i z powrotem, ruch może przypominać twoje pierwsze próby zabawy na huśtawce, którą sąsiad zawiesił na drzewie, tam gdzie dorastałeś, w Rosji. Tak jak wtedy, gdy jako dziecko bujałeś się na niej rankiem, a od prędkości ściskało cię w brzuchu, aż nagle puszczałeś się i przeskakiwałeś łukiem nad kałużą, która była pod huśtawką.

Teraz to żołnierze puszczają kostki i łydki i wrzucają cię do dziury. Do rany w ciele ziemi. Gdy uderzasz o dno rowu, rozlega się głuchy łomot, zwiotczała lewa ręka zasłania ci twarz, leży na niej bez ruchu. Ciepły mocz przecieka przez materiał spodni, unosi się parą w powietrzu.

A później?

Kolejne strzały z karabinu, niemal w tej samej chwili.

Cisza.

Ktoś płacze, błaga o łaskę.

Strzały.

Cisza.

Zrzucają na ciebie ziemię.

Świst łopaty. Grudki padają na ranę w ziemi, przykrywają twarz i dłonie.

W końcu wystaje już tylko jedno kolano. Wysepka wełny w morzu błota, aż wreszcie i ono zapada się pod ziemię, która ciasno otacza całe twoje ciało. Zimno. Ciemno. Cicho. Tylko klepanie łopaty po powierzchni. Następne strzały. I cisza.

Długa.

Ziemia zamarza i odmarza, zamarza i odmarza, raz jeszcze zamarza i odmarza, podczas gdy twoje ciało powoli się rozkłada, a nad tobą zima znów przechodzi w wiosnę.

Jest przedpołudnie, wiosna 1945 roku, tuż przed końcem wojny. Trzy lata leżałeś pochowany w leśnym bagnie w Falstad, całkiem nieruchomy, zastygnięty w czasie, podczas gdy po niebie latały samoloty. Plutony się przemieszczały, miasta płonęły, a rodziny szukały bliskich w ruinach. Podczas gdy niemieccy żołnierze ginęli, a czołgi toczyły się na Berlin, ty leżałeś w ciszy pod ziemią, nadal z jedną ręką na brzuchu i małym palcem zgiętym do środka, jak śpiące dziecko. Aż nagle coś się dzieje.

Nie wiem, jaki to dzień, ale jest wiosna, wojna dobiega końca. Gdyby twoje uszy nie zaczęły obracać się w proch, usłyszałbyś kroki w górze. Odgłosy wydawane przez łopaty, które dźgają ziemię, ocierają się o kamyki i żwir, po chwili też ktoś mówi: „tam!” po niemiecku, tonem sugerującym, że czas nagli.

Gdyby twoja skóra już dawno nie odrętwiała, poczułbyś, jak czyjeś ręce chwytają cię za kostki i nadgarstki i wykładają na wełniany koc. Jak cię weń owijają i przewiązują koc sznurem jak kokon, żeby się nie otworzył. Co dalej?

Kładą cię na pace ciężarówki i wiozą wąskimi dróżkami w stronę morza. Tam czeka już łódź, na którą cię przekładają. Leżysz na jej dnie, otoczony kocem i owinięty liną, kołyszesz się w rytm fal.

Plusk, kiedy wiosła uderzają o wodę, i wstrząs, który szarpie twym ciałem z każdym ruchem łodzi. Skrzypienie dulki, ilekroć się obraca. Kapanie słonej wody. Krzyk śmieszek.

Potem ktoś wciąga wiosła na pokład. Głosy. Plusk. Odrywają cię od podłoża. Kolejny plusk. Podnoszą cię. Uderzasz kolanem i czołem o nadburcie, przerzucają cię na drugą stronę. Wpadasz do wody i zanurzasz się w głąb.

Powoli opadasz w toń, w chłód i mrok.

Mijasz ławicę śledzi, która szybko odpływa, i dalej osuwasz się w ciemność, gdzie nie sięga już światło.

Uderzasz o dno, wzbijasz muł.

Na jakiej głębokości? Stu metrów? Więcej?

Po ilu latach sznur zaciśnięty na kocu gnije i pozwala mu się rozwinąć?

Teraz leżysz na plecach.

Powoli wnikasz w ziemię.

Porywają cię pływy i sztormy.

Tak mija ponad siedemdziesiąt lat. Zapewne istnieją gdzieś jeszcze szczątki twojego szkieletu, rozrzucone po dnie, pogrzebane w chłodnym mroku, ślady w szlamie pozostawione przez twoje ciało, przeciągane morskimi prądami, jak twoje nazwisko wyryte w metalu na kamieniu przed budynkiem, w którym kiedyś mieszkałeś, gdzie pewnego razu schyliłem się z Grete, Steinarem, Rikke, Lukasem i Olivią.

Drogi Hirschu, została po tobie duża rodzina. Wszystkie twoje dzieci przeżyły wojnę i wszystkie zostały rodzicami. Masz wnuki, prawnuki i praprawnuki, tak dużo, że nie znam nawet ich dokładnej liczby. Gdy piszę te słowa, dwójka twych praprawnuków jest w szkole. Mój syn od niedawna

nosi aparat nazębny, w tej chwili siedzi zapewne nad podręcznikiem lub stoi na korytarzu z kumplami. Moja córka ma wkrótce zatańczyć w kolejnym przedstawieniu baletowym, co chwilę wyjmuje swoje nowe pointy, teraz jednak jest w szkole. Biega po dziedzińcu albo zjeżdża na pupie z górki za placem zabaw.

Mróz skuł krajobraz w Oslo.

Życie toczy się dalej, a ja zamykam oczy i myślę o wszystkim, co wyniknęło z tamtego przedpołudnia przy twoim kamieniu oraz o wszystkich historiach, które kryją się pod każdym z pozostałych.

Będziemy powtarzać ich nazwiska.

Drogi Hirschu.

Będziemy powtarzać twoje nazwisko.

Książka ta jest powieścią. Na ile było to możliwe, starałem się dotrzeć do źródeł, by jak najdokładniej oddać opisywane w niej wydarzenia historyczne. Mimo to wiele z nich popadło w zapomnienie, podobnie jak uczucia poszczególnych osób. Poczynania rodziny Komissarów są w dużej mierze fikcją – sceny te powstały w oparciu o rozmowy i notatki. Wyjątkowe podziękowania należą się Grete, od której wszystko się zaczęło i której, tak samo jak Jannicke, zawdzięczam wiele bezcennych informacji. Bardzo dziękuję pracownikom ośrodka na terenie byłego obozu karnego w Falstad, Muzeum Sprawiedliwości, Muzeum Żydowskiego i Archiwum Państwowego. Cytaty z notatek Gersona pochodzą z tekstów, które kilka lat przed śmiercią napisał dla swoich wnuków.

Wokół życia Rinnana narosło wiele legend, a różne biografie posiłkują się rozmaitymi wersjami historii. Szczególne podziękowania jestem winien Perowi Hanssonowi za jego książkę *Hvem var Henry Rinnan?* (Kim był Henry Rinnan?), chociaż czerpałem też z takich publikacji, jak *Rinnans testamente* (Testament Rinnana) Oli Flyuma i Steina Slettebaka Wangena, *Nådetid* (Czas łaski) Very Komissar, *Kvinnene i Rinnanbanden* (Kobiety z bandy Rinnana) Idara Linda, *Holocaust i Norge* (Holocaust w Norwegii) Bjartego Brulanda, *Mors historie* (Historia matki) Mony Levin oraz *Det norske folkemord* (Norweskie ludobójstwo) Hermana Willisa. Ponadto książka *Rinnans sønn* (Syn Rinnana) i rozmaite wywiady zachowane w archiwach odegrały istotną rolę w zrozumieniu Henry'ego Rinnana.

Bardzo dziękuję Hilde Rød-Larsen, która poprosiła mnie o wysłanie manuskryptu do wydawnictwa Aschehoug i przywróciła mi wiarę w ten projekt, kiedy najbardziej jej potrzebowałem. Bardzo dziękuję mojej entuzjastycznej redaktorce Norze Campbell, której nieocenione uwagi pomogły nadać ostateczny kształt tej powieści, dziękuję też wszystkim pracownikom wydawnictwa za uznanie!

Szczególne podziękowania należą się Rikke, właściwie za wszystko.

Za ewentualne błędy rzeczowe odpowiedzialność ponosi autor.

Simon Stranger

Oslo, 19 czerwca 2018